

**May Karol**

# **Tajemnica piaszczystego kanionu**

**Wydawnictwo:** Krajowa Agencja Wydawnicza, Szczecin

**Wydanie:** I

**Rok wydania:** 1987

**Druk:** Prasowe Zakłady Graficzne w Koszalinie

**Format:** B5

**Opracowanie graficzne:** Leszek Żebrowski

**Redakcja:** Anna Pawlikowska

**Redakcja techniczna:** Ryszard Zieliński

**Korekta:** Jadwiga Poprawska

**Seria:** Biblioteka Przygody Podróży i Sensacji



## Rozdział 1

Jak dziwne mogą być koleje losu, ile niespodzianek kryje się w naszym cieniu, jak krzyżują się ścieżki naszego życia przekonałem się dopiero po spokojnym i dokładnym przemyśleniu tego dziwnego zdarzenia.

Jako młody i biedny chłopiec uczestniczyłem za namową swego nauczyciela muzyki w konkursie na pieśń wigilijną. Uznanie mojego tekstu za najlepszy po pierwsze zdziwiło mnie, a po drugie uzyskałem nagrodę, która pozwoliła mi spędzić jedne z najpiękniejszych wakacji w moim życiu. W wędrownkach po górach towarzyszył mi mój najlepszy, najwierniejszy przyjaciel.

Minęło wiele lat. Życie dało mi twardą szkołę i zrobiło z niedoświadczonego chłopca mężczyznę. Dziwność losu była w stosunku do mnie tylko pozorna; sam wytknąłem sobie drogę i znalazłem obok daremnych wysiłków i rezygnacji dużo radości i zadowolenia, które z pewnością nie spotkałoby mnie w innym, spokojniejszym trybie życia. Poznałem cudownego, niezrównanego Winnetou i zawarłem z nim związek przyjaźni, który śmiało mogę określić jako jedyny w swoim rodzaju. Sama ta przyjaźń mogłaby być pełnym zadośćuczynieniem za to, co trzeba było wycierpieć. A przecież nad stromą ścieżką, po której wędrowałem, kwitły jeszcze inne kwiaty i dojrzewały jeszcze inne owoce, które wolno mi było zrywać. W pierwszym rzędzie zaliczam do nich przyjaźń okazywaną mi przez dzielnych znajomych, bo tylko ci, którzy nie mieli czystego sumienia, bali się jak ognia imienia Winnetou i Old Shatterhanda.

Ostatnią podróż konno odbyłem z Winnetou, tym najszlachetniejszym wśród Indian, z Rio Pecos, przez Teksas do terytorium indiańskiego nad Missouri.

Przybywszy na miejsce pozostałem tam jakiś czas, przyjaciel zaś wyruszył w góry po nuggety. Moi liczni Czytelnicy pytali nieraz, jakie było nasze położenie finansowe; korzystam teraz ze sposobności, by dać im na to pytanie odpowiedź.

Mówiło się i mówi dziś jeszcze, że Indianie znają wielkie złoża złota, których ani nie eksploatują, ani nie zdradzają białym. Krzewicielami tych fantastycznych wyobrażeń o czerwonoskórych są pisarze, którzy nigdy nie widzieli wigwamu ani nie czuli zapachu indiańskiego ogniska. Nie znaczy to jednak, żeby żaden Indianin nie znał tajemnic skarbów ukrytych w jego kraju. Przeciwnie!

Sam znałem wielu Indian – do nich należał również Winnetou – którzy dobrze wiedzieli, gdzie należy szukać złota. Ale byli to ludzie niezwykli, należeli do starych, wybitnych rodów, dziedziczyli tajemnice z ojca na syna, nie zdradzali ich nigdy innym członkom rodziny czy plemienia, a o dopuszczeniu do tajemnicy białego w ogóle mowy być nie mogło. Nie należy zapominać, że Indianie mają silne poczucie przynależności rodowej i dzięki temu przywiązują wielką wagę do nieprzeciętnego pochodzenia. Ci, którzy są przeciwnego zdania, zdradzają brak orientacji i powtarzają tylko bezmyślnie to, co ciemniejący Indian wymyślili, by nieco usprawiedliwić swoje okrucieństwo. Jest wśród Indian wiele wybitnych rodzin; przynależność do nich uchodzi za wielki honor. Fakt, że Indianie nie posiadają nazwisk, nie ma tu znaczenia. Przecież narody starożytności i dzisiejszego Dalekiego Wschodu również nie mają nazwisk, a jednak pyszną się rodami, których sława obiega cały świat.

Winnetou szczycił się całym szeregiem sławnych przodków, z których każdy był wodzem. Znał ich czyny i nauczył się od nich milczenia, którego nie potrafiłyby złamać najbardziej wymyślne męki. Byłem jedynym człowiekiem, wobec którego od czasu do czasu pozwalał sobie na lekkie aluzje na ten temat. Miał niesłychanie ostry i wrażliwy wzrok; po prostu wyczuwał nim miejsca, w których kryły się szlachetne kruszce. Wiedziałem, że podczas licznych wędrowek odkrył niemało pokładów złota i srebra. Tracił później całe dni i tygodnie,

by miejsca te zamaskować; zwykle mu się to udawało i ludzie przebywający opodal olbrzymich bogactw nie przeczuwali nawet, że są w ich pobliżu.

Winnetou wędrował do tych miejsc, gdy potrzebował pieniędzy. Na Dzikim Zachodzie nie zdarzało mu się to nigdy, gdyż zawsze mógł ubić po drodze bawołu i liczyć na to, że w każdym namiocie czy obozie zaprzyjaźnionych z Apaczami plemion przyjmą go z otwartymi ramionami. Gdy jednak trzeba było udać się do fortu po amunicję, albo gdy chodziło o dalszą wyprawę do „cywilizowanych” okolic, pieniądze stawały się potrzebne. Zaopatrywał się wtedy stale w większy zapas nuggetów, które zmieniał później na monetę obiegową lub banknoty.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że mogłem wtedy dysponować jego kasą; korzystałem jednak z tego rzadko, gdyż nie zaliczam się do ludzi, którzy lubią żyć na koszt przyjaciół. Na wypadek kłopotów pieniężnych wróciłbym się raczej do kogoś obcego, gdyż wiem z doświadczenia, wyniesionego z obcowania z poczciwymi skądinąd ludźmi, że pożyczanie pieniędzy niszczy każdą przyjaźń. Niech mi kto odpowie na to, co tu się żywnie podoba, ja obstaję przy swoim. Nawet w stosunkach z człowiekiem najprzychylniej do mnie usposobionym, pełnym szacunkiem do mej osoby i przekonanym o tym, że jestem pod względem finansowym osobą zupełnie pewną, pożyczka w wysokości kilkudziesięciu marek rautu cień na naszą przyjaźń.

Prawdziwa przyjaźń gotowa jest zawsze do największych ofiar, i przyjaźń moją z Winnetou szła nawet tak daleko, że jeden byłby dla drugiego gotów poświęcić życie. Ofiarność ta była czymś wzniosłym i wzruszającym, pożyczanie zaś jest czymś tak codziennym, niskim, niemiłym, że przyjaciele – Winnetou i Old Shatterhand – unikali transakcji pieniężnych między sobą, pozostawiając to Frankowi z Falkenau i dwóm biednym jak myszy kościelne uczniakom.

Gdy Winnetou płacił za mnie, nie mogło być mowy o pożyczce, gdyż nuggety nic go nie kosztowały; ale nawet słowo „płacić” brzmi inaczej, jeżeli to uczyni ktoś inny, choćby był najserdeczniejszym przyjacielem. Gdyby mnie zabrał do kryjówki i pozwolił wpakować do kieszeni pełne garście nuggetów, nie byłoby żadnej kwestii! Ale pieniądze w jego kieszeni przestały już być bezpańskimi nuggetami, a stawały się jego złotem, jego własnością. Gdy je na mnie wydawał, jakiś głos wewnętrzny szeptał mi, że nie powinienem na to patrzeć. Ten głos właśnie skłaniał mnie do możliwie największego uniezależnienia się od nuggetów przyjaciela.

Gdy przybywaliśmy do miejscowości, w których mieściła się poczta, zrzucąłem powłokę westmana i zamieniałem się w pisarza. Gazety przyjmowały chętnie moje utwory i płaciły za nie niezłe honoraria, które umożliwiały mi zachowywanie zupełnej niezależności. Dzięki nim mogłem napisać szereg opowiadań podróżniczych, którymi zadebiutowałem przed swymi czytelnikami. Winnetou odczuwał to samo co ja. Nigdy nie wpadło mu na myśl choćby słowo uronić na temat zbędności moich honorariów. Przeciwnie, gdy honorarium się spóźniało, czekał cierpliwie nadejścia pieniędzy i cieszył się z nich później tak, jak gdyby sam był ubogim literatem. Z prawdziwą przyjemnością wspominał nauczkę, którą dał raz bogatemu plantatorowi, którego chłopca wyratował z nurtów Missisipi. Człowiek ten chciał mnie wynagrodzić pewną kwotą pieniężną, przypuszczając po znoszonym ubraniu, że ma przed sobą wielkiego biedaka. Gdy Winnetou to zobaczył, podszedł doń, błysnął gniewnie oczami i rzekł:

– Czy można życie ludzkie okupić złotem? – Jestem Winnetou, wódz Apaczów, ten dzentelmen natomiast to Old Shatterhand, i jest mym przyjacielem. Gdyby chciał brać ode mnie pieniądze, byłby milionerem. I ty chcesz mu ofiarować tych kijka nędznych dolarów? Schowaj je, przydadzą ci się!...

A więc przybyłem z Winnetou nad Missouri do miasteczka St. Joseph. Wychodziło w nim pięć dzienników, w tym jeden niemiecki. Nie potrzebowałem więc czekać długo na

zaspokojenie moich autorskich ambicji. Jak już mówiłem, Winnetou wyruszył po nuggety, mieliśmy bowiem zamiar udać się przez Missisipi na Wschód, co wymagało pewnej ilości pieniędzy. Nie wiedziałem, dokąd wódz się udaje; oświadczył tylko, że wróci w ciągu dwóch tygodni.

St. Joseph było w tym czasie ostatnią zachodnią stacją kolei Hannibal – St. Joseph; na siedem tysięcy mieszkańców liczyło dwa tysiące emigrantów z Europy. Na wieść, że przybył Old Shatterhand, zjawiało się kilku dziennikarzy po wywiady. Zaspokoilem ich ciekawość. Po trzech dniach mogłem za otrzymane honoraria kupić piękne ubranie i bieliznę, potrzebną do wyprawy na Wschód. Ubranie włożyłem od razu, gdyż pisanie w skórzanym habicie było trudne i niewygodne. Napisałem jeszcze kilka artykułów dla dziennika w St. Louis, prosząc o wysłanie honorarium do Weston, dokąd miałem się zamiar udać, aby zarobić coś do czasu powrotu Winnetou.

Miasto, wówczas zamieszkałe w jednej trzeciej przez przybyszów ze Starego Świata, leży wśród dobrze zagospodarowanych osad; rozwinęło się pod wpływem znacznej imigracji. O ile się nie mylę, było tu pięć kościołów, w tym dwa protestanckie. Emigranci nasi żyli w najlepszych warunkach, utworzyli cały szereg związków, ufundowali nawet kompanię strzelców.

Nie miałem tu ani chwili spokoju, a to z powodu ustawicznych zaprosin. Chciałem pracować, odmawiałem, lecz to nic nie pomagało, gdyż mieszkańcy zjawiali się u mnie prosząc, bym im opowiedział o stosunkach panujących na Dzikim Zachodzie. To mi oczywiście nie odpowiadało. Nie chcąc, by w Weston powtórzyło się to samo, postanowiłem przemilczeć swoje nazwisko. W obawie, by incognito mojego nie zdradził wierzchowiec, znany wszędzie równie dobrze jak ja, zostawiłem konia u farmera, i odpłynąłem z St. Joseph niewielkim czółnem, wtajemniczywszy jedynie gospodarza, gdzie mnie ewentualnie można znaleźć.

Od dawna nie wyglądałem tak przyzwoicie, jak teraz w swym nowym ubraniu. Zostawiłem konia, spakowałem broń, pas z nabojami i inny sprzęt myśliwski. Dzięki temu nie mogłem robić na nikim wrażenia westmana, który z narażeniem życia przekradł się niedawno przez wrocie szeregi Komanczów.

Przybywszy do Weston, zapytałem o dobry hotel. Wskazano mi budynek, który tylko mizantrop z Dzikiego Zachodu nazwałby hotelem; mimo to, jako człowiek skromny, postanowiłem tu zamieszkać. Chodziło mi głównie o czystość, a pod tym względem nie było powodu do narzekania. Okazało się, że gospodarz jest moim rodakiem; po chwili zjawiała się miła, lśniąca czystością gospodyni; kelner przywitał mnie również w mowie ojczystej. Był to człowiek młody, najwyżej trzydziestoletni, szczupły i bardzo niski, sięgał mi bowiem zaledwie do ramienia. Za to miał potężne wąsy; fakt, że nie wypuszczał ich prawie z rąk, zdawał się wskazywać, że jest z nich niezwykle dumny. Obsłużony wziął do ręki gazetę, którą czytał w chwili, gdy się zjawiłem na sali i zagłębił się w niej, gładząc bez przerwy potężnego wąsa. Nagle wydał okrzyk zdumienia, skoczył na równe nogi i rzekł do gospodarza, który palił i obserwował mnie w milczeniu.

– Milordzie, musi mi pan dać w tej chwili urlop na dziś i jutro!

Nie słyszałem jeszcze by kelner tytułował swego pryncypała w ten sposób. Czy to zwyczaj w tym domu; czy też przesadna grzeczność kelnera-karzelka – oto pytanie, które mnie zajęło.

– Urlop? Dziś? – rzekł gospodarz. – Zwariował pan! Urlop? Przecież strzelcy obchodzą dziś swe święto i urządzają wieczerzę z tańcami.

– Przykro mi bardzo, milordzie – rzekł mały z głębokim, pełnym ubolewania ukłonem, ale gotów jestem ponieść dla pana każdą ofiarę z wyjątkiem tej właśnie, Muszę z nim pomówić.

– Z kim?

– Z Old Shatterhandem.

– Co? Jak? – zawołał gospodarz. – Old Shatterhand jest w Weston?

– Nie, w St. Joseph.

– Skądże pan to wie?  
– Niech pan przeczyta gazetę! Przybył przed kilkoma dniami, jutro ukaze się w dodatku jego artykuł.

Sprytny wydawca pisma reklamuje już mój artykuł, by sprzedać jak najwięcej egzemplarzy! Jak wiadomo, pisma amerykańskie liczą przeważnie na kolportaż uliczny, a nie na abonentów.

– I dlatego chce pan jechać do St. Joseph?

– Tak.

– Wiadomo panu, gdzie mieszka?

– Nie, ale się dowiem.

– Nie dowie się pan.

– Dlaczego?

– Nie będzie się pan wcale dowiadywał; nie mogę panu dziś pozwolić na wyjazd do St. Joseph.

Kelner znowu się skłonił nisko i rzekł:

– Znam swoje obowiązki, milordzie i mam dla pana najgłębszy, płynący z serca szacunek. Mimo to muszę ku swemu ubolewaniu oświadczyć, że postanowienie moje jest niezłomne.

– Dlaczegoż ma pan wykonać właśnie dziś?

– Old Shatterhand gotów jutro wyjechać.

– Ależ pan sprawi mi dziś tą wyprawą ogromny kłopot!

– Wiem o tym, jednak nie jestem w stanie nic poradzić. Mówiłem panu, że się wybieram na Zachód i że wszystko, co z tym wyjazdem pozostaje w jakimkolwiek związku, stawiam ponad wszystko, nawet ponad przyjęte u pana obowiązki.

– Cóż to ma wspólnego z Old Shatterhandem?

– Proszę nie pytać, gdyż odpowiedź jest zbyt prosta. Poproszę Old Shatterhanda, aby mnie zabrał ze sobą na Zachód.

– Czy to pewne, że się tam wybiera?

– Oczywiście! A dokąd miałby jechać? Westman tego typu co on, musi jechać na Zachód.

– Równie dobrze może stamtąd wracać.

– Nie. Jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że Old Shatterhand ma właśnie zamiar ruszyć na Zachód. Lepszej sposobności do wykorzystania mego planu nie znajdę nigdy.

– Ale lepszej sposobności do przydania mi się tu na coś i do zarobienia pieniędzy nie miał pan również.

– Pieniądze są dla mnie w tej chwili rzeczą mniejszej wagi.

– Przypuszcza pan więc, że Old Shatterhand pana zabierze?

– Jestem tego pewien.

– Człowieku, co też pan wygaduje!

– No?

– Old Shatterhand nie zechce z panem jechać. Wiadomo przecież, że przebywa najchętniej sam na sam z Winnetou i unika towarzystwa innych ludzi. Wyjątki robi jedynie dla ludzi z przydomkiem.

– Więc zrobi i w tym wypadku wyjątek.

– Dla pana, który nie jesteś wcale westmanem?

– Tak.

– Wątpię.

– Mój głos wewnętrzny znowu się odzywa i szepce mi do ucha, że Old Shatterhand odstąpi w tym wypadku od zasady.

– Nie wierzę. Przepowiadam, że podróż pańska do St. Joseph będzie daremna. Nie rozumiem jak można się tak upierać przy tym szaleńczym zamiśle. Przecież u mnie ma pan dobre życie i zarobki. Jeżeli wszystko pójdzie normalną koleją, będzie pan mógł wkrótce pomyśleć o

usamodzielnieniu się.

Kelner uklonił się dwa razy i odparł:

– Mam zaszczyt oświadczyć, że uważam swą posadę za świetną, i że nie zrezygnowałbym z niej, gdyby odwołanie nie zmuszało mnie do wędrówki na Zachód.

– E, co tam powołanie! – rzekł gospodarz niechętnie.

– Milordzie, proszę bardzo, niech pan nie lekceważy tej rzeczy! Gdy człowiek czuje w sobie jakieś powołanie, tak jak ja je czuję, wypełnia go ono całego i zmusza do działania. Nieraz miałem zaszczyt mówienia z panem o tym, niestety, bez rezultatu.

– O tym rezultacie niech pan nawet nie marzy! Powtarzam panu po raz setny, że w Weston czeka pana wspaniała przyszłość. Jest pan młodzieńcem czytany, sprytnym, oszczędnym – miasto nasze rozwija się wspaniale. W niedługim czasie będzie pan mógł zacząć pracować na własną rękę.

– Na to potrzeba więcej pieniędzy aniżeli posiadam.

– Bzdury! Ma pan kredyt, sam chętnie pomogę panu otworzyć hotel lub salon, gdyż wolę mieć jako konkurenta pana niż kogoś obcego, kto wcale nie będzie się ze mną liczył.

Powtarzam to od dawna, niestety, bez rezultatu.

– Milordzie, rezultat jest niemożliwy, gdyż nie czuję w sobie powołania na oberżystę.

– Niech pan nie mówi o powołaniu i zawodzie; to, co przyniesie pieniądze, staje się jednym i drugim.

– Wyprawa na Zachód przyniesie mi znacznie więcej pieniędzy niż stanowisko hotelarza na miejscu. Człowiek, który się zna na anatomii jak ja, ma inne cele przed oczyma aniżeli wzbogacenie się szynkwasem.

– Nie znam się na anatomii, ale wiem, że dziś jest mi pan koniecznie potrzebny. Niech pan jedzie jutro, po balu.

– To jest niemożliwe, milordzie! Old Shatterhand gotów do jutra opuścić St. Joseph.

– Niech pan zatelefonuje.

– Nie wiem, gdzie mieszka.

– Na poczcie go znajdą.

– Przypuszczam, ale powinno się osobiście załatwiać sprawy tego rodzaju. Może przekonam go w obszerniejszej dyskusji.

Gospodyni zaczęła również prosić, by się zatrzymał do jutra. Wysiłki jej były jednak daremne. Odpowiadał niezwykle uprzejmie, tytułował ją „milady”, kłaniał się w pas, ale od zamiaru wyjazdu nie odstępował.

Energia tego nieco groteskowego młodego człowieka przypadła mi do gustu. Nie orientowałem się, co to za typ i czego szuka na Zachodzie. Uwaga o anatomii dawała pewne podstawy do przypuszczenia, że jest biegły w sztuce lekarskiej. Fakt, że medyk zostaje kelnerem, nie należy w Ameryce do rzadkości. Chcąc gospodarza wyciągnąć z kłopotliwego położenia, rzekłem:

– Pozwolą panowie na jedną uwagę? Podróż do St. Joseph byłaby bezcelowa, gdyż Old Shatterhanda już tam nie ma.

– Nie ma? Na pewno? Kto panu to powiedział? – zapytali obydwaj równocześnie.

– On sam – odparłem.

Usiedli obok mnie, po chwili gospodarz zapytał:

– A więc pan z nim mówił?

– Tak. Przybyłem z St. Joseph.

– To ciekawe, bardzo ciekawe! Powiadają, że jest moim rodakiem. Czy to prawda?

– Prawda.

– To mnie bardzo cieszy! Jesteśmy wobec tego ziomkami. Skądże on pochodzi.

– Nie pytałem go.

– To jasne! Takiego człowieka nie można wypytywać jak pierwszego lepszego. A więc nie

ma go w St. Joseph? Dokąd się udał?

– Przypuszczam, że to tylko jemu jest wiadome.

– Niemiła sprawa! – zawołał kelner. – Dałbym wiele, gdybym mógł z nim pomówić.

– Może pan być zupełnie spokojny, udał się tylko na wycieczkę i powróci,

– Naprawdę? Kiedyż to nastąpi, kiedy?

– Trudno to określić. Zdaje mi się, że będzie w St. Joseph czekać na Winnetou.

– Winnetou? A więc i on przybędzie? Ależ w ten sposób spełnią się moje najśmielsze marzenia! Zobaczę jednego i drugiego – Old Shatterhanda i Winnetou. Może pan będzie łaskaw opisać nam Old Shatterhanda. Czy to człowiek wysoki, barczysty? A jakie ma oczy, brodę? Jak się ubiera, jaki ma głos, chód?...

– Dosyć, dosyć! – rzekłem z uśmiechem. – Któż potrafi spamiętać te pytania.

– Racja! Jestem zbyt niecierpliwy.

Po tych słowach wstał, ukłonił się nisko i rzekł:

– Pozwoli pan, milordzie, że będę pytać po kolei. A więc czy jest wysoki?

– Mniej więcej mego wzrostu.

– Barczysty?

– Mniej więcej jak ja.

– Hm! Muszę zauważyć, że mój głos wewnętrzny mówi mi, iż jest znacznie wyższy i szerszy w plecach aniżeli pan. Jak się trzyma?

– Prosto – jak sosna.

– Jaki ma chód?

– Biega na dwóch nogach, jeździ konno – na sześciu.

– Błagam, niech pan nie żartuje! Uwielbiam tego człowieka i nie mogę go tak lekceważyć.

Jaki ma zarost?

– Wąsy i małe faworyty.

– Więc również taki sam jak pan. A ubranie?

– Skórzane, traperskie.

– Przybrane włosami ludzkimi?

– Nie, czerwonymi frędzlami ze skóry.

– No tak. Wiadomo, że nie uznaje zwyczajów indiańskich w dziedzinie barbarzyńskich oznak zwycięstwa. Rozmawiał pan z nim?

– Tak.

– O czym?

– O różnych sprawach.

– Opowiadał panu swoje przeżycia?

– Nie, ale jadłem z nim razem i piłem, golilem się w jego towarzystwie, pisałem przy tym samym stole co on, wychodziłem z nim, nawet używałem tej samej miski, mydła i ręcznika co i on.

– Co słyszę, milordzie! Ależ to serdeczne, beztroskie stosunki! Zazdroszczę ich panu.

Wstał, znowu złożył Ukłon i ciągnął dalej:

– Mam nadzieję, że pan będzie łaskaw opowiedzieć mi o nim coś więcej. Cieszę się bardzo, że pan tu zamierza zamieszkać; będę dumny z obsługiwania człowieka, który jest tak bliskim znajomym Old Shatterhanda. Ma się pan z nim może znowu spotkać.

– Tak.

– A kiedy to nastąpi?

– Pierwszy będę miał wiadomość o jego powrocie do St. Joseph.

– Do tego czasu zostaje pan tutaj?

– Tak.

– W takim razie musi pan obiecać, że mnie pan do niego zaprowadzi. Dobrze, milordzie?

– Hm. Old Shatterhand nie lubi nowych znajomości. Słyszałem, że postanowił odbyć podróż

tylko w towarzystwie Winnetou.

– Musi zmienić decyzję po rozmowie ze mną. A więc przedstawi mnie pan?

– Nie wiem, czy będzie z tego zadowolony. Słyszałem, że pan chciałby mu towarzyszyć; otóż zwracam pańską uwagę, że Old Shatterhand nie lubi roli przewodnika.

– Cóż też pan sobie wyobraża, milordzie! Wiem doskonale, co mam o nim myśleć. Jako westman wiem, że setki zasłużonych westmanów uważałoby za największy zaszczyt samą możliwość przyłączenia się do niego i Winnetou choćby na krótki czas. Przypuszczam jednak, że – po rozmowie ze mną – nie odtrąci mnie od siebie.

– Czego pan chce od niego? Nie powoduje mną ciekawość, jeżeli jednak mam pana przedstawić, chciałbym wiedzieć, jakie są pańskie zamiary wobec niego.

Wstał znowu, złożył ukłon i rzekł:

– Milordzie, proszę mi pozwolić powiedzieć coś niecoś o sobie. Nazywam się Sterman Rost, jestem Europejczykiem, z zawodu fryzjerem. Marzyłem o tym, by studiować medycynę, ale rodzice byli na to za biedni, wybrałem więc zawód golibrody, który nazwać można stopniem do celu, który mi przyświecał przez cały czas pracy zawodowej. Dwaj uczniowie, mieszkający u mego pryncypała, zainteresowali się mną i nauczyli mnie nieco łaciny, tak, że umiem jej tyle, ile wymaga zawód lekarski. Wszystko, co zarobiłem, wydawałem na książki, z których się w wolnych chwilach pilnie uczyłem. Ze względu na złe warunki materialne nie mogłem, oczywiście, nawet śnić o zapisaniu się na uniwersytet. Jedynym moim marzeniem była amerykańska szkoła wyższa. Udałem się więc do Hamburga i przyjąłem pracę na jednym ze statków płynących do Ameryki. Przyjechałem więc bezpłatnie do Nowego Jorku i pracowałem tam jako fryzjer, co mi nie przeszkadzało uczęszczać do Kolegium Columbia. Nie chcę pana męczyć szczegółami, milordzie, niech panu to wystarczy, że pół roku temu skończyłem uniwersytet w St. Louis z dobrym wynikiem.

Podał mu rękę i rzekł:

– Proszę przyjąć wyrazy szacunku, doktorze. Skądże przyszło panu do głowy zostać kelnerem?

– Czy to coś dziwnego przy stosunkach panujących w Ameryce? Jestem medykiem, ale nie chcę nic wiedzieć o tej medycynie, którą stosują nasi lekarze. Uważam, że chore ciało, o ile w ogóle ma żyć dalej, nie potrzebuje dla wyzdrowienia obcych, a nawet trujących substancji. Natura musi sama leczyć rany i zaburzenia wywołane przez choroby; nie znaczy to, oczywiście, że przy wszystkich chorobach lekarstwa są zbędne. Postanowiłem iść dalej w tym kierunku i jestem przekonany, że dzikie plemiona, zbliżone do natury, zrozumieją mnie i przyznają mi rację. Na tej drodze powziąłem myśl udania się na Zachód i przeprowadzenia studiów w jakimś indiańskim plemieniu. Nie miałem wprawdzie środków do wykonania tego planu, ale mimo to ruszyłem w drogę i dotarłem aż tutaj. Przyjąłem miejsce kelnera, by zarobić nieco pieniędzy i doczekać się okazji wyjazdu na Zachód. Dziś przeczytałem w gazecie, że Old Shatterhand przebywa w St. Joseph, natychmiast więc postanowiłem zwrócić się do niego. Może zabierze mnie ze sobą, a jeżeli nie, to w każdym razie albo on, albo Winnetou polecą mnie jakiemuś plemieniu, które na tej podstawie nie odmówi mi dostępu. Cóż pan na to, milordzie?

– Patrzę na pana innymi oczyma niż przed chwilą, gdy miałem wrażenie, że jakiś kelner chce prosić Old Shatterhanda o zabranie go ze sobą. Byłem ponadto przekonany, że życzenie to nie spełni się, ponieważ wiem, że obydwoj nie wybierają się na Zachód, ale na Wschód.

– Na Wschód? Jaka szkoda!

– Niech go pan mimo to odszuka. W każdym razie użyczy panu swej rady i mam wrażenie, że, o ile Winnetou się zgodzi, nie odmówi panu polecenia w postaci totemu do któregoś z wodzów, z którym łączą go stosunki przyjaźni. Najlepiej byłoby, gdyby się panu udało uzyskać totem do jednego z plemion Apaczów, podległych Winnetou. Takie jest moje zdanie. Zobaczmy, co na to powie Old Shatterhand.



– Pan go przecież zna! Pozwolił panu nawet myć się w swej miednicy, nie przypuszczam więc, by nie uwzględnił pańskiej prośby. Czy nie byłby pan łaskaw, milordzie, dać mi do niego kilka słów na piśmie?

– Dlaczego nie. Spełnię chętnie pańskie życzenie, nie mogę jednak przyrzec, że słowa moje przyniosą pożądaną skutec.

Wstał znowu, uklonił się trzykrotnie jeszcze głębiej niż przedtem i rzekł:

– Serdecznie dziękuję, milordzie! Jestem przekonany, że będę się mógł poszczycić sukcesem. Proszę pozwolić, by mi mój głos wewnętrzny mógł oświadczyć, że w każdym razie otrzymam jakiś totem. Uważa pan więc, że totem skierowany do plemienia Apaczów będzie najodpowiedniejszy?

– Tak. Jeżeli się pan przyłączy do Indian mieszkających nieco na północ, będzie pan miał mniej uciążliwą i niebezpieczną drogę. Pozwoli pan, że przy tej okazji zapytam, jak wygląda sprawa pańskiej wytrzymałości w takiej podróży, i jak sobie pan wyobraża swój pobyt w dzikim pustkowiu?

– Ach, jestem zdrow, wytrzymały, jeżdżę dobrze konno. Pamiętając ciągle o swych zamiarach, ćwiczyłem się podczas pobytu w St. Louis we władaniu bronią. Nie jestem wprawdzie człowiekiem prerii, tym niemniej jednak na dziesięć strzałów trafiam do celu sześć, siedem razy.

– Bardzo to pięknie, ale prawdziwy westman odpowie panu, że najprzedniejsze nawet strzały, o ile są skierowane do celu, nie potrafią zaimponować ludziom sawanny.

Przerwaliśmy rozmowę, bowiem do pokoju wszedł jakiś gość i kelner musiał się nim zająć. Był to człowiek przypominający z powierzchowności eklezyjastę\*, czarno ubrany, gładko ogolony. W ręku trzymał małą walizkę. Wyglądał skromnie i dostojnie, po jakimś czasie dopiero stwierdziłem, że wygląd ten dziwnie kontrastuje z niespokojnym, badawczym wzrokiem.

– Ach pan prayerman\* – rzekł gospodarz podając gościowi rękę.

– Tak, prayerman – rzekł gość nosowym głosem. – W naszych grzesznych czasach kaznodzieja powinien być najbardziej pożądaną osobą. Ludzie nie boją się kary Bożej, wędrują po ścieżkach zniszczenia i zepsucia. Aby uniknąć drugiego potopu, który zmiecie wszystko co żyje, cnotliwi muszą starać się sprowadzić z błędnej drogi swych bliźnich. Tu właśnie, na granicy cywilizacji i zdziczenia, spotykają się wyrzutki tego świata i przez przykład swój psują słabe, chwiejne dusze, dla których może znalazłby się jeszcze ratunek.

– Tak, tak, niestety – potwierdził gospodarz. – Pamięta pan, jak to ostatnio mówiliśmy o tym, że mieszkający naprzeciwko kupiec ma zamiar sprzedać dom, zwinąć sklep i wyjechać do Memphis?

– Nie mogę sobie tej rozmowy przypomnieć.

– Otóż sprzedał wszystko za gotówkę. I proszę sobie wyobrazić, w przeddzień odjazdu złoczyńcy włamali się do mieszkania i zabrali wszystkie pieniądze!

Kaznodzieja załamał ręce, podniósł skromnie oczy ku górze i zawołał:

– Grzesznicy! Nie kradnij! Kto nie czci tego przykazania, ten nie jest godny wejść do królestwa niebieskiego.

– W Plattsburgu zdarzył się na parę dni przedtem taki sam wypadek u adwokata Preltera. Pewien kupiec miał wypłacić jakiemuś klientowi 2000 dolarów. Ponieważ klient wyjechał, pieniądze leżały u adwokata. I do niego włamali się złoczyńcy. Zrabowali całą gotówkę. Pan zna adwokata Preltera?

– Nie. Sługi Boże unikają wszelkiej kłótni i nie prowadzą procesów, nie potrzebują adwokatów.

– Miałem wrażenie, że pan właśnie tego dnia przybył z Plattsburga do Weston.

– Krążę po ścieżkach mego niebiańskiego zawodu i nie widzę wcale ziemskich ścieżek. Teraz pozostanę w Weston przez kilka dni. Czy może mi pan dać ten mały, skromny pokój, w

którym kiedyś mieszkałem?

– Pokój jest wolny.

– A więc zobaczę, czy Bóg pobłogosławi moje dzisiejsze wejście w ten dom.

Otworzył walizkę, wyciągnął z niej plik papierów, podszedł do mnie i podając mi je, zapytał:

– Szanowny panie, rozumie pan po niemiecku? – Skinąłem głową.

– Przypuszczam, że witam w panu rodaka, który zna słowa Biblii: szatan chodzi po świecie w postaci ryczącego lwa i szuka, kogo by pochłonać. Ale nie wszystko jeszcze stracone! Niech pan korzysta ze sposobności i chwytą okazję w postaci tych skromnych utworów, których cena jest uwidoczniła na okładce obok tytułu.

Uczyniwszy nade mną gest błogosławiący, odwrócił się i podszedł z powrotem do stołu; zasiadł przy nim i czekał, czy książkę przeczytam lub kupię. A więc tak rozumiał kwestię, czy Bóg pobłogosławi jego stawienie się w tym domu!...

Nie miałem najmniejszej ochoty na przejrzenie wręczonych mi papierów. Jednakże prócz spojrzenia prayermana poczułem na sobie również wzrok gospodarza i kelnera. Nie chcąc narazić się na podejrzenia, że jestem bezbożnikiem, zacząłem przerzucać kartki. Były to kazania i nabożne przemówienia w języku angielskim i niemieckim. Oprócz tego zobaczyłem małe książeczki do nabożeństwa i zbiorki pieśni, których tytuły zrobiły na mnie odpychające wrażenie. Brzmiały one: „Pohańbienie parszywej owcy”, „Psałterz pięciu strun duszy”, „Pioruny z ambony przeciw przekłętym zmiom ludzkim”, „Religijna luneta dla odkrycia drogi do wieczności”. Może to dziwaczne, ale tego rodzaju tytuły oburzają mnie zawsze. Tylko jeden tytuł małego zeszycika nie budził we mnie wstrętu i brzmiał jak następuje: „Sześć wzruszających utworów wierszem na Boże Narodzenie, Wielkanoc i Zielone Świątki”.

Zeszycik kosztował sporo, pełne dwadzieścia pięć centów! Zaznajamiając się z treścią, postanowiłem go zatrzymać. Odsunąłem resztę utworów na bok i położyłem pieniądze na stół. Po chwili prayerman podszedł, zgarnął pieniądze i resztę utworów i rzekł:

– Przyjacielu, zrobiłeś niezwykle skromny wybór. A przecież obowiązkiem każdego dobrego chrześcijanina jest wspieranie świętej wiary. Mam wrażenie, że dobra doczesne interesują pana więcej od niebiańskich. Niech pan pomyśli o tym, że każdy mierzony będzie kiedyś tą samą miarą, którą sam przykłada. Niebo nie wynagrodzi panu tego zmysłu oszczędności.

Choć nie miałem wcale zamiaru rozmawiać z tym człowiekiem, nie byłem w stanie powstrzymać się od następujących słów:

– Niech się pan o to nie kłopotuje! Przecież nie pytałem wcale o radę i nauki; niech je więc pan zatrzyma przy sobie.

Otworzył usta, aby coś odpowiedzieć, ale zmiana, którą zauważył w mej twarzy, wskazała mu widocznie od razu, że milczenie będzie w tym wypadku znacznie lepsze od słów.

Uczyniwszy dostojny ruch ręką odwrócił się; włożył papiery i książki do walizy, wyciągnął jeszcze jeden egzemplarz książeczki z wierszami, którą nabyłem i rzekł, wręczając ją gospodarzowi:

– Jako gość tego domu nie mogę od panią żądać zapłaty, ofiarowuję więc panu te sześć wierszy dla zbawienia pańskiej duszy. Czynię to również dlatego, ponieważ jeden z utworów zawartych w książeczce, otrzymałem tu, w Weston.

– Tu? Od kogo? – zapytał gospodarz, otwierając otrzymaną książeczkę.

– Od pewnej bardzo pobożnej niewiasty, u której już nieraz kupowałem książki. Jest to żona strzelca i dostawcy futer; wyruszył przed kilkoma miesiącami na wyprawę i nie powrócił dotychczas. Mieszka z synem, który jest adwokatem.

– Ach, mówi pan o pani Stiller?

– Tak, przypomniałem sobie, że się nazywa Stiller. Podczas ostatniej wizyty, którą jej złożyłem, przeczytała mi wiersz napisany ku uczczeniu Bożego Narodzenia, który tak mi się spodobał, że poprosiłem o zezwolenie na odpis. Pani Stiller zgodziła się, dałem wiersz do

druku i sprzedają go teraz.

– Który to wiersz?

– Pierwszy z kolei.

– Zatytułowany „Radość nad betlejemskim żłobkiem”?

– Tak. Musi go pan przeczytać. Może ja go panu przeczytam! Nie każdy przecież potrafi ująć sens utworu i przez odpowiednią intonację głosu trafić do serc słuchaczy. Pozwoli pan?

– Wziął książeczkę z rąk gospodarza, otworzył i stanął w pozycji deklamatorskiej. „Radość nad betlejemskim żłobkiem”! Znowu niemiły tytuł, schlebający ulicy. Byłem pewien, że treść wiersza będzie stała na poziomie tytułu. Nie chcąc jej wcale słyszeć wstałem, kierując się ku drzwiom. Przy samych drzwiach doszły mnie pierwsze słowa prayermana. Czytelnik chyba domyśla się, jak wielkie ogarnęło mnie zdumienie. Czyż to możliwe, bym usłyszał swój własny wiersz? A może inny utwór o takim samym początku? Słucham dalej – nie, to mój wiersz, każde słowo moje! Gdy kaznodzieja nosowym głosem wyrecytował całość, podszedłem do stołu, na którym zostawiłem kupioną niedawno książeczkę, otworzyłem ją i wyczytałem co następuje: „Radość na betlejemskim żłobkiem, psalm pokutny zbłąkanego grzesznika, nawróconego przez nasze pisma i książki”.

Miałem wrażenie, że mnie ktoś walnął obuchem w głowę. Nie wiedziałem, czy potraktować całą sprawę humorystycznie, czy też puścić w ruch pięści. Zanim zdążyłem się zdecydować, prayerman rzekł:

– Jeżeli chcecie się przekonać o działaniu tego wiersza, popatrzcie na tego nieznajomego!

Wskazał na mnie ręką i ciągnął dalej:

– Był zbyt oszczędny, aby kupić całe źródło łaski, wziął tylko kropelkę, lecz podziałała tak potężnie, że oto chwyta się za piersi, by wyciągnąć z portfela pieniądze, potrzebne na zapłacenie reszty utworów. Śpieszę, by duszę jego wyratować od niecnej śmierci!

Po tych słowach wyjął z walizki książki i zeszyty, których nabycia przed chwilą odmówiłem, rozłożył je znowu przede mną i wyciągnął rękę po pieniądze. Bezcelność ta poruszyła mnie do głębi. Winnetou określiłby mój stan tymi słowy: „Brat mój wystrzelił za chwilę, już ma pełno naboju w ustach i w dłoniach”.

W podobnych wypadkach zaczynałem zwykle od tonu przyjaznego i uprzejmego, który stopniowo przechodził w zgoła przeciwne brzmienie i znaczenie. Zapytałem więc prayermana z dobrotliwym uśmiechem:

– Muszę przyznać, że wiersz wywarł na mnie głębokie wrażenie. Zna pan autora?

– Znam.

– Któż to taki, czym się trudni?

– Był słynnym koniokradaem.

– Ach tak! Był, a więc już nim nie jest?

– Nie. Rozczytywanie się w naszych pismach naprowadziło go na drogę skruchy. Napisał ten wiersz w godzinie konania.

– W godzinie konania? A więc nie żyje?

– Nie. Czy nie wiadomo panu, że w tym stanie karze się koniokrada stryczkiem?

– Ach tak, więc go powieszono! Jest pan tego pewien?

– Najzupełniej, przecież to ode mnie otrzymał utwory, które wywołały taką skruchę. Byłem świadkiem jego zgonu.

– Czy to był Niemiec?

– Nie, był Irlandczykiem.

– Mówił pan przecież, że wiersz został przepisany u pani Stiller i oddał go pan później do druku?

– Racja! – rzekł po chwili zakłopotania. – Ta kobieta otrzymała odpis wiersza od urzędnika więzienia.

– Na oryginale widniał podpis autora?

– Tak, lecz nie zanotowałem go, nie chcąc na tym padole płaczu kompromitować człowieka, który szczęśliwie odszedł w zaświaty.

Tempo moich pytań było coraz szybsze. Wypowiadałem je coraz głośniejsze. Prayerman nie zauważył tego wcale i z całą bezczelnością mówił dalej:

– Kochany panie! Jestem przekonany, że wyciągnie pan konsekwencje z poznania prawdziwej potęgi skruchy. Może pan kupi resztę utworów? Oddam je za dwa i pół dolara.

Cierpliwość moja wyczerpała się w tym miejscu. Ryknąłem jak lew:

– Oszuście, kłamco! Powiedział pan przed chwilą, że się uderzyłem w piersi: oświadczam, że dla pańskiej osoby nie tknę ani swej piersi, ani portfela. Pan ma ratować od zagłady moją duszę? Niech pan lepiej dba o swoją własną, bezczelny kłamco! Pan twierdzi, że autor tego wiersza był koniokrada, który pod stryczkiem osiągnął zbawienie wieczne dzięki pańskim książkom? Pan ma odwagę twierdzić, że Irlandczyk w Ameryce napisał ten wiersz po niemiecku?! I ma pan odwagę proponować mi swoje druki, mające rzekomo zbawić mą duszę za dwa i pół dolara? Niech pan to sam czyta, bo potrzeba panu większej skruchy i pokuty niż najgorszemu koniokradowi!

Po tych słowach rzuciłem mu w twarz zeszyty i książki. Oniemiał na chwilę ze złości i zdziwienia, potem podszedł do mnie ostrym krokiem i wymachując pięścią przed moimi oczyma, zawołał:

– To niesłychane! Pan odważył się nazwać mnie oszustem i bezwstydnym kłamcą? I to gorszym od koniokrada! Niech pan to jeszcze raz powtórzy, a zetnę pana na miazgę!

Przybrał wojowniczą pozę.

– Ręce w dół! – krzyknąłem. – Właśnie dlatego, że pan nim jesteś, wstydzę się po raz pierwszy w życiu, że jestem pana rodakiem. Autor tych wierszy zginął pańskim zdaniem na stryczku? Czy pan wie, kto to taki? Otóż stoi przed panem i żąda, byś mu oddał na spalenie wszystkie pozostałe książeczki!

– Pan, pan ma być autorem wierszą? Wygląda pan na barana...

Nie miał czasu dokończyć, wymierzyłem mu bowiem tak potężny policzek, że runął na podłogę przewracając dwa krzesła. Po chwili zerwał się, wyciągnął z kieszeni długi nóż i rzucił się na mnie jak dzikie zwierzę. Podniosłem ręce do góry i zdzieliłem go w ramię z taką siłą, że znowu runął jak długi. Zanim zdążył się podnieść, doskoczyłem do niego, ująłem lewą ręką za kark i podniosłem w górę, potem wyrwałem mu nóż prawą ręką i wymierzyłem dwa siarczyste policzki, na koniec zawlokłem go do walizki ze słowami:

– Wyciągnąć wiersze, spalę je! Jeżeli nie będziesz posłuszny, pomogę ci!

Świętoszek spokorniał. Udawał wprawdzie, że się broni, ale nieco mocniejsze zaciśnięcie szyi zmusiło go do posłuszeństwa. Wyrzucając z walizki swe broszurki mrucał głośno:

– Będzie pan za to musiał zapłacić, gdyż zabiera pan to gwałtem! Przecież jest sprawiedliwość na świecie, a więc i tu, na Zachodzie!

– Tak, tu na Zachodzie również! Dowiodłem tego, i jestem gotów przedstawić dalsze dowody. I to w dodatku bezsporne. Nie radzę, byśmy się mieli jeszcze spotkać w podobnej sytuacji. Ludzie nie zawsze wychodzą cało z moich objęć, tak jak się to tobie udało, obłudny dewocie!

Puściwszy go wzięłem druki i zaniósłem do kuchni, gdzie sam je spaliłem. Gdy wszedłem do pokoju, prayermana już nie było.

– Poszedł do swego pokoju – rzekł gospodarz z ubolewaniem, obrzucając mnie na pół badawczym, na pół niezadowolonym spojrzeniem. – Mój Boże, tak szybko, tak niespodzianie! Mówił pan zrazu tak uprzejmie i nagle to uderzenie w twarz papierami, te siarczyste policzki, to uderzenie w ramię, chwycenie za kark! Wszystko odbyło się w jakimś zawrotnym tempie. Nie, czegoś podobnego nie widziałem nigdy w życiu! Załatwił pan wszystko w mgnieniu oka!

– Ja również nie widziałem czegoś podobnego! – rzeki kelner. – Cała historia trwała dwie

minuty, jak gdyby wszystko było zaplanowane i wystudiowane. Gdy pan opisywał mi wzrost i postać Old Shatterhanda powiedziałem, że wyobrażałem sobie, iż jest wyższy od pana. Mój głos wewnętrzny teraz mi mówi, milordzie, że tego potężnego chwytu za kark nauczył się pan od niego. Przecież przeciętny zapaśnik traci przy tym chwycie oddech!

– Ma pan rację – odparłem.

– Spalił pan naprawdę wszystkie wiersze? – spytał gospodarz.

– Wszystkie – odpowiedziałem.

– A więc będzie pan musiał zapłacić!

– Pshaw! Tej kanalii nie wpadnie nawet do głowy podobne żądanie.

– A więc pan jest naprawdę autorem tego wiersza?

– Tak.

– Dziwne! Powiedział przecież... hm! To bardzo pobożny i czcigodny człowiek.

Nie ulegało wątpliwości, że gospodarz ma do pobożnego i czcigodnego prayermana więcej zaufania niż do mnie. Nie czułem wcale ochoty do wyprowadzania go z błędu, pomijając milczeniem osobę prayermana, zapytałem:

– Pan zna panią Stiller, o której była mowa?

– Owszem.

– Gzy to Niemka?

– Mam wrażenie, że pochodzi z niemieckiej Austrii. Na ogół nie często spotykani się z tymi ludźmi.

– Żyją samotnie?

– Bardzo! Mąż jest dostawcą futer dla wielkiej firmy w St. Louis i bywa w domu najwyżej dwa; trzy miesiące w ciągu roku. Wtedy wypoczywa, poświęca cały wolny czas żonie i synowi, tak, że mało się go widuje. Przypuszczam, że pan, jako człowiek pracujący w literaturze, nie bardzo orientuje się w dzisiejszych koniunkturach handlu skór i futer, niech to panu w każdym razie wystarczy, że nie jest to dziś ze względu na coraz większy brak zwierzera taki świetny interes jak dawniej. Strzelec, który chce żyć z handlu futrami, musi teraz ryzykować znacznie więcej niż dawniej; musi zapuszczać się w najbardziej niebezpieczne okolice Rocky Mountains\*. Można tam wprowadzić obłowić się porządnie, ale trudno uniknąć niebezpiecznych spotkań z Indianami. Niejeden nie powrócił z tamtych stron, jednak Stiller ma dotychczas szczęście. Nigdy nie idzie w góry sam. Co roku werbuje kompanię strzelców i zastawiający sideł, stając na jej czele jako dowódca. Płaci tym ludziom nie za przepracowany czas, lecz od sztuki; mam wrażenie, że nie robi złych interesów, gdyż stale dostarcza do St. Louis moc futer. Strzelcy starają się dostać do niego, Indianie mają przed nim respekt. Tak przynajmniej przypuszczać należy na podstawie faktu, że nadali mu przydomek „wojenny”, czego nie robią nigdy w stosunku do białych ludzi.

– Zna pan ten przydomek?

– Owszem: Nana-po. Nie wiem jednak co to znaczy i jaki to język.

– Naprawdę? Stiller nie zdradził tego nikomu?

– Nie. Żyje samotnie, jest zresztą z natury milczący; mam przy tym wrażenie, że go o to nikt nie pytał.

– Przydomek ten jest skrótem słowa „nana-po-patnitsch” i należy do dialektu plemion Utahów i Szoszonów, które są ze sobą spokrewnione. Znaczy mniej więcej „mój starszy brat” i jest wśród Indian przydomkiem zaszczytnym. Utahowie zamieszkują okolice niebogate w zwierzęta, których futra mogą przedstawiać wartość kupiecką; przypuszczam więc, że przydomek nadali mu Szoszoni. Zapewne żyje z nimi na przyjacielskiej stopie i zasłużył sobie przez swe czyny na ich szacunek. Gdyby tak nie było, nie nazwaliby go bratem i to w dodatku starszym. Jestem przekonany, że mieszkańcy Weston mogą być dumni ze swego współobywatela.

– Nie mieliśmy o tym pojęcia – rzekł gospodarz, patrząc na mnie ze zdumieniem. – Ale pan

posiada niesłychanie rozległe wiadomości! Nie jest pan westmanem, gdyż westmani nie potrafią poruszać się w ubraniu miejskim tak swobodnie i tak zgrabnie jak pan, a jednak pan zna zwyczaje Indian i pisze pan wiersze. Zapewne należy pan do ludzi nauki?

– Ma pan rację, jestem człowiekiem pióra.

– Niech mi pan wybaczy, że zapytam o nazwisko.

Chcąc zataić kim jestem i widząc, że imię Old Shatterhanda jest tu również znane, wymyśliłem na poczekaniu nazwisko podobne do swego i odparłem:

– Mam dziwne nazwisko, którego pan na pewno nigdy nie słyszał. Nazywam się Mayer.

– Mayer? – zawołał tamten, śmiejąc się na całe gardło. – Rzeczywiście, rzadkość nad rzadkościami! Mimo to znam je, bo się tak samo nazywam. Czy pan dowiadywał się o rodzinę Stillerów w jakimś specjalnym zamiarze?

– Tak. Chodziło mi o wiersz napisany przed laty. Ten, który go tak długo przechowywał, musiał się nim specjalnie interesować; nic więc dziwnego, że mnie zajęła osoba pani Stiller.

– Niechże ją pan odwiedzi. Nie udziela się wprawdzie nikomu, tak samo jak jej mąż, ale jestem przekonany, że nie będzie wobec pana nieuprzejma.

– Słyszałem również o młodym Stillerze.

– Tak. Jak już mówiłem, ma wykształcenie prawnicze, może być adwokatem, ale nie praktykuje. Siedzi całymi dniami wśród stosów książek, jak gdyby się ich chciał nauczyć na pamięć. Bardzo z niego miły młodzieniec.

Zastanawiało mnie, w jaki sposób pani Stiller otrzymała mój wiersz. Była Niemką i mieszkała w północnej Ameryce. Czyżby pochodziła z mej ojczyzny? Przywiozła wiersz ze sobą, czy też ktoś zza oceanu jej go przysłał? Nie przypuszczałem, by przechowywała go ze względu na poetyckie walory; przeciwnie, zdawało mi się, że należało się tu doszukiwać innych przyczyn, które wzbudziły moją ciekawość. Tak czy inaczej udałem się w kierunku mieszkania Stillerów.

Piękny domek otoczony był ogrodem, w którym jakaś kobieta ścinała herbaciane róże. Ze względu na słońce miała na głowie chustkę, tak, że rysy twarzy trudno było rozróżnić. Na zapytanie moje, czy mogę mówić z panią Stiller, odpowiedziała pytaniem, kim jestem i czego chcę. Odpowiedziałem, że nazywam się Mayer, i oświadczyłem, że chciałbym zamienić z nią kilka słów.

– Niech pan wejdzie, zaraz przyjdę – rzekła, wracając do rozpoczętej pracy.

W korytarzu znajdowało się dwoje drzwi; lewe były zamknięte na klucz, więc wszedłem przez prawe i znalazłem się w pokoiku, który mnie bardzo zainteresował, był bowiem cały zawieszony bronią i indiańskimi trofeami. Nie miałem czasu na dokładne przyjrzenie się wszystkiemu, gdyż kobieta, z którą rozmawiałem w ogrodzie, weszła po krótkiej chwili i wskazując mi krzesło, rzekła:

– Jestem Stiller. Czym mogę panu służyć, panie Mayer? Zdjęła z głowy chustę i odłożyła ją na bok. Popatrzyłem na jej twarz i oniemiałem ze zdziwienia.

– Proszę, niech pan mówi! – rzekła.

Czy to możliwe, czy to prawda? A może to złudzenie, może to tylko niesłychane podobieństwo? Teraz rozumiałem, dlaczego ta kobieta przechowywała mój wiersz, przecież był dla niej wspomnieniem najsmutniejszych dni przeszłości!...

– Chciał się pan czegoś dowiedzieć? – zapytała widząc, że milczę.

– Tak – odparłem. – Teraz, oczywiście, gdy panią zobaczyłem będę pytał o coś innego. Proszę bardzo nie brać mi tego za złe.

– Niechże pan mówi! – rzekła patrząc na mnie badawczo. Twarz nabrała przy tym dziwnego wyrazu. Nie mogłem określić, czy był to wyraz troski, czy chęć wywołania z przeszłości jakiegoś zamglonego obrazu.

– Czy nie zdaje się pani, że już kiedyś się widzieliśmy? – zapytałem. Zbladła, po chwili odparła dźwięcznym głosem:

– Przyznaję, że pańska twarz nie jest mi obca. Zapewne spotkaliśmy się przelotnie w Ameryce.

– Nie, nie w Ameryce, daleko, daleko za oceanem. Jeżeli się nie mylę, nie nosiła pani wtedy nazwiska Stiller. Nazywano panią Eliza Wagner.

Twarz pani Stiller zrobiła się kredowo biała. Przestraszona kobieta opadła na krzesło, załamała ręce i patrząc na mnie przerażonym wzrokiem, westchnęła:

– Mój Boże! A więc przeszłość żyje ciągle, nie zginęła, nie została skreślona. Dlaczego okrutny los prześladowuje mnie aż tutaj, na granicy Dalekiego Zachodu? Czyż mało cierpieliśmy? Czy naprawdę zasłużyliśmy na to, by upiór przeszłości wstawał znów z grobu?

Przerwałem jej:

– Błagam panią, niech pani nie rozpacza! Przyszedłem tu w najbardziej przyjaznych zamiarach. Zapewniam, że widziałem panią dwa razy w życiu, że spotkania nasze trwały niesłychanie krótko i nie znam wcale stosunków, wśród których pani żyje.

– Ach! – westchnęła z ulgą. – Więc pan nie ma wobec mnie złych zamiarów? Tak się przestraszyłam! Niech mi pan powie, gdzie mnie pan widział.

– Nic dziwnego, że mnie pani nie poznaje. Od naszego spotkania minęły lata, byłem wtedy młodzieńcem. Właściwie, nie mam powodu niepokoić pani w jej domu, oświadczam jednak, że zawsze z wielką radością i przyjemnością panią wspominam. Gdy dziś była mowa o pani, nie miałem pojęcia, że pani Stiller jest panią Wagner, której życzyłem zawsze i życzę wszystkiego Najlepszego.

Rumieńce wróciły na jej policzki, oczy odzyskały naturalny blask. Wstając z krzesła zapytała:

– Czemu mam przypisać tę wizytę, jeżeli pan nawet nie wiedział kim jestem? Nie wygląda pan na człowieka, który lubi dręczyć innych.

– Sprowadziła mnie do pani sprawa, że się tak wyrażę, literacka. Jestem pisarzem, podróżuję wiele i opisuję swe podróże. Jako uczeń popełniłem mały „poetycki grzech”; podrośszy, przekonany byłem, że grzech ten został mi dawno darowany, aż tu dziś dowiaduję się, że się omyliłem. Los zemścił się na mnie w Weston, gdzie spotkałem pobożnego człowieka, który za dwadzieścia pięć centów wręczył mi mój własny utwór. Na szczęście, tytuł przynajmniej podkreśla, że już nie jestem zgubionym grzesznikiem, lecz nawróconym człowiekiem.

Wyciągnąwszy z kieszeni książeczkę otworzyłem ją na pierwszej stronie i podałem pani Stiller. Rzuciwszy na nią okiem, zawołała zdumiona:

– Mój wiersz?... Chciałam powiedzieć: mój ulubiony wiersz. Któż to przedrukował?

– Pobożny, niesłychanie pobożny prayerman, któremu pani pozwoliła zrobić odpis wiersza.

– Ach tak... przypominam sobie! Kupiłam u niego kilka utworów pisanych stylem tak trywialnym, że zwróciłam mu uwagę na niewłaściwą formę, która samej sprawie przynosi raczej szkodę niż korzyść.

Odpowiedział na to, że tych tematów nie można traktować inaczej. Chciałam mu udowodnić, że nie ma racji i pokazałam mu ten wiersz. Wiersz podobał mu się bardzo, prosił, bym mu pozwoliła zrobić odpis. Zgodziłam się, nie widząc w tym nic złego. Oczywiście, nie przypuszczałam, że zechce go drukować. Z pewnością nie ma nawet prawa?

– Gdyby nawet utwory pisarzy europejskich miały ochronę prawną w Ameryce, nie dziwiłbym się wcale, że ten namaszczony dewot uważa mój wiersz za swą wyłączną własność, tam bowiem, gdzie pobożność jest tylko etykietą przykrywającą chciwość i inne gorsze jeszcze wady, nie może być mowy o uczciwości.

– Szkoda, że mu pozwoliłam zrobić odpis! Jakież to okropny tytuł! Ten człowiek jest chyba niespełna rozumu.

– Opowiadał mi, że autor wiersza był koniokradem, że tuż przed egzekucją napisał ten wiersz pod wpływem skruchy. Ale zostawmy to! W każdym razie wiersz dał powód do mojej wizyty. Zdawało mi się, że wobec kogoś, kto...

– Ach, tak!... – przerwała nagle. – A właściwie... Pan jest autorem wiersza?

– Tak.

Otworzyła szeroko oczy, jak gdyby chciała ogarnąć nimi całą moją postać, podniosła ręce i zapytała:

– A więc pan jest tym młodym uczniem, który?...

– Tak.

– Pan odnalazł nas w starym młynie, w którym umiał mój biedny ojciec?

– Tak jest.

– I pan dał nam, dał nam... Ach, byłam wtedy w takiej rozpacz! Gdyby nie to, gdyby nie to... Niech pan zaczeka. Muszę zawołać syna... to najpiękniejszy dzień w moim życiu. Sprawił nam pan nieopisaną radość; nie może pan sobie nawet wyobrazić, ile myśleliśmy o młodzieńcu, który nam wtedy wyświadczył to niesłychane dobrodziejstwo.

Chciała otworzyć drzwi prowadzące do przyległego pokoju, ale zatrzymałam ją słowami:

– Jeśli pani nie chce abym natychmiast odszedł, proszę nie wspominać i nie powtarzać tego, że współczucie pchnęło mnie wtedy do kroku...

– Do kroku – przerwała – którego pan wołałby nie zrobić? To nieprawda! Jeżeli pan może tak twierdzić, jest to dowód, że pan nie zna samego siebie. Wiem doskonale, że pan sam był biedakiem i że nie miał pan na zapłacenie gospody. Ktoś, kto w tego rodzaju sytuacji oddał wszystko biedniejszym od siebie, nie może żałować swego postępu. Przeciwnie, jestem przekonana, że człowiek taki pozostanie na zawsze czuły na ludzką niedolę, gdyż ma największy skarb na świecie: dobroć serca. Zanim nadejdzie mój syn, powiem panu jeszcze, że mogłabym zwrócić pieniądze, otrzymane wtedy od pana, ale nie uczynię tego, tak ze względu na pańską osobę, jak i na moją własną. Dar ucznia, który potrafił poświęcić cały swój majątek na ołtarzu miłosierdzia, nie może spaść do poziomu zwykłej procentowej pożyczki. Powinien pozostać ofiarą, która zwróci kiedyś życie, najsprawiedliwszy płatnik świata. Może tak się już stało skoro z ucznia, który swego czasu ostatni grosz oddał żonie posłańca, wyrósł szczęśliwy poszukiwacz bogactw, nie tylko w złocie i srebrze. Poza pieniędzmi, dzięki którym mogłam się wraz z synem dostać do Bremy, otrzymałam od pana dar stokroć większy, którego nie można kupić za złoto całego świata – pan wyratował mnie ze zwątpienia w ludzką dobroć. Pod wpływem nieszczęść, które zburzyły nasz dobrobyt i zniszczyły nasz spokój, straciliśmy wiarę w ludzi. Był to uszczerbek znacznie większy aniżeli straty doczesne. Przymierając głodem, marznąc do szpiku kości, szliśmy od wioski do wioski i wyciągaliśmy ręce po jałmużnę. Im dłużej trwała wędrówka, tym bardziej upadaliśmy na ciele i na duchu. Nagle na wszystkie te cierpienia ciała i duszy padł blask pociechy w Falkenau, gdzie pana spotkaliśmy.

Stała obok mnie z płonącymi policzkami, ze lśnieniem w oczach. Spojrzenie pani Stiller, niegdyś puste, tępe, rozpaczliwe, promieniało dziś życiem i energią. Wtedy oczy ówczesnej Elizy Wagner widziały tylko pustynię rozpacz, teraz nędza i głód były tylko dla nich wspomnieniem dawnej, ciężkiej przeszłości, której mroki rozjaśniła kiedyś jarząca się setkami światel choinka...

Pani Stiller mówiła dalej:

– Wiersz pana przyrósł zwłaszcza memu życiu więcej światła aniżeli blask tysiąca świec; rozjaśnił mroki duszy, w którą wkradało się zwątpienie. Człowiek nie przeczuwa nawet, jakie niesłychane znaczenie może mieć czasami jedno słowo, jeden wiersz, wypowiedziany lub przeczytany w odpowiedniej chwili. Byłam wtedy zajęta ojcem, o sobie prawie nie myślałam, gdy nagle padł na mnie jasny jeden promień świadomości, że nie wolno mi łamać się pod brzemieniem cierpienia. Mimo straszliwego wyczerpania nie spałam przez całą noc. Choć następny dzień był okropny, choć musiałam patrzeć na śmierć ojca, jakiś głos wewnętrzny mówił mi ciągle, że muszę odrodzić w sobie straconą wiarę, jeżeli nie chcę być zgubiona na wieki. Omal nie zamarziliśmy w nocy, nad ranem przygarnęła nas miłosierna



żona posłańca. Przez cały dzień klęczałam nad ojcem, który umierał w ostatniej nędzy. Rozpacz przepelniała moje serce, zdawało się, że zagasi wewnętrzny płomień, który zapalił pański utwór. Ojciec zmarł w nędzy, ale był szczęśliwy, że schodzi z tego świata jako człowiek uczciwy. Kiedy się później podniosłam z klęczek, rozpoczęła się we mnie walka między rozpaczą, która mnie chciała znów porwać w swoje szpony, a myślą o tym, że moim obowiązkiem jest zajęcie się synem. Tuż za mną leżała droga przebytej nędzy. Myśl, że nie wiem, gdzie pochowam ciało ojca, napełniała mnie przerażeniem. Przyszłość rysowała się jako strome, nagie, nieznane skały; czułam, że brak mi sił, by się na nie wdrapać. Całym majątkiem, dosłownie całym, był kawałek suchego chleba. Dostałam zawrotu głowy. Ciało ojca znikło mi z oczu, nie widziałam nikogo, ani żony posłańca, ani syna, ani pana. Gdy tak trwałam w tępych odrętwieniu, usłyszałam pański głos, który do dziś pozostał mi w pamięci. Odpowiedziałam coś zupełnie machinalnie, po chwili już pana nie było. Usiadłam na stołku i starałam się skupić i opanować tę dziwną niemoc ducha i ciała. Syn przytulił się do mnie i szepnął, że pan włożył mi coś do kieszeni. Sięgnęłam, coś zadzwoniło – pieniądze. Pieniądz to środek wprawdzie przyziemny, ale jeśli się go nie ma, życie staje się okrutne. Dotknięcie monety było tą iskierką, która zapaliła we mnie życie. W tamtej chwili nie myślałam o wielkości pańskiej ofiary, ale jedynie o tym, że jestem uratowana. Przyszło zbawienie, mogłam się wypłakać – łzy popłynęły rześką strugą. Nie pamiętam dokładnie, co się ze mną działo; potem wiem tylko, że uklękłam przy płonącym ogniu i zalana łzami zaczęłam powtarzać niektóre strofy z pana wiersza. Nie chciało mi się wierzyć, że mógł to napisać biedny, siedemnastoletni młodzieniec. Ogarneło mnie coś na kształt wstydu. Ciasno mi było w młynie, wyszłam do lasu, aby się uspokoić. Gdy potem wróciłam do izby, wszystko wydawało się inne.; Poczucie nędzy ustąpiło miejsca bolesnej powadze. Żona posłańca opowiedziała mi, że również jej dał pan trochę pieniędzy i że dzięki temu będzie mogła rano najęść się do syta. Dziecko patrzyło na mnie ufnym wzrokiem, twarz zmarłego promieniała cichą, błogą szczęśliwością. Miałam wrażenie, że jego dusza stoi obok mnie i szepce najpogodniejsze słowa tego wiersza. Tak pozostało wszystko po dziś dzień. Niech się pan nie stara przekonywać mnie, że jest inaczej, niech mi pan pozwoli wierzyć, że ojciec stał niewidzialnie obok mnie, kierował moimi postępami, chronił mnie przed wykojeniem. Ze wzruszeniem słuchałam bolesnych wspomnień pani Stiller. Gdy skończyła, odparłam: – Przeżyła pani ciężkie dni i lepiej o nich nie mówić. Cieszę się serdecznie, że panią spotkałem, ale nie chciałbym psuć nastroju tej chwili wspomnieniami minionych czasów. – Racja. Niech ni pan wybaczy, że cały długi kwadrans poświęciłam tym wspomnieniom. Zjawił się pan tak niespodzianie, a przy tym chciałam, by się pan dowiedział, jak ważną i niezapomnianą rolę odegrał pan w moim życiu. Nie mogłam wtedy szukać pana i nie mogłam napisać listu z Ameryki. Dlaczego? – Nie wolno mi panu wyjaśnić. Mogę tylko powiedzieć, że nazwisko Wagner było nazwiskiem fikcyjnym i że musieliśmy zniknąć bez śladu. Można się było dowiedzieć, co się z panem stało, znaliśmy pańskie nazwisko, ale... – Nie, nie znaliście państwo mego nazwiska. – Przecież jest wydrukowane w nagłówku wiersza. – Niezupełnie, brakuje jednej sylaby. Nazywam się Mayer. – Widząc, że się uśmiecham, rzekła: – Mam wrażenie, że nazwisko pańskie ma teraz o jedną sylabę za dużo. Przecież żaden uczeń nie podpisałby swego wiersza fałszywym nazwiskiem; byłoby to sprzeczne z poczuciem dumy, która go napełniać musiała wobec faktu, że utwór został wydrukowany. – Pani przejrzała najgłębsze tajemniki młodzieńczej duszy. Mimo to oświadczam, że tu, w Weston, nazwisko moje brzmi Mayer. – Czy wolno wiedzieć dlaczego? – Jeszcze nie teraz. Pani ma swoje tajemnice, ja również mam swoje! Zapewniam panią jednak, że o moich dowie się pani zanim odjadę.

– Przedstawię panu swego syna. Chciałam go przywołać, ale lepiej będzie, gdy wejdziemy do jego pokoju. Proszę za mną!

Pani Stiller wprowadziła mnie do skromnego, ale miłego pokoju, którego urządzenie, tak samo jak urządzenie salonu świadczyło, że właścicielem mieszkania jest westman. Obok tego pokoju mieścił się pokój z jednym oknem’ stał tu wielki regał z książkami oraz biurko. Przy biurku siedział młody człowiek. Wstał z krzesła i popatrzył na nas pytającym wzrokiem.

Widać było, że jest pochłonięty pracą umysłową. Mimo zmiany rysów poznałem go od razu.

– Spójrz na tego pana – rzekła matka. – Jestem niesłychanie ciekawa, czy go poznasz.

Patrzył na mnie przez długą chwilę, potem potrząsnął głową i rzekł:

– Widziałem pana kiedyś, ale nie wiem, kim pan jest. Może przypisać to należy ciemnej barwie skóry. Jest pan tak opalony przez słońce i wiatr, że byłbym skłonny przypuszczać, iż stoi przede mną jakiś zastawiacz sideł.

. – Zastawiacz sideł? – zawołała ze śmiechem. – Ależ po to, aby się opalić, nie trzeba koniecznie uwijać się po periach i po dziewiczych lasach. Pan Mayer z pewnością nie widział Zachodu, gdyż jest, jest... poetą!

– Poetą? Mayer? May...! May!?

Twarz rozjaśniła się, przypomniał sobie coś nagle. Wyciągnął więc ramiona i zawołał:

– Cóż za głupstwa z tym Mayerem! Jaka miła niespodzianka! Nic przyjemniejszego nie mogło mnie spotkać! Teraz poznaję pana, i dziwię się, że nie stało się to od razu, chociaż wtedy był pan chłopczykiem, a dziś wygląda pan prawie jak Indianin.

Uścisnął serdecznie moje ręce. Nie ulegało wątpliwości, że radość jego płynie z głębi duszy. Wziął mnie pod rękę i poprowadził do przyległego pokoju ze słowami:

– Mój pokój nie jest odpowiednim miejscem dla tak radosnego spotkania. Grzbiety książek wyglądają zbyt poważnie, nie chcę, aby pan na nie patrzył.

Były to niemal wyłącznie książki prawnicze. Później dowiedziałem się, że odnosiły się przeważnie do prawa austriackiego; powiedziano mi również, dlaczego młody człowiek właśnie nad tą dziedziną prawa pracuje.

I matkę, i syna interesowało moje obecne życie. Oświadczyłem krótko, że opisuję przygody podróżnicze, dodając, że nie mam powodu do uskarżania się na złą sytuację finansową. Zaczęli prosić, bym zamieszkał u nich przez czas pobytu w Weston. Choć wiedziałem, że zgoda moja ucieszy ich bardzo, odmówiłem, uświadamiając sobie dokładnie, że dla prywatnych ludzi mogę się stać w pewnych okolicznościach bardzo nie miłym gościem.

Gościnność, którą stosuję we własnym domu, a którą nazwałbym gościnnością westmana, nie odbiera gościowi ani na chwilę wolności i swobody ruchów. Na dowód, że gość pozostaje panem siebie, wręczam mu od razu klucz od bramy. Jest pod każdym względem członkiem rodziny, wszystko, co posiadam, należy do niego przez cały czas trwania gościny. Tylko od gościa zależy, czy chce z nami zjeść obiad, wyjechać gdzieś za miasto, czy pójść w naszym towarzystwie na spacer. Nikt nie pociąga go za to do odpowiedzialności. Wszyscy staramy się odgadnąć jego życzenia, wszyscy żyjemy wyłącznie dla niego; cały dom, cała służba jest do jego dyspozycji. Oczywiście gość nie powinien czuć tego, gdyż takie poczucie krępowałoby jego swobodę. Musi mieć wrażenie, a raczej przeświadczenie, że nikomu w niczym nie przeszkadza, że mimo jego obecności życie domowe płynie takim trybem, jak gdyby go wcale nie było. Musi być przekonany, że nikt spośród domowników specjalnie o nie wyróżnia. Mam wrażenie, że ten rodzaj gościnności nie trudno stosować. Nie żąda wielkiej ofiarności, ale wymaga za to o wiele więcej delikatności w obcowaniu z człowiekiem – więcej zrozumienia dla jego potrzeb indywidualnych aniżeli daje gościnność objawiająca się przeważnie w słowach, która tak często doprowadza mnie do pasji.

Drugi rodzaj gościnności podkreśla na każdym kroku, że gość jest gościem. Cały dom wywraca się dla niego do góry nogami, cały tryb życia domowego ulega nagłej zmianie. Gospodarz otwiera gościnny pokój, zaryglowany zwykle na cztery spusty, idzie dla swego

gościa do teatru, na spacer, urządza dla niego wycieczkę za miasto, zaczyna prowadzić inną kuchnię, ubiera się inaczej, nie pokazuje się ani na chwilę w domowych pantoflach, zmienia sposób rozmowy, robi z dnia roboczego święto. Wszystko kręci się dokoła osoby gościa, któremu ustawicznie podsuwa się pod nos dowody gościnności. Nie ma ani jednej chwili dla siebie, nie zostawiają go ani na minutę samego, nie może postąpić w domu kroku, by ktoś mu nie towarzyszył, nie może niczego obejrzeć, niczego kupić bez ustawicznych rad i wskazówek, którymi go obsypują: Nie chcąc, by się biedaczek uważał za sierotę, gościnni gospodarze wloką go ze sobą po wizytach u krewnych i znajomych albo spraszają gości, którzy go mają bawić. Pocziwiec cierpi nieludzko; cierpienie to staje się torturą, jeżeli, gość-delikwent należy przypadkiem do osobistości, z tego lub innego powodu popularnych. Na biedną jego głowę sypie się grad zaproszeń. Biada, gdy je przyjmie! Kochani, gotowi do wszelkich ofiar gospodarze jeżdżą na nim jak na łysej kobyle, aż wreszcie udreńczony do ostateczności zaczyna padać z nóg. Wszyscy ci ludzie nie rozumieją, że pozbawiając gościa swobody, wsłuchując się w każde jego słowo, obserwując każdy jego ruch, żądając, by od rana do wieczora był człowiekiem niezwykłym, dokonują czegoś w rodzaju transakcji. Albowiem każą sobie płacić niezwykłością za to, co gość skonsumował, często nawet wbrew swej woli, i uważają jeszcze, że należy im się wdzięczność. Najgorsze jednak jest to, że gość nie może okazać swego oburzenia, że musi przyjmować te wszystkie plagi z łagodną, uśmiechniętą miną, jeżeli nie chce, by poczytano go za niewdzięcznika.

Przed tym rodzajem gościnności zdejmuje mnie zawsze straszliwy lęk. Każdy człowiek rozsądny i kochający wolność powinien modlić się: „Boże, broń mnie od przyjaciół; od wrogów moich sam się potrafię obronić”! Dla takich ludzi jestem gościem, którego się w krótkim czasie przeklina; z początku znoszę wszystko cierpliwie, po pewnym czasie jednak staję się niemiły, bo przecież każdy człowiek musi dbać o własną skórę. Jeżeli chodzi o rezultat mych doświadczeń w tej dziedzinie, to zamknąć go mogę w tych krótkich słowach: sam chętnie przyjmuję gości, ale niechętnie bywam czyimś gościem. Dlatego stanowczo odmówiłem zaproszeniom pani Stiller, obiecując przyjść wieczorem. Pani Stiller dodała na pożegnanie, że jest pewna, iż dziś wieczorem i tak nie mógłbym pracować w hotelu ze względu na hałasy z powodu uroczystej kolacji i balu.

## Rozdział 2

Kompania strzelców z muzyką na czele przeciągnęła przez miasto i udała się na plac, na którym się miały odbyć popisy studenckie. Udałem się tam również. Panowie strzelcy strzelali nie najgorzej, ale nie było wśród nich żadnego strzelca a la westman. Spotkałem tu prayermana; uwijał się po placu jak szczur w ukropie. Miałem wrażenie, że robi niezłe interesy. Gdy się ściemniło, wróciłem do hotelu, w którym wrzała gorączkowa praca nad przygotowaniami do wieczery. Gospodarz zaangażował dodatkowo kilku kelnerów spoza miasta, gdyż spośród ludności Weston, składającej się z ludzi zamożnych, nikt nie chciał się podjąć pełnienia tych funkcji.

Chciało mi się spać. Usiadłem więc przy jednym z bocznych stołów i kazałem sobie podać piwo. Naprzeciw, w kącie, siedział jakiś człowiek również nad szklanicą piwa. Byliśmy jedynymi gośćmi. Czuję, że nieznajomy ma ochotę wdać się w rozmowę; poznałem to po badawczym wzroku, którym mnie obrzucił, jak gdyby chcąc się przekonać, czy jestem osobą odpowiednią do konwersacji... Po jakimś czasie wstał, przeszedł się kilka razy po pokoju, wreszcie zbliżył się do mnie i rzekł:

– Good evening sir! Ładna dziś pogoda, co?

- Yes – potwierdziłem.
- Ponieważ rozpoczął rozmowę po angielsku, odpowiedziałem w tym samym języku.
- Dziś święto strzeleckie, nieprawdaż?
- Yes.
- Dzielni strzelcy, co?
- Nie najgorsi.
- Jak to? Tylko nie najgorsi?
- Yes!
- Czy pan się zna na tym?
- Yes!
- Jest pan sam dobrym, celnym strzelcem?
- No.
- I mimo to zna się pan na strzelectwie?
- Yes!
- Jakże to pogodzić, sir? Mam wrażenie, że pan jest bardzo rozmownym i zajmującym człowiekiem, a tak mi nudno przy moim stole. Wolno się przysiąść do pana?
- Yes!
- Pomijając jedno przeczenie, na wszystkie pytania odpowiedziałem tylko: yes a mimo to nazywa mnie rozmownym i zajmującym człowiekiem! Należałoby chyba nazwać mnie mrukiem! Usiadł przy mnie i wrócił do rozpoczętego tematu:
- A więc jakże to pogodzić? Pan uważa, że nie umiając strzelać, można doskonale orientować się, czy ktoś trafił w czarny punkt?
- Jest w tym trochę racji, ale widzieć i strzelać, to jednak nie to samo. Nie sądzi pan?
- Yes!
- Będę rad, jeśli pan kiedyś przyjrzy się, jak ja strzelam. Chciałby pan, co?
- Yes!
- Jeżeli pan zostanie tu przez parę dni, spotka pana ta przyjemność. Kiedy pan zamierza wyjechać? Jutro?
- No!
- Jutro nie? Zapytałem, ponieważ jestem przekonany, że pan jest tu tak samo gościem, jak i ja. Czy tak?
- Yes!
- Doskonale! A więc jesteśmy niejako kolegami, którzy muszą się trzymać razem. Powinniśmy się poznać. Pan mnie zna?
- No!
- Nazywani się Watter. Przypuszczam, że pan nieraz słyszał to nazwisko?
- No!
- Nie? To mnie dziwi! Nazwisko Welley jest panu również nieznane?
- Yes!
- Gadatliwy towarzysz zauważył wreszcie, że odpowiadam w niesłychanych skrótach i rzekł:
- Yes, no, yes – i to ma być koleżeńska rozmowa! Niechże pan otworzy nieco usta. Może pan spokojnie zaryzykować, słów pańskich nie będzie słuchać osoba niegodna. Zaraz to panu wytłumaczę. Jak się pan nazywa?
- Mayer.
- Mayer! Ładne, cudowne nazwisko, tak cudowne, że kilka milionów ludzi kłóciło się o nie do zapamiętania, aż wreszcie rozdzielili je w spokoju pomiędzy siebie. Czy tak?
- Yes!
- Mam wrażenie, że pan należy właśnie do tych pogodzonych, spokojnych baranków. Przynajmniej pański sposób wyrażania się nie daje powodu do sprzeczki. Niechże mi pan powie, Mr Mayer, czym się pan zajmuje?

- Jestem pisarzem.
- Pisarzem? Ach, tak? Więc kałamarz i pióro! No, to istotnie za mało, by dobrze słuchać! Dzikie Wschód jest dla pana zapewne równie nieznaną krainą, jak nosowi plecy i nawzajem. Dwa przeciwległe bieguny! Jestem westmanem! Pan wie, co to znaczy?
- Yes!
- Jestem pewien, że się pan na westmanach nie zna ani trochę, lecz westman ze mnie nie byle jaki; jestem znakomitością, tak samo jak Welley. Przebywamy stale razem. Dziś go tu nie ma, ale przybędzie na pewno ładą chwilą. Musi pan zobaczyć, jak my obaj strzelamy! Welley ma jutro przyjechać.
- Ze względu na zawody strzeleckie? – zapytałem.
- No tak. Byłem na placu, gdy się rozpoczęła ta pukanina. Paru strzelców, którzy udawali wielkich; uśmiełem się z nich porządnie i założyłem się, że ich pobijemy w zawodach. A więc jutro! Musi pan zobaczyć. Przyniesie mi to kupę dolarów! Prawdę mówiąc, nie bardzo mi to potrzebne, gdyż Welley i ja mamy dosyć pieniędzy. Jak się panu zdaje, ile mamy razem?
- Nie mam pojęcia.
- Racja! Pan nawet liczyć wielkich sum nie potrafi. Jesteśmy bogaci, bardzo bogaci, mamy moc nuggetów. Pan chyba wie, co oznacza słowo „nugget”?
- Yes!
- Ale z pewnością, nigdy w życiu nie widział pan nuggeta! Zaraz panu pokażę – oto jest. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść złotych bryłek; jedno z nich było wielkości grochu, inne dochodziły do rozmiaru orzecha laskowego. Nie wątpiłem ani na chwilę, że mój nieostrożny towarzysz nosi te monety tylko po to, by nimi imponować nowym znajomym. Potrzęsnał nimi i ciągnął dalej:
- Czy pan może sobie wyobrazić, jaką gotówkę to reprezentuje? No!?
- Pięć dolarów – odparłem, choć wiedziałem doskonale że wartość nuggetów dochodzi do sumy jakichś dwudziestu pięciu.
- Pięć dolarów! – rzekł nieznajomy z uśmiechem. – Pan jest pięciokrotnie szalony, Mr Mayer! Nie oddałbym nuggetów nawet za trzydzieści dolarów. A teraz niech pan słucha! Pochylił się nad stołem i zaczął mówić szeptem z niesłychanie poważną miną:
- Mam jakieś pół cetnara\* takich nuggetów! Określę to panu w walucie: wartość moich nuggetów przekracza sumę czternastu tysięcy dolarów. Rozumie mnie pan?
- Yes!
- Welley ma ich znacznie więcej. Czy ma pan pojęcie, skąd wzięliśmy tę masę złotego pyłku i ziaren?
- No!
- A jest pan ciekaw?
- Yes!
- Dobrze, powiem więc! Wpakował nuggety do kieszeni i ciągnął dalej:
- Wie pan chyba, co należy rozumieć przez słowo bonanza, placer\* lub finding-hole\*. Jeżeli pan nie wie, to panu powiem: otóż bonanza jest miejscem, w którym woda zmyła z kamieni potężną bryłę złota, miejsca takie są niesłychanie rzadkie, złoża złota ważą po kilka cetnarów. Placerem zaś nazywamy miejsce, w którym znaleziono złoto w jakiegokolwiek postaci. Finding-hole podobny jest do placera. Woda porywa z gór poszczególne odłamki złota z różną szybkością, zależną od ich ciężaru, i oszlifowuje je, jak kamienie. Gdy na dnie rzeki znajdzie się głębszy otwór, szpara w kamieniach lub w jakimkolwiek wgłębieniu, cięższe kawały złota wpadają w te wgłębienia i wypełniają je stopniowo, a mniejsze bryłki płyną dalej. Taki otwór, wypełniony po brzegi złotem, zwie się finding-hole. Dopóki wgłębienie znajduje się pod wodą, natrafia się na nie tylko dzięki przypadkowi. Ale zdarza się czasami, że rzeka zmienia nagle łożysko i bieg, a wtedy stare łożysko wysycha i złoto staje się

widoczne. Po pewnym czasie pokrywa się warstwą kurzu i listowia. Finding-hole znika z oczu ludzkich, lecz dobry poszukiwacz złota ma bystre spojrzenie i potrafi oznaczyć miejsce, w którym leży złoto. Zrozumiał mnie pan!

– Yes !

– Znowu tylko „yes”! Powiadam panu, Mr Mayer, że niedaleko zajedziesz w życiu, jeżeli się nie nauczysz szerzej otwierać ust. Człowiek, który nie umie obracać językiem jak młynem, nie może iść naprzód; pozostaje ciągle na tym samym miejscu.

– Nawet wtedy, jeżeli siedzi na bonanzy lub finding-hole.

– Tak, nawet wtedy. Cóż mu pomoże złoto, jeżeli siedzi na nim i nie potrafi go sprzedać? Nareszcie usłyszałem pełne zdanie! Chcę wierzyć, że pan zrezygnował z lakonicznych odpowiedzi „yes” i „no”. Jest pan doskonałym i rozmownym towarzyszem.

– Dziękuję, Mr Watter!

– Ależ proszę, proszę! Zapewne chciałby pan wiedzieć, czy znalazłem swe złote ziarna w bonanzy, czy w placerze, czy też w finding-hole.

– Yes!

– Znowu pan cwałuje na swoim głupim „yes”! W głowie mi się już mąci od tych odpowiedzi. Jeżeli się pan chce ode mnie dowiedzieć czegoś mądrego, niech się pan stara mówić rozsądnie i przyzwoicie! Otóż bonanzy nie znalazłem, gdyż takie bryły złota nie lecą do gęby jak pieczone gołąbki.

– Gdyby wleciały, człowiek straciłby wszystkie zęby.

– Słusznie! No, wreszcie nawet dowcip. Choć przypomina machanie ogonem martwego cielęcia, wolę to niż wieczne „yes” i „no”. Nie znaleźliśmy również finding-hole, gdyż takie szczęście spotyka tylko idiotów, nigdy zaś ludzi tak mądrych jak Welley i ja. Ale odkryliśmy znakomity placer i co się rzadko zdarza, wyeksploatowaliśmy go do ostatniego ziarnka. Śpieszyliśmy się bardzo, ale niestety nie na wiele się to zdało, bo po jakimś czasie przyłączyła się do nas różna hołota, przed którą człowiek uczciwy mieć się musi na baczności. Muszę panu opisać okolicę, ale i tak mnie pan nie zrozumie. W sprawach Zachodu nie jest pan nawet greenhorn\*, lecz po prostu analfabeta. To prawdziwe nieszczęście obcować z ludźmi, którzy przez całe życie siedzą po uszy w atramencie i wyjść nie potrafią poza to gryzmolenie; jest pan znośnym i wykształconym towarzyszem, więc dam panu kilka wskazówek. Pociągnął porządny łyk piwa i rzekł:

– Nie urodził się pan przypadkiem w pięknym stanie Idaho?

– No!

– To doskonale, a przy tym wielka szkoda, Mr Mayer. Powiedziałem doskonale, bo mogę być pewny, że pan nie należy do tej hołoty, która się rozbija po stanie Idaho, a jednocześnie wielka szkoda, gdyż pełno tam złota. Gdyby pan tam ujrzał światło dzienne, może u kołyski przywitałyby pana całe złoża szlachetnego kruszcu. Otóż, niech się pan dowie, że ze stanu Idaho płyną miliony w złocie, srebrze i innych, szlachetnych kruszczach. Chcąc zgarnąć część tych skarbów, podjąłem wyprawę do tej złotodajnej krainy. Towarzyszył mi kompan Welley i kilku doświadczonych ludzi. Czy nie kąpał się pan nigdy w Stih Creek?

– No!

– W tym wypadku zgadzam się na pańskie „no”. Ale niech pan pamięta, tylko w tym przypadku. Jest pan nadzwyczajnym człowiekiem i dlatego cieszę się z całego serca, że pan nie był na tyle naiwny, by wziąć taką kąpiel. Rzeka Stih Creek słynie z tego, że nawet w lecie ma niesłychanie zimną wodę. Opowiadają, że ryby w niej zamarzają. Czy nazwa rzeki pozostaje w jakimkolwiek związku z temperaturą, nie wiadomo, nikt bowiem nie wie, co oznacza słowo „Stih”.

– To wyraz wzięty z narzecza Szoszonów. Oznacza najwyższy stopień zimna: lodowatość!

Towarzysz pana Welleya zerwał się z krzesła, patrząc na mnie jak cielę na malowane wrota.

– Co, jak to? – zawołał zdumiony.

- Fakt, że woda rzeki Stih Creek jest lodowata, nie powinien pana zdumiewać, jeżeli pan zważy, że do rzeki Stih Creek spływają wszystkie lodowce Fremont Peak.
- Tego jeszcze brakowało! I to pan wie? Niesłychane! Usiadł z powrotem i dodał z uśmiechem:
- Muszę przyznać, że kawał ten podoba mi się bardziej aniżeli poprzednio. Kochany panie Mayer! Mam wrażenie, że bez względu na przejawianą dotychczas mrukliwość, może i pan zostać jeszcze rozsądnym człowiekiem. Wracając do Stih Creek, muszę stwierdzić, że to rzeka bardzo złotodajna; wiem to z doświadczenia, gdyż nad jej brzegiem leżał placer, z którego wydobyliśmy nasze nuggety. W przeddzień odjazdu, gdyśmy już wszystko pakowali i załadowali, zjawili się nad brzegiem czterech jeźdźców i zaczęło nas dręczyć pytaniami, na które, oczywiście, nie dawaliśmy żadnej odpowiedzi. Milczenie nasze doprowadziło ich do pasji, rozkopana bowiem dookoła ziemia wskazywała wyraźnie, że tu pracowaliśmy, a potężne worki napelnione nuggetami wskazywały, że połów nam się udał. Nie ulegało Wątpliwości, że jeźdźcy położyliby nas najchętniej trupem, ale mieliśmy się na baczności, nie wypuszczaliśmy z rąk rewolwerów i wyruszyliśmy w drogę jeszcze tego samego dnia, zmieniając poprzedni plan.
- Jeźdźcy ruszyli za wami?
- Hm. Niegłupie to pytanie, trafia bowiem w sedno rzeczy. Ruszyliśmy dolnym biegiem Green River. U ujścia Big Sandy River rozłożyliśmy się na dłuższy popas, od razu jednak stwierdziliśmy, że złoczyńcy następują nam na pięty. Ruszyliśmy więc znowu w drogę, lecz przy przełęcz South okazało się, że pogoń trwa dalej. Niedaleko Sweet Water omal nie urządzili nocnego napadu. Wobec coraz bardziej rosnącego niebezpieczeństwa postanowiliśmy się rozłączyć, by wprowadzić pogoń w błąd. Los rozstrzygnął, że Welley popłynął dolnym biegiem rzeki, ja zaś pojechałem równą szosą.
- A reszta?
- Jaka reszta?
- Przecież mówił mi pan, że w waszej wyprawie uczestniczyło oprócz Welleya jeszcze kilka osób.
- Racja! Zapomniałem poinformować pana, że rozstaliśmy się z tymi ludźmi, kiedy nawet bez ich pomocy odkryliśmy placer przy Stih Creek. Nie myśleliśmy wcale dzielić się naszą zdobyczą.
- Czy zauważył pan pogoń po rozstaniu się z towarzyszem?
- No.
- Czy ustalił pan z Welleyem miejsce i czas spotkania?
- Yes, tu, w tym hotelu.
- Hm. Mówił pan, że czterech ludzi chciało was w nocy napaść w okolicy Sweet Water. Jakże się to stało?
- Poczuliśmy zapach płonącego ogniska i podkradliśmy się do niego. Ujrzelśmy tylko dwóch ludzi, broń pozostałych dwóch leżała obok na ziemi. To nam wystarczyło.
- Paliliście również ogień?
- Oczywiście! Noce w górach są chłodne, a zresztą trzeba było upiec mięso.
- Gdzie i kiedy odbyło się losowanie?
- W górach, przy ognisku, zaraz potem, gdyśmy ich ujrzeli.
- Kiedy się rozstaliście?
- O świcie.
- Mówił pan, że Welley ma więcej złota aniżeli pan. Dlaczego? Nie podzieliliście go?
- Co za pytanie! Widać z tego, że z pana żaden westman ani poszukiwacz złota. Welley ruszył czołnem po rzece, a czołno niesie przecież znacznie więcej niż grzbiet koński potrafi udźwignąć. To przynajmniej mógłby pan wiedzieć! Ważę półtora cetnara, moje nuggety zaś ważyły pół cetnara; może pan sobie wyobrazić, jak się pod tym ciężarem czuł mój

wierzchowiec. Nie była to jazda – raczej wolne, niesłuchanie wolne człapanie.

– Jak długo trwała ta podróż?

– Prawie cztery tygodnie.

– Nuggety już pan sprzedał?

– Nie, czekam na przybycie Welleya, ruszymy razem do St. Louis i tam postaramy się wszystko sprzedać.

– Czyżby całe złoto było w hotelu?

– Oczywiście! Gdzież je mam trzymać? Jakie to dziwne, przedtem nie znał pan innych słów prócz „yes” i „no”, a teraz wypytuje mnie pan tak dokładnie. Czy ma pan do tego jakąś podstawę?

– Yes!

– Tak? A jaką?

– Mam wrażenie, że pana to dziwi, lecz sędzę, że takie zero jak ja może także czasami mieć swoją rację.

– Dobrze, dobrze ale o cóż chodzi? Czy coś się panu nie podoba w moim opowiadaniu?

– Nie tylko coś, ale sporo rzeczy! Nie chcę jednak tracić niepotrzebnych słów i wyłożę rzecz krótko. Na próżno czeka pan na swego kompana Welleya. Zamordowano go i obrabowano, jeżeli pan się stąd natychmiast nie ulotni i jeżeli będzie pan z innymi równie rozmowny jak ze mną, czeka pana ten sam los!

Wetter odrzucił głowę w tył, przymknął do połowy oczy i patrząc na mnie wzrokiem oficera, który od świeżo upieczonego rekruta otrzymał jakąś nieprawdopodobną odpowiedź, zapytał wyniosłym tonem:

– Co takiego? Co pan powiedział? Czy mnie słuch nie myli? Zamordowany, obrabowany?

– Tak, tak, dobrze pan słyszał!

– Pan ma chyba wodę w głowie?!

– Nie wiem, nie zaglądałem do niej.

– Albo raczej musi się tam znajdować przeraźliwa próżnia bez wody i bez powietrza! Jakże pan wpadł na ten szalony pomysł? Przecież sprawia pan wrażenie człowieka dosyć rozsądnego. Jeżeli to głupi żart, wypraszam sobie podobną zabawę, mój panie!

– Jeżeli można mówić o „wypraszaniu”, to raczej ja powinienem sobie wyprosić nazywanie mnie półgłówkiem i wariatem. Właśnie ci ludzie, którzy, jak się pan raczył wyrazić, „tkwią po uszy w kałamarnicy”, mają mózg inny niż szaraczkowie, którzy poczuwszy zapach dymu idącego od sąsiedniego ogniska, nie pomyślą o tym, że sąsiedzi czują również zapach ich palącego się ognia.

– No, wygląda na to, jak gdyby pan chciał mnie pouczać!

– Niech sobie pan moje uwagi tłumaczy, jak się panu podoba. Jeżeli pogoń jest w pobliżu, jeżeli się ją widzi z daleka, nie wolno palić ogniska; jest to jasne jak słońce nawet dla greenhorna, jak się pan wyraził. Gdy poczuliście zapach dymu idącego od ogniska, które zapalili wasi prześladowcy, dając tym dowód, że nie są zbyt doświadczonymi westmanami, trzeba było wpakować nos w krzaki. Zobaczylibyście w nich dwóch ludzi, którzy was szpiegowali zanim zdążyliście jeszcze zauważyć obce ognisko; wywiadowcy ci byli świadkami losowania i słyszeli waszą rozmowę, w której ustaliliście, że jeden ruszy wodą, drugi łądem, i że się macie spotkać w tym hotelu. Zorientowali się, że pana kompan przewozi większą część złota i ruszyli za nim; pana zostawili chwilowo w spokoju, odkładając rozprawę na czas spotkania w Weston. Tak sprawy wyglądają, nie inaczej.

– Mr Mayer! Muszę przyznać, że pan ma głowę i to nie byle jaką. Można by jej panu pozazdrościć, gdyby jej wytwory dały się zamienić na złoto. Przypuśćmy jednak, że pan ma słuszność. Jakże mi pan odpowie na moje pytanie: dlaczego te łotry nie zamordowały nas, kiedy według pańskich przypuszczeń leżały tuż za nami? Wystarczyłyby dwie kulki, a w rękę mieliby całe złoto! No, i cóż pan na to, nieprawdopodobnie mądry człowieku?



– Musieliby wlec przeszło cetnar złota. Ile to waży, sam pan to najlepiej wie. Woleli, abyście sami przynieśli im zdobycz na miejsce. A zresztą, mogły być jeszcze inne przyczyny.

– Jeszcze inne? Nie wyobrażam sobie! Może mi pan poda przynajmniej jedną?

– Chętnie! Niech pan sobie przypomni swoje zachowanie nad Stihl Greek. Pozbyliście się towarzyszy wyprawy chcąc mieć placer dla siebie. Może między tymi czterema ludźmi zawiązała się później walka? W każdym razie, jestem święcie przekonany, że puścili się w pogoń za pańskim kompanem. Powinien tu być przybyć dawno przed panem! A może pan przypuszcza, że się w ogóle ulotnił?

– Nie! To jest po prostu niemożliwe. Zawsze był w stosunku do mnie niezwykle uczciwy. Jesteśmy kolegami od dwudziestu lat, przyjaźń naszą porównać można z przyjaźnią... powiedzmy, Winnetou i Old Shatterhanda. Słyszał pan o nich kiedyś?

– Yes!

– Chwała Bogu, że znowu słyszę tylko „yes”. Z chwilą, kiedy pan dał upust swej wymowie, przestał mi się pan podobać. Mam wrażenie, że gawędzę z dzikusiem, który sobie wyobraża, iż jest prezydentem Stanów Zjednoczonych.

– Więc mogę wrócić do swojego „Yes” i „No”?

– Owszem, owszem! Nie będę protestować!

– Well. Ale przedtem jedno ostrzeżenie. Niech się pan strzeże, niech pan nie mówi nikomu o swoim złocie! Na pańskim miejscu zamieniłbym je zaraz jutro na pieniądze i wyjechał niezwłocznie do Plattsmouth.

– Dlaczego do Plattsmouth?

– Bo tam jest ujście Platte River do Missouri i pański kompan musiałby tam lądować, gdyby przybył szczęśliwie do Platte River. Zasięgnąłbym tam najdokładniejszych informacji i jeżeli by się okazały niewystarczające ruszyłbym wzdłuż rzeki. Należy się to Welleyowi, przecież żył pan z nim tyle lat w przyjaźni!

Twarz mojego towarzysza, zasepiająca się coraz bardziej, nabrała wyrazu gniewu. Zawołał:  
– Niech pan nie maluje zbyt ponurych obrazów! Znam swoje obowiązki, wiem, co jestem winien Welleyowi i niczyich nauk nie potrzebuję! Pan sobie wyobraża, że mój przyjaciel nie żyje, a ja twierdzę, że żyje i wrotce tu przybędzie. Przypuszczam, że pan pozwoli mi się kierować własnym przekonaniem i nie będę przywiązywać zbytnej wagi do pańskich wymysłów.

– Mr Watter, pan jest brutalny!

– Chciałem być brutalny, gdyż nie życzę sobie słuchać rad, o które nie prosiłem. Jakże to? Przecież pan nawet nie jest greenhornem, nie ma pan pojęcia o życiu Zachodu! Zupełnie inna sprawa ze mną! Mogę śmiało twierdzić, że nie będę się wstydził nawet wobec takich ludzi jak Winnetou, Old Shatterhand czy Old Firehand! A pan? Ledwo starł pan z palców ślady atramentu, a już zaczynasz mi wytykać błędy i chcesz dawać śmieszne rady! Słyszał pan kiedyś bajeczkę o psie szczekającym na księżyc? Powiem tylko, że księżyc to ja. Resztę może pan sobie dośpiewać.

– Doskonale! Pies dziękuje za porównanie, Mr Watter – rzekłem z uśmiechem.

– Proszę bardzo! Przypuszczenie pańskie, że mnie tu obrabują i zamordują, jest również niesłychanym wybrykiem wyobraźni.

– Nie mówiłem ani słowa o morderstwie i rabunku. Powiedziałem tylko, że może pana spotkać los kompana, o ile pan nie będzie ostrożny. Nie musi to być ani morderstwo, ani rabunek, lecz zwykła kradzież.

– Strachy na lachy! Potrafię dać sobie ze złodziejami radę! Złoto leży w skrzyni. Zamknąłem je dobrze, ponadto przyśrubowałem do podłogi.

– Gdzie stoi skrzynia?

– W pokoju, w którym mieszkam. Chciałbym zobaczyć złodzieja który by się nie przeląkł mej strzelby, noża i rewolweru i odważył się opróżnić skrzynię lub ją odśrubować.

- Pan nie opuszcza pokoju?
- Ależ przeciwnie!
- A więc?
- Pshaw! Skrzynia jest zamknięta, klucz mam w kieszeni.
- Powiadam również, pshaw! Tego, co się nie da osiągnąć przy pomocy siły, można czasami dopiąć podstępem. Ale nie chcę niczego panu narzucać. Niechaj każdy dba o siebie, nuggety są przecież pańską własnością.
- Racja! Cieszy mnie, że pan znowu mówi rozsądnie. To przecież niesłychana farsa: mysz daje rady lwu jak ugryźć tygrysa, który nawet nie ma odwagi podejść do króla zwierząt! Niechże się pan zastanowi, do kogo przemawia, niechże pan przyjmie do wiadomości, że nawet Winnetou nie śmiał nigdy obciążyć mnie swoimi radami!
- Winnetou? Pan go zna?
- Jeszcze jak!
- Osobiście?
- Tak.
- Spotykał go pan?
- Bardzo często. Bywa zwykle w towarzystwie swego nieodłącznego przyjaciela Old Shatterhanda. Z Old Firehandem jestem nawet na ty.
- No, no! Jeżeli sprawy tak się przedstawiają, to istotnie popełniłem wielkie przestępstwo naprzykrzając się swoimi radami. Szkoda, że mi pan tego nie powiedział przedtem. Czy ci dwaj mężowie są naprawdę tak niezrównanymi westmanami, jak się to powszechnie opowiada?
- Niezrównanymi? Hm, hm! – mruknął uśmiechając się błogo. – Znam pewne osoby, a ściślej mówiąc, pewną osobę, która może spokojnie wytrzymać porównanie z nimi oczywiście, jest to wyjątek.
- Dałbym wiele za okazję ujrzenia tej osoby.
- Wyobrażam sobie, bo to prawdziwa rozkosz oglądać tych ludzi własnymi oczami! Winnetou to prawdziwy olbrzym, który mógłby się ze względu na wzrost pokazywać w cyrku. A Old Shatterhand jest jeszcze większy od niego.
- Naprawdę?
- Tak. Old Shatterhand jest dwa razy szerszy w barach niż pan i półtorej głowy wyższy od pana.
- Do licha! Więc sama postać jest nie lada atrakcją!
- Tak. Niech pan doda niesłychaną siłę, dzięki której może stanąć do walki z bykiem; zręczność, którą się – z wyjątkiem osoby, o której mówiłem przed chwilą – nikt poszczycić nie może, i niesłychany spryt, a będzie pan miał obraz Old Shatterhanda, który jest przeciwieństwem tego, czym jest pan i co pan potrafi!
- Pańska przyjaźń z Old Shatterhandem i Winnetou budzi we mnie coś w rodzaju zazdrości.
- Nie ma w tym nic dziwnego. Stary to stosunek i tak szczery, serdeczny, że trudno ich sobie wprost wyobrazić beze mnie.
- Mówił pan, że Welley był pańskim drugim ja?
- No tak.
- Jakże to pogodzić z przyjaźnią z Winnetou i Old Shatterhanda?
- Podróżujemy przeważnie we czterech.
- Ach tak!  
Wymówiłem te słowa z wolna, dobitnie i nieco ironicznie, ton mój nie spodobał się memu biesiadnikowi.
- Panu się to wydaje nieprawdopodobne, sir?
- Ależ nie! Dziwi mnie tylko, że w rozmowach prowadzonych na temat Winnetou i Old Shatterhanda nikt nigdy nie wspomniał o panu. Złości mnie to również niesłychanie. Cała

sława spada na nich; towarzysze pozostają w cieniu, jakkolwiek zasłużyli na nią w równej mierze. Bardzo to dziwne! Mógłbym panu wymienić cały szereg westmanów, którzy brali udział w ich wyprawach, a o których ludzie wyrażają się z wielkimi pochwałami i uznaniem.

– Cóż to za ludzie?

– Old Firehand, Sam Hawkens, Dick Stone, Pitt Holbers, Dick Hammerdull, Długi Davy, Gruby Jemmy, bracia Snuffles i wielu, wielu innych. Ale nazwisk, Watter i Welley nie słyszałem nigdy. Czemuż to przypisać, sir?

– Nie zwrócił pan na nie uwagi albo zapominał po prostu.

– O nie, mam fenomenalną pamięć.

– Powiedział pan to dziwnym tonem. Niechże pan mówi prosto – nie lubię zabawy w ciuciubabkę. Nie sądzi pan chyba, że wszyscy towarzysze dwóch sławnych strzelców są panu znani i że ci, których nazwisk pan nie pamięta, nigdy im nie towarzyszyli?

– Potwierdzam, co już powiedziałem. Znam wszystkich bez wyjątku kompanów Winnetou i Old Shatterhanda, ale o was dwóch nie słyszałem nigdy w życiu.

– Pan zna wszystkich bez wyjątku? To by znaczyło, że po prostu zblagowałem, Mr Mayer! Gdyby pan był westmanem, wyzwałbym pana na noże; niechże więc pan dziękuje Bogu, że pan jest tylko zerem! Nic sobie z pana nie robię, kompletnie nic! Nie może pan żądać ode mnie, bym tu nadal siedział obok pana.

– Nie mam najmniejszego zamiaru.

– Nie? Niechże pan wstanie i siądzie gdzie indziej!

– Ach! – uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

– Tak, tak!

– Kto usiadł tu pierwszy?

– Pan, ale to mnie nic nie obchodzi! Nie wyobraża sobie pan chyba, by stary westman, przyjaciel Winnetou i Old Shatterhanda, ustępował przed kimś, kto jest zerem?

– O wyobrażeniu nie ma wcale mowy.

– A o czymże?

– O tym, co uważam za odpowiednie!

– Ach tak, czyli o tym, co się panu podoba?

– Yes! – A co się panu podoba?

– Chcę, aby pan usiadł tam, gdzie pan siedział przedtem.

– Ach tak? Taka jest pańska wola? No, zobaczymy, jak daleko szanowny pan z nią zajędzie! Zostanę tu, póki mi się będzie podobało. Ciekaw jestem, co mi pan robi?

– Zaraz pan zobaczy!

Podczas naszej wymiany zdań przybyło nieco gości; nie zwrócili uwagi na prowadzoną półgłosem rozmowę. W ostatniej jednak chwili Watter podniósł głos o parę tonów za wysoko.

Nie jestem zwolennikiem karczemnych awantur, ale ciągle powtarzanie określenia „zupełne zero”, pogarda, z jaką towarzysze mój odnosił się do moich uzasadnionych i życzliwych rad oraz kłamliwe twierdzenie, że jest przyjacielem Winnetou, dopełniły miary cierpliwości. Po słowach: „zaraz pan zobaczy” wypowiedzianych z uśmiechem lekceważenia, zerwałem się z krzesła, podniosłem sąsiednie krzesło wraz z siedzącym na nim gadułą i zaniósłszy go na przeciwległy koniec pokoju, ulokowałem w tym samym miejscu, w którym siedział przed rozpoczęciem naszej rozmowy. Gdy wracałem na swoje miejsce, rozległy się głośne śmiechy i oklaski. Ledwie zdążyłem usiąść, tamten zerwał się z krzesła, podbiegł do mnie i zaczął wrzeszczeć:

– Pan się odważył mnie tknąć! Czy pan zdaje sobie sprawę ze swego postępku? Słuchałem cierpliwie pańskich głupstw, gdyż budziły we mnie politowanie, ale żaden westman nie zniesie czynnej zniewagi. Wie pan, co pana czeka?

– No, coż takiego? – zapytałem z uśmiechem.

– Wyrzucę pana na ulicę!

- Dobrze, niech pan spróbuje. Wstaję – oto ma mnie pan przed sobą. Nie będę się bronić.
- Dobrze, dobrze! – zawołał. – Zaczynam. A więc jazda!

Zaczął mnie szarpać i popychać z prawej i z lewej strony, od góry i od dołu, ale wysiłek był daremny, nie mógł mnie ruszyć z miejsca nawet o centymetr, rozstawiłem bowiem nogi, zgiąłem nieco kolana i zachowywałem żelazną równowagę. Komu system ten, a raczej trick, jest znany, tego nawet bardzo silny człowiek z miejsca nie ruszy. Trzeba w tej sytuacji ustawicznie pamiętać o tym, by nie stracić ani ćwierć sekundy na przeciwstawienie swego punktu ciężkości naciskowi przeciwnika. Nacisk ten musi być odparowany z góry, sekundowe opóźnienie niweczy wszystko, gdyż człowiek traci równowagę.

Wszyscy goście pozrywali się z miejsc i zaczęli się nam przyglądać. Daremne wysiłki Wattera, który nie był w stanie spełnić swej groźby, śmieszyły ich do rozpuku.

- Ho, ho! Uff! Well! Mocniej, mocniej! Podnoś, podnoś! Hura, hura! – krzyczeli widzowie. – Kto się ze mną założy? Idę o zakład, że go nie ruszy z miejsca. Dolar, dwa, pięć! No, no! Znowu nic! Ten człowiek stoi jak mur, jak skała. Stawiam dziesięć dolarów! Kto się chce założyć?

Okrzyki te niezwykle podniecały mego przeciwnika, pracował w pocie czoła, ale na próżno. Wreszcie przerwał, westchnął głęboko i zawołał z wściekłością:

- Albo diabeł wcielił się w tego człowieka, albo też jest przygwożdżony do podłogi! Nic podobnego nie zdążyło mi się w życiu!

– Pokażę jeszcze coś, co się panu zapewne również nie przydarzyło – rzekłem z uśmiechem. .

- Mógłbym panu zapłacić pięknym za nadobne i wyrzucić pana na ulicę, ale będę delikatniejszy. Opuści pan wprawdzie ten pokój, ale drogą powietrzną. Uwaga!

Okręciłem go dokoła nagłym ruchem, którego się nie spodziewał, potem ująłem jedną ręką za kołnierz, drugą za spodnie z tyłu, potrząsałem nim kilkakrotnie i pohaustałem dosyć ostro, co go osłabiło do reszty, po czym podszedłem do uchylonych drzwi, otworzyłem je na oścież i wyniosłem go przez korytarz na ulicę. Całe towarzystwo wybiegło za mną z hotelu pokładając się ze śmiechu.

- Gdzie go mam posadzić, messieurs\*? – zapytałem.

– Niech go pan wpakuje z powrotem przez okno, powitamy go uroczystymi oklaskami! – zaproponował ktoś.

- Zgoda! Już!

Po tych słowach wpakowałem w okno głowę przyjaciela Winnetou i Old Shatterhanda i stwierdziwszy, że górna połowa jego ciała znajduje się już w pokoju, dałem dolnej porządnego kopniaka, tak, że Mr Watter zwałił się na podłogę jak kłoda. W odpowiedzi na mój łatwy triumf rozległy się oklaski i głośnie wołania. Wróciłem do jadalnego pokoju. Mr Wattera już nie było! Pełniący obowiązki kelnera dr Rost odpowiedział na moje pełne zdumienia pytanie wskazując na drugie otwarte okno:

- Ulotnił się tamtędy. Uciekł z niewiarygodną, błyskawiczną szybkością.

Znowu rozległ się głośny śmiech; Znakomity westman postąpił mądrze, dając po sromotnej porażce nogę; gdyby pozostał, stałby się z pewnością przedmiotem najbardziej niedelikatnych żartów. Goście hotelowi chcieli mnie gwałtem zatrzymać; zaproponowano, abyśmy wszyscy usiedli przy jednym stole. Wynalazłszy jakiś względnie prawdopodobny powód odmowy, udałem się do swego pokoju, by usiąść nad skryptami, mimo bowiem hałasu dobiegającego z sali balowej postanowiłem dzisiejszą noc poświęcić pisaniu.

Pokój mój łączył się z sąsiednimi drzwiami, klucz tkwił po mojej stronie. Nie podejrzewając niczego poszedłem za starym, westmańskim zwyczajem, według którego westman musi się orientować dokładnie w swym otoczeniu i otworzyłem drzwi. Po tamtej stronie stała szafa, tak szeroka i wysoka, że zasłaniała sobą całe wejście. Gość mieszkający w sąsiednim pokoju mógł zawsze mieć wrażenie, że szafa opiera się o ścianę i że tu wcale nie ma drzwi.

Udałem się do pani Stiller. Siedliśmy do przygotowanej już kolacji. Miałem wrażenie, że pani domu przypuszczała, że będę mniej milczący niż przedtem i opowiem coś o swym pobycie w Ameryce, dlatego na wstępie zaznaczyłem w sposób możliwie najdelikatniejszy, że się od tego powstrzymam. Po chwili dowiedziałem się, dlaczego w gabinecie młodego Stillera nie ma prawie innych książek prócz prawniczych. Nie powiedziano mi jednak, dlaczego rodzina Stillerów opuściła ojczyznę, nie powiedziano mi również, gdzie ta ojczyzna leży i do jakiego stanu Stillerowie należą, ani jednym słowem nie zapytałem o to, gdyż mimo zainteresowania tymi ludźmi, sprawy te były mi zupełnie obojętne. Zaznaczyli tylko, że istnieje pewna nić, która ich łączy z ojczyzną i której nie chcą zrywać. Doznali wielkiej krzywdy, wobec której byli zupełnie bezbronni. Miałem wrażenie, że ktoś rzucił na nich niezwykle ciężkie oskarżenie i że uciekli chcąc uniknąć kary. Honor rodu został narażony na szwank i zdawało mi się, że cały wysiłek tych ludzi idzie obecnie w kierunku, by przy wrócić mu dawny blask i by móc wrócić do ojczyzny Nieodzowne tu były dowody niewinności. Dać im mógł je tylko gruntowy proces sądowy, a ponieważ nie chciano wtajemniczać w sprawę nikogo obcego, więc syn został prawnikiem. Odrzuciwszy myśl o praktykowaniu w Ameryce, poświęcił się wyłącznie studiom nad ustawami swojej ojczyzny. Po ukończeniu tych studiów miano przystąpić do wyjaśnienia całej sprawy.

Studia chłopca i praca nad dokonaniem jedyne go dzieła – oczyszczenia honoru, wymagały oczywiście ofiar, przede wszystkim natury pieniężnej. Stiller musiał zarabiać, chociaż nie miał żadnego fachowego przygotowania. Wywołało to we mnie przypuszczenie, że jest to arystokratyczna rodzina, której głowa zajmowała się niegdyś, przed uderzeniem gromu nieszczęścia, wyłącznie reprezentacją rodu. Stan taki wymaga wielkiego majątku i może być akceptowany jedynie w Europie. Za oceanem, w kraju nieustającej pracy, nikt nie będzie popierał „reprezentanta”. Na szczęście swoje i rodziny Stiller był dobrym strzelcem, udało mu się wejść w kontakt z wielkimi firmami futrzanymi. Po pewnym czasie wybił się w swej branży i zaczął nieźle zarabiać. Myślistwo wymagało niemal ciągłej nieobecności w domu, toteż żona i syn żyli w ustawicznej trosce o niego. Jednak siła przyzwyczajenia i przetrwania i tu się okazywała, Stiller jak dotąd wychodził cało ze wszystkich wypraw.

Właśnie dziś, w dniu mojej wizyty, matka i syn niepokoiли się bardzo o ojca. Wyruszył jak zwykle wczesną wiosną, by z Indianami, z którymi utrzymywał stosunki handlowe, zrealizować efekty wypraw myśliwskich – jesiennej i zimowej. Mimo iż termin powrotu naznaczony był najpóźniej na początek lipca, nie wrócił jeszcze. Na kilkakrotne pełne trwogi zapytania odpowiedziano pani Stiller z St. Louis, że nie ma żadnych wiadomości ani od męża, ani od jego towarzyszy i że sklepy oczekują z niecierpliwością zapowiedzianych transportów. Z odpowiedzi tych wynikało, że firma niepokoi się również, ponadto rozeszły się niedawno pogłoski, że szczepy indiańskie zamieszkujące północno-zachodnie pasma górskie toczą ze sobą walki. Nie wiedziałem nic o tych pogłoskach ponieważ przywędrowałem z Winnetou z południa przez regiony, w których nie było białych i gdzie staraliśmy się unikać spotkań z Indianami.

Chcąc uspokoić matkę i syna zacząłem wynajdywać różne powody dla wytłumaczenia długiej nieobecności pana domu, ale nie osiągnąłem pożądanego skutku. Na moje zapytanie do jakich szczepów indiańskich się udał, odpowiedziano mi:

- Ze względu na konkurencję mój mąż zachowuje to w ścisłej tajemnicy. Wprawdzie przede mną nie ukrywa niczego, ale nie sądzę, by wymienienie nieznanych panu nazw mogło mieć dla sprawy jakiegokolwiek znaczenie.
- Myli się pani. Stosunki panujące między szczepami Stanów Zjednoczonych są mi lepiej znane niż mogłoby się pani zdawać.
- No tak, z odległości, z gazet, książek. Jest pan naszym kochanym, czcigodnym gościem, bez wątpienia dzielnym w swoim zawodzie, ale w sprawie mojego męża nie będzie pan w stanie niczego zrobić. Przydaliby się tu ludzie znający Zachód, którzy mieliby odwagę ruszyć

w góry i szukać zaginionych. Pisarz, autor, nawet najslawniejszy, jest pod tym względem bezradny. Prosię mi wybaczyć, ale tak jest w istocie. Pojadę do St. Louis i poproszę, by wysiano kilku dzielnych strzelców. Oczywiście muszą to być ludzie odważni i mądrzy, muszą znać stosunki Zachodu – jednym słowem ludzie, którzy wiedzą czym jest skóra!

– Skóra? – zapytałem.

– Tak. Zaraz dam panu dowód, że mądrość najrozsądniejszego Europejczyka i w ogóle białego, zmienia się w obliczu kawałka skóry w kompletną niewiedzę,

– Hm! W obliczu kawałka skóry? Wybacz pani, ale tym mi zaimponować nie można. Jestem znawcą skór.

– Ach tak! Jak pan to sobie wyobraża? I mnie można nazwać znawczynią skór. Ale czy potrafi pan odpowiedzieć na następujące pytanie: dlaczego nieznajomy Indianin przyniósł mi kawałek skóry?

– Skóra jest w tym wypadku czymś w rodzaju listu.

– Każdy tak dotychczas przypuszczał, ale nikt nie umiał powiedzieć co taki list może oznaczać. Dowiadywałam się, jeździłam do różnych ludzi, byłam nawet w St. Louis, gdzie przecież jest sporo wybitnych znawców branży skórzaney, zwracałam się do westmanów, strzelców i traperów. Każdy badał skórę, po czym kiwał głową i odpowiadał, że jest to skóra zupełnie zwyczajna i że nie należy jej przypisywać żadnego specjalnego znaczenia. A przecież to niemożliwe, gdyż przyniósł mi ją jakiś Indianin oświadczając, że jest przeznaczona dla squaw Nana-po, tak nazywają mojego męża.

– Skarżyła się pani przecież na zupełny brak wiadomości od męża. Dlaczego nie wspomniała pani od razu o skórze?

– Uważałam, że to bezcelowe. Czego nie wie stu westmanów, tego i pan nie może wiedzieć. Sprawa pozostanie dla mnie zagadką, a jeżeli pojawi się kiedyś w tych ^tronach Old Firehand lub Old Shatterhand, postaram się ich odnaleźć i pokażę im ten kawałek skóry.

– Mogą upłynąć lata zanim któryś z nich zawadzi o Weston.

– Tak, niestety. Opowiadają jednak, że Old Shatterhand, a nawet i Winnetou, byli już kilkakrotnie w Jefferson.

– Ma pani jeszcze tę skórę?

– Tak.

– Proszę pokazać. Może wystarczy, gdy ja na nią spojrzę.

– Pan? No dobrze, jeżeli panu na tym zależy. Niech się pan przyjrzy, by mógł pan powiedzieć kiedyś, że trzymał w ręku coś w rodzaju indiańskiego totemu.

Przyniosła skórę. Podobna była do złożonego we czworo kawałka papieru. Nigdzie nie było najmniejszego znaku, z którego można wnosić, że ma oznaczać coś specjalnego. Mimo to zorientowałam się od razu, o co chodzi.

– No i cóż? – zapytała z uśmiechem. – Zwyczajny kawałek skóry, prawda?

– Nie.

– Nie? To ciekawe! Chyba się pan myli?

– Nie myślę się. Mam wrażenie, że pisarz i autor potrafi dowieść wszystkim westmanom, że właściwie wcale nimi nie są. Ta skóra jest listem.

– Co? Listem? Pan się myli! – powtórzyła. – Przecież nie widać na niej żadnego, pisma!

– Racja, zewnątrz nie widać, lecz za to wewnątrz.

– Wewnątrz? Jak to?

– Skóra składa się z dwóch kawałków.

– Niemożliwe! Przecież to dałoby się wyczuć.

– Pshaw! Leżą przed nami doskonale wygarbowane, sklejone kawałki skóry niedźwiedziej. Jeden jest listem, drugi kopertą.

– Po cóż koperta?

– By się pismo nie zatarło.

- Przecież można było list po prostu zwinąć!
- Koperta odgrywa jeszcze inną rolę, która mnie niepokoi.
- Co pan ma na myśli?
- Indianin, który wysłał ten list, jest wrogiem pani i pani męża. W jaki sposób wręczono pani tę skórę?
- Nie było mnie w domu. Oddawca kazał powiedzieć, że przynosi wiadomość dla squaw Nana-po i ulotnił się. Zaczęłam go szukać, ale opuścił miasto.
- A więc mam rację! Badanie zawartości listu i zorientowanie się w jego treści zabrało sporo czasu, Indianin wykorzystał go na ucieczkę. List nie przyniesie pani pomyslnych wieści.
- Wielkie nieba! Gdybym go mogła przeczytać!
- Mogę to uczynić.
- Byłby to cud prawdziwy! Dotychczas nikt nie umiał zorientować się, że to list.
- Bo do rozwiązania zagadki zabierali się ignoranci. Czy pani wie, co należy rozumieć przez „skórzane ostrza”?
- Nie.
- Chcąc, by brzegi były jak najcieńsze, by możliwie łatwo można je było zlepić tak, aby niedoświadczone oko nie zorientowało się, że skóra składa się z dwóch oddzielnych kawałków, nadgięto brzegi bardzo ostrym nożem.
- Ale w takim razie chyba w środku dałoby się wyczuć, że skóra jest podwójna.
- Jest przecież mocno sklejona.
- Nie sądzi pan, że przy rozdzieraniu skóry list może ulec zniszczeniu?
- Nie. Nie mam zamiaru rozdierać skóry, rozmiękczymy ją tylko.
- Wtedy i właściwy list rozmięknie.
- Nie, gdyż z pewnością nie został napisany farbą wodną. Proszę, niech pani każe podać nóż i miskę wody!

Gdy przyniesiono jedno i drugie, rozciąłem rogi skóry i włożyłem do miski z wodą. Następnie rozpaliliśmy nieco żelazną płytę kuchenną, aby móc na niej wysuszyć ewentualny list.

Nie trzeba podkreślać, że matka i syn byli niezwykle podnieceni. Nie chciało im się wierzyć, by literat wiedział więcej od wszystkich westmanów, do których się zwracali, ale nie mogli się też oprzeć mojej pewności siebie. Niepokoiło ich tylko przypuszczenie, że Indianin był względem nich wrogo usposobiony i że należy spodziewać się złych nowin.

Po upływie pół godziny wyjąłem skórę z wody. Składała się z dwóch części, podobnych do dwóch arkuszy papieru. Mimo, iż skóra była mokra, zorientowałem się natychmiast, która część jest listem, która zaś kopertą. Rozprostowałem list nad ciepłą płytą pismem do góry, starając się, by farba nie rozpułynała się pod wpływem temperatury. Po chwili położyłem wysuszony list na stole.

Matka i syn pochylili się nad nim, zaraz jednak podnieśli głowy, oczach malowało się rozczarowanie.

- Nie widać wcale listu! Same czerwone punkty, kreski i figury – rzekła pani Stiller.
- To świetnie wykonane pismo indiańskie – odparłem.
- Którego z pewnością nikt nie potrafi odczytać! Tak się cieszyłam, że to list! A teraz znowu ta niepewność...
- Niech się pani uspokoi. Odczytam to.
- Naprawdę? Gdzież się pan uczył odcyfrowywać indiańskie pisma?
- U Indian.
- Go? Jak? Pan przebywał wśród Indian? Dlaczego nie wspomniał pan o tym ani słowem?
- Nie należy nigdy mówić rzeczy niepotrzebnych. Niech pani pozwoli mi zastanowić się nad znaczeniem tych figur. Odcyfrowanie indiańskiego pisma pochłania znacznie więcej czasu niż przeczytanie zwykłego listu.

Pracowałem około dziesięciu minut. Przypuszczenia moje okazały się słuszne – treść listu była mało pocieszająca. W pierwszej chwili pomyślałem, że może lepiej byłoby przemilczeć prawdę, jednak ten przelotny odruch ustąpił miejsca decyzji wyznania szczerzej prawdy. Nie miałem prawa kryć przed żoną poważnej sytuacji, mogło się jej bowiem udać uratować męża przy pomocy firmy, dla której Stiller pracował. Przygotowałem ją więc w kilku słowach na przykre wiadomości i oświadczyłem:

– Tu na górze widzi pani czworobok, a w nim czterech kowbojów. Jest to imię nadawcy i autora listu, wodza Kikatsów, którzy są odłamem Crows i nazwali się Upsarokami. Imię wodza brzmi: Jakonpi-Topa, czyli „Czterech kowbojów”. Nazwa ta pochodzi stąd, że młody Indianin wyruszył na podbój imienia, jak to czynić muszą wszyscy młodzieńcy tego szczepu i zabił czterech kowbojów. Do wioski wrócił z ich dobytkiem i skalpami.

– Dlaczegoż ten okrutny morderca pisze do mnie? Przecież mój mąż nie miał nigdy nic wspólnego ani z nim, ani ze szczepem Kikatsów – rzekła pani Stiller.

– Chwilę cierpliwości – zaraz się pani o wszystkim dowie. Tu obok widać pięć węzów o ludzkich głowach, cztery głowy są obnażone i mają bujne indiańskie czupryny, na piątej widać kapelusz, co ma oznaczać białego. Węże te – to Pełzający Indianie, więc plemię, które się zwie Szoszonami. Nie ulega wątpliwości, że Stiller pozostaje z tymi Szoszonami w stosunkach handlowych.

– Racja, wybierał się do nich. Skądże pan to wie?

– Wąż z kapeluszem na głowie to pani mąż, pozostałe zaś węże oznaczają Szoszonów. Obok widzi pani sześć ptaków, leżą na grzbietach z podciągniętymi do góry łapkami na dowód, że są nieżywe. Od węzów ku gawronom biegnie linia składająca się z okrągłych punktów, punkty te oznaczają kule karabinowe. Z linii łączącej węże z gawronami wnosić należy, że mąż pani wraz z czterema Szoszonami zabił sześciu Kikatsów. Ptaki oznaczają gawrony, a więc Indian szczepu Crows lub Kikatsów.

– To niemożliwe! Mój mąż nie mógłby zabić Indian!

– To, co tu odczytuję, nie ulega żadnej wątpliwości. Pewne sytuacje, na przykład obrona własna, mogą zmusić nawet największego przyjaciela Indian do zabicia czerwonoskórego.

– Morderstwo popełnione w obronie własnej przestaje być zbrodnią.

– Słusznie! Niestety, Indianie nie uznają tego. Idźmy dalej. Tu widzi pani całe mrowie gawronów, otaczają kołem spętane węże. Znaczy to, że Kikatsowie wzięli morderców do niewoli.

– Wielkie nieba! A więc mego męża również?

– Niestety, tak.

– Cóż się z nim stanie? Niech pan mówi, prędko, prędko!

– Proszę się nie niepokoić. Nic mu się nie stało. Żyje jeszcze.

– Jeszcze? A później? Chcą go zabić?

– Niechże się pani nie dręczy Mrs Stiller, sądzę, że wszystko się skończy pomyślnie. Tu oto narysowane jest wzgórze obwiedzione skórami, jest ich całe mnóstwo, westmani nazywają to górą skór. Widać z tego, że kilkakrotnie zabrali mężowi wszystkie skóry, jakie miał przy sobie.

– Niestety staje się coraz większe. Cóż powiedzą w St. Louis, gdzie czekają, by...

– Proszę teraz nie rozpaczać i wysłuchać mnie. Życie ludzkie jest stokroć więcej warte aniżeli największy stos futer, zajmijmy się więc chwilowo tylko osobą Mr Stillera. Przypuszczam, że nie woził ze sobą całego transportu, a odsyłał je partiami. Przesyłki te przybędą z pewnością do St. Louis. Dalej widzi pani cztery węże przywiązane do słupa. Na pochylonych ku ziemi głowach nie ma na szczycie kapelusza. Dowodzi to, że czterech Szoszonów torturowano straszliwie za morderstwo Kikatsów, mąż pani nie doświadczył na sobie tortur. Czytajmy dalej: oto dwa szeregi postaci. Przed jednym szeregiem widać rękę podniesioną ku górze, przed drugim – opuszczoną na dół. Ręce te mówią: albo – albo. Albo stanie się to, co jest



przeznaczone jednemu szeregowi, albo to, co ma spotkać drugi.

– Cóż jest przeznaczone tym szeregom? Zadaje mi pan straszliwe męki!

– Jeszcze trochę cierpliwości! Przed jedyni i drugim szeregiem Widać kawałek skóry. To list, który pani otrzymała. Kiedy przyniesiono go pani?

– Przed niespełna czterema tygodniami.

– Doskonale! W takim razie mamy jeszcze trzy miesiące czasu.

– Trzy miesiące?

– Jest to termin potrzebny dla uratowania pan; męża. Niech pani popatrzy. Oto związany wąż, ma kapelusz na głowie. Cóż to znaczy? Mąż pani jest w niewoli, ale żyje. Obok cztery księżycy – oznaczają cztery miesiące. A dalej widać węża na słupie, głowa w kapeluszu pochylona ku ziemi. Rysunek ten mówi: biały żyje jeszcze, ale po upływie czterech miesięcy od chwili wręczenia listu zginie na palu męczeńską śmiercią. Chcę jednak...

– To okropne, okropne! – przerwała załamując ręce. – Czyż nie ma...

– Niech pani słucha dalej! W drugim szeregu widać obok listu węża w kapeluszu. Wąż trzyma w rękach dwa karabiny połączone za pomocą sznurów z kilkoma innymi, co ma oznaczać większą ilość broni palnej. Tuż za tym widnieje znak wodza – czterech kowbojów czy pastuchów i ręce wyciągnięte ku strzelbom. Od węża do wodza ciągną się znowu cztery księżycy, a pod nimi widać dwoje rąk, palce jednej ręki są szeroko rozstawione, dotyka ich jeden palec drugiej ręki. Ruch ten jest ruchem liczenia. Pomiedzy rękami umieszczone jest słońce, znak roku, który ma 365 dni, liczba ta odnosi się do karabinów, jest ich 365. Wódz wybrał tę nieco dziwną „okrągłą” cyfrę, ponieważ najłatwiej, najwygodniej, najkrócej liczyć mu według słońca. Za tą grupą widać węża w kapeluszu, oddala się na galopującym koniu. Ma to następujące znaczenie: jeżeli schwytywany wąż, czyli mąż pani, ofiaruje wodzowi w przeciągu czterech miesięcy 365 karabinów, odzyska wolność i będzie mógł odjechać. Ku memu zdumieniu widzę na dole dwie prawdziwe litery, małe v i duże łaćnińskie S. Niestety, nie wiem, co oznaczają.

– Ale ja wiem! – zawołała radośnie. – Niech pan pokaże! Ależ tak: v. S. von Stiller! Pierwsze litery naszego nazwiska. To znak życia od mego męża!

– Tak. Znak ten dowodzi również, że mąż pani zgadza się na treść listu. Zrozumiała ją pani dobrze? A może powtórzyć?

– Niech pan powtórzy!

– Chętnie! A więc Mr Stiller przebywał w towarzystwie czterech Pełzających Indian. Dla ułatwienia sprawy wódz oznaczył go jako węża, dodając jednak kapelusz. Pięć węzów uśmierciło sześciu Indian, należących do plemienia Kikatsów. Kikatsowie wzięli ich za to do niewoli. Z czterema czerwonymi węzami nie zrobiono wielkich ceregieli – rozpięto ich na palu, inaczej postąpiono jednak z piątym węzem, czyli z pani mężem. Może nie brał w morderstwie tak czynnego udziału, jak Pełzający Indianie, może, co bardzo prawdopodobne, góruje w wodzu ponad zemstą rozsądek, kiedy marzy o otrzymaniu broni dla wojowników. Mówiła wszak pani, że chodzą pogłoski o walkach w górach, jeżeli są prawdziwe, chęć zawładnięcia większą ilością broni staje się zupełnie zrozumiała. Wódz posyła więc list do żony jeńca i mówi w nim: jeżeli w przeciągu czterech miesięcy przyślesz mi 365 karabinów, oddam ci męża; jeżeli nie, zginie na palu tak samo, jak czterej jego towarzysze Szoszoni. Mr Stiller widział ten list i podpisał go. Dowodzi to, że zgodził się, by go do pani wysłano.

– Przypuszcza pan, że zgadza się również na tę ilość karabinów?

– Tego nie twierdzę. Jeżeli jest westmanem i strzelcem, a takim mi go pani opisała, to na pewno nie chciałby, aby broń została dostarczona.

– W takim razie będzie musiał umrzeć!

– No, no, nie trzeba brać sprawy tak gorąco. Żaden strzelec nie dąży ze względu na własny interes do tego, by Indianie mieli tę samą ilość broni, co on. Ale cztery miesiące, to długi okres czasu, podczas którego niejedno może zajść. Cóż by to był za westman, który by w

przeciągu stu dwudziestu dni nie umiał znaleźć sposobności do ucieczki! Byłem już nieraz jeńcem Indian i bez terminu...

– Pan był również jeńcem?

– Tak, nawet kilkakrotnie! W ferworze rozmowy powiedziałem więcej niż zamierzałem. Ale to nic nie szkodzi i tak dowie się pani o mnie bliższych szczegółów. Wracajmy do rzeczy! Otóż moim zdaniem, nie należy temu wodzowi dawać broni. A zresztą, gdybyśmy chcieli ją przesłać, trzeba by wybrać tęgich, nieustraszonych ludzi, takich, którzy nie dadzą się wyprowadzić w pole, bo inaczej wódz gotów zabrać karabiny i nie wydać jeńca. Znam podobne wypadki!

– Napędza mi pan strachu.

– Mrs Stiller, niechże pani nie bierze mych słów zbyt poważnie. Jestem wobec pani zupełnie szczerzy, po to wskazuję na ciemne strony, aby tym jaskrawiej wystąpiły jasne.

– Dziękuję! Powzięłam nieodwołalną decyzję: jutro rano pojadę z listem do St. Louis i pomówię z firmą w sprawie dostarczenia broni.

– Niech się pani zbytnio nie śpieszy! Trzeba się jeszcze zastanowić nad kilkoma ważnymi kwestiami.

– O cóż chodzi?

– Jakonpi-Topa pisze, że zabrał mężowi cały stos skór, lecz nie pisze, że ma je zamiar zwrócić.

– Ależ ta się samo przez się rozumie!

– O nie! Gdyby tak było, narysowałby stos skór tuż za galopującym jeźdźcem. Mówi również tylko o pani mężu, nie wspomina zaś wcale o jego białych towarzyszach. Przecież Mr Stiller nie wyruszył sam?

– Zabrał sześciu ludzi.

– Widzi pani! Są również jeńcami Kikatsów, a nawet bardzo możliwe, że zginęli na palu męczeńską śmiercią.

– Czyi nie jest możliwe, że wcale nie zostali wzięci do niewoli?

– Owszem, możliwość taka istnieje, ale to mało prawdopodobne. Przypuszczam, że byli wraz z mężem pani u Pełzających Indian.

– Jestem tego pewna.

– Gdyby mąż pani wpadł bez nich w ręce Kikatsów, towarzysze bez wątpienia dowiedzieliby się o tym i na pewno zawiadomiliby panią oraz firmę w St. Louis. A zresztą, gdyby ci ludzie byli wolni, przesyłki z futrami byłyby już dawno na miejscu.

– Argumentuje pan przekonująco, Mr Mayer!

– Prawda? A dalej: pięć węzów, wśród nich Mr Stiller, miało zamordować sześć Gawronów. Mąż pani był przyjacielem Indian, a ponadto względy handlowe na pewno by go powstrzymały od popełnienia podobnego czynu. Sprawa nie jest tak prosta, jak ją w swym liście przedstawia Jakonpi-Topa. Trzeba być ostrożnym i działać powoli. Dlaczego Indianie rozprawili się tak szybko z czterema Szoszonami, a białemu darowali życie? Skoro Jakonpi-Topa schwytał pani męża wraz z sześcioma towarzyszami i skoro mówi w liście o nieokreślonym bliżej białym człowieku, gotów jeszcze wydać za te 365 karabinów jednego spośród białych jeńców i zatrzymać pani męża oraz pozostałych pięciu białych, choćby po to, aby stawiać nowe żądania. Jak pani widzi, rzecz nie kończy się na odcyfrowaniu listu, trzeba się nad nim również zastanowić. Ci czerwonoskórzy panowie są sprytni, list, który leży przed nami, jest dyplomatycznym majstersztykiem. Setka westmanów z pewnością wpadłaby dzięki temu listowi w pułapkę.

– Mr Mayer! Czy mógłby pan pojechać ze mną do St. Louis?

– Do tych panów od futer?

– Tak.

– Dziękuję! Nie mam zwyczaju biegać za tymi ludźmi.

- A może zatelegrafować, by mi przysłano pełnomocnika, z którym mogłabym pertraktować?
- To inna sprawa.
- Chciałabym bardzo, by pan był przy tym obecny.
- Ja? Pisarz?

Popatrzyła przez chwilę w milczeniu, potem rzekła podając mi rękę: – Niech mi pan wybaczy! Nie wiem dobrze, co mówię i czynię. Nieszczęście, które spotkało mego męża, pochłania mnie w zupełności i osoba pańska nie działa na mnie tak, jakby działać powinna. Mimo to spodziewam się po panu niejednej jeszcze niespodzianki. Przeczytał pan list indiański, który inni westmani uważali za bezwartościowy kawałek skóry, czyta pan między wierszami tego listu, wyjaśnili pan sprawy tak zawiłe i trudne, że chciałoby się powiedzieć: niech mi pan przyprowadzi męża! Jestem pewna, że czekałabym na pański powrót bez trwogi, wierzę, że nie zdarzyłoby się panu żadne nieszczęście. Jestem przekonana – że pan jest w stanie go przyprowadzić. Nie wiem, czemu to przypisać, ale pod pańskim wpływem zapomniałam zupełnie o Old Shatterhandzie, o którym przedtem myślałam.

- Myśl ta była zupełnie zbyteczna.
- Mówiłam sobie: ach, gdyby ten człowiek był tutaj i zajął się moją sprawą! Gdyby choć raczył mi udzielić dobrej rady!...
- Uczynił to już.
- Uczynił? – zapytała ze zdziwieniem.
- Tak.
- Kiedy?
- Właśnie teraz.
- Gdzie?

- W tym pokoju, przy tym stole.
- Nie rozumiem. Każe mi pan rozwiązywać zagadki, których...

Nie dokończyła zdania, obrzucając mnie niepewnym i trwożnym spojrzeniem. Chcąc wybawić ją z niemiłej sytuacji rzekłam z uśmiechem:

- Tak, pani rozmawiała z człowiekiem, którego imię padło z ust pani przed chwilą. Posiadam tę dziwną właściwość, że będąc pisarzem, jestem równocześnie Old Shatterhandem.

Oniemiała ze zdziwienia. Natomiast jej syn, który podczas całej rozmowy rzucił zaledwie kilka lakonicznych uwag, zerwał się z miejsca i przewracając krzesło zawołał głośno:

- Old Shatterhand? Naprawdę?
- Tak.
- Wierzę panu, wierzę! Ale mimo to proszę, by pan zechciał to ze względu na nieszczęście matki udowodnić.
- Chętnie! O jakież dowód panu chodzi?
- Old Shatterhand otrzymał od Winnetou pchnięcie w szyję?...
- A cięcie, które trzeba było zrobić, by wytoczyć krew, którą wypili na przypiecztowanie braterstwa? Oto ręka i ramię. Proszę popatrzeć! Widzi pan?

Objął matkę ramieniem, podniósł ją z krzesła, przycisnął do siebie i zawołał radośnie:

- To on, on, on naprawdę! To Old Shatterhand! Od tej chwili nie wolno nam rozpaczać. Przyprowadzi nam ojca, choćby go miał wyrwać spośród tysiąca czerwonoskórych!

- No, no, bez przesady – odparłem z uśmiechem. – Mówi pan o mnie jak o dolarowym banknocie, który się już ma w kieszeni. Wyprawa konna do Kikatsów nie jest drobnostką. Wymaga czasu, którego nam brak.
- Brak nam czasu? Nie rozumiem?
- Bo chcemy ruszyć na Wschód.
- Na Wschód? Po co? By pisać wiersze do kalendarzy myśliwskich? Nie wyobrażam sobie Old Shatterhanda przy takiej pracy!
- Ja również nie, wielce szanowny panie! Gdy jednak biorę pióro do ręki, przestaję być Old

Shatterhandem, a staję się niejaki Mayerem. Ten Mr Mayer zamierza dziś spędzić na pisaniu całą noc do białego rana. Wracając jednak do naszej wyprawy na Wschód, to muszę powiedzieć, że przygotowywaliśmy ją od dawna i tylko coś niezwykłego mogłoby nas odwieść od zmiany zamiaru lub poniechania go.

– Coś niezwykłego? Czyż sprawa wyciągnięcia ojca z niewoli i uratowania go od śmierci męczeńskiej jest czymś zwykłym?

– Dla nas tego rodzaju zagadnienia przestały być już dawno nowością.

– Dla nas, my... Ciągle używa pan liczby mnogiej! Kogo pan ma na myśli?

– Nie zgaduje pan?

– Winnetou?

– Tak.

– Naprawdę? Winnetou bawi tutaj również?

– Jeszcze go nie ma, ale przyjedzie.

– Kiedy?

– Wkrótce.

– Hura, hura! Winnetou przybywa również! Winnetou i Old Shatterhand, Old Shatterhand i Winnetou! Matko nie miałem jeszcze podobnego dnia w życiu! Zawsze najgorętszym moim życzeniem było spotkanie poczciwego, kochanego ucznia, z którym zaznajomiliśmy się w Falkenau; oto stoi przede mną. Pracowałem dzień i noc, by spełnić wasze życzenie i zostać dobrym prawnikiem. Nie zważałem na nic, nie bawiłem się, jedyną moją rozrywką było czytanie utworów opisujących przygody wodza Apaczów Winnetou i jego białego przyjaciela Old Shatterhanda. Odwiedzałem też czasami znajomych i słuchałem opowiadań o obydwu westmanach i ich towarzyszach. Marzyłem o tym, żeby kiedyś zobaczyć jednego z nich albo obydwu razem, że z daleka choćby będę mógł usłyszeć ich głos. I nagle Old Shatterhand, który jest równocześnie naszym kochanym uczniakiem, staje w tym pokoju, nagle dowiaduję się, że wspaniały Winnetou, podziwiany przez cały świat, którego imię wywołuje mocniejsze bicie każdego serca, przybędzie również. Matko, trudno opisać moje szczęście!

Spokojny młodzieniec zmienił się nie do opisania i w pewnej chwili zaczął tańczyć z radości dookoła stołu. Gdybym był tylko „małym uczniakiem”, uściskałby mnie z pewnością i ucałował tak samo, jak to uczyniła jego matka. Ponieważ jednak tkwił we mnie równocześnie Old Shatterhand, nie miał odwagi tego uczynić. Mam wrażenie, że po raz pierwszy od czasu dzieciństwa uzewnętrzniał w tak jaskrawej formie swoją radość.

Oboje zrozumieli teraz, dlaczego byłem przedtem taki milczący, gdy była mowa o moim prywatnym życiu. Przyznali, że postąpiłem słusznie nie zdradzając w Weston swego incognito, zdawali sobie sprawę, że w przeciwnym razie nie miałbym ani chwili spokoju i musiałbym ustawicznie coś opowiadać lub odpowiadać na setki pytań. Przedsmak tego dano mi zresztą na miejscu, matka i syn zapomnieli o własnych sprawach i zaczęli mnie zasypywać gradem pytań dotyczących naszego, to znaczy Winnetou i mojego życia. Musiałem w końcu bardzo stanowczo oświadczyć, że opuszczę ich, jeżeli będą mnie w dalszym ciągu tak indagować.

Dziwną rzecz, oboje byli przekonani, że będziemy im służyć nie tylko radą, lecz i czynem. Mówili o naszej wyprawie do Indian Kikatsów jako o rzeczy zupełnie zrozumiałej i postanowionej.

Winnetou uważany był powszechnie za człowieka o wielkich przymiotach i wielkim geście, nic więc dziwnego, że ludzie mieli głębokie przeświadczenie, że gotów jest w każdej chwili rzucić najważniejszą nawet osobistą sprawę i skierować cały swój wysiłek celem dopomożenia bliźniemu, choćby sprawa tegoż była błaższa od jego własnej. Mówiąc szczerze byłem skłonny i tym ludziom pomóc. Przede wszystkim pociągała mnie sama przygoda, po drugie zaś dopomożenie rodzinie Stillerów wydawało mi się konsekwencją przeszłości. Czulem jednak, że ciągle nadstawianie karku w cudzych sprawach może się w pewnej chwili

znudzić, a zresztą nie mogłem się powodować własną ochotą bez zapytania o zdanie Winnetou. Dlatego podkreśliłem, że gotowi jesteśmy jedynie do udzielenia rady. Ani matka, ani syn nie chcieli w to wierzyć, młody Stiller, nie dopuszczając nawet myśli, że może być inaczej, zgłosił chęć przyłączenia się do nas, motywując ją tym, że kiedy obcy ludzie ryzykują życie w obronie cyca, syn nie powinien siedzieć beczynnym w domu. Z wielkim trudem przekonałem go, że się do tego zupełnie nie nadaje i że jego współudział powiększy tylko ewentualne niebezpieczeństwa wyprawy.

Natomiast żaden mój argument nie mógł zachwiać jego wiary w nasz bezwzględny udział w wyprawie. Nieco tym zirytowany rzekłem ironicznie:

– Cóż się stanie z moim pięknym ubraniem, na które wydałem kupę pieniędzy? Przecież sprawiłem je po to, by po tamtej stronie Missisipi uchodzić za względnie przyzwoitego człowieka. Jeżeli je kupiłem, chcę nosić, a przecież w tak męczącej wyprawie konnej z pewnością się zniszczy.

– Oczywiście zostawi je pan u nas! – rzekła pani Stiller. – Po powrocie zwrócimy je panu i będzie mógł pan w nim dalej paradować. Niech pan pomyśli, co to będzie za wyprawa! Skoro pan ogłosi, że planujecie z Winnetou ten wyjazd, zgłosi się tylu chętnych, że przybędziecie do Kikatsów z całym wojskiem, które spadnie na nieprzyjaciela jak lawina i odniesie jedno z najszybszych i najmniej krwawych zwycięstw.

– Najszybszych i najmniej krwawych? Niech mi pani wybaczy, Mrs Stiller, ale myli się pani bardzo, zapatrując się na całą rzecz jak kobieta. Im oddział liczniejszy, tym mniej prawdopodobne zwycięstwo. Poza szeregiem innych kwestii sprawa aprowizacji jest zagadnieniem niesłychanie trudnym. Pani nie zna okolic, przez które przyjdzie wędrować. Odległość wynosi przynajmniej tysiąc pięćset mil angielskich i są tam miejsca, w których nie można upolować ani kawałka mięsa, są całe przestrzenie, w których nie sposób znaleźć wody lub paszy dla koni. Ponadto zapomniała pani o najważniejszej sprawie: mamy teraz koniec lata, a zima nastaje w górach wcześniej niż tutaj, pokrywając stoki z miejsca grubym śniegiem. Ludzie ostrożni i przewidujący muszą się liczyć z tym, że nie będzie można zejść z doliny i że może trzeba będzie spędzić całą zimę w jakimś głuchym górskim zakątku. Jestem przekonany, że większa część członków wyprawy umarłaby z głodu.

– A więc to będzie trwało tak długo? Mój Boże! Znowu napędza mi pan strachu.

– Nie powiedziałem, że będzie trwało tak długo, ale że może zabrać tyle czasu. Przywykłem liczyć się ze wszystkimi możliwościami i wypadkami, wspomniałem zaś o tym jedynie dlatego, że pani zbyt lekko traktuje pewne sprawy i jest przekonana, że większa liczba ludzi gwarantuje powodzenie. Tymczasem rzecz ma się wprost przeciwnie. Winnetou i ja przezwyciężaliśmy często największe niebezpieczeństwa i najtrudniejsze sytuacje tylko dlatego, że nikt nam nie towarzyszył. Znamy się nawzajem dokładnie i wiemy, że zawsze możemy na siebie liczyć. Przy większej ilości ludzi powstaje różnorodność zdań, rodzą się zatargi, błędy i głupstwa, które mogą człowieka wyprowadzić z równowagi. Powtarzam raz jeszcze: niech pani nie liczy na spełnienie swych życzeń odnośnie zmiany naszego planu, niech pani nie przypuszcza, byśmy się zwrócili na Zachód celem odszukania Gawronów. Gdybyśmy jednak mimo wszystko to uczynili, nie może być mowy o zabranii kogokolwiek.

– Więc podjęlibyście sami tę daleką, niebezpieczną wyprawę?

– Tak.

– Dwóch przeciw całemu szczepowi! To niemożliwe!

– Dla nas to nie pierwszyna.

– Przecież nie moglibyście w takim razie zabrać tej ogromnej ilości karabinów, której żąda wódz!

– Oczywiście, że nie! Nie staralibyśmy się nawet wykupić jeńca, zrobilibyśmy wszystko, by go wydostać, nie wydając ani pensa. Nie sądzi pani chyba, byśmy chcieli ofiarować Indianom tak pokaźną ilość broni za czyn, który należy napiętnować. Zabralibyśmy się do rzeczy

zupełnie inaczej aniżeli stu westmanów i znawców.

– Trudno mi tu cokolwiek powiedzieć, gdyż nie znam się na nich zupełnie. Jestem jednak głęboko przekonana, że to, co pan uważa za słuszne i wskazane, jest nim istotnie, choć pamiętam, że mąż mój nigdy sam nie udawał się na wyprawy.

– To zupełnie co innego. Chodziło przecież wyłącznie o futra i o handel z Indianami.

Potrzebował ludzi do transportu skór. Cel naszych wypraw jest zupełnie inny, a gdy jeszcze chodzi o to, by drogą podstępnie osiągnąć coś, co przy stosowaniu otwartego gwałtu wymagałoby wielkich ofiar, musimy działać z ukrycia, co byłoby zupełnie niemożliwe, gdyby nam towarzyszył liczniejszy orszak. No, czas upływa. Jeżeli pani pozwoli, udam się do pracy.

– Zamierza pan pracować całą noc? – Czy to nie zanadto męczące?

– Dla mnie nie. Przyzwyczyłem się nie sypiać całymi nocami. Natura moja jakoś się z tym godzi, a gdy sprawa idzie opornie, zmuszam się do tego.

– Czy mam telegrafować do St. Louis?

– Nie. Zaczekajmy z tym do przyjazdu Winnetou. Zobaczmy co on na to wszystko powie.

– Jestem przekonana, że nie będzie miał serca odmówić. – No, no! Człowiek nie powinien tak ślepo wierzyć w spełnienie swych życzeń.

– Pan tylko udaje! Liczę na to, że się pan wstawi za mną u wodza Apaczów. Czuję to i poznaję po pańskiej minie.

– Ostrzegam panią, niech się pani nie da zmylić swemu sercu ani sprytowi. Czy mogę pani zaufać? Czy zachowa pani w dyskrekcji fakt wizyty Old Shatterhanda?

– Jeżeli taka jest pańska wola, zgoda. Ale gdybym szła za głosem serca, opowiedziałabym wszystkim, że był pan dziś mym gościem i że jest mym starym, dobrym znajomym. Czy zobaczymy się jutro?

– Tak przypuszczam chyba, że coś uniemożliwi mi pojawienie się tutaj. Dobrej nocy!

## Rozdział 3

Odprowadzony do bramy, udałem się do hotelu. Już po drodze dobiegły mnie dźwięki muzyki przygrywającej do tańca. Okna hotelu były otwarte, wraz z jaskrawym światłem lamp dochodził przez nie gwar głosów ludzkich.

Zatrzymałem się na chwilę, rzuciłem okiem na salę jadalną i stwierdziłem, że goście wypełniają ją po brzegi. Pośród biesiadników ujrzałem również westmana-gadulę Wattera, któremu los zupełnie niezasłużenie wpakował w łapę kupę nuggetów. Przełknąwszy gorzką naukę i kompromitację, blagierzyna zapomniał o honorze i rozpierał się spokojnie w tej samej sali, z której uciekł sromotnie.

Obok niego siedział prayerman. Obaj byli pogrążeni w ożywionej rozmowie. Jeżeli Watter będzie z namaszczonym sprzedawcą literatury kościelnej równie rozmowny jak ze mną, to warto by mu poradzić, by nieco mocniej przyśrubował swą skrzynię ze złotem.

Już chciałem się odwrócić i odejść, gdy nagle pochwyciłem spojrzenie prayermana, rzucone w kierunku sąsiedniego stołu. Jestem bystrym obserwatorem, więc spojrzenie to wydało mi się dziwnie podejrzane. Był to wzrok porozumiewawczy, który mniej więcej mówił: „nie martw się, robota idzie dobrze, rybka połknie haczyk”.

Przy stole, w którego kierunku spojrział prayerman, siedziało sześć osób, jedna z nich odsunęła nieco krzesło i nie brała udziału w rozmowie. Siedzący dokoła goście byli z pewnością mieszkańcami Weston, milczący biesiadnik wydał mi się obcym. Patrzył badawczo na Wattera i prayermana, zauważyłem, że pod wpływem spojrzenia kaznodziei na twarzy jego zjawił się wyraz zadowolenia. Nie wątpiłem już teraz ani przez chwilę, że

nieznajomy pozostaje ze sprzedawcą dewocjonaliów w tajemnym kontakcie. Jakie zamiary mogą mieć ci ludzie? Złe, dobre? Cóż mnie to właściwie obchodzi? Czy ostrzec Wattera? Nie, ostrzeżenie byłoby nonsensem, bo przecież nic właściwie nie wiem. Gdyby nie wzgląd na niedawny spór z westmanem, wszedłbym teraz, usiadłbym obok niego i przepędził w ten sposób prayermana. Było to jednak niemożliwe. Na skutek nauczki, jakiej mu udzieliłem, moje pojawienie się wywołałoby z pewnością nową scenę. Cóż mnie ten człowiek w ogóle obchodzi? Nie mówiąc o innych zniewagach, nazwał mnie „zupełnym zerem”, niechże więc sam sobie radzi, gdy jest takiego doskonałego o sobie mniemania.

Udałem się do swego pokoju i zapaliłem lampę, którą na moją prośbę wstawiono. Potem usiadłem przy stole i wyciągnąłem rękopis, nad którym miałem zamiar prześlęczyć do rana.

Z dołu dochodziły przez otwarte okna dźwięki muzyki, ze względu na powietrze nie zamknąłem okna, opuszczając tylko żaluzję. Nie chciałem by mi przeszkadzano w pracy – w hotelach zdarza się często, że goście przez pomyłkę wchodzą do cudzych pokoi – i dlatego zamknąłem drzwi na klucz. A potem zdjąłem buty i włożyłem lekkie, wygodniejsze, ciche mokasyny. Mimo dźwięków muzyki, praca moja szła mi teraz świetnie.

Po pewnym czasie rozległy się krzyki w sąsiednim pokoju, ktoś zamknął drzwi od wewnątrz. W gruncie rzeczy nie bardzo mnie interesowało, kto jest moim sąsiadem. Uderzyło mnie tylko, że sąsiad zamiast położyć się spać, chodzi niespokojnie po pokoju. Muzyka właśnie ucichła na chwilę, dzięki temu usłyszałem, że ktoś zapukał do drzwi sąsiada.

– Kto puka? – zapytał sąsiad.

– To ja! – - brzmiała odpowiedź. – Otwieraj prędko, by mnie nie złapano!

Złapano? Uderzyło mnie to słowo! Kto się lęka, by go nie schwytano, ten musi mieć jakiś zatarg z prawem. Człowiek, który pukał do sąsiada, musiał mówić bardzo głośno ze względu na grube drzwi, dzięki czemu udało mi się wszystko usłyszeć. Pod wpływem słowa „złapano” wstałem, podszedłem cicho do drzwi, łączących nasze pokoje i zacząłem nadśluchiwać. Nieznajomi, znalazłszy się razem w pokoju zamknęli drzwi, po czym jeden zapytał:

– Nikt nie podsłuchuje?

– Nie.

– Widziałem w korytarzu, że obok mieści się jakiś pokój.

– Nikt w nim nie mieszka.

– Jesteś pan pewien?

– Tak.

– Dowiadywałeś się?

– Mogłoby to wywołać podejrzenie. Ostrożność w naszej sytuacji nie zawadzi. Ale i przedtem i teraz byłem na podwórzu i widziałem, że okiennica zamknięta, co wskazuje, że w pokoju nikt nie mieszka. A gdyby było przeciwnie, nikt nie usłyszy naszej rozmowy, gdyż mury są grube.

Było rzeczą jasną, że sąsiad nie wie, że za szafą mieszczą się drzwi.

– Siadaj! – mówił dalej. – Obserwowałeś tego Wattera? Jakiego jesteś zdania? Tego samego, co przedtem?

– Tak. Będziemy mieli z nim znacznie trudniejszą robotę niż z jego ostrożnym...

– Bum, bum, bum – zabrzmiały trąby i zagłuszyły resztę słów.

Kim są ci dwaj ludzie? To z pewnością prayerman i człowiek, który mu przedtem rzucił porozumiewawcze spojrzenie. O kimże mówili jako o człowieku „ostrożnym”? Ponieważ wymienili Wattera, miałem wrażenie, że określenie „ostrożny” odnosi się do jego kompana Welleya. Jeżeli tak, to wynika z tych słów, że był człowiekiem ostrożnym, w takim razie przypuszczenie moje było słuszne. Z rozumowania mojego wynikało w dalszym ciągu, że sąsiadami moimi są albo mordercy Welleya, albo dwaj ludzie, którzy w morderstwie brali udział.

Pod wpływem tych myśli rzuciłem pracę i podszedłem do drzwi, by się przekonać, czy w

dziurce od klucza znajduje się płytka, i czy nie pada przez nią blask lampy, który mógłby przy opuszczeniu pokoju zwrócić ich uwagę. Potem wróciłem do drzwi łączących nasze pokoje, przekreśliłem leciutko klucz, podniosłem klamkę i uchyliłem je nieco.

Mam słuch doskonały, ale nie zdołałem zrozumieć, o czym mówią. Nareszcie umilkły dźwięki polki płynące z dołu i usłyszałem słowa:

– Pokazałeś mu nuggety?

– Oczywiście! Musiałem.

– I cóż on na to?

– Zabłyśły mu oczy jak diabłu na widok grzesznej duszy. Ten stary jest niesłuchanie chciwy.

– Mniejsza o to! Najważniejsze, czy poleciał na interes?

– Natychmiast!

– Ile zażądałeś?

– Sto tysięcy dolarów.

– No, no! I cóż on na to?

– Uważał, że to zbyt wiele, zaofiarował pięćdziesiąt tysięcy.

– Właściwie to i tyle wystarczy – dodał ten sam rozmówca ze śmiechem, w którym doskonale poznałem głos prayermana. Wszedł na pewno pierwszy do sąsiedniego pokoju i wpuścił towarzysza. Prayerman dalej:

– A więc, jak powiedziałem i pięćdziesiąt by nam starczyło. Mimo to starałem się wydusić jeszcze więcej. W końcu siedemdziesiąt pięć tysięcy.

– Kiedy płatne?

– Zaraz po oddaniu finding-hole.

– Jaką monetą?

– Monetą?! Jakież rozsądny człowiek chciałby wlec tak daleko i wysoko ciężkie monety! Zapłaci przekazem.

– Tfu!

– Dlaczego tfu?

– Nie lubię przekazów. Nie są pewne.

– Ale ten murowany!

– Pshaw! Przy najmniejszym podejrzeniu nie zechcą go honorować.

– W obecnym wypadku jakiegokolwiek wątpliwości są wykluczone, a sprawę przekazu tak załatwiłem, że nie ma mowy o niehonorowaniu go. Poszliśmy mianowicie razem do bankiera i u niego przekaz został wystawiony. Ustaliliśmy tam, że otrzymam pieniądze po okazaniu czeku. Bankier zna mnie osobiście i dzięki temu o wątpliwościach nie ma mowy.

– Więc obydwaj byliście w banku? To zmienia postać rzeczy, bo gdy bank nie wie o niczym i zjawia się ktoś obcy z żądaniem tak wysokiej sumy, mogą powstać różne domysły i podejrzenia. Czy przekaz zabierze ze sobą?

– Oczywiście! Musi go wręczyć po przybyciu do finding-hole.

– I szukać nuggetów na dnie?

– Tak. Stary pływa świetnie, jego bratanek również nie najgorzej. Zmusimy ich do wyciągnięcia nuggetów z lodowatej wody, a gdy to ich nie uśmierci, postaramy się załatwić z nimi w inny sposób.

– Tam do licha, to ci dopiero interes! W rezultacie będziemy mieli te nuggety, które posiadamy teraz, złoto z hole i siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Jeżeli to się nam uda, będziemy mogli spokojnie pójść na emeryturę.

– Nie widzę powodu, dla którego interes nie miałby się udać.

– No, powody zjawiają się często niespodzianie. I najszcześniejszym ludziom może się noga powinąć. Historia z Welleyem mogła się łatwo źle skończyć. Był znacznie mądrzejszy od tego gaduły Wattera, który wprost do rąk wpycha człowiekowi nuggety. Dobrze zrobiliśmy, że wtedy pozwoliliśmy mu odjechać. Z największym trudem przywiózł ciężkie złoto, które



my z całym spokojem zabierzemy.

- Zrobi z pewnością wielkie oczy!
- Przyjrzę im się dokładnie.
- Bądź ostrożny.
- Dobrze, dobrze! Przecież wiem, jak dalece...

Muzyka zaczęła grać, zagłuszając rozmowę. Ładna historia! Nie znałem, oczywiście, wszystkich szczegółów, ale z tego co usłyszałem i czego się mogłem domyślić, wynikało wyraźnie, że jeden z tych łotrów wmówił w jakiegoś człowieka, który ma bratanek pochodzącego z Europy, że jest właścicielem jakiegoś finding-hole z nuggetami, który chce sprzedać. Stryj dał się złapać i obiecał zapłacić siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, jeżeli hole okaże się tak złotodajny, jak go zapewniono. Dotąd wszystko było jasne, ale skąd te łotry mają nuggety? Czy zabrali je Welleyowi? Kim jest ten stryj i bratanek? Gdzie mieszkają? O jakim banku była mowa? Stryj i bratanek są podobno dobrymi pływakami. Ci dwaj mają ich zaprowadzić do finding-hole rzekomo po to, by go mogli obejrzyć i by ewentualnie kupili złoto oraz wypłacili umówioną kwotę. Oczywiście to pułapka. Złoczyńcy planowali odebranie przekazu, który mieli zamiar wymienić potem na gotówkę, obydwóch zaś oszukanych chciano prócz tego zmusić do wyciągania nuggetów z finding-hole.

Mało kto wie, jaka to praca! Wyobraźmy sobie, że otwór taki mieści się w łożysku potoku górskiego wypływającego z lodowców. Woda przepływająca nad nim wypełnia go całkowicie, a bryłki i grudki złota dostają się na dno. By je wyciągnąć, trzeba się rozebrać do naga i stać po pas w lodowatej wodzie. Trwa to zwykle tak długo, dopóki na dnie nic już nie pozostaje, odpowiednio do ilości złota może taka robota trwać nawet miesiące. Ponieważ jednorazowe zanurzenie się w lodowatej wodzie wywołać może śmiertelne przeziębienie, śmiało można twierdzić, że opróżnienie otworu sprowadzić musi śmierć. Do takiej straszliwej roboty mają ci dwaj ludzie zmusić stryja i bratanek. Sam pomysł, nawet nie zrealizowany<sup>^</sup> był dowodem szatańskiego łajdactwa i braku wszelkich uczuć u tych, w czyich głowach powstał. Postanowiłem święcie, że sparaliżuję te zbrodnicze zamiary. W tej chwili nie mogłem oczywiście nic zrobić. O zawiadomieniu władz nie mogło być mowy – nie miałem przecież żadnych dowodów. Wierzyłem, że w toku rozmowy dowiem się jeszcze wielu szczegółów, które pozwolą mi snuć dalsze przypuszczenia. Z wielkim napięciem i niecierpliwością czekałem więc, aż muzyka przestanie grać w nadziei, że podczas pauzy znów usłyszę coś ciekawego.

Nareszcie skoczne dźwięki umilkły. Przysunąłem się jak najbliżej szafy, byłem pewien, że szafa jest pusta, inaczej bowiem wiszące w niej ubrania zagłuszyłyby głosy i nawet mój doskonały słuch nie byłby w stanie rozróżnić poszczególnych słów.

Nadsluchuję – nie słyhać ani słowa. Długą chwilę czekam na próżno. Muzyka znowu zaczyna grać, za drzwiami cisza, milczenie. Trudno przypuścić, by obydwaj nie mówili tak długo, zapewne wyszli, a ja nie słyszałem tego, gdyż kroki ich zagłuszyła orkiestra.

Co robić? Usiąść przy biurku, wrócić do rozpoczętej pracy? Czuję, że brak mi do tego niezbędnego skupienia. Sprawa nie dawała mi spokoju. Zgasilem lampę i szedłem na dół, zamknąwszy drzwi na klucz. Sala jadalna mieściła się po prawej stronie. Na lewo dostrzegłem mały pokój przeznaczony dla portiera, ponieważ portiera nie było, funkcję jego pełnił kelner. W portierni wisiały klucze od poszczególnych pokoi hotelowych.

Właśnie wychodził z niej kelner, chcąc się udać do sali jadalnej. Choć zorientowałem się od razu, że mu spieszo, zatrzymałem go i zapytałem:

- Panie doktorze, czy prayerman jest jeszcze na sali? – Jest – odparł zapytany.
- Od kiedy tam siedzi?
- Od kilku godzin.
- Czy nie opuszczał sali w tym czasie?
- Nie.

- Naprawdę?
- Zapewniam pana, że nie.
- Wiem, że pan się spieszy, ale mam niesłychanie ważną sprawę, powiem panu, o co chodzi, ale proszę nie mówić o tym nikomu. W nagrodę postaram się by Winnetou i Old Shatterhand mogli panu wyrazić swą wdzięczność. Prayerman wyszedł raz, to nie ulega wątpliwości! Może pan nie zwrócił uwagi?
- Myli się pan, Mr Mayer. Pilnowałem go bardziej niż pozostałych gości, gdyż od pewnego czasu źłapie wódkę jak pompa ssąca. Mam wrażenie, że urządza z Mr Watterem coś w rodzaju wyścigów. Kto kogo przetrzyma! Ciągłe im dolewam, piją jak wariaci! Gdyby więc wychodził choćby na pięć minut, nie mógłbym tego nie zauważyć. Nie wstawał wcale z krzesła.
- Gdzie mieści się jego pokój?
- W oficynie nad stajnią.
- Nie mieszka we frontowym pokoju?
- Nie.
- A Watter? Czy nie jest przypadkiem moim sąsiadem?
- Nie. Mieszka na drugim końcu korytarza.
- Któż mieszka obok mnie?
- Nikt.
- To niemożliwe! Jacyś ludzie byli w przyległym pokoju.
- Myli się pan i w tym przypadku, Mr Mayer! Gdyby pokój był zajęty, musiałbym o tym wiedzieć, gdyż nie gospodarz, a ja sam wyznaczam gościom pokoje.
- Hm! Czy klucz od pokoju, sąsiadującego z moim, wisi na miejscu?
- Owszem. Oto jest.  
Zdjął klucz z gwoździa i podał mi go.
- Niech mi go pan zostawi na chwilę, wejdę na minutkę na górę. Proszę pamiętać, nikomu ani słowa!
- Nikomu! – odparł skinąwszy głową. – Słowo honoru.  
Udałem się najpierw do swego pokoju, by zapalić zgaszoną lampę uczyniwszy to, wziąłem lampę i wyszedłem na korytarz. Podeszedłem do drzwi przyległego pokoju, stwierdziłem, że klucz otwiera je zupełnie łatwo. Wszedłem do środka, zamknąłem drzwi i zacząłem przy świetle lampy przeszukiwać wszystkie kąty. Szukałem niesłychanie skrupulatnie, w głębokim przeświadczeniu, że sprawa jest bardzo ważna i że nie należy lekceważyć najmniejszego szczegółu.  
Nareszcie jakiś ślad! Na ziemi leżała szczypta tabaki! Dziś rano stwierdziłem, że prayerman z namiętnością zażywa tabaki, w przeciągu krótkiego czasu podczas którego miałem sposobność go obserwować, wpakował do nosa jakieś dwadzieścia porcji. Zacząłem szukać dalej i znalazłem dalsze ślady tabaki, tworzyły ledwie dostrzegalną linię idącą przez cały pokój od drzwi do okna. Nie ulegało wątpliwości, że prayerman, zdenerwowany nieobecnością towarzysza, chodził z kąta w kąt zażywając obficie tabaki. A więc kelner się mylił! Niech mówi, co mu się podoba, prayerman był tu na pewno!  
Wyszedłem, zamknąłem drzwi, postawiłem zgaszoną lampę na biurku swego pokoju i zamknąłem pokój na klucz. Zszedłem na dół i powiesiłem klucz w portierni na tym samym gwoździu, na którym wisiał przedtem. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że prayerman zabrał go potajemnie, by czekać na sprzymierzeńca w niezamieszkałym pokoju. Skąd jednak się dowiedział, który to klucz i dlaczego nie umówił się ze współnikiem w swoim pokoju, w oficynie? Może dlatego, by służba nie zwróciła uwagi na tajemne spotkanie?  
Co teraz począć? Usiąść w sali jadalnej i pilnować prayermana? Nie, to mogłoby zwrócić jego uwagę, a zresztą nie znoszę smrodu i zaduchu przepelnionych lokali. Pisać? Nie będę w stanie zebrać myśli, skupić się. Postanowiłem wyjść na miasto i raz jeszcze przemyśleć całą

sprawę, tak ważną i tak równocześnie zawiłą.

Wyszedłem na ulicę i spojrzałem w okna sali jadalnej. Nieznajomy, którego podejrzewałem o tajemną styczność z prayermanem gdzieś się ulotnił, prayerman, który siedział w towarzystwie Wattera, podniósł w górę szklankę, chcąc się trącić z towarzyszem biesiady. Czy zamierzał upić go do utraty przytomności? Wyrwałem kartę z notesu i napisałem:

– „Mr Watter! Niech się pan stara nie upić. Proszę uważać na nuggety”.

Złożyłem kartkę, wręczyłem ją jednemu z chłopaków zaglądających ulicy do rzęsiście oświetlonej sali jadalnej, wskazałem mu człowieka, któremu ma doręczyć i poleciłem, by nic nie mówił i odszedł natychmiast po wręczeniu, za to wszystko przyrzekłem zapłacić mu dwadzieścia centów. Chłopak wszedł, stwierdziłem, że, oddał kartkę Watterowi. Padło kilka słów, po czym adresat włożył ją bez czytania do kieszeni kamizelki.

– No i cóż? – zapytałem chłopca.

– Pytał, kto mi dał tę kartkę, odpowiedziałem, że się dowie po przeczytaniu. Odparł na to: „odpowiem za rok” i włożył kartkę do kieszeni.

Zapłaciłem chłopcu dwadzieścia centów i odszedłem. Spełniłem swój obowiązek – więcej chwilowo zrobić nie mogłem. Po półgodzinnej przechadzce cała sprawa wywietrzała mi z głowy. Wróciłem do hotelu i udałem się do swego pokoju, by kontynuować przerwana pracę. Pracowałem zawzięcie aż do południa. Śniadanie kazałem przynieść do pokoju, na obiad zaś zszedłem do sali, nie była jeszcze sprzątnięta po wczorajszej uroczystości.

Byłem jedynym gościem, więc kelner zajął się gorliwie wyszukaniem i odgrzaniem pozostałych po uroczystości potraw.

Po jakimś czasie zjawił się Watter. Wyglądał jak człowiek, który spędził bezsenną noc, podszedł do stołu, przy którym siedział wczoraj i do którego potaszczyłem go później przemocą. Nie zwracał na mnie uwagi. Na pytanie kelnera, czy coś zje, odparł przecząco:

– Nie, nie! Ale proszę mi przynieść flaszkę najmocniejszego wina. Gdy kogoś pies ugryzie, trzeba ranę leczyć winem.

– Czy pana również ukąsił? – zapytał kelner z uśmiechem.

– Nie bardzo, troszeczkę. Ale prayermana zagryzł dosłownie na śmierć. Słyszał pan o tym, Mr Rost?

– Tak, opowiadali mi dwaj kelnerzy, którzy go przynieśli na górę.

– Tak. Był tak pijany, że nie mógł się utrzymać na nogach. Musiałem się nim zająć.

Zanieśliśmy go przez podwórze do pokoju w oficynie. Schodził już na dół?

– Nie.

– Nic dziwnego, był tak pijany, że nie sądzę, by przed wieczorem... tam do licha, przecież nie mógł tu wcale być, nie może wcale wyjść.

– Dlaczegoż to?

– Zamknąłem go nią klucz. Mimo swego pijaństwa pamiętam p tym, by się nie narażać na niebezpieczeństwo. Bełkotał wprawdzie tylko, ale zrozumiałem o co mu chodzi. Niepokoił się o pieniądze zainkasowane wczoraj za książki, dręczyła go obawa, by ktoś nie skorzystał z jego zamroczenia i nie obrabował go. Prosił więc, bym go zamknął ha klucz.

– Dziwne życzenie, prawdziwie pijackie! – rzekł kelner.

– Dlaczego?

– Przecież mógł sam zamknąć drzwi na klucz od wewnątrz!

– Racja! zaproponowałem, by to uczynił, ale cóż można poradzić, gdy się pijak uprze? Nic a nic. Skompromitował się niesłychanie, gdyż utrzymywał z początku, że wytrzyma pięć razy tyle co ja, a mimo to spałem go do utraty przytomności, choć się bronił jak lew. Muszę zobaczyć, co się z nim dzieje!

Wstał od stołu i wyszedł.

Ten człowiek cieszy się ze swego pijackiego zwycięstwa i jest dumny z niego, ale mój pogląd na temat tej pijatyki był zupełnie inny. Zakładanie się o to, kto potrafi więcej zjeść lub

wypić, jest mi wstętne. Żądanie prayermana, by Watter go zamknął i schował klucz, nie wydało mi się wcale fanaberią pijaka. Przeczuwałem, że sprzedawca książek udaje tylko pijanego w jakimś ściśle określonym celu. Zastanawiając się, O co mu może chodzić, doszedłem do wniosku, że główną rolę gra tu wzgląd na alibi. Jeżeli tak jest istotnie, to nie ulega kwestii, że złoto Wattera zniknęło w ciągu ubiegłej nocy. Czyż nie było moim obowiązkiem wezwać go teraz, by natychmiast stwierdził, czy nuggety są na miejscu? Powziąwszy to postanowienie, zacząłem się wahać, gdyż przypomniałem sobie ostatnią scenę z Watterem. W rezultacie postanowiłem nie odzywać się słowem.

Postanowienie to miało jeszcze inną, bardzo ważną przyczynę. Zdawałem sobie sprawę, że nawet gdyby moje przecucia się sprawdziły a nuggety zginęły naprawdę, wszelkie poszukiwania będą daremne. Prayerman udowodni, że siedział w ogólnej sali jadalnej, że upił się do tego stopnia, iż zaniecono go do pokoju i zamknięto na klucz. Jego kompan, którego rozmowę w przyległym pokoju podsłuchiwałem, ulotnił się z nuggetami. Nikt go nie zna, ja natomiast nie potrafię udowodnić, że pozostawał z prayermanem w tajemnym kontakcie. Nikt na pewno by W to nie uwierzył, że dwóch mężczyzn znajdowało się w sąsiednim pokoju, nawet kelner miał co do tego poważne wątpliwości, a gdyby dano nawet temu wiare, nie byłoby to jeszcze dostatecznym dowodem. Zresztą nuggety Wattera nie były dla mnie tak ważne jak to, co udało mi się usłyszeć o planie skierowanym przeciwko stryjowi i bratankowi, który chciałem koniecznie sparaliżować. Jeżeli dam znać o okradzeniu Wattera, wyjdzie na jaw, że podsłuchiwałem pod drzwiami łączącymi obydwie pokoje, w ten sposób sam pozbyłbym się broni przeciw prayermanowi, broni, którą mógłbym go pokonać i tym samym nie mógłbym zapobiec planowanej zbrodni, której tajemnica spoczywa jedynie w moich rękach. Z tych powodów postanowiłem stanowczo zachować zupełne milczenie.

Po pewnym czasie Watter wrócił w towarzystwie prayermana, kaznodzieja udawał, że jest ciężko chory. Wyglądał jednak na zupełnie zdrowego. Wziął się do jedzenia z wielkim apetytem, Watter natomiast oświadczył, że nie jest w stanie przełknąć ani kęsa. Fakt ten wskazywał wyraźnie, który z nich był naprawdę pijany.

Rozmawiali najpierw o zakładzie, potem przeszli do innych spraw, przy tej okazji rzucili pod moim adresem obelżywą uwagę. Udałem, że nie słyszę i wyszedłem, by złożyć wizytę pani Stiller, a później chciałem się nieco przejść po przepracowanej nocy.. Gdy oświadczyłem pani Stiller, że mam zamiar udać się na przechadzkę, zapytała mnie czy może mi wraz z synem towarzyszyć. Z uprzejmości nie powiedziałem „nie”. Przemilczałem również to, że jestem po nieprzespanej nocy i że prawdziwy westman nie nazwie przechadzką towarzyszenie damie i zabawianie jej rozmową.

Tak więc planowana daleka wycieczka zmieniła się w męczącą, powolną włóczęgę. Poszliśmy w kierunku placu, na którym odbywały się wczoraj uroczystości studenckie. Byliśmy przekonani, że będzie zupełnie pusty. Tymczasem już z daleka dotarł do nas odgłos strzałów i stwierdziliśmy, że sporo osób przygląda się strzelaniu. Młody Stiller poszedł na plac, by się dowiedzieć, z jakiej okazji dziś znowu strzelają. Po chwili dał znak, byśmy się zbliżyli. Podeszliśmy bliżej, dowiedzieliśmy się, że właśnie odbywają się niezwykle ciekawe zawody strzeleckie, zaaranżował je wczoraj niejaki Mr Watter; obudziły tak wielkie zainteresowanie, że w ciągu jednego dnia nie można ich było zakończyć.

Byłem świadkiem setek zawodów strzeleckich, w których brali udział wprawni strzelcy Dzikiego Zachodu i nieraz sam strzelałem przy tego rodzaju okazjach, nie chciałem więc psuć sobie do reszty i tak nienadzwyczajnego humoru oglądaniem bezmyślnej pukaniny. Ale panią Stiller ogarnęła nagle ciekawość, więc nolens volens\* postanowiłem powiększyć grono widzów.

Główne strzelanie premiowe, odłożone z wczoraj na dziś, już się odbyło. Trwało przeszło godzinę i skończyło się niespodziewanym zwycięstwem Wattera nad tutejszą kompanią strzelców.

Zdawało się, że jak zawsze po głównym strzelaniu napięcie minie i ludzie zaczną się rozchodzić do domów, tymczasem Watter, podniecony sukcesem wpadł na pomysł podwyższenia nagrody z pięćdziesięciu dolarów na sto oraz ogłosił nagrodę w wysokości stu dolarów za pięć celnych strzałów. Żaden ze strzelców nie miał wiary w siebie, żaden też nie chciał ryzykować tak wielkiej sumy przeciw dotychczasowemu zwycięzcy. Nagle, ku ogólnemu zdumieniu, zgłosił się prayerman i oświadczył, że zakład przyjmuje. Fakt, że skromny sprzedawca dewocjonalistów podejmuje walkę z westmanem i ryzykuje sto dolarów, wywołał niesłychane poruszenie. Co do mnie, byłem pewien, że najbardziej zaskoczy to i zdziwi samego Wattera. Sprawa zaczęła mnie teraz interesować. Gdy doszliśmy do strzelnicy, ogłoszono właśnie donośnym głosem warunki. Każdy z zakładających się miał dać ze swego karabinu pięć strzałów.

Odległość strzału wynosiła, według mego zdania, sto dwadzieścia kroków, celny strzał był więc dziecinną zabawką. Zwraçała tylko uwagę okoliczność, że każdy z rywali musi się posługiwać własną bronią. Wynikało z tego, że prayerman ma broń i chodzi z nią po świecie. A więc handel dewocjonalistami jest tylko dodatkiem, a raczej środkiem, mającym prowadzić do celu! Pośpieszył do hotelu i wracał właśnie z bronią w ręku.

Choć stałem dość daleko, zauważyłem, że lufa karabinu jest zżarta jakimś kwasem. Zaciekało mnie to, poprosiłem więc Stillera, by podszedł do prayermana i zobaczył czy obok cyngla nie ma stempla firmy. Nie sprawiło mu to żadnych trudności, gdyż sporo ciekawych przyglądało się karabinowi. Po chwili wrócił o oświadczył, że napis firmy brzmi: Ralling, Shelbyville, Tom. Zdziwiło mnie to niesłychanie. Są, albo raczej byli na Zachodzie strzelcy, znani i sławni ze swej broni. Gdy człowiek taki zjawiał się gdziekolwiek, broń jego wędrowała z ręki do ręki, oglądano ją, próbowano, osądzano jak konia, którego lustrują oczy znawców. Każdy, kto taką broń widział, kto ją zbadał, opowiadał innym o tym ważnym zdarzeniu. Dzięki temu prawie każdy westman znał większość dobrych karabinów używanych po tamtej stronie Missisipi albo przynajmniej wiedział, kto je posiada lub jakie są na nich napisy. Znajomość tych spraw była naszą ambicją, staraliśmy się przy każdej sposobności rozszerzyć swą wiedzę w tej dziedzinie. Znałem tylko dwa karabiny marki Ralling. Właścicielem jednego był podwładny Winnetou, przywódca Apaczów pinulskich, drugi należał do starego, dzielnego poszukiwacza futer, Amora Sannela, którego spotkaliśmy w Utah, później zaś w Montana. Spędziliśmy z nim szereg tygodni, nieraz pozwalał nam strzelać ze swego świetnego karabinu. Po dwóch stronach cyngla kazał wyręć kwiaty.

Nie miałem żadnych wiadomości o śmierci sędziwego myśliwego, nasuwało się więc przypuszczenie, że jest to trzeci karabin. Okoliczność ta budziła we mnie ochotę do wzięcia karabinu w rękę.

Każdy z rywali otrzymał tarczę o dwunastu kołach. Koło z numerem dwunastym leżało w środku i zamykało czarny cel, ostatnie koło wewnętrzne opatrzone było numerem pierwszym, wysokość numeru była więc proporcjonalna do jakości strzału. Przystąpiono do losowania kto strzeli pierwszy, los padł na Wattera. Pieniądze złożono u pewnej pani spośród publiczności.

Gdy Watter zaczął celować, zrobiłem kilka kroków naprzód – krew westmana zagrała we mnie! Strzelił w numer ósmy, kiepski strzał, jeżeli wziąć pod uwagę, że Watter strzelał już dzisiaj. Z kolei nastąpiła siódemka, potem dwunastka, jedenastka i dziewiątka. Razem 47 punktów, po dziewięć i dwie piąte na strzał. Jeżeli przy takich rezultatach można było pokonać całą tutejszą kompanię strzelców, to zakład nie był dla Wattera niczym trudnym lub nadzwyczajnym! Wystąpił teraz prayerman. Zaostrzyłem czujność: człowiek stojący przede mną z utkwionym w celownik wzrokiem nie wyglądał wcale na sprzedawcę dewocjonalistów. Gdybym go ujrzał teraz po raz pierwszy, przysiągłbym, że to westman i wcale nie najgorszy. Oczywiście, określenie „nie najgorszy” nie dotyczy moralnych kwalifikacji. Pochyliwszy się nieco, ujął karabin w sposób znamionujący dobrego strzelca Zachodu, celował krótko, po czym pociągnął za cyngiel. Dziesięć!

– Oto pierwszy strzał – rzekł z uśmiechem. – Następne będą lepsze, messieurs!

Nastąpiła dziesiątka, potem dwa razy trafił w sam środek tarczy, a ostatnim strzałem trafił w jedenastkę. Razem zrobił 55 punktów, czyli dokładnie po jedenaście od jednego strzału.

Watter opuścił smutnie głowę. Chwalił się wczoraj przed prayermanem, że jest wybitnym westmanem, bo był przekonany, że kaznodzieja nie ma pojęcia o Dzikim Zachodzie. A tu nagle ten rzekomy analfabeta bije go o głowę punktami i zabiera sto dolarów. Zwycięzca oklaskiwany przez zebranych uklonił się wszystkim i z dumna, wyniosłą miną skierował się do damy, u której Watter złożył nagrodę. Nie dochodząc do niej zatrzymał się, odwrócił i podniósł rękę, prosząc tym gestem o spokój. Domyśliłem się co postanowił. Demon gry i zakładu pchający go w kierunku postawienia wygranej, trzymał go już w swych łapach.

– Ladies and gentlemen! – zawołał prayerman. – Będę równie przyzwoity jak przedtem Mr Watter. Jak wiadomo, założył się o wygraną poprzednio sumę, czynię teraz to samo. Stawiam za pięć strzałów dwieście dolarów – kto postawi równą sumę?

Milczenie. Spojrzałem na Wattera. Miałem wrażenie, że się namyśla czy nie spróbować raz jeszcze, a może nawet zarobić sto dolarów. Dotychczas stracił pięćdziesiąt, teraz gra szła o poczwórną, wcale pokaźną sumę. Pani Stiller powiedziała cicho:

– To byłoby coś dla pana!

Usłyszawszy słowa matki syn rzekł:

– Ależ mam, przecież pan nie ma przy sobie własnej broni, a nawet najlepszy westman nie strzeli z obcego karabinu pięćdziesięciu punktów na pięć strzałów!

Nie odpowiedziałem, bo moim zdaniem nie mogłem tu w żadnym wypadku wchodzić w rachubę. Chodziło mi tylko o przyjrzenie się karabinowi prayermana. Ale stało się inaczej!

Zwycięzca ponowił propozycję jeszcze kilka razy, lecz nikt się nie zgłaszał. Przy tej sposobności rozglądał się dokoła, w pewnej chwili jego wzrok spoczął na mnie. Twarz nabrała ironicznego wyrazu, zrozumiałem od razu, że zechce się teraz zemścić i skompromitować mnie. Nie omyliłem się. Podniósł rękę i wskazując na mnie, zawołał:

– See, see! Stoi tu jeden, któremu się zdaje, że posiadał wszystkie rozumy. Wczoraj zasypywał wprost swoją mądrością Mr Wattera, który jest przecież mądrym, niezrównanym westmanem i zachował się wobec niego w ten sposób, jak gdyby Old Firehand lub Old Shatterhand byli w porównaniu z nim sztubakami. Przypatrzcie mu się tylko! Jest z zawodu pisarzem pochłaniającym masy papieru i atramentu, ale tak się nadyma, jak gdyby znał wszystkie obyczaje i kawały Dzikiego Zachodu. Chcę mu dać sposobność do pokazania, że nie tylko w gębie jest silny. Wołam więc: come on!

Wszyscy zaczęli mi się teraz przyglądać niezbyt życzliwie. Pani Stiller i jej syn byli oburzeni do żywego, zachowałem jednak spokój i nie odpowiedziałem.

– Widzicie, nawet pary nie puści z ust! – ciągnął prayerman. – Gdy trzeba czynów, śmiertelna trwoga zdejmuje pyszałków i samochwałów! Zadowolony z tych słów, Watter wtrącił ze śmiechem:

– Nie warto tracić czasu na zajmowanie się tym człowiekiem! Widać wyraźnie, że nigdy w życiu nie miał broni w ręku.

– A może nie ma pieniędzy? – zawołał prayerman. – Niech postawi tylko sto przeciw moim dwustu, tylko pięćdziesiąt! Widzicie, miesza się. Spocił się ze strachu jak ruda mysz.

– Gdybym strzelał tak jak pan, dopuściłbym go do zakładu bez obowiązku wpłacenia pieniędzy, przecież i tak nie trafi do celu! – zaproponował Watter.

– Dobrze już, dobrze! A więc bez żadnej wkładki przeciw moim dwustu dolarom! – zgodził się prayerman, uśmiechając się pogardliwie.

– Zaryzykuję je bardzo chętnie, by pokazać szanownemu zgromadzeniu, jak strzela rycerz pióra.

– Tak, by pokazać, jak strzela człowiek, który będąc zerem, chce udzielać rad człowiekowi tak doświadczonemu jak ja! – dodał Watter.

– Przyprowadźcie go tutaj!

Kto inny uważałby to, co zaszło za szczyt kompromitacji, mnie to bawiło. Udając zakłopotanie i niezadowolenie pozwoliłem otaczającej publiczności popychać się naprzód. Zainteresowanie zawodami doszło teraz do kulminacyjnego punktu. Zwycięzca, który w pięciu strzałach zrobił 55 punktów, stawiał dwieście dolarów! Publiczność prowadziła ożywione rozmowy, wśród śmiechów i żartów na temat rezultatu walki zaczęto się tłoczyć dookoła prayermana. Gdy ujrzał mnie obok siebie, roześmiał się szyderczo i zawołał:

– No, jest pan nareszcie, panie, panie... Jakże się pan u licha nazywa?

– Mayer – odparłem.

– Tak, Mayer, Mayer! Chodzi jednak nie o Mayera, a o to, by strzelać do celu. A więc stanie pan do zakładu, he?

– Ależ, ależ... – odparłem lekliwie – przecież nie mam strzelby.

– Strzelby? To doskonale! Słyszeliście, messieurs! Powiedział, że nie ma strzelby. Ha, ha, ha! Zaraz temu zaradzimy, Mr Mayer! Będzie pan strzelał z mojej strzelby, ha, ha, ha! Zgoda?

– Tak, przecież muszę...

– Racja, musi! Nie wykręci się pan! A więc stawiam dwieście dolarów. Jeżeli mnie pan pobije, pieniądze należą do pana i ta lady je panu wypłaci. Zrozumiano?

– Yes.

– Gzy mamy losować kto strzela pierwszy?

– A może ją zacząć?

– Yes.

Miałem wrażenie, że strzelanie po kimś, kto nie da ani jednego celnego strzału, uważałby za coś poniżającego.

– Zgoda! – rzekł. – Strzelam więc pierwszy. Rozstąpcie się panowie! Zabawa się zaczyna!

Gapie otaczający nas zwartą ławą rozstąpili się, nie szczędząc mi w dalszym ciągu ironicznych uwag i przycinków. Zaklejono otwory obu tarcz, po czym mój przeciwnik zaczął się szykować do pierwszego strzału. Przyłożywszy broń do ramienia, opuścił nagle karabin i rzekł głośno, by go wszyscy obecni słyszeć mogli:

– Ladies and gentlemen! Nie wyobrażajcie sobie, że zrobię znowu 55 punktów. Wstydzilibym się dawać mu tak wysoką cyfrę. Będę strzelał na chybił trafił. Uwaga!

Zrobił najpierw dziewięć punktów, potem osiem, potem znowu dziewięć. Celując nieco staranniej, zestrzelił jedenastkę, a w końcu dziesiątkę. W rezultacie zrobił 47 punktów.

– To niewiele, ale dla takiego gamonia więcej niż dosyć – rzekł z uśmiechem. – Oto broń – strzelba, ha, ha, ha, prawdziwa strzelba i naboje!

Udałem, że nie słyszę słowa „gamoń”, i chcąc się dobrze przyjrzeć broni przeciwnika, ująłem karabin za lufę, kolbą do góry. Publiczność odpowiedziała na tę rzekomą niezaradność huraganem śmiechu, a Watter zawołał:

– Zakładam się o dziesięć, nie, o dwadzieścia dolarów, że w pięciu strzałach nie zrobi trzydziestu punktów! Kto przyjmie zakład? Po chwili milczenia odezwał się młody Stiller:

– Stawiam dwadzieścia! U kogo złożymy pieniądze? Może u mojej matki?

– Doskonale! – zawołał z uśmiechem Watter. – Przecież to i tak jedynie depozyt na kilka chwil!

Stiller miał przy sobie tylko dwadzieścia dolarów, opowiedział mi później, że gdyby miał więcej, byłby zaryzykował i tysiąc. Złożyli pieniądze u pani Stiller.

Przed wszystkim spojrzałem na łożyska karabinu, widniały na nich znaki A i S, a więc nie ulegało już wątpliwości, że to karabin naszego starego Amora Sannela, Jakże się dostał w ręce obecnego właściciela? Z pewnością drogą zbrodni!

Nie miałem czasu na zajmowanie się tą sprawą, poczucie, że trzymam znaną mi broń, podziało niezwykle uspokajająco. Mimo to nie byłem zbyt pewny pierwszego strzału. Może prayerman źle się obchodzi ze swoją bronią? Pierwszy strzał musi być w każdym razie

strzałem próbnym. Postanowiłem zrobić czterdzieści osiem punktów. Do osiągnięcia tej cyfry starczą cztery strzały po dwanaście. A więc pierwszy strzał może się nie liczyć. Dobrze, nawet nim nie dotknę tarczy!

– Jazda, jazda! – rozległy się krzyki publiczności. – Niechże pan zacznie strzelać! A to maruda!

Ująłem karabin możliwie najniezgrabniej i wzięwszy za cel pobliską gałąź, wystrzeliłem. Znowu huragan śmiechu i ryków. Śmiechy nie niepokoiły mnie wcale, przeciwnie, fakt, że przestrzeliłem gałąź, dodawał mi otuchy.

– Zniszczył doszczętnie całą gałąź! – Ryczał prayerman. Ludzie, usuńcie się! Tym, którzy stoją za nim, grozi niebezpieczeństwo. Gotów jeszcze strzelić sobie w łokieć!

Gorące brawa były wdzięczną odpowiedzią na te kpiny.

Nabijając karabin zauważyłem, że młody Stiller ma nieco zaniepokojony wyraz twarzy. Zawołałem więc głośno:

Niech się pan nie martwi o te czterdzieści dolarów, Mr Stiller! Pańska matka może je panu wypłacić już teraz, gdyż wygram zakład z pewnością.

Publiczność odpowiedziała nieludzkimi rykami i śmiechem. Gdy się nieco uciszyło, Watter zawołał:

– To jakiś skończony wariat! Chcąc wygrać, musiałby przecież cztery razy pod rząd wziąć po dwunastce!

– To też uczynię.

– Halloo! Ależ to prawdziwy obłęd!

– Pshaw! Mam wrażenie, że jesteście wszyscy ślepi. Musiałem przecież zbadać stan karabinu. Mogłem od razu pierwszym strzałem zrobić dwanaście punktów, uważałem jednak, że to zbyt łaskawe wobec tak marnego strzelca, jakim jest prayerman. Człowiek, który w zawodach poprzednich, traktowanych serio, zrobił na pięć strzałów tylko pięćdziesiąt punktów, powinien słowo „gamoń” skierować pod własnym adresem! A więc uwaga! Teraz wszystko pójdzie znacznie prędzej niż dotychczas.

Wystrzeliłem – kula przebiła tarczę tuż obok czarnego koła; następny strzał padł jeszcze bliżej środka, trzeci i czwarty w sam środek tarczy. Ryzykowałem wiele licząc, że wszystkie cztery strzały będą celne, ale istnieją strzelcy, do których i ja na szczęście należę, którzy, że się tak wyrażę, wyczuwają, jaki będzie dany strzał. Można ich porównać z dobrymi graczami bilardowymi, którzy wiedzą, że zrobią sto punktów po kolei. Gdy taki gracz jest w formie, można być pewnym, że swoją setkę zrobi. Pierwszy lepszy drobiazg mógł wpłynąć na celność moich strzałów, jakiś głos wewnętrzny mówił mi jednak, że mogę ryzykować, a wiara w zwycięstwo niemało w tych wypadkach pomaga.

Zachowanie publiczności zmieniło się teraz zasadniczo. Z początku panowała głęboka cisza, potem zerwała się istna burza oklasków, którą jednak zupełnie zlekceważyłem. Pani Stiller wręczyła synowi czterdzieści dolarów, ja zaś podszedłem do damy, która trzymała .dwieście. Wyciągnęła rękę, by mi je wręczyć, gdy nagle podbiegł prayerman i zawołał:

– Hola, niech się pani wstrzyma! Pieniądze należą do mnie, to przecież był tylko żart!

Otoczono nas zwartym kołem, każdy był ciekaw, jak się skończy to qui pro quo\*. Gdy mój przeciwnik chciał zabrać złoto, wyciągnąłem rękę i rzekłem:

– Ras już otrzymał pan ode mnie nauczkę, więc niech pan mnie nie prowokuje do następnej, gdyż byłaby z pewnością znacznie energiczniejsza od pierwszej. Pan postawił dwieście dolarów, wygrałem je, więc pieniądze należą do mnie. Radzę panu przyjąć to spokojnie, w przeciwnym bowiem razie może pan gorzko pożałować.

– Co to znaczy? Co pan sobie myśli? Czy to ma być groźba? – ofuknął mnie gniewnie. – Nawet pchły na moim ubraniu nie boją się pana!

– Nie chodzi o pchły na pańskim ubraniu, a o robactwo zżerające pańskie sumienie.

– Robactwo?... Sumienie?...Cóż pan wie o moim sumieniu? Z pewnością znowu jakieś



szaleństwo. No, jazda, niech pan gada!

– Well! Powiedz mi bogobojny człowieku, skąd masz tę broń?

– Skąd? Kupiłem ją.

– Od kogo?

– Od poprzedniego właściciela.

– Któż to taki?

– Jeden z moich przyjaciół, nazwisko obojętne.

– Kiedy pan kupił ten karabin?

– O, już dawno, jakieś dziesięć lat temu.

– To kłamstwo!

– Kłamstwo? Czyż to chęć obrażenia mnie? I to przez jakiegoś tam Mr Mayera!

– Pshaw! Znam ten karabin.

– No, no! Mam wrażenie, że pan uważa się za znawcę wszystkich nieznanych rzeczy.

– Zobaczymy zaraz, czy i pan nie jest nim przypadkiem. Słyszał pan może kiedyś o niejakim Amorze Sannelu?

To niespodziewane pytanie oszołomiło go w zupełności. Pobladł jak trup, po chwili jednak odzyskał panowanie nad sobą i odparł niepewnym nieco głosem:

– Nazwisko to jest mi zupełnie... zupełnie nieznanne!

– Niechże się pan więc dowie, że Amor Sannel jest, a może był myśliwym – poszukiwaczem futer. Strzelałem często z jego karabinu, który obecnie należy do pana. Stąd te cztery celne strzały. Ludzie w rodzaju Amora Sannela nie sprzedają i nie darują takiej broni za życia, należy więc przypuszczać, że albo mu ją skradziono, albo przeszła w cudze ręce po jego śmierci! Cóż pan na to?

– Nic, Czekam na dowód, że karabin mój był własnością Amora Sannela.

– Nic łatwiejszego! Przecież wyryte tu jest jego nazwisko!

– Popatrz, popatrz! Wryte? No, no! Panie i Panowie! Przyjrzyjcie się dokładnie tej broni! Dam się powiesić, jeżeli znajdziecie na niej jakieś imię!

Karabin zaczął krążyć z rąk do rąk. Nikt nie zauważył ukrytych znaków. Wskazując na obydwie łożyska rzekłem;

– Złodziej, a może i morderca, z pewnością oglądał dokładnie ten karabin. Byłby głupcem, gdyby w rysunku kwiatów nie zauważył nazwiska; Po dokładnym przyjrzeniu się zauważycie państwo, że poszczególne linie tworzą litery A i S, co daje inicjały Amora Sanpela.

Zauważywszy niemiłe zdumienie oglądających karabin, z łatwością bowiem odnaleźli wskazane litery, prayerman syknął:

– Kłamco! Oszuście! Przy ładowaniu zauważyłeś pan pewne podobieństwo do obydwóch liter i chcąc się zemścić, wymyśliłeś na poczekaniu, zwyczajne kłamstwo!

– Na słowa „kłamco, oszuście” odpowiem za chwilę. Za chwilę również załatwimy sprawę karabinu. Teraz najważniejszą rzeczą jest nasz zakład. Żądam nagrody, pan zaś nie chce jej wypłacić. Niech rozstrzyga publiczność, poddam się wyrokowi. A więc, ladies and gentlemen, czy miałem otrzymać dwieście dolarów w razie zwycięstwa nad tym panem?

– Tak. – brzmiała jednomyślna odpowiedź.

– Czy zrobiłem czterdzieści osiem punktów, a więc więcej niż on?

– Tak.

– Czy pieniądze jemu się należą?

– Nie.

– Więc mnie?

– Tak.

– Wiell. Zabieram je, a kto mi zechce przeszkodzić, będzie miał ze mną do czynienia!

Zwróciłem się znowu do pani, która trzymała pieniądze. Prayerman syknął:

– Nie dopuszczę do tego! To był zakład, pieniądze nie są jeszcze wypłacone. Co tam opinia

sądu, nikogo nie można zmusić do zapłacenia sumy wymienionej w zakładzie.

– Terefer! Będzie się pan bał sądu, bo ma pan za dużo oleju w głowie. A zresztą sąd...

Istnieje trybunał, w którym człowiek sam jest jedynym sędzią. Zobaczy pan zaraz, jak ten trybunał wygląda. Mamy jeszcze drobny rachuneczek za słowa: kłamca, i oszust, skierowane pod moim adresem. Otóż chcę rachunek wyrównać: płacę trzema policzkami, które pan zaraz otrzyma. Pokwitowanie zbyteczne. Chodźże bliżej, bogobojna, dostojna figuro!

Prayerman chciał zwiać, ale ująłem go za kark, okręciłem dookoła i z taką szybkością zaaplikowałem mu zapowiedzianą porcyjkę, że nie miał nawet czasu na myśl o obronie. Potem dałem mu porządnego kopniaka, od którego zwałił się na ziemię i odebrałem dwieście dolarów z rąk damy. Wkładając pieniądze do kieszeni ukloniłem się zebrany. Pod wpływem moich celnych strzałów nastrój ludzi zmienił się zupełnie; gdy opuszczałem plac w towarzystwie pani Stiller i jej syna, rozległy się huczne oklaski.

– Bajeczna przygoda! – rzekła pani Stiller. – Strzela pan i policzkuje ludzi z taką łatwością i szybkością, jak gdyby chodziło o zjedzenie bułki z masłem. Spacer przyniósł panu wcale pokaźną sumkę.

– Pshaw! Nie chodziło mi wcale o pieniądze, zabrałem je, by go ukarać. Zresztą zaufanie państwa do mnie zostało również nagrodzone pewną niewielką sumą. Wracajmy!

– Tak, oczywiście do mnie.

– Niech mi pani pozwoli odmówić.

– Dlaczego?

– Mam wrażenie, że prayerman postara się jak najszybciej ulotnić. Jeżeli tak się nie stanie, chciałbym być w hotelu. Rzuciłem kilka słów, które podkopały jego moralny kredyt. Jestem przekonany, że ziemia zaczyna mu się palić pod nogami. Odprowadzę państwa do domu. Może się wieczorem zobaczymy.

– Dopiero wieczorem? – zapytał młody Stiller. – Szkoda, że pan odchodzi! Każda chwila spędzona w pańskim towarzystwie, jest mi niezmiernie droga. Będzie pan teraz pracował?

– Nie,

– Ma pan coś ważnego do załatwienia?

– Nie.

– Niechże mi pan zatem pozwoli zostać u pana i wypić z panem szklanekę piwa. Sprawi mi to wielką radość, tak rzadko wychodzę z domu.

## Rozdział 4

Nie zależało mi na jego towarzystwie, nie chcąc jednak być nieuprzejmym, zgodziłem się. Oto skutki znajomości; człowiek przestaje być panem siebie. Odprowadziwszy panią Stiller do domu udaliśmy się do hotelu. Na dole stał gospodarz w towarzystwie żony i kelnera, gdy przechodziłem obok niego, zapytał ze zdumieniem:

– Mr Mayer, cóż to się stało? Przed chwilą przyleciał prayerman głośno panu złorzecząc, oświadczył, że odjeżdża, ponieważ pan wypędził go z domu i z miasta. Po pewnym czasie zjawił się tu Mr Watter, również wymyślając na pana. Po chwili zapytał, gdzie jest prayerman. Gdy się dowiedział, że zamierza wyjechać, oświadczył, że również opuszcza hotel, gdyż nie może mieszkać pod jednym dachem z takim, jak pan, człowiekiem.

– Nie zjawili się razem?

– Nie.

– Najpierw przybiegł prayerman, a za nim Watter?

– Tak.

– A więc prayerman nie wie, że Watter również chce opuścić pański hotel?

– Nie. Skądże to pytanie?

Oczywiście nie podałem mu przyczyny. Jeżeli moje przypuszczenia były słuszne, to Watter odkryje przy pakowaniu swych kufrów, że...

Nie zdążyłem dokończyć tej myśli, gdy do pokoju wpadł jak bomba sam Watter, był trupio błydy, drżał na całym ciele. Podbiegłszy do gospodarza zawołał:

– Okradziono mnie, okradziono w haniebny sposób! Włamano się do mego pokoju, zrabowano mi wszystkie nuggety i cały złoty piasek. Gwałtu, rety! Poślijcie po policję!

Słowa Wattera wywarły ogromne wrażenie. Każdy gospodarz dba o dobrą opinię dla swego domu i gotów ponieść niejedną ofiarę, by opinii tej nie narazić na szwank.

Właściciel hotelu wiedział, że złoto Wattera waży pół cetnara, zdawał więc sobie sprawę, że jest to kradzież na wielką skalę, której się nie ukryje. Wezwał Wattera, by się uspokoił i w kilku słowach opowiedział mu przebieg wypadku. Starając się panować nad sobą Watter opowiedział co następuje:

– Jak wiadomo, postanowiłem opuścić wasz hotel z pewnej, znanej wam przyczyny. Udałem się więc do swego pokoju, by spakować kufrы. Skrzynia ze złotem stoi w szafie, nie można jej stamtąd wyciągnąć, gdyż przymocowałem ją ośmioma śrubami do dna szafy. Śruby przechodzą przez dno skrzyni i dno szafy, chcąc je rozkręcić, trzeba wyjąć ze skrzyni wszystkie nuggety. Jest to bardzo kłopotliwe i zabiera tak wiele czasu, że żaden włamywacz nie podjąłby się tej pracy. A jednak pieniądze ulotniły się jak kamfora! I szafa, i skrzynia były oczywiście zamknięte, w dzień noszę obydwie klucze w kieszeni, na noc zaś chowam je pod poduszkę. Gdy przed chwilą otworzyłem szafę i chciałem skrzynię odśrubować, stwierdziłem, że jest pusta. Niechże więc pan pośle natychmiast po konstabla i szeryfa. Niech pan nikogo nie wypuszcza z hotelu, specjalnie chodzi mi o tego gościa, który nosi nazwisko Mayer.

Pod wpływem tych słów Wszyscy zaczęli mi się bacznie przyglądać.

– Dlaczego zależy panu specjalnie na tym panu? – zapytał gospodarz ze zdumieniem.

– Podejrzewam, że on to uczynił, zwierzyłem mu się bowiem z całej historii. Była to niesłychana lekkomyślność, za którą ciężko odpokutuję.

Uwzględniając niesłychane podniecenie Wattera, przyjąłem to obwinienie z wielkim spokojem. Gospodarz wezwał Wattera, by go zaprowadzić do pokoju, w którym popełniono kradzież. Przy drzwiach Watter odwrócił się i krzyknął do kelnera:

– Mr Rost, proszę pilnować dobrze tego gagatka! Niech go pan nie wypuszcza z pokoju.

Młody Stiller był zdumiony moją obojętnością. Gospodyni i kelner zaczęli mnie prosić, bym nie przywiązywał wagi do słów wypowiedzianych przez Wattera w podnieceniu i wzburzeniu. Starali się wytłumaczyć, że jego wściekłość na mnie wzmacnia się jeszcze na wspomnienie wczorajszej bolesnej nauczki.

– Niech mi pan powie, czy gospodarz wie, że jest pan Old Shatterhandem, a nie Mayerem? – zapytał szeptem Stiller.

– Nie ma o tym pojęcia – odpowiedziałem.

– Powiedziałbym mu o tym na pańskim miejscu!

– Dlaczego?

– Reagowałby zupełnie inaczej na rzucone w pańską stronę podejrzenie.

– Ach, ci ludzie wiedzą dobrze, że nie jestem złodziejem, a jeżeli ktoś inny zechce dać wiarę podejrzeniu, zdradzę swe incognito, ale zrobię to jedynie w ostateczności.

– Imię Old Shatterhand jest znane i szanowane, będzie niezaprzeczoną dowodem pańskiej uczciwości.

Tymczasem gospodarz powrócił w towarzystwie Wattera. W międzyczasie wysłał chłopca na policję i oświadczył:

– Jeżeli policja nie wyjaśni sprawy, nie odsłonimy tajemnicy. Nie mogę pojąć jak to się stało!

– Ja również – potwierdził Watter. – Nie rozumiem zupełnie jak to się mogło stać, ale wiem

doskonale, kto jest tym łotrem, który zrobił ze mnie żebraka. Właściwie nie zrobił, a chciał zrobić, gdyż jest tutaj między nami i mam nadzieję, że uda się go zmusić do przyznania się i wskazania miejsca, w którym ukrył moje nuggety. Zostaję tutaj i nie puszcze go dopóki nie nadejdzie policja.

Obrzucając mnie jadowitym, pełnym nienawiści spojrzeniem, usiadł między mną i drzwiami. I teraz nie odezwał się ani słowem, natomiast gospodarz rzekł do niego:

– Mówiłem już w waszym pokoju, że jesteście na zupełnie fałszywej drodze. Złodzieja należy szukać poza obrębem mojego hotelu.

– Pshaw! Już ja to wiem lepiej!

– Nie odważyłby się kręcić wśród nas.

– Och, bywają zuchwalcy, którzy tylko po to zostają w miejscu zbrodni, by odwrócić podejrzenie i upozorować swoją niewinność. Znam te kawały, jestem przecież starym, doświadczonym westmanem, którego nie tak łatwo wyprowadzić w pole.

Opór ten oburzył kelnera, który mnie bardzo polubił, rzekł więc ostrym tonem:

– Niech pan nie popełnia jeszcze większej nieostrożności niż wczoraj! Dzisiejsza historia gotowa się skończy czymś więcej niż wskoczeniem przez okno.

– Nie interesują mnie zdania żółtodziobów. Proszę zachować rady przy sobie, w przeciwnym razie może mi się nasunąć podejrzenie, że włamanie nie odbyło się bez wiedzy i pomocy pana kelnera.

Gospodarz zerwał się i drżąc z oburzenia zawołał:

– Człowieku, nie bądź bezwstydnym! Ze względu na pańską osobę, jak również ze względu na dobrą opinię mojego hotelu żałuję niewymownie, że coś podobnego mogło zająć, ale nie pozwolę, by ktokolwiek śmiało obrażać mnie lub moich ludzi. Na podejrzenia rzucane pod adresem gości nie mogę, niestety, reagować bezpośrednio i im samym muszę pozostawić obronę, mam jednak nadzieję, że pan Mayer, o którego niewinności jestem przekonany, nie będzie dłużej znosił tych oskarżeń w milczeniu.

Zjawił się szeryf w towarzystwie konstabla. Watter zerwał się. Powtórzył szeryfowi historię opowiedzianą niedawno gospodarzowi, oświadczając, że ma co do mnie uzasadnione podejrzenia. Urzędnik zapytał:

– Czy opowiadał pan poza tym komukolwiek, gdzie leżą nuggety?

– Nikomu.

– Czy pozostaje pan przy swoim podejrzeniu?

– Tak, Ten cudzoziemiec był wczoraj na tyle nieostrożny, że siedząc obok mnie rzucił kilka słów na temat kradzieży.

– Ach! To ciekawe!

Zmarszczył czoło, spojrzał na mnie wyzywająco i zapytał:

– Pan jest Europejczykiem?

– Tak. A pan jankesem?\*

– Człowieku, moja to rzecz pytać, nie wasza!

– Któż zabroni mi pytać, kim i czym jest ten, który ze mną rozmawia?

– Ja. Mam wrażenie, że...

Zaczął kiwać głową i oglądać mnie ze wszystkich stron.

– Powiadacie, „mam wrażenie”? To ja mam wrażenie, albo raczej nie mam pewności, kim i czym jesteście.

– Do licha! Jestem szeryfem.

– Doskonale! Trzeba było powiedzieć, bo przecież ludzie nie są wszechwiedzący. Od tej chwili jestem do pańskich usług. Chętnie odpowiem na każde pytanie, o ile oczywiście ich ton będzie uprzejmy.

– Odpowie pan również na pytania, które zadawać będę mniej uprzejmym tonem.

– Ani mi się śni.

– Jestem przedstawicielem władzy, mogę pana zmusić.  
– Słusznie. Jaką jednak władzę pan posiada? Jest pan najzwyczajniejszym obywatelem Stanów Zjednoczonych, którego mianowano szeryfem na przeciąg dwóch lat, po upływie tego czasu znowu będzie pan przeciętną figurą.

Jeżeli pytania pańskie nie będą mi się podobały, nie będę na nie po prostu odpowiadać. Gdyby zachowanie wasze wobec mnie, sir, było odpowiednie, nie mówiłbym tak z panem.

– Dlaczego to nie było odpowiednie? – zapytał z ironicznym uśmiechem,

– Sędzia i urzędnik policyjny musi przede wszystkim panować nad swym wzrokiem, a pan tego nie potrafi. Wśród pewnych okoliczności można kogoś bardziej i mocniej obrazić wzrokiem niż słowami.

– Ależ pan mi tu prawi całe kazanie! Przyzna pan chyba, że padło na pana podejrzenie.

– Yes.

– Przesłucham więc pana i zaaresztuję, gdy mi się spodoba.

– Tego pan nie uczyni.

– Któż mi zabroni?

– Ja.

Cofnął się nieco i obrzuciwszy mnie znowu szyderczym spojrzeniem rzekł z uśmiechem.

– Pan chce zabronić? Jakże pan to uczyni?

– Mam pokazać?

– Well! – skinął głową. – Jestem bardzo ciekaw, czekam.

Chwyciwszy za piersi i biodra dźwignąłem go i zaniósłem przed otwarte okno ze słowami:

– Sir, wyrzuciłbym was przez to okno! Ponieważ jednak nie aresztowaliście mnie jeszcze, umieszczę chwilowo na miejscu, z którego was zabrałem. No, stoi pan znowu!

Zaniósłem go z powrotem i postawiłem przy stole. W pierwszej chwili znieruchomiał ze zdziwienia i przestraszenia, teraz ożywił się nieco.

– Znieważył pan szeryfa! – zagrział. – Zdaje pan sobie sprawę co to znaczy?

– Znieważylem? Nic o tym nie wiem! Pan mnie wezwał, usłuchałem wezwania, co zresztą poświadczyć mogą świadkowie.

– Człowieku, będę musiał inaczej z panem pogadać! Gdy was zechcę aresztować, uczynię to przez konstabla.

– Pshaw! Więc i on wyleci przez okno.

– Tak, jest pan silny jak atleta i bardzo gwałtowny. Niestety nie mogę pana ukarać, gdyż nic nie przeczuwając sam pana sprowokowałem. Istnieją jednak kajdanki i stryczki, rozumiano?

– Wyrzuciłbym je razem z panem i pańskim konstablem. Mam wrażenie, że znam lepiej ustawy Missouri aniżeli pan, urzędnik państwowy! Bez specjalnego nakazu sędziowskiego nie wolno tu nikogo aresztować. Czy wiadomo to panu? Gdzież jest ten nakaz? Gdyby go pan nawet miał, nie zdałby się na nic, gdyż jestem cudzoziemcem. Musiałby się pan zwrócić do Circuit Court\* lub jeszcze wyżej.

– Do stu diabłów! Pan mi daje pełne policyjne instrukcje! – zawołał starając się ukryć zakłopotanie. – A więc mam być dla pana uprzejmy i grzeczny? Well, spróbujmy! Pan ukradł nuggety, Mr Mayer?

– No!

– Nie? A więc przeszukamy pański pokój?

– Do tego nie dopuszczę.

– Nie? Ach!

– Nie. Na podstawie praw stanu Missouri wymagany jest do rewizji również specjalny nakaz sędziowski.

– Jestem zdumiony! Mimo, że jest pan cudzoziemcem, zna pan nasze ustawy od A do Z.

– Jak pan widzi przydaje mi się to.

– Znam ustawy równie dobrze jak i pan. Nie potrzebuję dla dokonania rewizji żadnego

nakazu, gdyż gospodarz nie odmówi zgody.

– Gospodarz nie może rozporządzać moim pokojem. Według praw stanu Missouri gość hotelowy jest wyłącznym właścicielem pokoju, który zamieszkuje i opłaca. Nie jego więc zgoda, a moja tu decyduje.

Szeryf znał oczywiście te przepisy równie dobrze jak ja, przypuszczał jednak zapewne, że można się ich nie trzymać w stosunku do cudzoziemca., A więc nie może dokonać rewizji, nie może mnie aresztować, choć jestem obwiniony! Przełknąwszy i to, rzekł:

– Niech pan nie przeciąga struny i nie utrudnia mi pracy. Dla pana samego będzie lepiej gdy się pan zastosuje do sytuacji.

– Wiem o tym, ale rzucono na mnie niesłuszne podejrzenie. Wypraszam więc sobie spojrzenia i słowa tego rodzaju, jak gdyby pan miał przeciw mnie sto dowodów. Okłamano pana, sir. Nie mnie jednemu okradziony opowiadał o swych nuggetach. Proszę zapytać gospodarza i kelnera!

I jeden i drugi przyznali, że Watter zmuszał ich po prostu do wysłuchania historii o znalezieniu skarbu i że pokazał im skrzynię z nuggetami,

– Proszę również przesłuchać tego osobnika! – dodałem, wskazując na drzwi, przez które wszedł właśnie prayerman.

Świętoszek nie miał pojęcia, że kradzież została odkryta i że szeryf już przybył. Watter zerwał się, ujął go pod ramię, jakby chcąc podkreślić, że bierze go w opiekę i rzekł do urzędnika:

– Ten dżentelmen jest moim dobrym przyjacielem, wie wprawdzie o wszystkim, ale jestem przekonany, że nie tylko nie ukradł nuggetów, ale broniłby ich przed złoczyńcą do ostatniej kropli krwi. Ręczę za niego!

– Well! Czy mieszkał tu również?

– Yes!

– W takim razie muszę go przesłuchać bez względu na to, czy pan za niego ręczy. Mr Mayer, czy będzie pan na tyle rozsądny i pozwoli mi przeszukać swój pokój?

– Owszem – odparłem. – Pod warunkiem jednak, że przeszuka pan również pokój i rzeczy prayermana.

– Zgoda!

– Nie, nie zgadzam się! – zawołał Watter. – Nie pozwolę obrazić przyjaciela. Mogę udowodnić, że w czasie dokonywania kradzieży przebywał bez przerwy ze mną, potem poszedłem z nim do pokoju, zamknąłem go i zabrałem klucz. Jest więc niewinny jak noworodek.

Niech się pan tylko zabierze energicznie do Mr Mayera, jego gwałtowne i grubiańskie postępowanie dowodzi, że ma nieczyste sumienie.

Powtarzanie obelżywej potwarzy wyprowadziło mnie z równowagi. Popelnilem więc w uniesieniu głupstwo odpowiadając:

– Co się tyczy tego noworodka, to chętnie udzielię informacji, które będą zapewne niemiłą niespodzianką. Niech przede wszystkim udowodni, że karabin Amora Sannela jest jego własnością, nabytą legalnie. Poza tym znam tego pana nadspodziewanie dobrze. Nad rzeką Platte wiedzą o mnie więcej niż mu się wydaje, udowodnię, że ma na sumieniu nawet tak zwykle ostrożnego Welleya!

Pod wrażeniem moich słów prayerman zbladł i zaczął patrzeć na mnie szeroko otwartymi oczyma i z takim przestachem, jak gdybym był upiorną marą.

– Platte, Welley? – zapytał szeryf. – Cóż to za związek z Welleyem ma ta rzeka?

– Dowiedcie się wkrótce! Przede wszystkim jednak polećcie konstablowi, by stanął przy drzwiach i nie wypuszczał tego bogobojnego sprzedawcy dewocjonaliów. Mam wrażenie, że... Trzymajcie go, łapcie, trzymajcie!

Gdy podsłuchiwałem rozmowę prayermana z jego współnikiem, kaznodzieja oświadczył, że

z przyjemnością będzie obecny przy odkryciu kradzieży i sposobność do tej przyjemności trafiła się teraz, ale sytuacja była nieco inna niż sobie prayerman wyobrażał przedtem. Moje zarzuty spadły na niego jak piorun z jasnego nieba. Już przy zawodach strzeleckich ziemia paliła mu się pod nogami, obecne moje żądanie oraz nazwisko Welleya napędziło mu takiego strachu, że w dwóch susach zniknął za drzwiami. Wybiegł bez niczego, zostawił rzeczy w pokoju, należało więc przypuszczać, że nie zechce zrezygnować ze swego karabinu i wróci po niego. Wezwałem więc obecnych, by udali się do oficyny celem schwytania zbiega. Gdy podszedłem do drzwi, szeryf zatrzymał mnie i rzekł:

– Sir, proszę zostań! Jest pan oskarżony, nie wolno panu wyjść.

– Ja oskarżony? Przecież prayerman dowiódł ucieczką, że jest sprawcą kradzieży – odparłem.

– Nie! Zrobił mu pan cały szereg zarzutów w innych sprawach, to mogło go skłonić do ucieczki. Pośpiesz się za nim wraz z gospodarzem i kelnerem, pan zaś pozostanie tu z konstablami.

– Byłoby to równoznaczne z aresztowaniem, przecież mówiłem panu, że tego nie zniosę!

– Proszę mnie źle nie zrozumieć! Nie jest pan aresztowany, proszę tylko, by pan tu pozostał aż wrócę. Przyrzeka pan to uczynić?

Wydało mi się to tak niesłychanie komiczne, że usiadłem i odpadłem urzędnikowi:

– Well, zostaną tu dopóki pan nie wróci, o ile oczywiście nie będę czekał za długo. Niechże się pan spieszy, bo kochana, niewinna, nowo narodzona dziecina gotowa się ulotnić; a mądry Watter nie odzyska nuggetów.

Szeryf, gospodarz i kelner rzucili się ku drzwiom, ja zaś pozostałem wraz ze Stillerem pod czułą opieką konstabla. Popełniłem głupstwo zdradzając się przed prayermanem, że znam jego tajemnicę. Ponieważ zaś szeryf uczynił jeszcze większe głupstwo, mogłem sobie darować własną nierozwagę.

Prawdopodobna ucieczka sprzedawcy dewocjonalistów była dla mnie oczywiście niewygodna ze względu, na podsłuchaną rozmowę, w której prayerman i jego wspólnik snuli jakieś plany co do nieznanego mi, niestety, stryja i bratanka. Spodziewałem się, że prayerman zostanie i nadarzy się sposobność dowiedzenia się bliższych szczegółów o nim i jego towarzyszach. Nie można wprawdzie powiedzieć, że czegokolwiek zaniedbałem, tak zwany przypadek nie jest właściwie przypadkiem, lecz rezultatem nieznanymi okoliczności. Jeżeli jednak prayermanowi uda się uciec, cały mój spryt nie zda się na nic i nie dowiem się zapewne, jakich to ludzi dwaj opryszkowie chcą zaciągnąć do finding-hole.

Stiller był uszczęśliwiony, że jest w moim towarzystwie. Nie uważał się za świadka, lecz za współuczestnika niezwykle ciekawego zdarzenia, którego dotychczasowy przebieg doprowadzał go do pasji. Nie rozumiał dlaczego się ociągają z wymienieniem swojego nazwiska. Nie zdawał sobie sprawy, że tylko dzięki znajomości tego nazwiska siedzi tu obok mnie i to jako niezbyt pożądanym towarzyszem. Gdy stanie się głośnie kim jestem, wszyscy mieszkańcy Weston, którzy słyszeli coś o mnie i Winnetou, staną się takimi samymi nieodłącznymi naszymi towarzyszami!

Szeryf wrócił po bardzo długiej chwili. Przypuszczenia moje okazały się słuszne, „noworodek” się nie zjawił. Odpowiadając na moje spojrzenie urzędnik rzekł:

– Sir, proszę się nie śmiać!

– Wcale się nie śmieję.

– Ależ owszem – wyczuwam to.

– Nie ma pan racji. Nie śmiech mną kieruje, lecz ciekawość. Może zechce mi pan powiedzieć, czy prayerman udał się na spoczynek do swojego pokoju?

– Wypraszam sobie podobne żarty! Uciekł, na próżno uganiał się za nim po przedmieściach.

– Czy był w pokoju kiedy weszliście do oficyny?

– Tak, ale zamknął się.

- Trzeba było otworzyć drzwi i okno.
- Tak zrobiliśmy, ale kiedy podeszliśmy do okna stwierdziliśmy, że jest otwarte. Prayerman wyskoczył chwilę przedtem.  
Stało się jak przewidziałem, ptaszek odleciał! Czy zabrał jakieś rzeczy?
- Tylko karabin. Mr Rost wlaźł po drabinie do pokoju i otworzył nam drzwi. W pokoju znaleźliśmy stary kufer.
- Co jest w środku?
- Nabożne książki, których wczoraj nie sprzedał.
- Hm! Czy mogę tam wejść?
- Po co? Chyba nie uważa się pan za sprytniejszego od urzędnika policji?
- Nie. Mam jednak wrażenie, że jeden człowiek zobaczy to, czego nie widzi kilka osób.
- Otóż mamy! – odparł Watter. – Ten pan Mayer jest przekonany, że na całym świecie nie ma człowieka mądrzejszego od niego. To wyimaginowane poczucie mądrości umacnia mnie jeszcze w podejrzeniu. Nie ulega dla mnie kwestii, że jest złodziejem. Od pierwszej chwili nie dowierzałem jego fałszywym, podstępny oczom!
- Tego już było za wiele! Wstałem, podeszedłem do niego i rzekłem:  
– I mimo to, że mam fałszywe oczy, opowiedział mi pan tę całą historię o bonanzy! Człowieku, byłem długo cierpliwy, ale teraz koniec! Jeżeli jeszcze jedno obraźliwe słowo padnie z pańskich ust, rzucę was na sufit i nie zdołacie się od niego odlepić.
- Szeryf rzekł, na to tonem rozkazującym:  
– To nie miejsce na wypowiedzanie gróźb Proszę usiąść! Jako prowadzący policyjne śledztwo nie zniósę, by podejrzany o kradzież krzyczał tak na okradzionego. Najpierw przeszukam teren, na którym dokonano zbrodni, potem zaś zrewiduję pański pokój.
- Well! Obiecałem zgodzić się na rewizję i dotrzymam słowa. Ale potem pozwolę sobie pokazać panu, w jaki sposób odróżnia się winę od nieuczciwości, pomówimy również o tym, że nie należy traktować prawdziwych dżentelmenów jak łobuzów. W rezultacie może jeszcze ktoś znajdzie się pod pałapem...
- Człowieku! Już tego wystarczy, bym panu kazał nałożyć kajdanki. Jeżeli nie...
- Przerwał i spojrzał ku oknu, od którego szedł odgłos kopyt końskich. Ukazały się dwa wspaniałe rumaki osiodłane na sposób indiański, na jednym z nich siedział Indianin. Chcąc ujrzeć, co się dzieje w pokoju, jeździec pochylił się w siodle tak głęboko, że długimi i ciemnymi włosami omal nie dotykał ziemi. Gospodarz podbiegł do niego i po chwili usłyszeliśmy niski głos Indianina:  
– Czy to hotel? Czy mieszka tu mój brat Old Shatterhand?
- Old Shatterhand? – zapytał zdumiony gospodarz. – Czy miał przybyć do Weston?
- Tak. Przybył tu wczoraj. Hotel pański cieszy się w mieście opinią najlepszego, przypuszczam więc, że tu zajechał. Jestem Winnetou, wódz Apaczów.
- Winnetou, Winnetou, Winnetou! – rozległo się ze wszystkich stron i zaskoczeni ludzie pośpieszyli ku oknu. Co do mnie, wybiegłem w kilku susach przed dom.
- Bądź powitany bracie mój, Winnetou!
- Szarlih, bracie mój, podaj mi rękę!
- Spojrzał z zadowoleniem na moje nowe ubranie i ciągnął dalej:  
– Mój przyjaciel Szarlih będzie musiał zdjąć strój białych twarzy i wejść z powrotem w skórzaną powłokę. Mamy jednak czas do jutra. Jakże się czujesz w tym hotelu?
- Hotel ponętny, ludziom, którzy w nim mieszkają, też nic nie mam do zarzucenia. Ale teraz przebywa w nim policja, zginęła bowiem skrzynia nuggetów i pewna biała twarz twierdzi, że złodziejem jestem ja!
- Uff! Old Shatterhand złodziejem! Czy biała twarz nie poprosiła cię natychmiast o przebaczenie?

Każde nasze słowo można było usłyszeć w pokoju, zmruży wszy więc nieco powiekę – był



to znak umówiony, który Winnetou w lot zrozumiał – odparłem:

– Nie. Mimo moich zaprzeczeń twierdzi dotąd, że jestem złodziejem. Szeryf wierzy mu i przed chwilą groził mi nawet zakuciem w kajdany.

– Uff, uff, uff! Kajdany na rękach Old Shatterhanda? Niech mój brat idzie przodem, za chwilę podążę za nim.

Zmrużenie powiek było umówionym znakiem, oznaczało, że chcemy jakąś śmieszna na pozór sprawę traktować poważnie i rzeczowo. Twarz Winnetou rozjaśnił na chwilę uśmiech, trwało to moment, po czym rysy zastygły w pozornym gniewie. Zrozumiałem co oznaczają słowa: „za chwilę podążę za tobą” i wróciłem do pokoju nie zamykając za sobą drzwi.

Obecni w pokoju nie stali już przy oknie. Wiedzieli kim jestem i patrzyli na mnie inaczej niż przed chwilą. Zdziwienie ich jednak doszło do punktu kulminacyjnego, gdy w sieni rozległ się dźwięk kopyt, a potem przed drzwiami stanął na koniu sam Winnetou. Pochylił się, żeby wjechać do pokoju, zatrzymał rumaka i przyjrzał się każdemu z obecnych błyszczącymi, wspaniałymi oczami zapytał:

– Która z białych twarzy jest szeryfem?

– To ja – odparł zapytany tonem tak pokornym, jak gdyby stał przed obliczem koronowanej głowy.

– A więc to ty, ty – rzekł najwspanialszy z Indian głosem, w którym brzmiała nuta litości – odważyłeś się nazwać złodziejem Old Shatterhanda, mego sławnego brata, przed którym drżą zastępy białych i czerwonych wojowników, który gotów jest raczej oddać wszystko co ma niż zabrać obcemu choćby źdźbło trawy? Pshaw!

W tym jednym słowie „Pshaw!” było tyle lekceważenia, tyle miłosiernego politowania, że ten, przeciw któremu zwrócona była oracja, uczynił kilka kroków w tył. Dla każdego, kto nie znał Winnetou, osoba jego musiała być zjawiskiem jeżeli nie niejasnym, to niezwykłym. Ale wspaniały wódz Apaczów, był więcej niż niezwykłym człowiekiem. Nie imponował stanowiskiem wodza, gdyż biali nie okazują specjalnego szacunku indiańskim szczeblom społecznym. Swoją rolę na ludzi zawdzięczał jedynie własnej osobie, własnym zaletom ciała i ducha. Ucieleśniły się one w doskonałej męskiej piękności, nie dziw więc, że jego ukazanie wywoływało zachwyt i ten rodzaj poszanowania, którego nieodzownym następstwem jest bezwzględne posłuszeństwo.

Odziany był – podobnie jak i ja podczas moich podróży na Zachód – w skórzany strój myśliwski skrojony według indiańskiego fasonu, na nogach miał lekkie mokasyny przybrane ostrą świńską szczecina i nuggetami o dziwacznych kształtach. Kapelusza nie nosił. Bujne, gęste, niebieskawoczarne włosy tworzyły wysoki, podobny do hełmu zawój i gdy siedział w siodle, zawój ten rozsypywał się na kształt grzywy lub, gęstego welonu tworzącego królewskie nakrycie głowy. Ani jedno orle pióro nie zdobiło tej indiańskiej fryzury. Mimo, że nie nosił Oznaki wodzów i tak na pierwszy rzut oka nikt nie uznałby go za zwyczajnego wojownika.

Widywałem go nieraz Wśród wielu wodzów ozdobionych orlimi piórami i obwieszonych wszelkimi trofeami; królewska postawa, swobodny, niewymuszony, elastyczny, a jednak dumny krok czyniły go najwybitniejszym spośród wybitnych. Na pierwszy rzut oka jasne było dla każdego, że ma do czynienia z człowiekiem wyjątkowym. Na szyi nosił kosztowną fajkę pokoju, torebkę z lekami i potrójny łańcuch z pazurów niedźwiedzi grizzly, które z narażeniem życia sam upolował. Profil poważnej, męskiej, urodziwej twarzy o ledwie widocznych kościach policzkowych można było określić jako rzymski, matową skórą miała kolor jasnobrunatny z lekkim odcieniem brązu.

Brody nie nosił, hołdując w tej dziedzinie zwyczajom indiańskim, co uwydatniało energiczną linię na pół otwartych ust, o których całowaniu marzyły kobiety. Z tych ust umiał wydobywać tony fletu i straszliwe, piorunowe słowa, umiał dawać nimi wyraz uznaniu, a również i ciętej ironii. Gdy był dobrze usposobiony, jego głos miał niezrównany, pociągający,

niecو gardłowy przydźwięk, przydźwięku tego nie słyszałem u nikogo więcej, a można by go porównać z czułym śpiewem ptaków. Gdy jednak wpadał w gniew, głos nabierał dźwięku metalicznego i takiej ostrości, że peszył przeciwnika. Czasami, choć zdarzało się to niezwykle rzadko, Winnetou przemawiał publicznie z okazji jakiegoś ważnego zdarzenia i zawsze w takich wypadkach stwierdzałem, że panuje nad wszystkimi tajnikami retoryki. Nigdy w życiu nie słyszałem lepszego i bardziej przekonującego mówcy, nie pamiętam też, by ktokolwiek zdołał się oprzeć wymowie wielkiego, niezrównanego Apacza. Nozdrza delikatnie zarysowanego, wyrazistego, ale nie typowo indiańskiego nosa, miały również swoją wymowę. Rozszerzał je i zwężał, każdy ruch odzwierciedlał stan jego duszy. Najpiękniejsze jednak były oczy – ciemne, aksamitne, w których kryły się dobroć, wdzięczność, współczucie, troska, a chwilami zaś pogarda i lekceważenie.

Takie uczciwe, piękne oczy, w chwili gniewu rozświetlane błyskawicami niezadowolenia i pogardy, może mieć tylko człowiek o wielkiej, czystej duszy, szczerym sercu i niezłomnym charakterze. Takim też był Winnetou. Jego spojrzenie niesło szczęście przyjaciom, napelniało, strachem i lękiem nieprzyjaciół, niszczyło niegodnych, zmuszało do posłuszeństwa najbardziej krnąbrnych. Gdy mówił o Bogu, o swym wielkim dobrym Manitou, miał oczy Madonny; gdy był spokojny, oczy te miały wyraz miękkiej, kobiecej.

Wspaniały ten człowiek wjechał teraz na koniu do pokoju. Wszyscy patrzyli z podziwem i zaskoczeniem na władcą twarz i wspaniałą postać. Wódz pochylał się w siodle wytwornym ruchem, unosząc się nieco w ozdobionych zębami węża strzemionach. Z szerokich, potężnych barków zwisało łaśso sięgające aż po biodra. Podobnie jak moje, wykonane było przez jego przepiękną siostrę Nszo-Tszi. Jako pas służył mu jaskrawy koc santillo związany na kształt szala, miał zatknięty za nim nóż, rewolwer i te wszystkie przedmioty, które westman zwykle nosi za pasem. Na ramieniu wisiała dubeltówka nabijana srebrnymi gwoździami. Była to sławna na cały świat srebrna strzelba, której kule nigdy nie chybiały.

Gdy się czyta opowiadania indiańskie, o których wartości, względnie szkodliwości, wspominałem bez żadnych ogródek, znaleźć w nich można szereg straszliwych ilustracji, które budzą wstręt nie tylko u znawcy, ale i u każdego rozsądnego człowieka. Nie ma w nich nic prócz walk, morderstw i żądzy krwi. Każdy Indianin ma na sobie mnóstwo kolorowych piór, co jest niezgodne z rzeczywistością i dowodzi, że tak projektodawca rysunku, jak i wykonawca są ignorantami. Pełno również na ilustracjach najrozmaitszego rodzaju broni, co ma podnieść wojowniczy nastrój książki. Jakże inaczej u Winnetou! Widać tylko strzelbę, gdyż nawet tomahawk, nawiasem mówiąc majstersztyk sztuki kowalskiej, schowany był w torbie ze skóry oposa wiszącej u lewego boku. A jednak cała postać wyglądała tak wojowniczo, że nikt nie pomyślałby o poddaniu w wątpliwość którejkolwiek z tych właściwości, jakie posiadał ten najwyższy wódz wszystkich plemion Apaczów.

Gdy szeryf cofnął się lekliwie, Winnetou zwrócił się do pozostałych i zapytał:

– Gdzież jest biała twarz, której ukradziono nuggety?

– To ja – odparł Watter.

– Stwierdziłeś, że Old Shatterhand jest złodziejem? Watter nie miał odwagi powiedzieć „tak”.

– A gdy mój biały brat wezwał cię do opamiętania, twierdziłeś nadal to samo?

Przestraszony westman nie odpowiedział i na to pytanie.

– Człowieku, stratuję cię kopytami swego konia! Tszah!

Okrzyk „tszah!” był dla rumaka rozkazem wzywającym do skoku. Winnetou ujął go z przodu za cugle, przycisnął mocno piętami i przeskoczył przez stół. Rozległy się okrzyki przerażenia, byty zbyteczne, gdyż odważny skok udał się tak wspaniale, że stołu nawet nie musnął włos końskiego ogona. Watter schronił się pod ścianę. Winnetou spiął znowu konia, który zaczął się teraz posuwać na tylnych nogach i podjechał do zbiega tak blisko, że mógł go dotknąć ręką.

– Na miłość Boską, nie czyńcie tego, nie czyńcie! – zawołał Watter przerażony. – Nie miałem

pojęcia, że ten wspaniały dżentelmen jest sławnym Old Shatterhandem!

– Kojocie!

Kojot to wilk mieszkający na prerii, który się żywi padliną i jest zbyt tchórzliwy, by w pojedynkę rzucać się na żywą zwierzynę. Dzięki tchórzostwu i zapachowi, który wydziela, wszyscy odnoszą się do niego z wielką pogardą; nazwanie więc człowieka jego imieniem jest niezaprzeczalnie wielką obrazą. Watter jednak nie miał odwagi odpowiedzieć na tę obelgę.

Chcąc się obronić przed kopytami zagrażającymi jego twarzy, zasłonił się łokciami i zawołał:

– Niech się pan cofnie, Mr Winnetou, niech się pan cofnie! Koń rozbije mi głowę!

– Cofnę się wtedy, gdy przyznasz, że jesteś kojotem. A więc?

– No dobrze, dobrze! Jestem wszystkim czym chcecie, a więc i kojotem.

Apacz okręcił rumaka, przystanął na chwilę i zawołał:

– A teraz wszyscy, którzy obrazili mego białego brata Old Shatterhanda, precz, precz! Tu miejsce tylko dla niego i jego przyjaciół. Precz!

Zaczął tańczyć na koniu między stołami, panował nad każdym ruchem wierzchowca, ale żywość i ognisty temperament rumaka budziły przerażenie. Watter rzucił się ku drzwiom z szybkością strzały. Nieco wolniej podążył szeryf, którego wyprzedził konstabl.

Dowiedzieliśmy się później, że przenieśli się do innego pokoju, a szeryf wyraził nadzieję, że Winnetou nie zamienił sali w ujeżdżalnię, w której się kielzna indiańskie konie.

Tylko Winnetou mógł wpaść na pomysł jawienia się w holu hotelowym na koniu. Był tak świetnym jeźdźcem, że nie uszkodziłby ani jednego stołu, ani krzesła, gdyby nawet zrobione były ze szkła. Obydwa nasze ogiery, tego samego rasowego rodu, były ogniste, odważne, wytrzymałe, mądre i mimo temperamentu łagodne jak baranki, oczywiście w stosunku do nas. Winnetou ujeździł je i wytresował według zasad szkoły indiańskiej. Jego ogier nazywał się Iltszi\*, mój – Hatatitla\*. Hatatitla był zawsze do mojej dyspozycji. Gdy towarzyszyłem Winnetou, stanowił moją własność, gdy się rozstawaliśmy, koń zostawał u niego. Oczywiście mogłem go zabrać, ale nie czyniłam tego nigdy. Stałe dosiadanie podobnych jak dwie krople wody koni było dobitną ilustracją zewnętrznego kontaktu panującej między nami wewnętrznej harmonii.

Gdy tak ładnie wyproszone osoby opuściły pokój, Winnetou zeskoczył z konia i wyprowadził go, by uwiązać gdzieś razem z Hatatitla. Iltszi nie był podkutą, na posadzce więc nie pozostawił żadnych śladów kopyt.

Gospodarz zwrócił się do mnie:

– Od razu pomyślałem sobie, że nie jest pan tylko włóczącym się po świecie i przygodnie piszącym Mr Mayerem, moja żona może to potwierdzić. Niezwykle niemiły wypadek kradzieży równoważy z nawiązką wielki zaszczyt goszczenia pana i wodza Apaczów w mych skromnych ścianach. Mam nadzieję, że Winnetou również u mnie zamieszka?

– Dziś zostanie na pewno, co do jutra – nie wiem – odparłem. – Mam bowiem wrażenie, że ruszymy jutro na Zachód. Stiller wtrącił szybko:

– Wybiera się pan na Zachód, a nie jak było w planie na Wschód?

– Tak. Winnetou przybywa obecnie z St. Joseph. Gdyby plan wyprawy na Wschód nie uległ zmianie, miałby na sobie inne ubranie, kupione w St. Joseph i zostawiłby tam nasze wierzchowce. Rozumiem każdy jego krok, nie prosząc nawet o wyjaśnienie.

Była to woda na młyn kelnera, który skłonił mi się głęboko i rzekł:

– Proszę wybaczyć, jeżeli byłem za mało uprzejmy, ale nie wiedziałem kim pan jest. Teraz się nie dziwię, dlaczego Mr Mayer z taką pewnością twierdził, że nie spotkam Old Shatterhanda w St. Joseph. Jestem szczęśliwy, że pan zrobił nam zaszczyt i zajechał do naszego hotelu.

Niech mi pan pozwoli usłuchać głosu wewnętrznego, który mi podpowiada, że teraz nareszcie spełni się moje gorące życzenie, i będę mógł przystąpić do studiów lekarskich na terenie jakiegoś indiańskiego plemienia.

– Niech pan się zwróci do Winnetou.

- Milordzie! Wódz uczyni co się panu będzie podobało.
- Możliwe. Ale nie wiem jeszcze dlaczego zmienił plan i będę mógł powiedzieć „tak” lub „nie” dopiero wtedy, gdy się dowiem przyczyny.

Stiller cieszył się z przybycia Winnetou nie mniej niż Rost. Przede wszystkim napełniło go szczęściem samo poznanie wodza. Po drugie spodziewał się, że nadzieja wyratowania ojca ziści się teraz.

Gdy Apacz wrócił i usiadł obok mnie i Stillera, młodzieniec wyprostował się na krześle jak świeca i w tej pozycji, która miała wyrażać największy szacunek pozostał aż do swego odejścia.

Myli się ten kto sądzi, że Winnetou zaczął mówić o sobie, o wyprawach i planach. Nie uczynił tego. Znając go dobrze nie dziwiłem się wcale. W takich sprawach zachowywał milczenie, mówił tylko to, co uważał za niezbędne, warzył każde słowo. Nauczyłem się czytać w jego oczach i twarzy – słowa często mówiły mniej. Gdy kelner zapytał uniżenie co ma podać, Winnetou, odparł: „wody” i spojrzał na mnie. Zrozumiałem spojrzenie i opowiedziałem pokrótce o kradzieży, szkicując w kilku zdaniach sylwetki prayermana i Wattera oraz mój stosunek do nich. Pobieżne określenia wystarczyły w zupełności. Gdy skończyłem, Winnetou wstał i rzekł:

- Niechaj mój brat nie śmieje się z tych ludzi, a raczej niech im współczuje. Winnetou pójdzie obejrzyć stajnię. Chodź ze mną!

Pusta stajnia była schludnie i czysto utrzymana. Zaprowadziliśmy tam wierzchowce i daliśmy im wody oraz owsa. Przed wsypaniem owsa do worków zbadaliśmy jego wartość. Winnetou wydał polecenie, by do Stajni nie wprowadzano żadnych innych koni.

Jak już mówiłem, stajnia mieściła się w oficynie. Tuż obok drzwi stajennych znajdowały się schody prowadzące do pokoju, w którym mieszkał prayerman. Właśnie schodził po nich szeryf w otoczeniu Wattera i konstabla. Zapominając o dotychczasowym niegrzecznym tonie szeryf podszedł i zameldował posłusznie, jak gdyby stawał do raportu:

- Byliśmy jeszcze raz na górze, przeszukaliśmy wszystko gruntownie, ale nie znaleźliśmy nic. Również w pokoju Mr Wattera nic nie wskazuje na sprawców i na sposób dokonania kradzieży. Mr Shatterhand! Pan chciał przedtem wejść na górę?

– Chciałem jako Mr Mayer, zmuszały mnie do tego pańskie zarzuty – odparłem chłodno.. – Obecnie sprawa ta przestała mnie zajmować. A może nie? – dodałem groźnym tonem.

– Ależ tak, tak, cała ta historia nic pana nie obchodzi! Rzecz jasna, że pan jest najzupełniej niewinny. Myślałem jednak, myślałem... że... Hm!

– Cóż pan myślał? – zapytałem, chcąc mu pomóc w zakłopotaniu.

– Ponieważ jest pan Old Shatterhandem, a ten wspaniały dżentelmen to Winnetou, wódz Apaczów, ponieważ wiadomo powszechnie, że panowie umieją odnajdować ślady, których nikt odnaleźć nie potrafi – więc chciałem, kiedy się już spotkaliśmy, chciałem, hm...

– No prędeż, proszę mówić!

– Słowem, chciałem uprzejmie prosić, byście weszli na górę, może uda się wam odnaleźć coś, na co my nie zwróciliśmy uwagi!

Rzuciłem przelotne spojrzenie na Winnetou. Twarz miała wyraz nieruchomy, a więc nie jest ani za, ani przeciw i mnie pozostawia decyzję. Odpowiedziałem więc lakonicznie:

– Chodźmy!

Poszli naprzód, by nam pokazać pokój, podążyliśmy za nimi. Gospodarz, widząc kto idzie na górę, przyłączył się również do towarzystwa. Szeryf otworzył drzwi i chciał wejść.

– Wstrzymajcie się! – rzekłem. – Wejdziecie po nas. .Moglibyście zatrzeć ślady, o ile nie uczyniliście tego już przedtem.

Chcąc, by Winnetou pokazał tym ludziom, czym jest wyćwiczony spryt i orientacja, dodałem:

– Wódz Apaczów wejdzie pierwszy.

Zrozumiał mnie, zrobił krok naprzód, potem się zatrzymał. Twarzy nie było widać. Po chwili wszedł do środka, towarzyszyliśmy mu? Przy prawej ścianie stało łóżko, po lewej stół i krzesło, na nim zaś kufer prayermana. Winnetou pochylił się i podniósł sznur leżący pod stołem.

– To nic! – rzekł szeryf lekceważąco.

– Zaczekajcie! – odparłem.

Apacz podszedł do otwartego okna i spuścił sznury chcąc się zorientować jak daleko sięga. Potem rzucił go do pokoju, ale pozostał przy oknie obserwując coś, czego my nie widzieliśmy. Przesadził framugę okna i wszedł na stojącą obok dachówkę. Po chwili wrócił trzymając w ręku świder o krótkim trzonie.

– Błede twarze nie mają oczu i nie myślą! – rzekł. – Prayerman nie był pijany i nie spał wcale. Miał pomocnika i narzędzia, które mu spuścił po tym sznurze. Pomocnik skradł nuggety i gdy dokonał kradzieży, odniósł narzędzia z powrotem, przywiązał je do końca sznura, a prayerman podciągnął w górę, były źle związane, więc jedno wypadło. Znalazłem je w krzakach dzikiego wina, które okalają mur. Oto jest! Narzędzi tego rodzaju nie pakuje się do kieszeni. Nie miał ich więc podczas ucieczki przy sobie, uciekał w wielkim pośpiechu. Jestem przekonany, że są tutaj. Niech blade twarze raz jeszcze przerzucą jego całe łóżko!

Winnetou nie dotknął nawet łóżka. Konstabl spełnił jego polecenie. Okazało się, że poza pościelą nic w nim nie ma.

– Niechaj blade twarze opróżnią teraz kufer! – polecił Winnetou.

Szeryf odparł, że przeszukiwali już kufer i nic w nim nie znaleźli, nie warto więc męczyć się na próżno. W kufrze nie było nic prócz papierów. Winnetou wziął walizę na chwilę do ręki, uśmiechnął się i podał mi. Spostrzegłem od razu, że jest o wiele cięższa niż należało się spodziewać po jej opróżnieniu.

– Niech brat Shatterhand zmierzy głębokość od wewnątrz i od zewnątrz – rzekł Winnetou.

Nie ulegało wątpliwości, że kufer ma podwójne dno. Po żmudnych poszukiwaniach stwierdziliśmy, że ma głęboką wkładkę, odnaleźliśmy ją i wysypaliśmy z tajemnego ukrycia szereg wytrychów, świdrów, pilników i innych narzędzi. Wszystko zrobiono w ten sposób, by zajmowało jak najmniej miejsca. Koniec jednego, niezwykle wąskiego dłuta podobnego do korkociągu, był złamany. Winnetou przyjrzał się bacznie miejscu, w którym dłuto się złamało i zapytał:

– Blade twarze nie znalazły również żadnych śladów w pokoju, w którym leżały nuggety?

– Żadnych.

– Niech nas tam zaprowadzą!

Watter mieszkał, podobnie jak ja, w pokoju narożnym. Umeblowanie pokoju było ilościowo i jakościowo lepsze od umeblowania pokoi w oficynie. W otwartej na oścież szafie stała jeszcze pusta skrzynia. Winnetou otworzył i zamknął kilkakrotnie jej wierzch.

– To się na nic nie zda! – oświadczył Watter. – Sam otworzyłem ją przed chwilą, klucz mam w kieszeni.

Winnetou dotknął tylnej ściany skrzyni i zaczął ją badać.

– Uff! – zawołał po chwili ukazując nam mały kawałek ostrego żelaza. – Ta rama opiera się nie o ścianę lecz o drzwi!

– Racja! – rzekł gospodarz zdumiony, gdyż szafa zakrywała drzwi w zupełności tak, że Winnetou nie mógł ich w żadnym razie zobaczyć.

– Otwórz pokój, do którego te drzwi prowadzą! – rozkazał Winnetou. – Tam otworzono tylną ścianę szafy. Złodziej nie miał kluczy do skrzyni, więc odkręcił śruby. Przy zaśrubowywaniu skrzyni złamał koniec dłuta, który znalazłem. Wkręcił śruby zaledwie do połowy, poczułem to przy pierwszym dotknięciu.

Przyniesiono klucz, po czym udaliśmy się do przyległego pokoju i otworzyliśmy drzwi łączące obydwa pomieszczenia. Stanęliśmy przed tylną ścianą szafy i natychmiast ujrzeliśmy,

że część jej usunięto. Była to zwyczajna, lekka szafa hotelowa, tylna ściana składała się z kilku desek, do których stolarz wbił parę gwoździ; by usunąć deski, złodziej powyciągał gwoździe. Oczom naszym ukazało się wewnątrz szafy, ujrzelśmy również wkręcone do połowy śruby. Sytuacja przedstawiała się dosłownie tak, jak przewidział Winnetou: z braku klucza złodziej nie otworzył zamka skrzyni, lecz dobrał się do niej z tyłu przez odkręcenie śrub.

– Zdumiewające, zdumiewające! – zawołał szeryf.

– Kto by to przypościł! – dodał Watter. Gospodarz trącił go lekko w bok i rzekł uszczypliwie:

– Cóż pan powie teraz o swej wielkiej mądrości Mr Watter? Któż to jest „zupełnym zerem”? Któż to postępował jak dureń, któż to dał się spać prayermanowi i zasnął tak, że nie słyszał hałasu w sąsiednim pokoju? Chcieliście opuścić mój hotel z powodu Mr Shatterhanda, w swojej głupocie naraziliście się na jego gniew. Nie wstrzymuję was, gdyż nie potrzebuję takich gości. Zrozumiano?

Watter nie odpowiedział ani słowem. Winnetou ciągnął dalej przerwane przez gospodarza wywody:

– Złodziej podawał złoto współnikowi, stojącemu na dole, w jakimś naczyniu, które spuszczał po sznurze.

– Nie potrzebował żadnego naczynia – oświadczył Watter. – Złoto leżało w mocno związanych paczkach. Skądże pewnoś, że podawał je przez okno?

Nic nie mówiąc Winnetou wskazał na kilką leżących na podłodze nuggetów oraz na smugę złotego pyłku biegnącą w kierunku okna.

– Ach, a więc jedna paczka była otwarta! Tak, z pewnością! Więc trzy osoby mnie okradły! Prayerman – niech go diabli porwą! I jeszcze jakichś dwóch, których wcale nie znam! Będę go szukać, a gdy znajdę...

Nie słyszałem dalszego ciągu, wyszedłem bowiem wraz z Winnetou, który uważał swoją rolę za skończoną. Na dole wódz Apaczów chciał wejść do sali jadalnej, wstrzymałem go jednak ruchem ręki kierując znów kroki do pokoju prayermana. Udał się za mną w milczeniu. Gdy znaleźliśmy się na górze, opowiedziałem mu treść podsłuchanej rozmowy. Słuchał bardzo uważnie, a gdy skończyłem twarz jego rozpromieniła się ulubionym przeze mnie uśmiechem aprobaty i zadowolenia, i rzekł:

– Mój biały brat chce zapewne raz jeszcze przeszukać ten kufer i zobaczyć, czy nie ma w nim czegoś, na co nie zwróciliśmy uwagi.

– Tak. Dlatego przyszedłem tu znowu zanim się zjawi szeryf i kufer opieczętuje.

– Szukajmy więc!

Jeszcze raz przeszukaliśmy skrupulatnie wszystkie papiery, niestety bez rezultatu. Potem wróciliśmy do przeszukiwania kufra. Nie ulegało kwestii, że nie zawiera już żadnej szuflady ani skrytki, zauważyliśmy jednak, że w jednym miejscu ktoś naciął płócienny futerał.

Włożyłem rękę w otwór i wyciągnąłem z niego trzy dokumenty. Na pierwszym widniały same nazwy. Tytuł brzmiał następująco: „To the finding-hole”. Pod tytułem widniały następujące nazwy: „Kansas City, Cansas River, Republican River, Firenchmans River, Iron Mountain Chug, Water Greek, Lakę Jone, Grand Medicine Bow River, Sweet Water River, Pacific Greek, Big Sandy Greek, Fremont Peak, Finding-hole”.

Drugim dokumentem był weksel na okaziciela na pięć tysięcy dolarów, wystawiony przez Franka Shepparda i żyrowany przez Emila Reitera.

Niezwykle interesujący był trzeci dokument następującej treści:

### **Zeznanie**

***Ja, Emil Reiter, oświadczam niniejszym pod przysięgą, że przedwczoraj, o godzinie trzeciej po południu zabiłem ze swego karabinu farmera Guya Finella i przyrzekam, że po okazaniu***

***tego dokumentu bez wahania przyznam się przed sędzią śledczym do popełnienia morderstwa.***

***Emil Reiter, Stedsville.***

Data dokumentu wskazywała, że pochodzi mniej więcej sprzed roku. Nazwisko Reiter przypomniało mi mego nauczyciela muzyki, starego, kochanego nauczyciela śpiewu, który dał do druku mój hymn. Syn jego, Emil, wywedrował do Ameryki.

Byłem przekonany, że to czysty przypadek, nie miałem bowiem żadnych podstaw do twierdzenia, że autor dokumentu jest synem mego nauczyciela śpiewu. Cóż go skłoniło do podpisania tego zeznania? Po co ktoś kazał wręczać sobie ten dokument i trzymał nie zawiadamiając władz sądowych o morderstwie? Czy osobą tą jest obecny posiadacz dokumentu – prayerman? Jeżeli tak, to ma z pewnością jakieś złe zamiary. Może Emil Reiter był zmuszony do dania akceptu na wekslu, Frank Sheppard i prayerman to jedna i ta sama osoba, a handlarz dewocjonaliów nazywa się – przynajmniej obecnie – inaczej.

Winnetou spojrział na mnie badawczo. Gdy schowałem wszystkie trzy dokumenty, zapytał:

– Zatrzymamy je?

– Tak – odparłem. – Jeden z nich, najważniejszy, zawiera plan podróży do finding-hole, dwa pozostałe mogą się nam jeszcze przydać.

– Te nazwy określają dokładnie drogę, po której obaj ruszymy – przerwał wreszcie milczenie.

– Czy musimy tam jechać? – zapytałem z takim spokojem, jakbym już wiedział, że ruszymy na tę kilkumiesięczną, uciążliwą i niebezpieczną wyprawę.

– Musimy – odparł równie prosto. – Twój czerwonoskóry brat, Winnetou, nie miał wcale czasu na przeniesiecie nuggetów na Wschód. Zawrócił w połowie drogi, dowiedział się bowiem, że wojownicy szczepu Crow wykopali przeciw wojownikom Szoszonów tomahawki wojny.

– Przypuszczałem, że to uczynią.

Słowa te były dla niego niespodzianką, mimo to zapytał bez śladu zdumienia:

– Mój biały brat wiedział o tym?

– Tak. Szoszoni zamordowali sześciu ludzi z plemienia Crow, którzy zechcą pomścić śmierć braci. Dowiedziałem się o tym od pewnej squaw, jej mąż był naocznym świadkiem mordu. Otrzymała list od wodza, plemienia Kikatsów, Jakonpi-Topa.

– Uff! Winnetou i Old Shatterhand muszą ruszyć jak najprędzej, by nieść pomoc swym przyjaciółom Szoszonom! Zamordowanie sześciu ludzi nie jest jedynym powodem zbrojnego zatargu. Wbrew zgubnemu zwyczajowi czerwonoskórych, Jakonpi-Topa nie rzucił się do walki natychmiast po dokonaniu zbrodni, lecz cofnął się i gotuje do wyprawy. Poruszył Rivesów, Mountain-Crow, Ahwahayasów i Allakaweyasów, mam wrażenie, że chce również wciągnąć do akcji wojowników Satsilak, Kahmasu, Pigunsi i Small-Robesu. To stary, wytrawny lis. Jego przeciwnik, wódz Szoszonów, Wagore-Tey\*, nie ma nawet trzydziestu wiosen, jest to człowiek szczerzy, otwarty, lecz brak mu doświadczenia.

– W takim razie musimy ruszyć co prędzej i najkrótszą drogą. Najwygodniejsza ciągnie się wzdłuż North Platte River, tyle jednak na niej zakrętów, że jej przebycie zajmie nam dwa razy więcej czasu niż przedostanie się drogą krótszą. Ta ostatnia jest jednak niezwykle męcząca i wymaga wielkiej znajomości terenu, którą na szczęście posiadamy. Dokument prayermana zawiera dokładny opis jej etapów, jest więc

nadzieja, że mimo ucieczki uda się nam schwytać go po drodze. Twoja decyzja dotycząca wyprawy do Szoszonów pozwoli mi ponadto zrealizować prędzej niż się spodziewałem jeszcze jedno życzenie. W niewoli u Kikatsów przebywa pewna błada twarz. Jest to mąż squaw, o której ci już wspomniałem, był naocznym świadkiem zamordowania sześciu Szoszonów i to właśnie jego żona otrzymała list od Jakonpi-Topa. Nie zwolnią go za żadną cenę, choćby okup był nie wiedzieć jak wysoki, trzeba więc go będzie wyrwać Kikatsom siłą lub podstępem.

– Czy mój brat Old Shatterhand ma podstawy do opiekowania się nim?

– Tak. Zaraz opowiem jakie.

Zacząłem opowiadać o pani Stiller i jej synu. Chcąc obudzić zainteresowanie dla ich losów nie pominąłem żadnego szczegółu. Stwierdziłem z zadowoleniem, że metoda odniosła zamierzony skutek. Słuchał mnie bardzo uważnie. Gdy skończyłem, zapytał:

– Jak widzę, mój brat Szarlif sympatyzuje z tą squaw i z jej synem? Tak. Tyle w życiu wycierpiała, że chciałem jej oszczędzić straszliwego bólu – straty męża.

– Uff! Przeszła pasmo nieszczęść, by się połączyć z małżonkiem. Serce ma wierne i czyste, za to powinna ją spotkać nagroda. Musiała żyć z łaski innych, straciła dawne bogactwa. Czy mój brat nie mógł nic dla niej uczynić? Nie mógł jej dać pieniędzy na drogę, na pożywienie, na ubranie?

– Byłem sam biednym chłopcem.

Nie wspomniałem słowem, że ich obdarowałem, gdyż Winnetou, jak i ja, nie znosił chwaleń się swoimi dobrymi uczynkami.

Mimo że zawsze okazywał bliźnim, zarówno białym, jak czerwonoskórym, wiele współczucia, mimo że nieraz nadstawiał karku w obronie innych, nigdy nie wspominał o tym ani słowem. Jego zdaniem dobrodziejstwa wyświadczone biedakom, wyświadcza się właściwie wielkiemu, dobremu Manitou. Nie wolno więc opowiadać nikomu o swym stosunku do Najwyższego.

– Mąż tej squaw zwie się Nana-po? Słyszałem już niegdyś to imię. Nana-po... mam, mam! Zaopiekował się pewnym wojownikiem plemienia Sambierów, który spadł ze skały i pielęgnował go tak długo, dopóki Sambier o własnych siłach nie mógł powrócić do domu, słyszałem to z jego własnych ust. Kto tak postępuje wobec obcych, ten musi być dobrym człowiekiem i nie powinien ginąć na palu. Porwiemy go, jeżeli oczywiście jeszcze żyje. Teraz chodźmy! Niechaj nikt nie wie, że tu jeszcze raz szukaliśmy i coś znaleźliśmy.

Na podwórzu stał tłum ludzi. Wiadomość o naszej obecności w hotelu rozeszła się po mieście lotem błyskawicy. Kochane, ciekawe „ptaszyny” już się zleciały i wiedzieliśmy doskonale, że nie opuszczą nas aż do chwili odjazdu! Winnetou zamknął stajnię i włożył klucz do kieszeni, chcąc przynajmniej koniom zapewnić należyty spokój.

Chcieliśmy się udać do sali jadalnej, gdzie czekał na nas Stiller. Właśnie wychodził, by nas poszukać, oświadczył, że matka wzywa go, by zaraz wrócił, gdyż stało się coś niezmiernie ważnego i prosi, bym również z nim przybył. – Czy jest ktoś w jadalni? – zapytałem.

– Sala pełnusięńka! – rzekł z uśmiechem. – Nie ma gdzie szpilki włożyć. Przed hotelem również tłum ludzi. Wszyscy chcą zobaczyć Winnetou i Old Shatterhanda!

– Obaj pójdziemy z panem. Proszę, niech pan prowadzi taką drogą, by nas nie widziano. Przecież nie jesteśmy zabawkami na jarmarku!

Stiller nie mógł niestety spełnić tej prośby. Tłum starał się wprawdzie o utworzenie nam drogi, ale był tak liczny, że przedzieraliśmy się przezeń bardzo wolno. Na ulicy było jeszcze więcej ludzi. Posuwaliśmy się z największym wysiłkiem. Nie dając



jednak za wygraną mrowie ludzkie ruszyło za nami, gdy weszliśmy do mieszkania Stillera tłum zatrzymał się przed domem. Pani Stiller nie miała pojęcia, że zjawię się w towarzystwie Winnetou. Zobaczyła go i znieruchomiła. Była tak wzruszona, że nie mogła opanować łez cisnących się do oczu. Nieraz już przyglądałem się podobnym scenom wywołanym ukazaniem się wodza. W chwilach takich i mnie ogarniało wzruszenie. Winnetou działał na ludzi nie tylko postacią pełną nieodpartego uroku, ale i nader głośnym imieniem. Widząc, że pani Stiller płacze, podał jej rękę i rzekł:

– Winnetou przybywa, by powiedzieć pocziwej białej siostrze, że jest jej przyjacielem i że postanowił ukoić jej boli przypuszcza, że uda mu się to przy pomocy brata Szarliha.

Nie nazwał mnie Karolem, a Szarlihem. W odpowiedzi ujęła tylko jego rękę i mocno uściśnęła. Weszliśmy do pokoju. Winnetou usiadł, zachowując się z niesłychaną prostotą. Pani Stiller milczała dalej nie spuszczać z niego oka. Dopiero syn zwrócił jej uwagę, że posłała po nas, bo podobno zaszło coś ważnego.

Zaczerwieniła się, oczy błysnęły radością.

– Tak – rzekła – coś bardzo, bardzo ważnego, co położy kres cierpieniom i zapewne wróci utracone szczęście. Proszę, niech pan czyta, Shatterhand!

Mówiła po angielsku przypuszczając, że Winnetou nie zna niemieckiego. Podała mi gazetę, wskazując palcem na jedną ze szpalt. Był to wychodzący od wielu lat „Goniec Zachodu”, jedyne po zachodniej stronie Missisipi wydawane pismo niemieckie. Na widocznym miejscu wydrukowane było tłustymi literami:

– v. St! –

– v. St. –

**Niewinność została udowodniona. Sprawca wykryty, przyznał się do wszystkiego. Można śmiało wracać. Jeżeli natychmiastowe przybycie niemożliwe, proszę podać dokładny adres.**

### *Wierny sąsiad*

Gdy przeczytałem list, pani Stiller złożyła ręce i płacząc z radości, rzekła:

– Nareszcie, nareszcie, Bóg się zlitował nad nami! Jakże mu jestem wdzięczna! Wolno nam wrócić do ojczyzny, znowu możemy nosić dawne, uczciwe nazwisko! Odzyskamy wszystko, co straciliśmy. Płacz i ty mój synu! Inne to łzy niż te, które przelewaliśmy dotychczas. Olbrzymi ciężar smutku spływa wraz z nimi z serca. Odzyskujemy swobodę ruchów. Dlaczego mój stary, dobry ojciec nie dożył tej chwili? Byłaby dla niego niewypowiedzianym szczęściem.

Syn usiadł w kącie i ukrył twarz w dłoniach. Radość matki i syna cieszyła mnie niewymownie, lecz doświadczenie życiowe mówiło, że należy być ostrożnym. Jeżeli ogłoszenie okaże się fikcją, ludzie ci odczują to jako cios podwójnie bolesny. Dlatego zapytałem:

– Czy można ufać temu wezwaniu? Może to jakaś pułapka?

– O nie! To sąsiad wierny i szczerzy jak złoto. Nie mieliśmy odwagi korespondować z nim, ale umówiliśmy się, że da natychmiast znak życia, gdy tylko sprawy wezmą korzystniejszy dla, nas obrót. Ponieważ nie mogliśmy określić gdzie się osiedlimy, postanowiliśmy, że ewentualne zawiadomienie ogłosi w kilku dziennikach Nowego Yorku, Cincinnati, Chicago i St. Louis, ustaliliśmy również formę ogłoszenia, nie ulega więc kwestii, że dał je nasz przyjaciel, a nie żaden złośliwy dowcipniś. To najszczerza i najczystsza prawda!

– Well, więc zabiorę gazetę.

Złożyłem dziennik i wsunąłem do kieszeni.

– O nie! – zawołała pani Stiller. – Niech pan nie zabiera! To dla mnie wielki skarb, to mój cały majątek!

– Nie wątpię, że tak jest. Ale pani może kupić drugi egzemplarz, a my na to nie mamy czasu. Dziennik jest nam potrzebny.

– Po co?

– Chcemy go doręczyć pani mężowi.

Nie spodziewała się tego. Uszczęśliwiona zawołała:

– Na miłość Boską! Czy to możliwe? Naprawdę chcecie to uczynić? i Chcecie mu przynieść radosną nowinę?

– Tak. Mój brat Winnetou zgadza się.

– Mój brat Szarlilh mówi prawdę – potwierdził wódz. – Moja poczciwa biała siostra zносиła bohaterko nieszczenie. Wielki Manitou to widział i dziś nagradza ją za to. Chce, żebyśmy ruszyli po Nana-po, wydobyli go z niewoli i połączyli z wierną squaw. Jutro rano ruszamy i będziemy się starali sprowadzić go tutaj.

Biedna kobieta nie wiedziała co ma z radości robić. Złożyła błagalnie ręce i patrzyła na niego, wreszcie padła na kolana. Nie dając jej dojść do słowa Winnetou podniósł ją z kłęczek i rzekł:

– Winnetou jest człowiekiem, a przed ludźmi kłękać nie wolno. Jeżeli moja biała siostra nie chce, bym się natychmiast oddalił, niech nie dziękuje ani jednym słowem!

– Jak mogę milczeć, gdy moje serce przepelnia radość i wdzięczność? Jak się biedak będzie cieszył, gdy otrzyma gazetę z pańskich rąk! Mr Shatterhand, mój mąż umie na pamięć pański wiersz i wie, w jaki sposób go otrzymałam. Początek wiersza brzmi mu w uszach tak wyraźnie, jak wtedy, gdy pod choinką słyszałam go po raz pierwszy. „Niosę wam wieść radosną!”. Radość z powodu Bożego Narodzenia to inna sprawa. Mój mąż jest ateistą.

– Pani Stiller, proszę się nie smucić. Szlak cierpienia, na którym spotkałem panią, zmieni się w drogę błogosławioną.

– To się już stało, Mr Shatterhand! Spotkał mnie pan w chwili, kiedy fale smutku nurtowały mnie najsilniej i najgłębiej. Śpieszyłam do Graslitz, do kogoś, kogo z ostrożności nazwałam krewnym; w rzeczywistości był to krewny jednego z naszych urzędników. Zdawało mi się, że jest zamożny, jednak się myliłam. Wyjechał już z Graslitz i gdyby pan nie ulitował się wtedy nade mną i nie parował mi swoich wszystkich pieniędzy, umarłabym chyba!

– Uff! – rzekł Winnetou grożąc mi lekko ręką. – A więc mój brat Szarlilh jednak dopomógł, mimo że przedtem to przemilczał. Tak, tak, zawsze ten sam!

Nie chcąc, by mówił dalej, zapytałam:

– Czy list polecający od mojego ówczesnego towarzysza Carpia przydał się pani?

– Nie. Wzięłam go tylko po to, by nie martwić młodzieńca. Czy zna pan może adresata?

– Nie.

– To niejaki Mr Sachner zamieszkały w Pittsburgu. Poinformowałam się przejeżdżając przez to miasto. Wzbogacił się na uprzejmościach, za które płacono mu dziesięciokrotne procenty. Opisano mi go jako jednego z najniebezpieczniejszych lichwiarzy. Angolicy nazywają takie indywidua cutpurse\*, Amerykanie – throat cutter\*. Oczywiście nie oddałam mu listu.

A więc tajemniczy krewny mego Carpia jest po prostu lichwiarzem! Trzy tajemnicze zaklęcia: „Eldorado, milioner, spadkobierca generalny” nie wywierały teraz tego magicznego wpływu, co dawniej, choć i wtedy odnosiłem się do nich z pewnym sceptycyzmem:

Dalszą rozmowę pomijam, toczyła się bowiem na temat nie mający nic wspólnego z naszymi przyszłymi przeżyciami. Nie chciałem namawiać Winnetou, aby przyszedł tu ze mną jeszcze wieczorem. Pani Stiller poprosiła o pozwolenie odwiedzenia nas na chwilę w hotelu oświadczając, że przyniesie list do męża. Ustaliliśmy godzinę, o której mieliśmy na nią czekać i oddaliśmy się.

Wszystkie sale hotelu były zapchane ludźmi. Watter siedział na oknie. Ujrawszy nas zeskoczył i zawołał:

– Messieurs! Odchodzę, by ścigać prayermana, szeryf pomaga mi w pościgu. Chciałbym tylko, by Mr Shatterhand wybaczył mi moje głupie i ordynarne postępowanie. Oświadczam uroczyście, że nie uważam już tak zwanego Mr Mayera za „skończone zero”. To pana zadawała?

– Yes! – odparłem z uśmiechem,

– Sam diabeł by nie poznał, że ten świętoszek jest takim łotrem!

– Za pozwoleniem! Czy czytał pan kartkę, którą pewien chłopak wręczył panu wczoraj w sali jadalnej? Oświadczył mu pan; „odpowiedź za rok”. Z pewnością leży jeszcze w kieszeni kamizelki. Cóż tam było napisane? Gdzież ona jest?

Znalazł wreszcie, odczytał i spojrział na mnie zupełnie zbity z tropu.

– Napisałem tę kartkę, by pana przestrzec – oświadczyłem. – Szkoda, że jej pan nie przeczytał i nie zastosował się do rady. Jak pan widzi, nie trzeba było wcale szatańskiego sprytu, by przejrzeć zamiary prayermana. Trzeba tylko mieć otwarte oczy, a pan je uparcie zamykał!

Powiedziawszy to odwróciłem się na pięcie i wyszedłem.

Dla Winnetou przygotowano najpiękniejszy pokój; chcąc uniknąć natrętnych gapiów udaliśmy się tam. Po chwili zjawił się kelner pod pozorem podania nam czegoś, właściwie wszedł jedynie po to, by wodzowi przedłożyć swą prośbę. Uczynił to z niezwykłą uprzejmością, wśród głębokich ukłonów. Winnetou nie bardzo się palił do spełnienia jego życzeń gdy jednak zacząłem prosić, Apacz postanowił zrobić wyjątek i zabrać na wyprawę człowieka, który nie jest westmanem. Oświadczył tylko, że Rost musi się postarać o dobrego konia i udowodnić, że jest niezłym jeźdźcem.

– Proszę o kwadrans cierpliwości – odparł kelner. – Potem proszę spojrzeć na podwórze.

Po upływie tego czasu zjawił się na podwórzu na całkiem możliwym kasztanie i wykonał kilka skoków ściśle według reguł jazdy, Winnetou wezwał go do siebie i kazał, by na jutro rano zaopatrzył się we wszystko, czego potrzeba do drogi. Poczciwiec omal nie oszalał z radości i popędził jak wicher, by gościom hotelowym opowiedzieć o swym wielkim Szczęściu.

Ze schodów zawrócił, otworzył raz jeszcze drzwi naszego pokoju i rzekł wśród głębokich ukłonów:

– Panowie! Zapewniam was, że to najpiękniejszy dzień mego życia. Niech mi będzie wolno oświadczyć, że. głos Wewnętrzny mówi mi, iż nigdy nie będziecie żałować tak zaszczytnej dla mnie decyzji?

## Rozdział 5

W trzy tygodnie później znaleźliśmy się pośród gór Albany ciągnących się na południowy wschód od Wyoming. Na północy wznosił się szczyt Comical Peak, za nami ciągnęły się wzgórza Squaw, daleko na horyzoncie ciemniały kontury Reev Peak i Laramie Peak. Na lewo ginęły w dalekiej perspektywie szczyty pasma górskiego Eld Head, na prawo zaś od nich rysowała się ledwie dostrzegalna linia West Elk Mountains.. Przemierzaliśmy szeroką, niezwykle płodną równinę Laramie, naszym celem było Lake Jone, u którego brzegu chcieliśmy przenocować.

Dla informacji czytelników zaznaczam, że ubranie kupione w St. Joseph zostawiłem u pani Stiller z prośbą, by również i przysyłane dla mnie z St. Louis honoraria autorskie kwitowała i inkasowała.

Jechaliśmy dotychczas bardzo ostro i forsownie, podczas całej wyczerpującej podróży nie zaszło nic godnego uwagi. Z doktora Rosta byliśmy zupełnie zadowoleni. Mimo małego wzrostu i pozornie wątłej budowy okazał się wytrwałym jeźdźcem i czujnym, usługowym towarzyszem, jego przesadna uprzejmość bawiła nas niemało. Jeszcze często tytułował nas milordami i bardzo często prosił, byśmy mu pozwolili zakomunikować „co mówi jego głos wewnętrzny”. Oczywiście trudno było przewidzieć, jak się zachowa w rzeczywistości niebezpiecznych sytuacjach, żywiłem jednak nadzieję, że i wtedy nie będę żałować, że się za nim wstawiłem u Winnetou. Doktor Rost zabrał ze sobą na wszelki wypadek doskonale zaopatrzoną apteczkę oraz szereg instrumentów chirurgicznych.

Chcąc odszukać Szoszonów trzeba było dotrzeć do rzeki Wąż, by się dowiedzieć, gdzie można ich znaleźć. Jakkolwiek znaleźmy dokładnie ich siedziby składające się z prawdziwych wsi o dobrze zbudowanych drewnianych domach, to jednak należało przypuszczać, że wobec spodziewanej wojny z plemieniem Crow przynajmniej wojownicy opuszczą domostwa.

Minęło południe. Od Łakę Jone dzieliły nas mniej więcej dwie godziny drogi. Był to czas tak zwanego lata indiańskiego, cudownej pory roku, właściwej tylko Zachodowi, nieznannej w żadnym kraju na ziemi. Choć wysokość wzgórz Laramie dochodzi do dwóch tysięcy metrów, powietrze było tak łagodne, takie ciepłe, jak na żadnym szczycie, nawet mniej wysokim w najgorętsze lato. Miało przy tym taką czystość i jasność, że szeroka równina wydawała się bez końca.

Część równiny była pokryta wysoką trawą i dzięki temu z daleka zauważyliśmy linię śladów, idącą od prawej strony i przecinającą naszą drogę pod kątem prostym. Gdy do niej dotarliśmy zatrzymaliśmy się i zaczęliśmy badać tropy. Chcąc pokazać, że możemy z niego mieć pożytek, Rost zauważył:

– Nie są to ślady dzikich zwierząt milordzie! Pozwólcie, by mój głos wewnętrzny powiedział mi, że tędy jechał szereg jeźdźców. Widać to wyraźnie po śladach końskich kopyt.

– Well! Iluż było jeźdźców? – zapytałem z uśmiechem.

– Ilu? Tego żaden człowiek nie powie!

– A więc w takim razie ani Winnetou, ani ja nie jesteśmy ludźmi!

– Dlaczego? Czy możecie określić liczbę?

– Czasem.

– Byłaby to sztuka, na której się nie znam.

– Wyobrażam sobie! Zaczekajmy chwilę, Winnetou zaraz określi liczbę jeźdźców.

Apacz zsiadł z konia i zaczął liczyć ślady. Po chwili wskoczył z powrotem na siodło i rzekł lakonicznie:

– Pięciu białych – uff!

To, że przed słowem „uff” zrobił pauzę, kazało mi przypuszczać, że ślady nasuwały mu pewne domysły. Ponieważ jednak ruszył dalej w milczeniu, nie odezwałem się słowem, tylko zacząłem jeszcze baczniej przyglądać się śladom. Jechaliśmy za śladami, gdyż po pierwsze szły w tym samym kierunku co nasza droga, po wtóre zaś dlatego, że na Dzikim Zachodzie nie powinno się lekceważyć żadnego tropu, każdy może pochodzić od człowieka mającego jakieś wrogie zamiary. Po chwili stwierdziliśmy, że dwóch spośród pięciu jeźdźców zatrzymało się i zsiadło z koni. Wgłębienia powstałe od ruchu nóg nie oddalały się od śladów kopyt końskich, a szły za nimi, po pewnym czasie zobaczyliśmy dodatkowy ślad nie pochodzący od dotknięcia nogi. Gdy zatrzymałem konia, by zbadać trop, Rost zapytał:

– Widzi pan coś ważnego, Mr Shatterhand?

– Owszem, coś bardzo ważnego.

– Cóż to takiego?

– Dwóch spośród pięciu jeźdźców badało ślady pozostałych trzech, jeden z nich ukląkł przy tym badaniu.

– Po co? Nie widzę powodu! Gdyby się chcieli czego dowiedzieć, mogli zapytać tamtych

trzech.

– Nie, nie mogli.

– Dlaczego?

– Bo nie jechali razem.

– Co? Jak? Ci dwaj nie byli razem z tamtymi trzema? A więc cała piątka nie jechała razem?

– Nie.

Milczący Winnetou spojrział na mnie porozumiewawczo, wzrok wyrażał zadowolenie, że zrozumiałem, dlaczego ślady wydały mu się podejrzane. Rost pytał w dalszym ciągu:

– Skądże pan to wie tak dokładnie, milordzie?

– Po krótkim zastanowieniu zagadka staje się prosta i jasna. Ci dwaj wcale by się nie zatrzymywali, nie zsiadliby z koni i nie badaliby śladów, gdyby tamci trzej mogli im udzielić potrzebnych informacji. Okoliczność, że to uczynili dowodzi, że jechali za nimi. Proszę się dokładnie przyjrzeć śladom! Na lewo trawa już się niemal podniosła, natomiast po prawej stronie jest jeszcze zupełnie wdeptana. Te ślady są świeższe od tamtych. Mam wrażenie, że lewe powstały przed pięcioma godzinami, prawe zaś przed jakimiś trzema. Stąd należy wnosić, że dwóch jeźdźców przejechało tędy w dwie godziny po reszcie kompanii.

– Teraz, gdy pan zwrócił moją uwagę, widzę różnicę w trawie. Zapamiętam sobie tę metodę badania śladów i mam nadzieję, że w przyszłości będę mógł sam określić każdy ślad ze stanowiska chronologicznego.

Uśmiechnąłem się. Rost zauważył to i zapytał:

– Dlaczego się pan śmieje, milordzie?

– Bo to określenie „chronologiczne” nie jest takie łatwe, jak się wydaje, Mr Rost.

– Nie jest łatwe? Hm! Wystarczy przyjrzeć się trawie!

– Pshaw! Gdyby chodziło tylko o stan trawy, trudności byłyby istotnie niezbyt wielkie, ale tu trzeba brać pod uwagę szereg innych okoliczności.

– Mianowicie?

– Przede wszystkim względy atmosferyczne. Trzeba wiedzieć, czy padał deszcz, czy też nie świeciło przypadkiem słońce. A sprawa wiatru? Trzeba umieć określić, czy dał silny wiatr, czy słaby, suchy czy wilgotny. Ważną sprawą jest również rodzaj trawy, kwestia wysokości, grubości źdźbeł, elastyczności, większej lub mniejszej łamliwości – to wszystko gra również pierwszorzędą rolę.

– Dosyć milordzie, dosyć! Ależ to jakiś nieskończony łańcuch!

– Nie wymieniłem jeszcze wszystkich jego ogniw.

– Co?!

– A sprawa ciężaru, który uciskał trawę, a kwestia, jak długo ucisk trwał? Koń juczny, idący wolno pozostawia inne ślady niż koń niosący jeźdźca na grzbiecie. Ponadto trzeba pamiętać, że przy chodzeniu lub wolnej jeździe noga albo kopyto pozostają dłużej na tym samym miejscu niż przyjeździe szybkiej, i tu jednak nie wolno zapominać, że siła ciężaru jest wprost proporcjonalna do szybkości. Koń, który galopuje, stąpa znacznie mocniej od konia idącego stępą, wali w ziemię z całej siły, uderza przedmą, ostrą częścią podkowy mocniej i głębiej niż tylną. Dlatego ślady konia, który pędził w galopie, pozostają na ziemi dłużej i można z nich łatwo galop wyczytać. Mógłbym prócz tego wymienić cały szereg innych wiadomości, które należałoby również uwzględnić.

– Dość, dość! Tego, co mi pan powiedział, milordzie, wystarczy w zupełności. Widzę, że sprawa jest bardziej skomplikowana niż przypuszczałem, nie sądzę, bym się tak prędko nauczył sztuki odczytywania śladów.

– Tak, ta sztuka jest na Dzikim Zachodzie prawdziwą wiedzą i wprawdzie nie ma w tej dziedzinie książek naukowych ani katedr, ale trzeba przyznać, że jest to bardzo ważna gałąź nauki. Nie każdy człowiek potrafi tu osiągnąć pomyślnie rezultaty. Komu sztuka odczytywania śladów sprawia trudności nie do pokonania, ten powinien siedzieć spokojnie w

domu, jeśli mu życie miłe. Zdarza się bowiem bardzo często, że jedynie od zgodnej z rzeczywistością oceny śladów zależy bardzo wiele, nawet życie.

– Ale chyba nie w tym wypadku?

– Tego jeszcze nie wiem. Jeźdźcami byli biali, dobrze, że nie mamy do czynienia z Indianami. Bywają jednak biali, których należy się obawiać bardziej niż wrogich Indian, dlatego też trzeba być i w tym wypadku ostrożnym. Przed pięcioma godzinami przejechały tędy konno blade twarze, w dwie godziny po nich dwie pozostałe. Ponieważ piątka ta tworzy jedną kompanię, powstaje pytanie, dlaczego wszyscy nie jechali razem, lecz osobno.

– Hm! Nie mam pojęcia! Na jakiej jednak podstawie utrzymuje pan, że cała piątka tworzy jedną kompanię?

– Wnoszę to z faktu, że jadący z tyłu z wielką dokładnością obserwowali ślady poprzedników.

– Dziwna rzecz! Ja na przykład byłbym wprost przeciwnego zdania?

– Jak to?

– Mój głos wewnętrzny powiedziałby mi: – Z tego, że tak dokładnie obserwowali ślady, wnosić należy, że nie wiedzieli kto przed nimi jedzie.

– To dowód, że nie jest pan westmanem. Napotkane ślady bada i odczytuje się zwykle tak długo, dopóki nie zaczną się nagle zmieniać lub inna jakaś okoliczność nie zmusi do zatrzymania się. Ci dwaj jeźdźcy zsiadli z koni i badali ślady na takim miejscu, gdzie żaden specjalny powód nie skłaniał ich do tego. Nie szukali więc niczego nieznanego, ale chcieli się tylko przekonać, czy to te same ślady, po których mają kroczyć. Nie ulega zatem wątpliwości, że znali dobrze jeźdźców, o których im chodziło. Chcieli zapewne wiedzieć jaka odległość dzieli ich od tamtych trzech. Ta okoliczność nasuwa mi oczywiście, dalsze ważne pytanie.

– Doprawdy? Nie wyobrażam sobie żadnego pytania, które by się tu nasuwało z jakąś oczywistością.

– A ja przeciwnie. Brzmi ono: czy ci dwaj chcą dogonić tamtych trzech czy nie?

– Oczywiście, że tak; przecież stanowią to samo towarzystwo.

– No, to jeszcze nie jest zupełnie pewne. Ci ludzie mogą być ze sobą w kontakcie ze względu na wspólność celów.

– To dla mnie zbyt skomplikowana historia! Ale w każdym razie słucham pańskich słów z wielką uwagą, gdyż są to pierwsze ślady, które pana tak zainteresowały.

– Zajmują mnie teraz dwie kwestie. Primo: dlaczego dwaj jeźdźcy pozostali w tyle? Sekundo: czy mają zamiar dogonić trzech pierwszych jeźdźców? Mam wrażenie, że obydwie grupy zdążają ku jednemu celowi. Ci dwaj pozostali, zdaje mi się, dlatego są w tyle, bo mają jakieś tajemne plany. Odłączyli się od tamtych, by omówić sprawy bez niepotrzebnych świadków. Przy stosunkach panujących na Dalekim Zachodzie należy zawsze przypuszczać, że plany trzymane w tajemnicy zmierzają do czegoś złego. Ci trzej powinni się więc przed tamtymi dwoma mieć na baczności. To mi mówią ślady!

– Milordzie! Jestem pełen podziwu dla pańskiego sprytu. Wyznaję szczerze, że nie wpadłbym nigdy na podobną koncepcję.

– Pshaw! Nie spryt gra tu główną rolę, a coś, czego właściwie słowami określić nie można. Westman wyrabia w sobie stopniowo jak gdyby szósty zmysł. Jest to rodzaj duchowego wzroku i słuchu, jakaś tajemna spostrzegawczość, niezależna zupełnie od fiał świetlnych i słuchowych. Gdyby przecucia i domysły nie były czymś tak nieokreślonym, musiałbym ten szósty zmysł nazwać przeczuwaniem, działa bowiem z równą precyzją, jak na przykład zmysł wzroku, który obejmuje otaczające człowieka przedmioty. Westman musi kształcić i rozwijać ten zmysł jak dziecko, które dopiero po długich wysiłkach zaczyna korzystać ze swych zmysłów. Gdy się go już posiadzie, można się nim posługiwać jak okiem lub uchem. Niekiedy nawet szósty zmysł decyduje przy sprzecznych wrażeniach wzrokowych i słuchowych. Nikt na świecie nie ma tego zmysłu rozwiniętego tak silnie jak Winnetou. Nie

jestem nowicjuszem, ale nieraz zdumiewała mnie pewność, z jaką przepowiadał rzeczy, których przy całym wysiłku ani zauważyć, ani przewidzieć nie zdołałem. Jego przepowiednia spełniają się zawsze z taką dokładnością, jak gdyby widział przyszłość własnymi oczyma. Gdybym sam nie posiadał szóstego zmysłu, skłonny byłbym chwilami przypuszczać, że Winnetou należy do ludzi obdarzonych tak zwaną „drugą twarzą”. Ale, ale, wyprzedził nas o ładny kawałek drogi! Musimy go dogonić! Mam wrażenie, że nad Lakę Jone będziemy mieli więcej zajęcia niż na dotychczasowych postojach.

Przeczuwa pan jakieś niebezpieczeństwa, milordzie?

– Nie. Kto jest razem z Winnetou, wodzem Apaczów, temu każde niebezpieczeństwo wydaje się zabawką. Czeka nas tylko interesująca rozmówka w stylu Dzikiego Zachodu. Jedźmy szybciej, Mr Rost!

Spięliśmy konie ostrogami, by dogonić Winnetou, który wyprzedził nas porządnie.

Wreszcie go dogoniliśmy i jechaliśmy za śladami prowadzącymi w kierunku Lakę Jone, w pewnym miejscu ślady się rozdzieliły. Widać było, że trzy konie poszły dalej w dotychczasowym kierunku, dwa zaś skręciły na prawo. Nie zastanawiając się długo Winnetou ruszył za śladami idącymi w prawo. Rost nie mógł tego pojąć i zapytał:

– Mr Shatterhand, dlaczego, nie jedziemy prosto? Przecież nowe ślady nie prowadzą w stronę jeziora, do którego zmierzamy.

– Ależ przeciwnie – odparłem.

– Naprawdę? Przecież odchylają się od tego kierunku.

– Tylko chwilowo. Później obydwie linie znowu się połączą. Widząc, że ślady się rozdzielają, Winnetou przeprowadził natychmiast pewne obliczenie. Domyśla się pan, co wódz Apaczów przypuszcza?

– Nie. Jestem jak nowo narodzone dziecko.

– Obydwie grupy dążą do jeziora, jednak druga nie chce, by ją pierwsza dostrzegła, ponieważ zamierza ją śledzić.

– Hm! Czyż Apacz jest wszechwiedzący?

– Gdyby tak było, byłbym nim również, przypuszczam bowiem to samo. Wkrótce okaże się, że mamy rację. Tylko to może być przyczyną rozdzielenia się kompanii.

– Czyż nie należałoby wobec tego śledzić pierwszej grupy?

– Oczywiście, że tak. Ważniejszą jednak rzeczą jest ustalenie na jakiej podstawie druga grupa chce śledzić pierwszą, z którą tworzy jedną całość. Mamy dowód, że to, co przedtem mówiłem odpowiada rzeczywistości; ma jakieś zamiary, o których pozostali trzej towarzysze, lub przynajmniej jeden z nich, nie mają nic wiedzieć. Gdy ludzie, którzy mają razem stawić czoło niebezpieczeństwu Zachodu, zaczynają coś przed sobą ukrywać, nic z tego dobrego wyniknąć nie może, bo podstawą wzajemnych stosunków musi być wzajemna szczerość.

Należy przypuszczać, że spotkamy całe towarzystwo, dlatego musimy przede wszystkim śledzić tych, którzy coś ukrywają przed resztą. Ruszemy więc naprzód za nimi, by w razie potrzeby móc zniweczyć ich złe zamiary. Winnetou i Old Shatterhand nie mogą pozwolić, by na drogach, po których jeżdżą popełniono nikczemność.

– Więc może dojsć między nimi a nami do walki?

– Tak.

– To bardzo ciekawe! Cieszę się teraz, że natrafiliśmy na ten ślad.

– Wśród tych trzech jeźdźców jest zapewne również ktoś, kto się z tego powodu cieszy bardziej niż pan. Dowiemy się o tym bardzo prędko, gdyż już za pół godziny będziemy nad jeziorem.

Przepowiednia się sprawdziła. W niespełna półgodziny ujrzelśmy na południowym zachodzie ciemną linię lasów okalających jezioro. Zamiast jechać dalej za śladami Winnetou skręcił na prawo. Rost nie mógł zrozumieć tego zupełnie jasnego dla mnie kroku i zapytał o przyczynę. Nie jestem gadułą, nie lubię tracić słów, podczas wypraw z Winnetou bywam

zwykle tak samo milczący jak on. Ale miałem do czynienia z nowicjuszem, którego trzeba było uczyć. Spełniając obowiązek nauczyciela odpowiedziałem:

– Tamci trzej dotarli do południowego wybrzeża jeziora. Natomiast ci dwaj ruszyli na prawo, a więc na północ, by spotkać towarzyszy w miejscu ukrytym przed ich wzrokiem. Gdy dotrą do tego miejsca, zaczną się skradać. Ponieważ chcemy ich śledzić tak jak oni tamtych, musimy się także ukryć w niewidocznym miejscu. Dlatego chcemy dotrzeć do jeziora od północnej strony. Winnetou zacznie zaraz galopować.

– Po co?

– Koń w galopie porusza się szybciej i zapada w ziemię głębiej niż koń idący stępą, trudniej go więc dojrzeć.

– Przecież nie może być mowy, by ci dwaj nas zobaczyli. Są daleko na południu.

– Właściwie ma pan rację, ale ostrożny westman musi się liczyć ze wszystkimi możliwościami. Jeżeli zachowają taką ostrożność jak my, przeszukają spory kawał lasu, by się przekonać, czy nie ma nikogo w pobliżu. Przy tej sposobności mogą się posunąć bardziej na północ i gdybyśmy nie odstępili nieco dalej, mogliby zauważyć, że się zbliżamy.

– Doskonale! Zobaczymy czy zacznie galopować!

Ledwie Rost wypowiedział te słowa, Winnetou spiął konia i ruszył pełnym galopem. Pogalopowaliśmy za nim.

Przed lasem okalającym jezioro ciągnęły się zarośla. Zatrzymaliśmy się w nich i zsiadliśmy z koni. Odległość dzieląca nas od tamtych dwóch jeźdźców wynosiła według moich przypuszczeń około mili angielskiej. Zostawiając konia na łące Winnetou rzekł:

– Niech moi biali braci zaczekają na mnie.

Po tych słowach zdjął srebrną dubeltówkę, którą mi wręczył i szybko znikł w zaroślach.

– Dokąd poszedł? – zapytał Rost.

– Udał się na poszukiwanie tych, których mamy śledzić.

– Dlaczego nie zabrał strzelby?

– Bo by mu przeszkadzała. Może będzie musiał pełzać wśród zarośli.

– A co my mamy robić?

– Usiądziemy na ziemi i spokojnie będziemy czekać. Może wróci dopiero za godzinę. Niech konie się pasą, a pan niech trochę odpocznie, ja zaś zobaczę czy nie ma kogoś w pobliżu.

Zacząłem przeszukiwać brzeg lasu. Nie znalazłem jednak niczego, co wskazywałoby na obecność ludzi, wróciłem więc do Rosta. Wysokie drzewa przesłaniały zachodzące słońce, mimo to zorientowałem się, że za jakieś pół godziny zapadnie mrok.

Cienie wydłużały się coraz bardziej, w końcu wschodnia część równiny zasnuła się mrokiem. Apacz wrócił tuż przed nastaniem zupełnych ciemności, dosiadł konia i bez słowa ruszył wzdłuż lasu w kierunku południowym, oczywiście podążyliśmy za nim.

Rosta paliła ciekawość, czy Winnetou udało się dopiąć celu, nie miał jednak odwagi obarczać mnie dalszymi pytaniami. Milczałem również wiedząc, że wódz przemówi dopiero wtedy, gdy uzna za wskazane. Nie wątpiłem, że odnalazł tych, których szukał, świadczył o tym beztronski wyraz twarzy.

Po dobrym kwadransie zsiadł z konia, przerzucił mu lejce przez łeb i rzekł:

– Niech brat mój Rost przywiąże konie do drzewa i strzeże ich zachowując się jak najciszej. Damy mu również nasze strzelby, by nam nie przeszkadzały w skradaniu się do bladych twarzy. Niech się nie niepokoi, gdybyśmy nawet nie wrócili do północy i niech nie opuszcza stanowiska. Chodź, Szarlih!

– Czy naprawdę nie mam powodu do obaw? – zapytał Rost.

– Naprawdę.

– Nawet wtedy, gdyby głos wewnętrzny mówił mi, że grozi panu niebezpieczeństwo?

– Nawet wtedy, W ogóle niech pan słucha nas zamiast wewnętrznego głosu. Jak pan wie, my niebezpieczeństwa się nie boimy. Gdybyśmy się nawet znaleźli w opresji, zaszkodziłby nam



pan tylko samodzielną akcją. Proszę oczekiwać naszego powrotu choćby do rana.

Wręczywszy mu niedźwiedziówkę i sztucer Henry'ego udałem się za Apaczem. Wódz zapamiętał każdy krzew; przechodził przez zarośla i polany leśne z niezwykłą pewnością siebie. W lesie panowały zupełne ciemności, więc wziąłem go za rękę.

Zauważyłem, iż zatacza łuk dokoła miejsca, do którego mieliśmy dotrzeć. Im bardziej się zbliżaliśmy, tym stawał się ostrożniejszy. Wreszcie wypuścił moją rękę, położył się na ziemi i czołgał się dalej na nogach i rękach. Rzecz jasna, że uczyniłem to samo. Po chwili usłyszeliśmy głosy. Pełzając naprzód cicho dotarliśmy do ostatnich drzew rosnących na skraju polany, poszukiwani siedzieli w trawie w niewielkiej odległości. Opodal widniały ciemne sylwetki koni.

Szczyście nam sprzyjało, obydwaj prowadzili rozmowę, która obudziła w nas wielkie zainteresowanie. Podczołgaliśmy się możliwie blisko i usłyszeliśmy następujące słowa:

– Tak, jestem przekonany, że szeryf będzie nas ścigać z całą gorliwością. Spostrzegł, że jest na złym tropie i będzie się bardzo starał naprawić błąd. Chciałbym tylko wiedzieć kim był ten nieznaną europejski przybłęda?

– Dziennikarzyna, oto wszystko! – odpowiedział drugi. Mimo że mówił cicho, miałem wrażenie, że ten głos już kiedyś słyszałem.

– Wątpię! Sposób reagowania na twoją osobę nie wskazuje na to, żeby całe życie spędzał nad redakcyjnym biurkiem.

– Napisał wiersz, więc chyba jest człowiekiem pióra?

– Czy możesz przysiąc, że nie skłamał?

– Przysiąc oczywiście nie mogę. Ale jaki miałby cel w utrzymywaniu, że jest autorem wiersza? Po co wszczywałby zwadę i palił później wszystkie egzemplarze?

– Nie mam pojęcia.

– Spalił je zresztą niepotrzebnie. Nauczyłem się wiersza na pamięć – muszę przyznać, że jest niezły – i dam go wydrukować, o ile zdarzy się jeszcze sposobność występowania w roli skromnego prayermana.

– To już będzie zbyteczne, ostatnie pociągnięcie przyniesie nam tyle, że będziemy mogli zlikwidować interes i oddać się błogiemu wypoczynkowi. Dobrze, że nuggety tego idioty Wattera tak prędko zamieniliśmy na złoto i zdeponowaliśmy je. Najważniejsze jednak jest to, że obydwaj Sachnerowie tak szybko przygotowali się do drogi, że mogli zaraz jechać razem z nami.

– Czy posługiwanie się koleją było konieczne?

– Ależ tak! Trzeba było zniknąć jak najprędzej ze stanu Missouri, w którym nigdy już chyba nie odważysz się grać roli świętoszka. Mam wrażenie, że gdybyś się tam ukazał jeszcze kiedyś w roli namaszczonego prayermana, sprawiono by ci porządną łaźnię. W ogóle możesz uważać za wielkie szczęście, że dotychczas nie zwrócono na ciebie uwagi i nie zorientowano się, że każde dobrze zorganizowane włamanie jest dziełem twoich rąk.

– Pshaw! Moja pobożność oślepiła ludzi. Jeszcze teraz pękam ze śmiechu, gdy sobie przypominam opowiadania gospodarza hotelu w Weston o napadach rabunkowych na pewnego kupca w Weston i adwokata Preitera w Plattsburgu, odpowiedziałem mu z dziecięcą naiwnością, że wlanie niedawno opuściłem Weston i Plattsburg! Idiota nie domyślił się nawet, że sprawy te pozostają między sobą w ścisłym związku.

– Och, ale za to teraz nie tylko się domyśla, lecz ma nawet pewność. Nie wolno ci już nigdy pokazywać się w Weston. Gdyby nie ten przeklęty przybłęda, no jakże się nazywał?

– Mayer.

– Gdyby nie ten Mayer, sprawa wzięłaby zupełnie inny obrót i nie potrzebowalibyśmy się tak śpieszyć, lecz moglibyśmy spokojnie wykończyć nasz wspólny plan. Zaczął cię podejrzewać?

– Tak mi się zdaje.

- Dlaczego?
- Diabli wiedzą! Gdy Watter odkrył kradzież, nie było mnie i nie wiem, o czym mówiono. Gdy się później zjawiłem, ten Mayer wezwał szeryfa, by mnie aresztował. Mam wrażenie, że chciał w ten sposób rzucić z siebie ciężar podejrzania i oczyścić się z wszelkich zarzutów. Oczywiście dałem od razu drapaka.
- Może lepiej było zostać?
- Nie. Byłem prawie pewny, że na wypadek aresztowania wszystkie poszlaki zwrócą się przeciwko mnie. Zresztą musiałem pójść z tobą i już z tego choćby powodu powinienem był unikać schwymania.
- Well! Twierdzą jednak w dalszym ciągu, że ten Mayer nie jest tym, za kogo się podał. Przypuszczenie moje potwierdza ta okoliczność, że strzela po mistrzowsku...
- Przypadek!
- Nie. Kto przy takiej małej ilości strzałów umyślnie daje jeden strzał w próżnię, ten ma zupełną pewność, że pozostałe strzały będą celne.
- Trudno twierdzić, że zrobił to celowo.
- Twierdzą, że tak było. A może to zakapturzony westman?
- Pshaw!
- Jeśli tak jest, zechce zasięgnąć o nas bliższych informacji. Nie widziałem tego ananasa, ale nie mam do niego najmniejszego zaufania. Znawcy prerii wpadają często na pomysły zupełnie fenomenalne. Nie zostawiłeś nic, co by naprowadziło na nasze ślady?
- Nie.
- Co zrobiłeś z narzędziami?
- Wrzuciłem do rzeki.
- Aż kufrem?
- Spaliłem.
- Robiłeś jakieś notatki, masz je przy sobie?
- Nie. Nauczony doświadczeniem w Weston spaliłem je.  
Nie chcąc się narazić na wyrzuty prayerman świadomie kłamał, gdyż i kufer, i narzędzia, i notatki dostały się przecież w nasze ręce.  
Nie potrzebuję chyba podkreślać, że spotkanie prayermana w Lake Jone nie martwiło mnie wcale. Przeciwnie, cieszyłem się szczerze, że jestem w pobliżu człowieka, którego plany zamierzam pokrzyżować. Wiedziałem teraz dokładnie, z kogo się składa piątka jeźdźców; odgadnąć nie było trudno.
- W kradzieży nuggetów w Weston brały udział trzy osoby: prayerman, prawdziwy włamywacz i ten, który stał w podwórzu i odbierał nuggety. Jednym z dwóch ostatnich był nieznajomy siedzący w sali jadalnej i rzucający prayermanowi porozumiewawcze spojrzenia, które udało mi się pochwycić. Teraz obok prayermana siedział osobnik, którego nie było wtedy na sali; jego słowa wskazywały, że mnie zna. Sądząc z rozmowy był hersztem i przywódcą całej szajki.
- Dowiedziałem się, że dwie osoby pewnie stryj z bratankiem – mają być wciągnięte do leżącego w górach finding-hole. „Nasza” piątka jechała w kierunku gór według marszrutę znalezionej w kufrze prayermana. Nie trudno było się domyślić, że mamy do czynienia z planowanym porwaniem: oto trzy kanalie i ich dwie ofiary. Przeczucie mówiło mi, że trójka, która dążyła naprzód, składa się ze stryja, siostrzeńca i obcego gościa z hotelu, na którego zwróciłem uwagę.
- Nie mogłem się zająć tą przelotną myślą, gdyż całą moją uwagę pochłonęła prowadzona obok rozmowa.
- To mądrze, że wszystko zniszczyłeś. Jak dałeś sobie radę z ciężkim kufrem przy szalonym tempie ucieczki? – padło dalsze pytanie pod adresem prayermana.
- Ci głupcy zostawili mi dosyć czasu. Później zauważyłem wprawdzie, że są na naszym

tropie, ale byłem już tak daleko, że nie mogli mnie dogonić.

– Watter puścił się z pewnością w pogoń.

– Jestem pewien, ale kpię sobie z tego! Ten osioł uważa się naprawdę za westmana! Od razu zgubi ślad.

– Hm! Diabeł potrafi zamienić w mędrca największego osła!

– Pshaw! Zatarliśmy nasze ślady wsiadając do pociągu, sam Winnetou i Old Shatterhand nie daliby sobie z nami rady. – Chyba się zagalopowałeś!

– Wcale nie. Nawet najsprytniejszy człowiek nie dowie się, gdzie wsiedliśmy i wysiedliśmy. A jeżeli kiedyś przypadkowo spotkamy tego Wattera, nie puści pary z ust.

– A jeżeli?

– To dostanie kulkę w łeb i zamilknie na wieki. Niewiele sobie robię z wykrycia kradzieży nuggetów, tak samo, jak się nie przejmowałem sprawą jego przyjaciela Welleya; pamiętasz, nad brzegiem Platte wpakowaliśmy mu kulkę w piersi i zwałił się z promu do wody. To był połów! Prawie dwadzieścia tysięcy dolarów! Trzy wielkie nuggety, na które poleciał stary Sachner, miały trzy funty! Ale czy nie czas się skradać?

– Tak, już czas. Dłuższa nieobecność może obudzić jego podejrzenie. W ostatnich dniach powiedział kilka zdań, które mnie uderzyły. Dałem więc Egglemu polecenie, by dziś wieczorem na dany przeze mnie znak starał się go wybadać. Może obawy okażą się płonne, może cieszymy się jego zupełnym zaufaniem. Ale chodzi tymi samymi drogami co my, nic więc dziwnego, gdyby mu się nasunęły jakieś podejrzenia. Chciałbym mieć zupełną pewność. Przed Egglym wygada się prędzej niż przed nami; nie przeczuwa, że jesteśmy obok i wszystko słyszymy, będzie więc zapewne szczery. Jego bratanek to głupi chłopak, obojętne, co powie. Stary nie jest również Salomonem, ale to chytra sztuka; gdy zwęszy niebezpieczeństwo, możemy stracie nie tylko te korzyści, które płyną z naszej wyprawy, ale cały szereg innych.

– To mu się nie uda!

– Pshaw! Jestem ostrożniejszy niż ty.

To zupełnie zbędne. Jeżeli stary kozioł zechce wierzgać, to weźmiemy go na sznurek i nauczymy moresu.

– Łatwo to powiedzieć! A jeżeli coś przeczuwa i sprytnie ukrywa przed nami podejrzenia? Skoro przestanie ufać, przejrzy nas i spostrzeże, że jesteśmy zdecydowani na każdy gwałt? Gotów nabrać przekonania, że uratować go może też jedynie gwałt. Cóż byśmy zrobili, gdyby nam wpakował w łeb kilka kul i wrócił do domu zostawiając trupy sępom na pożarcie?

– All devils!\* Uważasz, że to niemożliwe?

– Tak, Eggly musi go wciągnąć w rozmowę, podsłuchamy o czym będą mówić. Jeżeli zdradzi słowem, że nam nie ufa, trzeba będzie się postarać za wszelką cenę, aby ani on, ani jego chłopak nie dożyli do jutra. Jestem zupełnie zdecydowany.

– Byłaby to wielka szkoda!

– Co, żałujesz tych dwóch? Nonsens!

– Nie żałuję ich wcale! Rozpacz mnie tylko chwyta, że nie wykonają tego co mieli dla nas zrobić. Żaden z nas trzech nie zechce się zanurzać po sto razy w lodowatej wodzie finding-hole, by z dna wyciągać nuggety, życie bowiem jest droższe i więcej warte od złota całego świata!

– Pod tym względem zgadzam się z tobą w zupełności. Najlepiej by było unieszkodliwić jedynie starego, młody niech sobie żyje. Związałibyśmy go i mam nadzieję, że nie byłoby trudno zabrać go ze sobą jako jeńca. Eggly nazywa go słusznie Old Jumble\*. Jest tak niedoświadczony i ma w głowie taki mętlik, że nie będzie się wcale opierać, gdy go dobrze skrzyczymy. Zimna woda zupełnie go ostudzi, nie będziemy się męczyć pakowaniem kulek do tego zapominalskiego łba.

– Może by było lepiej, gdyby stary mógł również pozostać przy życiu, oczywiście tylko tak

długo, jak długo będzie potrzebny. Pasja mnie ogarnia .na myśl, że może nam nie ufać!

– Mnie również! Wkrótce dowiemy się, jak sprawa wygląda. A teraz czas wstać! Dobrze, że poleciłem Egglemu, by zaraz po dojściu do lasu rozbił namiot i rozpałił ognisko. Znajdziemy go bez trudu. Będziemy szli skrajem lasu dopóki nie ujrzymy ognia, który Eggle zagasi, gdy tylko usłyszysz nasze hasło. Później cofniemy się do koni i drogą okrężną zawrócimy do śladów Egglego udając, że dopiero przybyliśmy przez prerię.

– Cóż powiemy o naszym polowaniu?

– Że nie natrafiliśmy na żubra. Stary uwierzył, że to ślad żubra! Ha-ha-ha-ha! Gdy mu powiedziałem, że zadawanie się z żubrem jest niezwykle niebezpieczne, ruszył spokojnie dalej wraz ze swym Old Jumble i Egglym nie przeczuwając wcale, że był to tylko wybieg z naszej strony, by pozostać w tyle. To jeszcze jeden dowód, że sprytny westman potrafi wyprowadzić w pole dziesięciu mądrych westmanów! Chodźmy, już czas!

Podnieśli się z trawy i odeszli. Wstaliśmy również.

– Czy mój brat Szarlih usłyszał coś ważnego? – zapytał Winnetou. Wiedział doskonale, że słyszałem każde słowo, był jednak ciekaw, czy jestem zadowolony z rezultatu naszego skradania się.

– Dowiedziałem się bardzo ważnych rzeczy – odparłem. – Wiem wszystko, co chciałem wiedzieć.

– Uff! Chodźmy za nimi!

Zaczelśmy stąpać po miękkiej trawie posuwając się wzdłuż skraju lasu. Po upływie jakiegoś kwadransa ujrzelśmy z daleka jasne, duże światło ogniska. Ponieważ prayerman i jego towarzysze znajdowali się między ogniskiem a nami, mogliśmy obserwować ich ruchy i stosować się do nich. Gdy się zbliżyli do ogniska na taką odległość, że towarzysze mogliby ich zobaczyć, znikli nagle w lesie. Wpadliśmy również w las, przedzierając się szybko pośród drzew. W lesie panowała zupełna ciemność, dzięki wyćwiczonemu wzrokowi mogliśmy się jednak swobodnie poruszać. Ponadto posuwanie się naprzód ułatwiał blask ogniska oświetlający pnie drzew.

Po przejściu około sześćdziesięciu kroków ujrzelśmy obojdwóch podsłuchujących – czołgali się w kierunku ogniska. Padliśmy również na ziemię i zaczelśmy pełzać w niewielkiej od nich odległości. Gdy się tak poruszałem pochylony twarzą ku ziemi, wydało mi się nagle, że widzę na mchu ledwie widoczne, metaliczne lśnienie. Wyciągnąłem rękę i znalazłem – dwie ostrogi! Zdziwiło mnie to bardzo. Ostrogi lśniły, a więc leżą tu niedawno! Z pewnością należą do jednego z trzech osobników siedzących przy ognisku. Co za nieostrożność! Może się zdarzyć, że człowiek zdejmie ostrogi; ale pozostawienie ich w trawie, lub na mchu jest szczytem nieostrożności, która musi wywołać u prawdziwego westmana wybuch szewskiej pasji. Takie niedbalstwo można przy pewnych okolicznościach przypłacić gardłem. Człowiek, który je popełnił zasługuje na o wiele ostrzejsze przewisko niż Old Jumble! Nieostrożność tę mógł popełnić tylko pomyłony siostrzeniec, o którym przedtem była mowa. Co za roztargnienie! Po wypowiedzeniu w myślach tego słowa zdrząłem jak przy dotknięciu kontaktu naładowanego elektryczność. Cóż to się ze mną stało?

W poprzedniej rozmowie padło nazwisko Sachner. Przecież było to nazwisko mego dawnego przyjaciela i współuczestnika wypraw Carpia! Miał krewnego w Ameryce, był zawsze Old Jumblem, typowym szalapatą! Nie miałem czasu pomyśleć nad tym dokładniej, gdyż Winnetou wyprzedził mnie i musiałem się śpieszyć, by go dogonić. Schowałem więc ostrogi i szybko poczołgałem się naprzód.

Ogień palił się równie wysoko i jasno jak przedtem i oświetlał całe obozowisko. Było ono rozbite na końcu wąskiego pasma trawy otoczonego dwoma szeregami krzewów, pasmo ciągnęło się z otwartej prerii do skraju lasu. Krzewy rosnące na północnej stronie nie były zbyt gęste, przez poszczególne otwory padał na równinę odbłask ogniska. Dzięki temu ujrzelśmy siedzącą przy ognisku trójkę.

Prayerman i jego kompan posuwali się wśród krzewów, wybraliśmy więc dla siebie ścieżki biegnące po południowej krawędzi, wskutek tego trzeba było nieco nałożyć drogi. Dotarliśmy do celu, gdy tamci rozłożyli się już jak najwygodniej. Zaszliśmy się w zwisające aż do ziemi gałęzie i czekaliśmy na nieznaną nam znak, o którym była przedtem mowa.

Dotarliśmy na miejsce bez wielkiego wysiłku, siedząca bowiem przy ognisku trójka rozmawiała tak głośno, że nie mogła usłyszeć drobnego szelestu. Natomiast czołganie się wśród gałęzi sprawiało trudności, trzeba je było bowiem wolno odsuwać i podnosić w ten sposób, by nikt nie zwrócił uwagi na ich poruszanie. Na szczęście obydwaj podsłuchujący ukryci w przeciwległych krzakach byli tak zajęci sobą, że nie myśleli wcale o sąsiednich zaroślach.

Cała trójka rozłożyła się przy ognisku tak, że strona zwrócona ku prerii pozostała zupełnie wolna. Urządził to z pewnością osobnik, którego tamci dwaj nazywali Egglym, by ułatwić kompanom znalezienie i podpatrzenie obozowiska. Był odwrócony plecami do lasu. Od czasu do czasu zezował w kierunku krzewów, oczywiście pod adresem tych, którzy w porozumieniu z nim mieli podsłuchiwać.

Naprzeciw nas, a więc twarzą zwrócony na południe, siedział w pobliżu ogniska starszy, szczupły, pomarszczony człowiek; budowa ciała wskazywała, że jest jeszcze silny i wytrzymały. Miał bardzo mocne zęby, szeroka, masywna, wysunięta do przodu broda zdradzała niezbyt szlachetne instynkty. Niezwykle wąskie wargi wskazywały na zdecydowanego skąpca. Niejeden ormiański lichwiarz pozazdrościłby mu zakrzywionego, jastrzębiego nosa. Spod czoła kończącego się rzadką, siwą czupryną patrzyła para małych oczu pozbawionych niemal rzęs, latały w ustawicznym niepokoju. Mizerna, zaniedbana, długa broda na próżno starała się nadać dostojnego wyrazu brzydkiej, nie budzącej zaufania fizjonomii.

Starszy pan miał na sobie ciężkie, ciemnobrązowe ubranie, na nogach wysokie buty z ostrogami, głowę zaś okrywał kapelusz o szerokich kresach, leżąca obok strzelba nie była jedyną bronią – za szerokim pasem ujrzałem nóż i dwa rewolwery. Był to bez wątpienia stryj, bratanek odwrócony był do nas tyłem, nie mogliśmy więc zobaczyć twarzy. Ubrany i uzbrojony tak samo jak stryj, od czasu do czasu ukazywał kawałek brody, która mu urosła podczas wyprawy. Eggly odziany był w skórzane spodnie, watowaną kurtkę i ciepłą kamizelkę. Miał również strzelbę, nóż i dwa rewolwery; u pasa zwisało mu kilka toreb, w których mieścić się musiały wszystkie przybory potrzebne westmanowi. Od razu poznałem w nim obcego jegomościa, któremu się tak bacznie przyglądałem w hotelu w Weston.

Po chwili rozległo się tłumione, ochryple skrzeczenie, które ktoś niedoświadczony byłby z pewnością przypisał sępowi lub krukowi; zorientowałem się od razu, że dobiega od przeciwległych zarośli. Eggly zrobił ruch wyrażający zakłopotanie i rzekł:

– Rzecz ciekawa! Jakiś sęp, który jeszcze nie śpi! A może go ktoś obudził? Ale kto? Człowiek? Przecież przeszukaliśmy całą okolicę i nie znaleźliśmy żadnych śladów. W każdym razie trzeba się mieć na baczności i zgasić ognisko!

Słowa te powinny w doświadczonym człowieku obudzić podejrzenie. Skrzeczący sęp powinien być w pobliżu, a ten, który go spłoszył, powinien znajdować się również niedaleko i zapewne widział już ognisko. Zgaszenie jest więc ostrożnością zbyt dużą, bo spóźnioną. Westman nie zgasiłby ogniska i nie siedziałby dalej spokojnie, a zerwałby się z miejsca i skoczył w lasy by uniknąć kuli, zbadać przyczynę tajemniczych dźwięków. Eggly postąpił wprost przeciwnie; zgasił pojedyncze polana i rzekł:

– No, nareszcie! Teraz nikt nas nie widzi. Możemy spokojnie rozmawiać dalej.

Skrzeczenie było umówionym znakiem, po którym miało się zacząć badanie sędziwego mężczyzny, który wcale nie przeczuwał, że życie jego zależy od odpowiedzi, które da za chwilę.

– Czy to możliwe, by sęp dał się spłoszyć człowiekowi?

- Zupełnie możliwe, choć niezbyt prawdopodobne. Któż by tu się zabłąkał o tak spóźnionej porze? Każdy stara się dotrzeć do swego legowiska przed zapadnięciem nocy. Zgasilem ogień, gdyż z natury jestem ostrożny. Można zresztą zapalić jedno małe polano, potem rozpalimy nim znowu całe ognisko. Mam wrażenie, że ten sęp czy inny potwór skrzeczał przez sen, sępowi śnią się podobno najróżniejsze rzeczy, Mr Sachner.
- Wiem tylko, że psy i ptaki pokojowe miewają sny; wydają wtedy z siebie różne dźwięki. Dlaczegoż by i sępy nie miały mieć snów? Chodzi mi tylko o Mr Shepparda i Cornera.
- Dlaczego?
- Będą błądzić w ciemnościach i nie znajdą nas.
- Racja! Trzeba więc będzie znowu rozpaść ognisko.
- Ciekaw jestem czy spotkali żubra?
- Wątpię. Te bestie pędzą całe mile bez zatrzymania, a zresztą nie na każdym terenie można się do nich zbliżyć. Jestem przekonany, że nic z całego polowania.
- Właściwie nie potrzebujemy niczego, mamy przecież mięsa pod dostatkiem. Niepotrzebnie puścili się w pogoń za tym żubrem. Smutno tu bez towarzystwa.
- Go? Czyż mnie tu nie ma?
- No tak, ale...
- Czy nie rozmawiałem z panem przez cały czas?
- No tak, tak, ale chciałbym raz wreszcie pomówić o finding-hole.
- Możecie mówić ze mną.
- Owszem, owszem, ale Mr Corner i Mr Sheppard są w tej sprawie lepiej poinformowani od pana.
- Skądże znowu! Zdaje mi się jednak, że macie do nich więcej zaufania niż do mnie.
- O większym zaufaniu nie może być mowy, ufam wam wszystkim zupełnie jednakowo, ale Mr Sheppard poinformował mnie pierwszy o finding-hole, zaś z Mr Cornerem zawarłem kontrakt, jasna więc sprawa, że lgnę więcej do nich niż do pana. Ofiarowałem wielką sumę pieniędzy.
- Lęka się pan o nią?
- Czy się lękam? Hm. Do pewnego stopnia – tak!
- No, no! O cóż chodzi?
- Obawiam się, czy to nie złudzenie, że w otworze jest złoto.
- To wszystko?
- Wszystko.
- Naprawdę?
- Dlaczego pan pyta? Czegóż jeszcze miałbym się lękać?
- Hm! Powiem wam coś, ale musicie przyrzec, że mnie nie zdradzicie.
- Ależ dobrze! O cóż chodzi? Jestem bardzo ciekaw.
- Znacie mój układ z Sheppardem i Cornerem?
- Nie.
- Nic o nim nie wiecie?
- Wiem tylko, że macie otrzymać część sumy, którą zapłacę.
- Well! Zapewne wiadomo wam również, że nie byłem jeszcze na górze przy finding-hole.
- Nie, tego nie wiedziałem. A więc nie byliście tam jeszcze?
- Nie. Wzięto mnie tylko jako eskortę, gdyż obydwoj nie jesteście westmanami i towarzystwo doświadczonych ludzi może się wam przydać, O ile wszystko pójdzie składnie, otrzymam za towarzyszenie wam pewną sumę, a może nawet osobną gratyfikację, ale nic więcej. Leżące więc na górze nuggety nic mnie właściwie nie obchodzą.
- Czy być może?
- Tak! Wobec takiego stanu rzeczy opadły mnie różne myśli. Czy nie jest rzeczą możliwą, by Corner i Sheppard mieli wobec was jakieś nieuczciwe zamiary?

- Nieuczciwe? Cóż to znaczy?
- Może w hole nie ma wcale nuggetów?...
- Sir, szatan was opętał?
- Broń Boże, Mr Sachner!
- Po cóżby ci dwaj ludzie robili ze mną interes, gdyby nuggetów wcale nie było?
- By się dobrać do waszych pieniędzy.
- Postradaliście zmysły?
- Jeśli tak uważacie, jesteście szczęśliwi.
- Ale wam to nie przyniesie szczęścia, Mr Eggly! Uważacie mnie za głupca? Sądzicie, że podpisałbym kontrakt nie otrzymawszy naprzód gwarancji?
- Tego nie sądzę...
- Widziałem nuggety. Niektóre miały rozmiary gołębiego jaja.
- Naprawdę? No, no!
- Tak! Złota jest tedy pod dostatkiem. Nie wypłacę umówionej sumy dopóki się nie przekonam, jak sprawa wygląda. No i cóż, sądzicie, że mogą mnie oszukać?
- Nie.
- No więc?
- A dlaczego Sheppard i Corner sprzedają hole? Dlaczego sami nie wydobywają nuggetów?
- Chcą skończyć na zawsze z Dzikim Zachodem i odpocząć. Dziwi mnie to, że jako westman nie znacie zwyczajów poszukiwaczy złota.
- Cóż to za zwyczaj?
- Sprzedają często swe łożyska i kryjówki, by zabrać się do poszukiwania nowych.
- Racja, święta racja!
- Zdaje mi się, że w stosunku do tamtych dwóch odczuwacie coś w rodzaju nieufności.
- Ja? Zdawało mi się, że to wy im nie ufacie.
- Dlaczegoż to?
- Wczoraj i przedwczoraj padło z waszych ust kilka słów tchnących nieufnością.
- Ani mi się śniło! Zupełnie mylnie tłumaczycie sobie moje słowa! Zostawcie niemądre domysły, gdyż o braku zaufania nie ma mowy. Jestem pewny swego. Mr Corner i Mr Sheppard są dżentelmenami, ręczę za nich. Zapewniam was, że jestem dobrym psychologiem i nikt mnie jeszcze w sprawach pieniężnych nie wywiódł w pole. Powinienem właściwie zakomunikować im, żeście mnie chcieli ostrzec przed nimi.
- Eggly udał, że go te słowa przeraziły i zawołał:
- Tego nie zrobicie, Mr Sachner!
- Ale powinienem to uczynić.
- Proszę o dyskrecję! Przrzekaliście mi przecież...
- Przrzekłem, bo nie wiedziałem co mi powiecie.
- Możecie mi bardzo zaszkodzić!
- Miałem w stosunku do was najlepsze intencje...
- To wasze szczęście! Gdyby było inaczej, przestrzegłbym ich bez wahania. Więc dobrze, będę milczał. Ponadto gotów jestem odwdziżyć się jeszcze inaczej za życzliwość.
- Mianowicie?
- Mówiliście, że otrzymacie zapłatę jedynie za towarzyszenie nam i że nuggety nic a nic was nie obchodzą. Postaram się, by was jednak trochę mogły obchodzić.
- Byłaby to nadzwyczajna grzeczność i uprzejmość. Cóż pan chce uczynić, Mr Sachner?
- Powziąłem następujący plan: zaprowadzicie nas na górę, potem zostanieie z nami, a więc poznacie hole. Gdy wrócę, najem pewną ilość ludzi i kupię narzędzia i maszyny potrzebne do eksploatacji placu. Pomyślałem przy tym o was. Mielibyście ochotę?
- Ależ z największą przyjemnością.
- Well! Możecie uważać sprawę za załatwioną. Nuggety będą was więc interesowały i

będziecie mogli później powiedzieć, że spotkanie ze mną przyniosło wam szczęście.

Stary skąpiec wiedział dobrze, dlaczego czyni Egglemu tę propozycję. Rozumował w następujący sposób: jeżeli Eggly istotnie nie zna jeszcze finding-hole, to pozna teraz. Mógłby zdradzić tajemnicę innym albo też sarn dobierze się do skarbu, a prawowity właściciel, który wyłożył pieniądze, gotów znaleźć hole pusty. By temu zapobiec, uważał za konieczne związać się z tym człowiekiem, najmniej więc kosztowne było ofiarowanie mu posady.

Starzec był sprytny, nie pomyślał jednak o tym, że Eggly jest o całe niebo sprytniejszy od niego. Eggly rzekł z udaną radością:

Nigdy panu tego nie zapomnę, Mr Sachner! Tułaczka i wędrowni zbrzydli mi już, od dawna tęsknię za stałym, dobrze płatnym zajęciem. I oto nagle ktoś okazuje mi zupełnie niespodziewanie pomoc! Sprawę zakresu pracy i kwestię wysokości wynagrodzenia odłożyć możemy na później.

– Zgoda! Najpierw musimy dotrzeć do hole, zbadać rozmiary otworu i stwierdzić, ile w nim nuggetów. Prawda, Hermanie?

Pytanie to było zwrócone do bratanka. Natężyłem słuch, by nie uronić ani słowa. Wydało mi się od razu, że znam dźwięk tego głosu. Czyżby to mógł być Carpio?

– Prawda.

Nie mogłem się niestety zorientować z tej lakonicznej odpowiedzi. Słowo „prawda” wypowiedziane zostało najzwyczajszym głosem; pożegnałem towarzysza przed wielu laty, nie mogłem więc stwierdzić czy to jego głos.

– Słuchaj no! Nad czym znowu rozmyślasz? – zapytał starzec. – Jesteś zawsze nieobecny. Chcę wiedzieć o czym myślałeś?

Słowa te wypowiedział niezwykle ostrym tonem. Jeżeli stryj zawsze przemawia tak do bratanka, to stosunki łączące ich muszą być nie najlepsze.

– Myślałem o moich ostrogach – brzmiała odpowiedź.

– O ostrogach? Skądże ci wpadło na myśl takie głupstwo?

– Zginęły.

– Zginęły? Jak to? Jak to rozumiesz? Nie pojmuję... To chyba niemożliwe!

– A jednak zginęły.

– Z nóg?

– Damned.\* To przecież niemożliwe, by ostrogi ulotniły się z nóg czy z butów.

– A jednak nie ma ich.

– Człowieku, twoje roztargnienie przekracza wszelkie granice! Jesteś nieprawdopodobnym roztrzepańcem, unikatem! Chwyć się za pięty, a z pewnością znajdziesz ostrogi.

– Zrobiłem to przed chwilą i stwierdziłem, że ich nie ma. Z pewnością zdjąłem je i oddałem na przechowanie. Masz krótką pamięć, drogi stryju! Sięgnij tylko do kieszeni, a znajdziesz w niej moje ostrogi!

– Diabła w niej znajdę! Przedwczoraj ta szelma sprzeczała się, że moja strzelba jest jego własnością, wczoraj po swojej kolacji spałaszował jeszcze całą porcję mięsa przeznaczoną dla mnie i zaczął później skarżyć się, że mu daję za dużo do jedzenia, dziś gubi ostrogi! Można zwariować!

– Mam wrażenie, że to nie jest takie łatwe. Uspokój się, kochany stryjasku i przeszukaj kieszenie. Komu poza tobą mogłem oddać ostrogi? Z pewnością leżą u ciebie w kieszeni!

– Nie mam ich! – huknął stary. – Skąd ci w ogóle przyszło na myśl zdejmować ostrogi?

– Przypominam sobie teraz: mój wierzchowiec jest bardzo wrażliwy na łaskotki. Trudno trzymać ciągle ostrogi na zewnątrz, a gdy go tylko nimi dotknę, staje dęba.

– Przypisać to powinieneś temu, że nie siedzisz spokojnie i miotasz nogami jak kukła!

– Gdzież tam! Zdjąłem ostrogi i oddałem ci na przechowanie. Jeżeli ich nie ma w twojej kieszeni, zgubiłeś je.

– Ja? Świat się kończy! Nie wytrzymam dłużej z tym łotrem!



- Kochany stryjasku, proszę cię, nie denerwuj się! Nie twoja to wina, że zupełnie nieświadomie bywasz często roztargniony. Musi to być rodzinne, dziedziczne, moje siostry cierpiały na tę samą chorobę, że...
- Nie wyjeżdżaj mi ciągle z siostrami! Opowiadałeś mi to setki razy i setki razy dowodziłem ci niezbitcie, że siostry twoje były dzielnymi, rozsądnymi kobietami. Sam popełniłeś wszystkie głupstwa, o które je obwiniasz. Zapłaciłem wasze długi, sprowadziłem cię tutaj, by zrobić z ciebie człowieka. No i mam skaranie boskie!
- Drogi stryju, po co kłuć w oczy niewielką sumą, którą posiałeś memu ojcu? Zasmucasz mnie zawsze tym wypominaniem.
- Niewielka suma? Nazywasz dwieście dolarów niewielką sumą? Zresztą nie dziwi mnie to wcale. Człowiek, który jako umierający z głodu student oddaje nędzarce dwadzieścia talarów i Bóg wie ile guldenów, nie może mieć pojęcia o wartości pieniądza!
- Tego nie uczyniłem, zrobił to mój przyjaciel Safona\*.
- Przyjaciel? Dziękuję za takiego przyjaciela! Guldeny były przecież i twoją własnością. Opowiadałeś mi to nieraz i po dziś dzień jeszcze czujesz sentyment dla tego nicponia i łotra, który wcale nie był twym przyjacielem, a po prostu cię oszukiwał.

Bratanek wpadł w gniew:

- Stryju, nie mów w ten sposób o Safonie! Wiesz przecież, że to jedyna sprawa, której nie wolno ci dotykać! Gdybyśmy nie musieli się rozstać, miałbym w kraju doskonałą posadę i nie potrzebowałbym się tułać po Dzikim Zachodzie. Rozstaliśmy się, ale kocham go tak samo jak w czasach, które niestety już nigdy nie wrócą.

Krzyczał tak głośno, że Eggly ofuknął go:

- Młodzieńcze, proszę tak nie ryczeć! To nie wiec Murzynów, na którym wszyscy drą się w niebogłoty. Stryj ma rację! Wasze roztargnienie przyniesie jeszcze dużo kłopotów i zmartwień. W naiwności zarzucacie w dodatku innym, że są roztargnieni! Zaslugujecie w zupełności na przydomek „Old Jumble”, które wam sam nadałem.
- Wypraszam je sobie kategorycznie! Nie macie najmniejszego prawa do dawania mi przydomek, które mnie obrażają. Nazywam was Mr Eggly i wymagam równej uprzejmości.
- Milczcie, Old Jumble! Powiem tylko, że zgubione dziś ostrogi mogą nam sprawić niejednego i niemały kłopot. Jeśli jakiś Indianin lub łotr znajdzie je i natrafi na nasz ślad, cały piękny plan gotowi wziąć diabli. Nie umiecie jeździć konno ani strzelać, jednym słowem nie macie pojęcia o tym, co się wiedzieć i rozumieć powinno. Dotychczas byliście nam tylko ciężarem, jednak przez takie historie jak dzisiejsza z ostrogami, stajecie się niebezpieczni. Dziękuję za takiego kompana! Człowiek zdejmując ostrogi i gubi je – nie, czegoś podobnego jeszcze nie widziałem! Jeżeli się nie opamiętacie i nie poprawicie, będziemy zmuszeni zostawić was gdzieś po drodze i bez was ruszyć dalej. Zostawimy was sępom na pożarcie i kwita!
- Mr Eggly, słuchałem z całym spokojem, proszę jednak kategorycznie...
- Milczeć! – przerwał ponownie Eggly. – Wiemy, coście warci, wy zaś wiecie jak sprawa wygląda – zresztą szkoda słów! Rozpalimy teraz ognisko, gdyż gdyby skrzeczenie ptaka miało oznaczać jakąś niepożądaną przeszkodę, odczulibyśmy już dawno niemiłe skutki. Jestem przekonany, że w pobliżu nie ma nikogo obcego; musimy rozpaść ognisko, by towarzysze mogli nas odnaleźć.

Egglemu nie było bardzo spieszno z rozpalaniem ogniska, pamiętał o tym, by Corner i Sheppard mogli się cofnąć pod osłonę ciemności. Nie trzeba chyba dodawać, że taktykę Egglego wykorzystaliśmy również dla siebie.

Co za spotkanie! Carpio, stary, poczciwy, kochany Carpio nad Lake Jone, na płaskowzgórzu Dzikiego Zachodu! Niestety, rozłączyliśmy się. Mimo wysiłku i trudu, który mu poświęcałem, nie rozwinął się wcale. Po skończeniu gimnazjum nie miałem wątpliwości, że z przyjaciela mego nic nie będzie. Może byłby do czegoś doszedł jako rzemieślnik, rzemiosło to rzecz intratna; ludzie, którzy nim pogardzają, zasługują na najostrzejsze

potępienie. Niestety Carpio był jedną z niezliczonych ofiar fałszywego poglądu zakorzenionego od pokoleń, że syn, który nie ukończył szkoły średniej jest hańbą i wstydem dla ojca. Nawet ci ojcowie, którzy nie posiadając wyższego wykształcenia doszli do wysokich stanowisk, a więc ci, którzy wiedzieć powinni, że niejedna droga prowadzi do tak zwanej „lepszego egzystencji”, uważają za swój obowiązek gwałtem pchać synów w objęcia jakiejś Alma Mater\*. Skutki są zawsze fatalne. Następuje rozczarowanie. Gdy dziesięciu ludzi biada nad zwichniętym życiem, można twierdzić z całą stanowczością, że ośmiu lub dziewięciu z nich to synowie takich właśnie ojców.

Carpio należał do tego typu nieszczęśliwców. Przeczując epilog zdobyłem się podczas rozmowy z jego ojcem na drobną uwagę, stary spiorunował mnie jednak z taką energią, że zamilkłem jak trusia. W ferworze padły słowa: dziecinne poglądy, niedojrzałe osady, nieproszone mieszanie się do spraw, o których nie ma się pojęcia. Zauważyłem, że od tej chwili ojciec Carpiona zaczął patrzeć niechętnie na moje obcowanie z jego synem, a nawet próbował przeszkodzić naszemu związkowi. Pod wpływem tego stanowiska ojca zaprzestaliśmy nawet ożywionej z początku po moim wyjeździe z kraju korespondencji.

Od lat nie miałem więc żadnych wiadomości o losach przyjaciela. W każdym razie prędzej spodziewałbym się Bóg wie czego niż spotkania niezdarne i bezradne kolegi tu, na Dzikim Zachodzie, gdzie nie tyłka trzeba się zwać mężczyzną, ale też być nim w istocie. Gdyby Carpio wiedział, że jego Safona, ten „pędziwiatr i włóczęga” ukryty w zaroślach podsłuchuje tuż za jego plecami! Orientowałem się już dokładnie w jego stosunkach ze stryjkiem. Stary skąpiec, przekonany, że świeżo upieczony gimnazjalista jest ważną figurą i przyda mu się na coś, sprowadził bratanek do Ameryki, by go za psie pieniądze wykorzystać i wyzyskać. Dziwiło mnie bardzo, że po rozczarowaniu surowy stryjaszek nie pozbył się krewniaka i nie zostawił na lodzie, nie mogłem pojąć, dlaczego trzyma go przy sobie i po co zabrał na wyprawę do finding-hole. Coś w tym musiało być, nie wiedziałem jeszcze co, ale byłem pewien, że się dowiem.

Najchętniej wyszedłbym wtedy z za krzaków i palnął stryjkowi porządną, z serca płynącą reprimendę. Niestety, nie mogłem tego uczynić, musiałem pójść w ślady Winnetou, który już przy ostatnich słowach Egglego odsunął krzak i zaczął się oddalać od rozpalonego na nowo ogniska. Dogoniłem go wkrótce chcąc wyprzedzić Cornera i Shepparda i podsłuchać choćby kilka słów z ich rozmowy. Zaczęliśmy się szybko przemykać wśród drzew.

Nie ulegało wątpliwości, że wrócą do koni. By mieć jak największą swobodę ruchów, wydostaliśmy się szybko z lasu i stanęliśmy wśród krzaków na wystającym cyplu skraju lasu. W przekonaniu, że Corner i Sheppard zjawią się tu wkrótce, położyliśmy się na ziemię. Od ogniska dzieliła nas spora odległość, było rzeczą pewną, że siedzący przy ognisku nie będą mogli słyszeć prowadzonej tu rozmowy. Przypuszczaliśmy więc, że Corner i Sheppard będą mówić głośno. Tak się też stało. Gdy się po chwili zbliżyli, Corner rzekł do Shepparda:

– A więc nie ma potrzeby wysyłać starego na tamten świat. Ufa nam święcie, nawet uważa nas za dżentelmenów!

– Ale bratanek! Gubi ostrogi! Fantastyczna historia. Cóż z nim pocniemy?

– Jeżeli mogliśmy go wlec aż tutaj i wściekać się z jego powodu, to trzeba przecierpieć jeszcze kilka dni, które nas dzielą od przybycia do finding-hole.

– Well! Ale wtedy koniec z pobłażliwością i milczeniem! Mam dosyć kawałów, których terenem mogłaby być bawialnia dziecka, ale nigdy Rocky Mountains. Pojedziemy teraz do nich i opowiemy, że żubr...

Dalszej rozmowy nie mogliśmy już słyszeć, bo minęli nas. Odczekaliśmy kilka chwil i ruszyliśmy wolno za nimi. Po niedługim czasie rozległ się na miękkiej trawie głuchy tętent końskich kopyt. Corner i Sheppard opuścili swoją kryjówkę i ruszyli w kierunku prerii, by udać wobec Sachnerów, że właśnie w tej chwili dotarli do jeziora.

Rost zdziwił się, że tak wcześnie wróciliśmy. Pod wpływem naszego ostrzeżenia był

pewien, że zjawimy się o wiele później; ucieszył się bardzo, że nie będzie musiał czuwać samotnie w głębokiej, niesamowitej ciszy nocnej. Postanowiliśmy napoić konie. Ruszyliśmy więc wzdłuż lasu ciągnącego się na północnym brzegu jeziora i zaprowadziliśmy konie do rzeki wpadającej do jeziora. Gdy konie ugasiły pragnienie, wyszukaliśmy dla nich odpowiednie miejsce na nocny popas, uwiązaliśmy wierzchowce i rozłożyliśmy na ziemi koce.

Przez długą chwilę leżeliśmy w milczeniu. Bawiło mnie to szczerze, że Rost umiera z chęci dowiedzenia się, co widzieliśmy i słyszeliśmy. Usiadł, znowu się położył, wreszcie zaczął się przewracać z boku na bok, nie mogąc już ukryć niepokoju. Równocześnie nie chciał być natarczywy. O tym, by się odważył zwrócić do Winnetou, nie było mowy, gdy jednak dręcząca go niepewność doszła do zenitu, skierował do mnie następujące słowa:

– Mr Shatterhand, czy pan śpi?

– Nie – odparłem.

– Chwała Bogu! W przeciwnym razie musiałbym pana chyba obudzić.

– Dlaczego?

– Bo jestem, że tak powiem, stworzeniem o ludzkich uczuciach i potrzebach.

– Te potrzeby i uczucia odezwały się właśnie teraz? O cóż chodzi?

– Nareszcie ogarnęło was to, co mnie prześladowa od dawna.

– Cóż to takiego?

– Ciekawość.

– Nie powodowała mną ciekawość, a współczucie. Rzucaliśmy się na wszystkie strony, miałem wrażenie, że uczucia, o których mówiliście, są bardzo bolesne.

– Nie tyle bolesne, ile w najwyższym stopniu niemiłe. Gdy się ma uczucie, że się jest zbędnym, rodzi się potrzeba, by zbędność ta nie do wszystkiego przynajmniej się odnosiła.

– Zbędny? Jak to?

– Dlaczego pytaacie, milordzie? Potrafię dojrzeć gołym okiem niejedno, ale niestety nie mogę ani zobaczyć, ani usłyszeć tego, co się dzieje w odległości kilku mil angielskich.

– Nikt też tego nie przypuszcza Mr Rost!

– Przeciwnie! Gdyby było inaczej, opowiedzielibyście mi, czy się wyprawa udała.

– Well! Jeżeli to wasze jedyne zmartwienie, mogę was od niego uwolnić. Dowiedźcie się więc, że wyprawa miała przebieg nadspodziewanie pomyślny.

– I cóż dalej?

– Co dalej? Przecież odpowiedziałem na pytanie.

– Tak, ale w jaki sposób! Nie traktujcie mnie jak pierwszego lepszego ciekawskiego. Przecież nic w tym dziwnego, że tu w górach Rocky Mountains, gdzie każdy drobiazg odgrywa niesłychanie ważną rolę, nie chciałbym pozostawać w niepewności co do rzeczy, o których jesteście poinformowani. Proszę pozwolić, by głos wewnętrzny...

– Dobrze! Pozwalam – przerwałem – by głos wewnętrzny powiedział wszystko, czego tylko pragniecie się dowiedzieć.

– Pan jest okrutny? Mój głos wewnętrzny jest w tej chwili równie niezorientowany jak ja sam. Czy mógłbym się przynajmniej dowiedzieć, kim jest ta piątka i czy przypuszczenia, że to jedna banda, są słuszne?

– Nie tylko możecie się dowiedzieć, lecz to musi się stać. Chciałem was tylko trochę pomęczyć, bo jestem w dobrym humorze.

– Dziękuję! A więc dobry humor idzie u pana w parze z dręczeniem ludzi! Muszę przyznać, że dotąd nie uważałem pana za mizantropa\*.

– Nie są to męki, które mogłyby ujemnie wpłynąć na zdrowie. Mogę was wynagrodzić niezwykle zajmującymi nowinami. Prayerman jest tutaj.

– Kto, jak, co, gdzie? – zawołał ze zdumieniem, zrywając się na równe nogi. – Prayerman?

– Tak.

- To w najwyższym stopniu zdumiewające!
- Nie zdumiewa mnie to wcale, spodziewałem się bowiem, że go spotkam tu w górach. Oprócz prayermana jest tu jeszcze ktoś, kogo nie tylko widzieliście, ale i obsługiwaliście. Nieznajomy, który siedział przy stole pod oknem w towarzystwie pięciu ludzi z Weston.
- Przypominam sobie, wiem o kim mówicie, Mr Shatterhand! Przypuszczałem, że zamieszka u nas, nie uczynił tego jednak.
- Chciał tylko coś zabrać i ulotnić się jak najprędzej.
- Cóż takiego?
- Nuggety Wattera.
- Czy to być może, milordzie! A więc to wspólnik prayermana?
- Tak. To ten sam człowiek, który był razem z prayermanem w sąsiednim pokoju. Twierdziliście, że się mylę, tymczasem okazało się, że miałem rację.
- No, no! Czy wiadomo panu, o czym rozmawiali?
- Owszem.
- O czym?
- Dowiedzie się później. Jest z nim jeszcze ktoś.
- Kto?
- Złodziej, który... Ale co tu dużo gadać, zebrali się tu razem trzej złodzieje: prayerman, który całą rzecz urządził, włamywacz, który otworzył skrzynię ze złotem i ten, który nuggety odebrał na podwórzu.
- Jaki niezwykły przypadek! Nie można było marzyć o korzystniejszym i piękniejszym spotkaniu! Czy pan wie, co mi mówi mój głos wewnętrzny?
- Z pewnością nic mądrego.
- Przeciwnie! Tym razem głos ten wie więcej ode mnie. Mówi, że łotry mają nuggety przy sobie.
- Ach tak!
- Tak. Odbierzemy je i oddamy właścicielowi.
- To brzmi pięknie. Szkoda tylko, że nuggety są już dawno sprzedane.
- Komu? Gdzie?
- Tego nie wiem. Przypuszczam, że w St. Louis.
- A więc łotry nie mają ich przy sobie?
- Ani im to w głowie! Złoczyńcy nie zechcą przecież wlec w góry ciężkiego złota. To byłby nonsens. Każdy poszukiwacz złota marzy tylko o tym, by zabrać stąd złoto, a oni mieliby je tu przywozić? Złodziej stara się zawsze spieniężyć ukradzioną rzecz. Czy uważacie, że ta wyrafinowana trójka to idioci, którzy po to wloką ze sobą pół cetnara nuggetów, by im można było udowodnić fakt popełnienia kradzieży i odebrać zrabowany skarb?
- Macie najzupełniejszą rację, milordzie. Niespodziewana wiadomość o hultajskiej trójce zabiła mnie z tropu. Ale mimo to wiem, co uczynicie z tymi łotrami.
- Wątpię.
- O nie! Wiem zupełnie dokładnie.
- No?
- Schwytnie ich i dostawicie do Weston.
- Ani nam się śni!
- Nie? Dlaczego?
- Z wielu przyczyn. Najważniejszą jest brak czasu – przecież śpieszymy do Szoszonów. Ponadto ta trójka zamierza popełnić nowe przestępstwo. Moglibyśmy mu wprawdzie zapobiec przez ujęcie łotrów, ale nie uczynimy tego, gdyż mądra i ostrożna taktyka, dająca opryszkom swobodę ruchów, może doprowadzić do odnalezienia finding-hole. Zwabili nowych ludzi, starca i młodzieńca, ujrzą ich jutro.
- Jakie mają wobec nich zamiary?

– I o tym dowiecie się później. Na teraz dosyć. Przygotowałem was na dzień jutrzejszy, który zapowiada się niezwykle interesująco. Jutro po drodze zakomunikuję wam, co macie robić i jak się zachować.

– Po drodze? A więc wyruszamy?

– O świcie.

– Razem z tamtymi pięcioma?

– Nie.

– Za nimi?

– Nie. Przed nimi.

– Przypuszczałem, że za nimi, by odnaleźć finding-hole.

– Owszem, ale jutro zrobimy wyjątek i wyprzedzimy ich, by na nich zaczekać.

– Czy wiecie, jaką obiorą drogę?

– Wiemy, ale teraz trzeba już spać. Obudzimy was o świcie.

– Przecież dziś na mnie wypada warta!

– W pobliżu są niebezpieczni ludzie, będziemy więc sami stali na straży. Dobranoc!

– Dobranoc, milordzie! Nie przypuszczam, by udało mi się zasnąć.

Rozciągnął się i zawinął w koc. Od dnia rozpoczęcia wyprawy to pierwsza przygoda, w której bierze udział! Nic dziwnego, że podniecenie i zdenerwowanie nie dają mu spać.

Winnetou nie rzekł ani słowa. Rozmowa była zbyteczna. Znaliśmy się przecież doskonale, każdy wiedział dobrze, o czym w danych okolicznościach drugi myśli i jakie ma zamiary.

Długa przyjaźń wytworzyła takie podobieństwo uczuć, myśli i postanowień, że pytania padały tylko w rzadkich momentach wątpliwości.

– Dobrej nocy, Winnetou! – rzekłem wstając.

– Dobranoc, Szarlih! – odparł. Mój brat będzie czuwał pierwszy, gdyż musi pomówić ze swymi myślami.

Był to jeden z dowodów, że zna dokładnie moją duszę. Oddaliłem się nieco i zacząłem powoli obchodzić obozowisko. Świadomość obecności Carpiona nie pozwalała mi przekazać pierwszej warty Apaczowi i udać się na spoczynek. Pracowity, ubogi, ukochany okres młodości wyrósł przed moimi oczami wyczarowując dawne postacie, troski, kłopoty, cierpienia i radości. Człowiek jest pnącą rośliną, której korzenie tkwią w okresie młodości. Z niego podświadomie czerpie soki nawet zgrzybiały starzec.

Z bronią na ramieniu chodziłem długo po północy, wreszcie obudziłem wodza. Zwrócił się do mnie z wyrzutem:

– Dlaczego mój brat obudził mnie dopiero teraz? Musimy ruszyć za dwie godziny! Howgh!

Położyłem się na ziemi i skupiłem wolę, aby szybko zasnąć, co się wkrótce stało. Gdy mnie obudzono, konie stały już gotowe do drogi, choć ranek znaczył się na niebie ledwie dostrzegalnymi cieniami. Dosiedliśmy koni i ruszyliśmy wzdłuż rzeki w kierunku północnym. Po dotarciu do dobrze nam znanego brodu, przeprawiliśmy się na drugi brzeg.

Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że obranie takiego kierunku oddala nas od Cornera i jego towarzyszy, z drugiej jednak strony wykluczało niebezpieczeństwo odkrycia przez nich naszych śladów. Zresztą byliśmy przekonani, że zwłokę bez trudu nadrobimy.

Jadąc ciągle w kierunku północny m dotarliśmy wreszcie do poziomego bardzo odległych Squaw Mountains. Skręciliśmy na zachód i ruszyliśmy dalej galopem, chodziło bowiem o to, by zdążyć do Medicine Bow River przed przybyciem poszukiwaczy finding-hole.

Dojechaliśmy tam koło południa, napoiłmy konie w potoku, orzeźwiliśmy się kąpielą, po czym Winnetou skręcił w kierunku stromych zboczy Seminole.

Nie mieliśmy wcale zamiaru wdrapywać się na szczyt. Chodziło tylko o to, by dotrzeć do punktu, z którego można byłoby dojrzeć daleką równinę. Osiągnąwszy cel zsiadliśmy z koni pozwalając im paść się swobodnie. Usiadłem z Rostem pod drzewem. Winnetou oddalił się. Fakt, że zabrał ze sobą strzelbę wskazywał, że ma zamiar coś upolować. Po niedługiej chwili

rozległy się dwa strzały, po czym Winnetou zjawił się z pożywieniem na cały dzień pod postacią dwóch potężnych cietrzewi. Oskubaliśmy je i zabraliśmy się do pieczenia na lekkim ogniu, nie trzeba chyba dodawać, że równocześnie uważaliśmy pilnie, czy nie zjawi się któryś z pięciu oczekiwanych jeźdźców.

Ujrzelśmy ich wkrótce. Byli jeszcze daleko na horyzoncie, ale już po chwili zorientowaliśmy się, w jakim kierunku jadą. Właściwości terenu pozwoliły nam określić dokładnie najdogodniejsze miejsce spotkania. Po posiłku sprowadziliśmy konie z góry i ruszyliśmy w oznaczonym kierunku.

Jechali wzdłuż Bow Creek. Jako miejsce spotkania wybraliśmy pewien punkt długiego, wąskiego pasa murawy, który będą musieli przekroczyć. Z jednej strony okalała go rzeka, z prawej zaś rosło kilka gęstych olszyn. Ustaliliśmy, że Winnetou spotka ich niby przypadkiem. Został więc w tyle, a ja w towarzystwie Rosta, nie chcąc zostawiać śladów na trawie dotarłem przez olszyny do skraju murawy. Nie ulegało wątpliwości, że stąd będziemy mogli obserwować dokładnie spotkanie złoczyńców z Winnetou. Poinstruowałem Rosta jak ma się zachować. Pałał żądzą palnięcia prayermanowi kazania i byłem pewien, że wypadnie ono nie mniej bogobojnie niż namaszczone mowy świętoszka-handlarza z Weston.

Trzeba zaznaczyć, że ubiegłego wieczoru, gdy podsłuchiwałem obu rozbójników, Sheppard wcale nie posługiwał się wykwintną mową. Przeciwnie, używał tych samych ordynarnych wyrazów co Corner. Nie mogę ich tu nawet powtórzyć. Już pierwsze zdanie podsłuchanej rozmowy wskazywało na to, że prowadzają ludzie stojący na najniższym szczeblu moralności.

Nie czekaliśmy długo, odgłos głośnych rozmów wskazywał, że się zbliżają. Po chwili cała kawalkada ukazała się naszym oczom. Na przedzie jechał prayerman z Cornerem, za nimi Eggly i stary Sachner, ostatni był Carpio.

Gdybym nie wiedział kto to taki, nie poznałbym go na pierwszy rzut oka. Te same rysy twarzy co dawniej, ale jak się postarzał! Wyglądał staro nie tylko w stosunku do okresu młodości, w którym go pożegnałem, ale i w stosunku do swych lat. Oczy głęboko osadzone w oczodołach, policzki zapadnięte, w całej postaci zmęczenie i wyczerpanie, jak gdyby całymi dniami nie zsiadał z konia. Nie chcę mówić, jak siedział na swym rumaku.

Dziś jeszcze darzę Carpia dużym sentymentem, nie mogę go więc ośmieszać w oczach Czytelniczek i Czytelników. Dość powiedzieć, że przy każdym kroku konia miałem wrażenie, że Carpio zwali się z siodła. Dano mu najgorszą szkapę, przy jej nierównym chodzie niedoświadczony jeździec musiał czuć ból we wszystkich kościach. Wyglądał tak mizernie, jego widok wzbudzał takie politowanie, że najchętniej skoczyłbym i przycisnął go do serca, powaliwszy pięściami resztę jego towarzyszy, którzy mieli konie nie najgorsze. Corner dosiadał kasztana, którego ja sam bym się nie powstydział.

Zrównawszy się z Winnetou osłupieli. Corner zatrzymał wierzchowca i zawołał:

– Halloo! Indianin! Uwaga! Ach, zdaje się, że jest sam. Czterej pozostali jeźdźcy zatrzymali się również. Patrzyłem tylko na Carpia, na widok Winnetou na jego twarzy pojawił się wyraz podziwu. Winnetou zbliżał się wolno od prawej strony, po chwili zatrzymał konia, obrzucił białych obraźliwie obojętnym wzrokiem i rzekł:

– Pięć białych twarzy! Uff! Niechaj odstąpią na bok, bym mógł przejechać!

– Odstąpić na bok? – roześmiał się Corner. – Offwith you!\* Za żadne skarby świata nie ustąpię przed czerwonoskórym łobuzem! Bierz nogi za pas, ruda małpo albo dostaniesz pięścią w pysk.

– Pshaw! – brzmiała krótka, niesłychanie pogardliwa odpowiedź Apacza.

– Psie, odpowiadasz słowem „pshaw”? – wrzasnął Corner. – Oto zapłata!

Chcąc doskoczyć do Winnetou spiął konia ostrogami i podniósł pięść, by uderzyć.

– Tszah! – zawołał Winnetou do swego ogiera.

Ogier zrobił potężny skok i zwarł się z kasztanem, po chwili kasztan zwał się wraz z

jeźdźcem na ziemię. Powalony rumak zerwał się szybko na równe nogi, trudniej poszło Cornerowi. Zgubił gdzieś strzelbę i chciał sięgnąć do pasa po broń, ale Winnetou chwycił błyskawicznym ruchem swoje rewolwery i zawołał groźnie:

– Oto pięć bladych twarzy, w moich rękach dwanaście strzałów. Jeżeli którakolwiek z bladych twarzy wyciągnie rękę po broń, otrzyma kulę w łeb!

Biali znali prawa i zwyczaje Dzikiego Zachodu, według których ten jest zwycięzcą, kto pierwszy zawładnie bronią palną. Winnetou nie zawołał tradycyjnie: „hands up”<sup>\*\*</sup>; był pewien, że i bez rozkazu podniosą ręce do góry. Pewna siebie, despotyczna postawa działała równie silnie jak rewolwer. Corner spuścił rękę z pasa, ale rzekł groźnie:

– Człowieku, powaliłeś mnie koniem! Rozumiesz, co to znaczy?

– Chłopie, chciałeś mnie uderzyć! Rozumiesz, co to znaczy? – odparł Winnetou.

– Pshaw! A czymże jest uderzenie Indianina? Te łotry zasługują tylko na baty.

– Czy i Winnetou, wódz Apaczów?

Na dźwięk tego imienia cała piątka wyteżyła słuch.

– Tam do licha! Czy to ma znaczyć, że ty jesteś Winnetou, wódz Apaczów? – zawołał Corner.

– Tak!

– Jeżeli to prawda, dam się... Do pioruna! Tak, to on! To przecież .. jego sławna strzelba ze srebra. A to kary Iltszi. Wobec tego możesz jechać dalej. Nie uczynimy ci nic złego!

– Uff! Nie uczynicie nic złego Winnetou, wodzowi Apaczów? – zapytał, czyniąc lekceważący ruch ręką. – Dwanaście kul czeka na was, a ta blada twarz zapewnia łaskawie, że nic mi się nie stanie! Winnetou jeździ gdzie i kiedy chce, teraz pozostanie tutaj, gdyż ma z wami do pomówienia. Podniosłeś na niego rękę i nazwałś psem! Kimże ty jesteś? Kim w ogóle może być blada twarz, której nazwisko brzmi Corner?

– – Co? Wiesz, jak się nazywam?

– Pshaw! Winnetou zna nazwiska wszystkich pięciu! Ludzie nazywający się Corner, Eggly i Sheppard kradną cudze nuggety i zabijają ich i prawych właścicieli. Jesteście smrodliwymi kojotami; nie warto tracić dla was moich kul, mam je tylko dla uczciwych ludzi. Zdepczę was kopytami mego konia.

Po tych słowach wsunął obydwie rewolwery za pas santillo. Nie widząc broni w ręku Winnetou bandyci odzyskali tupet.

– Kimże to mamy być? Cóż to takiego uczyniliśmy? – zawołał były prayerman. – Takiej obrazy nie zniesiemy nawet od Winnetou! My też mamy strzelby i rewolwery!

Chciał zdjąć strzelbę z ramienia. Uśmiechnąwszy się wyniośle Apacz wskazał groźnie na olchy i rzekł:

– Niechaj blada twarz Sheppard zostawi broń w spokoju, gdyż tam w zaroślach lśni strzelba mego brata Old Shatterhanda, zwana sztucercem Henry'ego.

Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku lufy mej strzelby. – Do kroćset! – zawołał Corner.

– to wygląda na regularny, planowany napad! Winnetou atakuje z przodu, Old Shatterhand dobiera się z boku. Czekali tu na nas od dawna. Czego chcecie?

Na dany przeze mnie znak Rost wyjechał z zarośli i rzekł:

– Nie potrzebujemy się chyba nad tym rozwodzić. Prayerman wie z pewnością, kim jestem.

Prayerman patrzył przez chwilę nieprzytomnym wzrokiem, potem odparł że źle udanym spokojem:

– Kelner z Weston, tak, kelner z Weston! Cóż was zagnało w góry, Mr. Rost?

– Szukam nuggetów Mr Wattera – brzmiała odpowiedź.

– Są tu, w górach? Zapomniał o nich zapewne, a potem zaczął wmawiać sobie i innym, że mu je skradziono.

– Dajcie spokój kawałom! Dobrze wiemy o co chodzi.

– Wiemy? O kim mówicie? Chyba nie o sobie?

– Mówi nie tylko o sobie, ale i o mnie! – odparłem wychodząc

z zarośli. – Zsiadać z koni!

Powiesiłem strzelbę na ramię, do rąk wzięłem rewolwery. Nastąpiła krótka i głęboka cisza. Przerwał ją piskliwy dyszkant prayermana: – Ależ to niezrównany Mr Mayer, autor pięknych wierszy ku czci Bożego Narodzenia. Cóż to za strój! Można by pomyśleć...

– Zsiadać z koni! – przerwałem.

Corner spełnił już przedtem mój rozkaz. Eggly zsiadł również z konia. Tylko Sheppard nie chciał wykonać rozkazu. Spiąwszy więc wierzchowca zbliżyłem się do niego dwoma zwinnymi susami i wałnąłem go pięścią w głowę tak mocno, że nogi wyleciały mu ze strzemion. Rewolwer przełożyłem oczywiście z prawej ręki do lewej. Koń Shepparda stanął dęba i zrzucił nieprzytomnego jeźdźca na murawę.

Stanąłem teraz na wierzchowcu przed Carpiem. Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, miałem przez chwilę wrażenie, że wyskoczą z orbit.

– Więc ty jesteś, jesteś!... Jesteście... Old Shatterhand! – wyjąkał wreszcie podłą angielszczyzną.

– Tak, jestem Old Shatterhand – odparłem, nie chcąc w tej chwili tracić czasu na powitanie. – Wy trzej siadźcie na trawie i połóżcie broń za sobą. No, śpieszyć się, bo was stratuję kopytami!

Eggly usiadł kładąc za sobą nóż i rewolwer. Corner uczynił to samo zgrzytając zębami. Po chwili przywłókł się Sheppard.

– Chciałbym wiedzieć po ta komedia ma oznaczać? – zapytał ze zdeterminowaną zuchwałością, która jest ostatecznym środkiem obrony.

– Zaraz się o tym dowiedzie – odparłem zeskakując z siodła. – Chcę wam zadać kilka pytań. Wy trzej skradliście w Weston nuggety Wattera?

– Ani nam się śniło!

– Well! Niech będzie jak chcecie. Nie jestem ani okradzionym, ani szeryfem, ani sędzią. Zachowajcie więc przy sobie swoje wiadomości. Muszę jednak pomówić z panem Sachnerem.

Lichwiarz i Carpio również zsiadli z koni. Zwróciłem się do Sachnera:

– Mr Sachner, muszę panu oświadczyć, że wpadł pan w złe ręce. Czym to wytłumaczyć, że zawarł pan przymierze z mordercami i złodziejami?

– Z mordercami i złodziejami? – zapytał. – Pan się myli! Ci dżentelmeni są najuczciwszymi ludźmi w całych Stanach.

– To pan się myli. Znam ich lepiej od pana. Ci trzej zatwardziali grzesznicy, których pan raczy nazywać dżentelmenami, dokonali całego szeregu zbrodni, o których nie chcę tu mówić. Przede wszystkim jednak zastrzelili niejakiego Welleya, który wioził w dół rzeki dwadzieścia tysięcy dolarów w nuggetach i zrabowali te pieniądze. Po tej zbrodni udali się za towarzyszem Welleya, Watterem, do Weston skradli mu pół cetnara złota. W Weston dokonali również włamań do pewnego handlarza, a w Plattsburgu pewnego adwokata. Ścigani przez policję, nie mogąc się pokazać w stanie Missouri wloką was w góry, aby obrabować ze złota.

Wszyscy trzej zaczęli głośno protestować, zamilkli jednak do chwili pod wpływem poważnego, groźnego spojrzenia Winnetou.

– Radzę panu rozstać się z nimi, nie powinien pan zadawać się z takimi łotrami – zakończyłem.

– Czy był pan przy tym, jak zastrzelili tego człowieka na rzece?

– Nie.

– Czy był pan świadkiem włamań w Weston i w Plattsburgu?

– Nie.

– Czy interes z nimi zawierałem w pańskiej obecności?

– Nie – powtórzyłem.



Nie wolno mi było zdradzić całej prawdy, gdyż pozbawiłbym się broni przeciw złoczyńcom.

– A więc nie potrafi pan udowodnić zarzutów, Old Shatterhand jest sławnym westmanem, ale nie zna się na interesach, dlatego też nie usłucham jego rady. Mogę przysiąc, że ci panowie są dżentelmenami, nie mam więc zamiaru rozstawać się z nimi. Na jakiej zresztą podstawie pan się tak opiekuje moimi sprawami?

– Jestem przyjacielem jednego z pańskich krewnych.

– Cóż to za krewny?

– Stojący obok pana bratanek Herman.

– Pan jest jego przyjacielem?

Carpio wyręczył mnie w odpowiedzi. Przez cały czas rozmowy nie spuszczał ze mnie oka, przez cały czas nadzieja walczyła w nim z wątpliwością. Usłyszawszy moje ostatnie słowa ryknął wniebogłosy:

– Safona! Ty, ty naprawdę? Więc Się nie omyliłem?

– Nie, kochany Carpio, to ja, twój stary, wierny kolega szkolny i towarzysz wakacyjnych wycieczek.

Pochylił się ku mnie, otoczył mnie ramionami i zaczął ścisnąć ze łzami w oczach. Po chwili usłyszałem następującą prośbę:

– Nie opuszczaj mnie, Safono, nie opuszczaj! Inaczej zginę, Stryj nie cierpi mnie, a tamci dybią na moje życie.

– Nie obawiaj się! – uspokoilem go. – Pod moją opieką jesteś zupełnie bezpieczny.

– Tak jak wtedy, gdy prócz ciebie nie miałem nikogo? Stary usłyszał zapewne kilka słów z prowadzonej półgłosem rozmowy, zapytał bowiem jadowicie:

– Co powiedział? Kto dybie na jego życie?

– Nie pana miał na myśli.

– A kogo? Należy do mnie. Jestem jego opiekunem i kieruję jego losem. Nie potrzebuje pańskiej opieki! Proszę go zostawić w spokoju!

– Przecież nie jest pan moim stryjem, Mr Sachner! Zrobię to, co mi się będzie podobało. Herman jest teraz ze mną i pozostanie jak długo zechce.

– Oho! Oddaj go pan!

Chciał nas rozdzielić, odsunąłem go jednak na bok i rzekłem:

– Pański bratanek jest pełnoletni i nie ma obowiązku słuchać pańskich rozkazów.

– A ja nie mam obowiązku stosować się do pańskich! – odparł ponuro.

– Tutaj pan musi, gdyż dowiedliśmy, że jesteśmy tu panami. Spełniłem swój obowiązek ostrzegając pana przed towarzyszami. Czy naprawdę zamierza pan iść z nimi daleka ręką w rękę?

– Tak. Mam wrażenie, że pan jest tym uczniem, z którym mój siostrzeniec urządził wycieczkę na Boże Narodzenie?

– Nie myli się pan.

– I ten chłopak stał się Old Shatterhandem! Nie, większego figla los nie mógł spłatać!

Uważałem dotąd Old Shatterhanda za dzielnego chłopca, teraz jednak jestem wręcz odmiennego zdania. Ktoś, kto jako chłopak był tak lekkomyślny jak pan, nie jest człowiekiem, który mógłby mi udzielać rad. Właśnie dlatego, że pan tych panów oskarża, nie opuszczę ich.

– Well! Nie chcę wpływać na pańską decyzję. Mam nadzieję, że nasze sprawy już załatwiliśmy?

– Ja również jestem tego zdania. Odjeżdżam! Prayerman zawołał:

– Co się stanie z nami? Pojedziemy chyba razem?

– Tak, pojedziecie razem – odparłem. – Powiedziałem już, że nie jestem waszym sędzią, nie jesteśmy również urzędnikami policyjnymi i nie będziemy was więzić.

– A więc jazda! – rzekł usiłując wstać.

– Jeszcze chwilę! – przeszkodziłem mu. – Nie załatwiliśmy jeszcze wszystkiego. W tej chwili, podkreślam wyraźnie, w tej chwili nie mam nad wami władzy, kiedy jednak przejawicie wobec nas wrogie zamiary, choćby w najmniejszym szczególe, obowiązują zaczynać prawa prerii i staniami się policją, sędziami oraz wykonawcami wyroku. Strzeżcie się więc! Poznaliście mnie już w Weston. I jeszcze jedno: młody Sachner nie pojedzie z wami, zostanie i...

– Oho! – zawołał stryj. – Pojedzie ze mną, choćbym miał moimi starymi pięściami powalić samego Old Shatterhanda...

– Milczeć! – przerwałem. – Powiedziałem już, że jesteśmy tu panami i kwita.

– Tak uważacie? To pokażę wam, kto tu jest prawdziwym panem! Zaczął na mnie napierać. Nie mając ochoty walczyć z tym człowiekiem i chcąc załatwić sprawę jak najprędzej, ująłem go pod boki i podniosłem – Sachner wywijął z pasją rękami i nogami – po czym zrobiłem kilka kroków w kierunku potoku. Tu wpakowałem go w lodowatą wodę. Po chwili pozwoliłem mu wyskoczyć, wśród jęków i przekleństw pośpieszył do swego wierzchowca, ujął cugle i zaczął go ciągnąć za sobą. Po chwili zawołał:

– Jadę dalej! Chwilowo jestem pokonany, ale jeżeli spotkam jeszcze kiedyś tego nicponia, który w nieznanym sposobie doszedł do nazwiska Old Shatterhand, porachuję się z nim! Będzie musiał zapłacić przynajmniej sto procent!

Wysoki procent nie był dla niego, jako dla zawodowego lichwiarza, pierwszozną. Czuję, że ten człowiek pozostanie wierny zbrodniarzom nie tyle pod wpływem niechęci do mnie, ile pod wpływem skąpstwa i chciwości. Pod względem moralnym stał równie nisko jak te łotry.

Gdy odjechał, wróciłem się do jego kompanów z następującymi słowami:

– Winnetou, wódz Apaczów, został podwójnie obrażony. Nie może to ująć bezkarnie, kara jednak będzie łagodna i będzie musiała przynieść korzyść temu, którego do tej pory dręczyliście. W ten sposób zmażecie przynajmniej część winy. Mr Carpio Sachner nie ma dobrego wierzchowca. Ponieważ zostaje z nami, musi mieć konia jak się patrzy. Dlatego od dziś będzie dosiadać kasztana Cornera. Na jego chabetę może wsiąść którykolwiek z was. Dla takich jak wy „dżentelmenów” wystarczy w zupełności.

Ta decyzja wywołała u Cornera wulkaniczny wybuch gniewu. Zaczął miotać obelgi, których przeciętnie kulturalny człowiek nawet nie mógłby powtórzyć. Obydwaj towarzysze wtórowali mu gorliwie.

– Niechaj brat Szarliah załatwi się z nimi jak najkrócej! – zawołał Winnetou, który już nie mógł słuchać tych wyzwisk.

– Tak, nie będę się długo bawił! – odparłem. – Jeżeli w tej chwili nie zamilkniecie, wpakuję was również do wody, ale na dłużej niż Sachnera!

– Wrzuć mnie, łotrze, jeżeli będziesz miał odwagę! – zawołał Corner. – Złoczyńca, który sam ukradł nuggety w Weston i zwała winę na innych nie uważa oczywiście kradzieży konia za czyn haniebny. Pluję na ciebie!

Wykonał groźbę. Tu przebrała się miara mojej cierpliwości. Rzuciłem się na niego by go ująć. Dzięki temu uniknąłem nieszczęścia, gdyż w tejże chwili padł strzał, który by mnie trafił, gdybym jeszcze przez moment został na miejscu, Kula musnęła szyję stojącego za mną wierzchowca Egglego.

Rozegrała się teraz krótka scena o wielkim napięciu. Trzy łotry chwyciły za rewolwery. Trzymałem Cornera mocno, ale mimo to udało mu się chwycić za broń. Sheppard i Eggly zwrócili na mnie lufy rewolwerów, broń z ręki Egglego wytrąciłem sam, do Shepparda doskoczył Rost. Winnetou chciał w pierwszej chwili ścigać starego Sachnera, który strzelił do mnie z ukrycia, zrezygnował jednak i pośpieszył nam z pomocą. Powalił Egglego na ziemię i trzymał go w kleszczach swych rąk. Uderzyłem Cornera w głowę – zwałił się jak martwy. Sheppard mocował się jeszcze z Rostem, wymierzyłem mu więc cios myśliwski, od którego

runął na ziemię. Tymczasem Apacz tak mocno zdusił gardło przeciwnika, że Eggly stracił przytomność. W przeciągu dwóch minut związaliśmy wszystkich trzech.

Carpio stał nieruchomo z miną człowieka pogrążonego w głębokim śnie, po chwili rzekł drżącym głosem:

– Mój Boże! A więc takie rzeczy są możliwe! Zdawało mi się, że zdarza się to tylko w krwawych, fantastycznych powieściach!

– Nie, takie historie zdarzają się w życiu – odparłem.

– Uff! – odezwał się Winnetou, wyciągając rękę w kierunku brzegu rzeki, gdzie rysowała się sylwetka uciekającego Sachnera.

– Daj mu spokój! – odparłem. – Zabiera karę ze sobą, nie da mu spokoju.

– Stał za krzakiem i strzelał do nas! – rzekł Rost.

– Nie trafił, tym dotkliwiej odpokutuje za zbrodniczy zamiar. Powtarzam raz jeszcze, pozwólcie mu uciec!

Spotkanie z tymi ludźmi odbyło się zupełnie inaczej niż zamierzaliśmy. Chciałem jedynie ratować Carpia i ewentualnie jego stryja, nie myślałem natomiast o możliwości walki, mimo to doszło do starcia. Na szczęście było bezkrwawe, o kilku bowiem kroplach krwi, płynącej jedynie z lekkiej rany konia, nie warto nawet mówić. Nasuwało się teraz pytanie, co czynić dalej. Rzuciłem pytający wzrok na Winnetou. Wskazał na broń zwyciężonych, później zaś spojrział na trójkę hultajów i opuścił rękę dłonią do wewnątrz. Zrozumiałem od razu ten znak i rzekłem do Rosta i Carpia:

– Ci trzej pozostaną tu związani. Nie ma wątpliwości, że twój stryj, Carpio, wróci i oswobodzi ich. Zabierzemy im rewolwery, pozostawiając noże i strzelby.

– Dlaczego nie zabrać i tego? – zapytał Rost.

– Wydalibyśmy ich na pastwę głodowej śmierci, gdyż nie mogliby nic upolować. Zamienimy ponadto starą szkapę Carpia na kasztana i w drogę!

– Dokąd? – zapytał Carpio. – Do domu?

– Co nazywasz domem?

– Nie wiem. Gdzie mieszkasz?

– Wszędzie i nigdzie.

– Nie masz posady?

– Nie.

– Wielka szkoda! Dlaczegoż to?

– Nie chciałem.

– Nie chciałeś? – powtórzył. – Co do mnie, zadowolilibym się w mej biedzie najmniejszym stanowiskiem! Byłem przekonany, że jesteś na jakimś pięknym urzędzie, wczoraj nawet mówiłem stryjowi, że...

– Że musisz się błąkać po Dzikim Zachodzie, podczas gdy ja piastuję w ojczyźnie jakiś wysoki urząd.

– Tak, tak, dosłownie to samo mu mówiłem! Skąd o tym wiesz, Safono?

– Od ciebie samego.

– W jaki sposób? Nic nie rozumiem.

– Gdy o tym mówiłeś, leżałem wraz z Winnetou obok w zaroślach. Podśluchiwalismy.

– Ależ, kochany Sapho, to zupełnie jak w indiańskich książkach!

– Albo jak w życiu na Dzikim Zachodzie. Potem pomówimy o tym wszystkim szczegółowo.

– Więc stałeś się westmanem, prawdziwym westmanem?

– Tak.

– Dziwna rzecz, niezwykle dziwna! Jak mogłeś wpaść na zuchwały pomysł kąpienia się w krwi czerwonoskórych? Przecież byłeś zawsze kochanym, pocziwym i pełnym współczucia człowiekiem!

– Dla twego spokoju zapewniam cię, że się wcale w tej krwi nie kąpię, znany jestem nawet

jako przyjaciel Indian. Poza tym muszę zaznaczyć, że jestem tylko w części westmanem, gdyż składałem się z kilku różnych postaci.

– Stałeś się dla mnie wielką, nieodgadnioną zagadką! Tkwisz w jakiejś mgławicy tajemnic.

– Może jest odwrotnie, tajemnice tkwią we mnie, albo raczej w moich kieszeniach. W prawej kieszeni myśliwskiej bluzy mam na przykład coś tajemniczego, co dotyczy ciebie.

– Mnie? Coś tajemniczego? Zaciekawiasz mnie! Możesz powiedzieć, o co chodzi?

– Owszem. Znasz to?

Wręczyłem mu znalezione wczoraj na mchu ostrogi; obejrzał je i zapytał:

– W jaki sposób wszedłeś w posiadanie tych ostróg? Znam je.

– Znalazłem w lesie, niedaleko waszego obozowiska.

– Niedaleko obozowiska? A więc jednak miałem rację!

– Co do czego?

– Mam na myśli pewną teorię, w którą stryj nie chciał wierzyć. To jego ostrogi.

– Nie twoje?

– Nie!

– Na pewno?

– Na pewno! Odróżniłbym chyba ostrogi stryja od własnych. Swoje zdjąłem, ponieważ łaskotały ustawicznie konia, bardzo czułego na każde dotknięcie. Bałem je stryjowi na przechowanie. Przyjął je chętnie, zgubił bowiem własne.

– Drogi Carpio, czy nie działo się przypadkiem odwrotnie?

– Odwrotnie? To nieuzasadniona insynuacja! Znasz mnie przecież z czasów młodości lepiej niż ktokolwiek; powinieneś więc wiedzieć, że daleki jestem od tego rodzaju słabostek.

Szczyć się, że przez całe życie nie popełniłem nic, co by wskazywało na roztargnienie.

Każdy czyn obmyślam, każdy idzie po linii konkretnej i niezłomnej logiki. Jestem nawet zbyt logiczny i to może stało się przyczyną tego, że dotychczas nie zrobiłem kariery. Niestety, los każe mi ustawicznie cierpieć z powodu bezmyślności bliźnich. Gdziekolwiek się zjawię, pojawia się ktoś wywołujący zamęt. Nawet ty nie jesteś wyjątkiem, choć cenię i lubię cię bardziej niż kogokolwiek.

– Nawet ja? – zapytałem ze zdumieniem.

– Tak. Nie powinieneś się dziwić. Ja również wcale się nie dziwię, że nie podzielasz mego zdania. Wszyscy ludzie żyjący nieporządnie, a więc ty także, uważają się przecież za wzór porządku i systematyczności!

– Chętnie przyznam ci rację, o ile mi przedstawiś dowody. Czy możesz mi przypomnieć choć jeden wypadek dowodzący m/ego roztrzępania czy roztargnienia?

– Popełniłeś wielką pomyłkę opartą na *qui pro quo*, dzięki niej naraziłeś na szwank mój honor. Milczałem jednak jak grób; wziąłem nadto wszystko na siebie, by cię nie martwić.

– O cóż chodzi, powiedz proszę!

– Pamiętasz nasz nocleg u Franka w Falkenau?

– Owszem, pamiętam.

– Wypaliliśmy kilka bardzo mocnych cygar, nie mogłeś nic jeść. Nie tylko cygara były przyczyną głodówki – byłeś również nieco zawiany. Mniejsza zresztą o to, fakt faktem, że nie jeść nie mogłeś. Dopiero w nocy chwycił cię głód tak straszliwy, że spałaszowałeś olbrzymią kiełbasę i dla niepoznaki wypchałeś potem skórę kiełbasy pieprzem. Pamiętasz?

– Hm, tak, pamiętam.

– To jeszcze nie koniec! Połknąłeś ponadto potężną porcję placka, nie przypominam sobie tylko, czy był to sernik, czy też ciasto z jabłkami. Następnego rana byłeś oczywiście tak chory na żołądek, że ledwo siedziałeś na saniach. Widzę dokładnie twoją smętną twarz, jakby to było wczoraj. Oczywiście zauważono brak placka i kiełbasy, ponieważ jednak byłeś ciężko chory, nikomu nie przyszło na myśl, że połknąłeś jedno i drugie. Podejrzanie padło na mnie, poddałem się losowi z pokorą. Przekonałem cię teraz, kochana Safono?

Biedny Carpio! A więc doszedł do takiego stanu! Udając człowieka, który poczuwa się do winy, utkwilem wzrok w ziemi i odpartymi – Tak, niestety, nie mogłem opanować szalonego głodu. Dziś Jeszcze jestem ci niesłychanie wdzięczny za poświęcenie.

– Nie warto mówić o wdzięczności, uczyniłem to z ochotą. Chciałem ci tylko dać bezsporny dowód, że jestem wprost przeznaczony do wypijania piwa, którego nawarzą inni.

Przyzwyczałem się do tego jak do rzeczy, która się rozumie sama przez się. Ale czego chce ten dżentelmen? Dlaczego przeszukuje moje torby?

Odpowiedziałem, że Rost chce przenieść zawartość jego toreb do saków przytroczonych do siodła kasztana.

– Zrobię to sam! – odparł. – Nie lubię, kiedy obcy ludzie grzebią w moich rzeczach, wprowadza to tylko nieład i zamęt.

Podszedł do konia, by się zająć torbami. Tymczasem Winnetou zbadał, czy więzy, którymi związał złoczyńców, są dostatecznie mocne. Cała trójka odzyskała już przytomność, udawała jednak, że jest w dalszym ciągu nieprzytomna. Podzieliłem między towarzyszy zabrane rewolwery. Nagle rozległ się okrzyk Carpia. Zwróciwszy się ku niemu zobaczyłem, że potrząsa głową nad fajką o kształcie kalumetu. Podszedł do mnie ze słowami:

– Oto nowy dowód! Fajka należy do mego stryja. Skąd się więc znalazła w mojej torbie?

– Nie wiem.

– Ja również.

– Czy istotnie należy do niego?

– Tak.

– Nie do ciebie?

– Do mnie? Drogi przyjacielu, powinieneś bardziej dbać o pamięć! Kiedy wówczas tyle wypaliłeś i wypiłes twój widok przejął mnie takim wstrętem, że poprzysiągłem sobie nie palić nigdy w życiu, a alkoholu używać tylko jako lekarstwa. Dotrzymałem słowa, nie palę! Nie ma więc wątpliwości, że to nie moja fajka. A jednak tkwiła w mojej torbie!

– Któż ją tam włożył?

– Oczywiście stryj! Jest ustawicznie zamyślony, w zamyśleniu popełnia szereg pomyłek. Palił wczoraj przy ognisku, potem kazał mi włożyć fajkę do torby, co też niezwłocznie uczyniłem.

– Mimo to znalazłeś ją w swojej torbie!

– Stryj wywołał ten cały chaos. Pomylił się co do naszych siodeł. W przekonaniu, że to ja się pomyliłem i chcąc naprawić przeoczenie, wyciągnął fajkę z jednej torby i włożył ją do drugiej, w ten sposób znalazłem ją u siebie. Tylko tak można to sobie wytłumaczyć. Będzie teraz odczuwał jej brak. Czy ruszyć za nim, by ją oddać?

– Nie, nie! Przede wszystkim nie chcemy mieć z nim do czynienia, po drugie zaś nie puściłby cię z powrotem.

– To bardzo prawdopodobne. Zatrzymam ją więc do najbliższego spotkania. Dokąd pojedziemy?

– Końcowym punktem naszej wyprawy będzie zapewne ujście Medicine Creek. Ruszymy za chwilę. Czy masz jakieś życzenie?

– Drogi, jedyny przyjacielu! Proszę cię na wszystko, nie opuszczaj mnie w tym okropnym położeniu! Bądź mi takim samym poczciwym, wiernym towarzyszem, jakim byłeś w czasach naszej młodości!

– Nie obawiaj się, jesteś pod dobrą opieką. Nasze życie ukształtuje się oczywiście inaczej niż dawniej, musisz pamiętać o tym, że się spotkaliśmy na Dzikim Zachodzie w trudnej, ciężkiej sytuacji. Proszę cię bardzo, zastosuj się we wszystkim do wskazań moich i mego przyjaciela Winnetou.

– Co do tego możesz być spokojny! Przeczytałem szereg książek z życia Indian i nauczyłem się z nich tak wiele, że mogę śmiało rywalizować z najwybitniejszymi westmanami.

Gdyby to powiedział ktoś inny, wyśmiałbym go lub oświadczył bez ogródek, że jestem

innego zdania, ale Carpio wpatrywał się we mnie z wyrazem tak poczciwego przywiązania, że temu wcieleniu bezradności odpowiedziałem łagodnie:

– Drogi Carpio! Przeczytałem przynajmniej tyle tych bajd co ty, ale nic a nic konkretnego mi nie dały.

– Cóż z tego wynika? Byłeś pochłonięty nauką obcych języków, nie lubiłeś nigdy książek beletrystycznych. Za to ja wydobywałem z nich treść duchową i wchłaniałem ją w siebie.

Każdą wolną chwilę, każdy grosz, poświęcałeś na naukę jazdy konnej, strzelanie, fechtowanie, gimnastykę i pływanie. Ja tymczasem studiowałem awanturniczą literaturę. Przekonasz się wkrótce, że jej znajomość bardziej mi się przyda. Poza tym interesowałem się wraz z tobą pływaniem, zapewne przypominasz sobie, że byłem lepszym nurkiem od ciebie?

Nie przeczuwał z pewnością, że właśnie umiejętność nurkowania, o której Corner musiał się jakoś dowiedzieć, sprawiła, że zawleczono go wraz ze stryjem do Rocky Mountains. Nie poinformowałem go o tym. Postanowiłem w ogóle pozostawić go w zupełnej nieświadomości co do niebezpieczeństwa, które mu groziło, a którego przez przypadek uniknął. Minęło przecież, po co więc miałem dręczyć biedaka!

Jeńcy zachowywali się spokojnie, jednak gdy zaczęliśmy się gotować do drogi i Carpio wsiadł na kasztana, Corner zdradził się, że odzyskał przytomność. Obrzucił nas gradem obelg, na które nie zwracaliśmy najmniejszej uwagi, a w końcu zawołał groźnie:

– Życzymy dużo szczęścia z tą nieszczęsną ofiarą, Old Jumble! Nie sądźcie, że się nie spotkamy! Policzymy się przy okazji! Odbiorę wam swojego konia. Dowiedcie się również, durnie, jak tu na Zachodzie karze się koniokradów. Skończycie na stryczku jak ostatnie psy!...

## Rozdział 7

Przez całą noc nie zmrzyłem oka. Nareszcie zaświtał długo oczekiwany ranek. Czerwonoskórzy wstali i zaczęli odwiązywać konie, by je napoić, spałaszowali przy tej okazji śniadanie składające się z suszonego bawolego mięsa; byli w nie zaopatrzeni na dłuższy czas, bowiem podczas wojennej wyprawy nie można liczyć na to, że się coś upoluje w drodze. Otrzymaliśmy również posiłek: śniadanie, które wpakowano nam do ust jak małym dzieciom.

Carpio zaczął nalegać, bym mówił z wodzem i wytłumaczył mu rzekomą pomyłkę. Musiałem uciec się do szeregu mniej lub bardziej prawdopodobnych faktów, by wreszcie dał się przekonać, że trzeba jeszcze poczekać.

Okazało się, że Corner nie może utrzymać się na koniu. Po krótkiej naradzie postanowiono zbudować tratwę i przetransportować go na niej. Pozostawiono przy nim czterech ludzi. Mieli go dostarczyć do ujścia Sweet Water, główny oddział postanowił jechać brzegiem rzeki.

Przed ruszeniem w drogę doszło do pewnego starcia z mym wierzchowcem. Nie trzeba chyba zaznaczać, że Indianie przywłaszczyli sobie nasze dobre konie, przeznaczając dla nas najgorsze chabety. Posadzono nas na nich i przywiązano do siodła. Peteh był zachwycony moim karym wierzchowcem. – Hatatitla stał spokojnie i pozwolił mu usiąść w siodle. Jedno moje słowo wystarczyłoby żeby i nadal słuchał nowego pana. Ponieważ słowa tego nie wypowiedziałem, ogier dał dwa susy, których go nauczyłem – i wódz zwałił się na ziemię. Oszołomiło go to w pierwszej chwili, zawstydzony i upokorzony dosiadł rumaka raz jeszcze w przekonaniu, że teraz już się utrzyma w siodle. Ale zleciał znowu. To doprowadziło go do takiej furii, że o mały włos nie zastrzelił Hatatitli. Nie chcąc, by Peteh powtarzał swoje eksperymenty w nieskończoność, zbliżyłem się nieco do ogiera na swej szkapie i rzekłem półgłosem: „Szehvis!”

Ogier zaczął strzyc uszami. Byłem teraz pewien, że nikomu nie pozwoli się dosiąść. Gdy

wódz wyciągnął rękę, zaczął kasać i wierzgać. Podeszli inni wojownicy, by pomóc Petehowi. Rumak stanął dęba i rozpędził ich. Nie dał się ująć za cugle. Gdy wszystkie wysiłki okazały się daremne, wódz kazał mnie zwolnić z więzów, następnie polecił mi zejść ze szkapy i dosiąść swego rumaka. Ruszyliśmy. Ku memu ubolewaniu rozłączono mnie z Rostem i Carpiem w obawie, bym nie omówił z nimi planu ucieczki. Dodano mi po dwóch „aniołów stróżów” z lewej i z prawej strony, nie spuszczali ze mnie oka ani na chwilę. Nie robiłbym sobie z tego nic, gdyby mi nie było żal towarzyszy. Wzięto ich na czoło oddziału, ja zaś musiałem jechać z tyłu. Ponieważ zwyczajem indiańskim podróżowaliśmy gęsiego, zobaczyłem ich dopiero wieczorem.

Przez cały czas jechaliśmy po nierównym terenie doliny. Około południa mineliśmy masywny Pyramid Peck, po południu zaś ujrzelśmy na rzece tratwę wiozącą Cornera i jego konwojentów.

Pierwotnie planowano udać się do ujścia Sweet Water, korzystając jednak ze spotkania promu wódz zatrzymał się i postanowił przepłynąć przez rzekę. Poszło to niełatwo, ale na szczęście przepłynęliśmy się bez wypadku. Stan Cornera poprawił się do tego stopnia, że wsadzono go na konia. Dojechaliśmy do Arkansas River, która spływa do gór Sagnach. Tu postanowiono rozłożyć się obozem. Jak już wspomniałem, dopiero teraz ujrzałem Rosta i Carpia. Trzymano mnie jednak od nich w takiej odległości, że raz tylko udało mi się dać im znak głową, by byli spokojni. Carpio wyglądał na bardzo zmęczonego. Żał mi go było bardzo, niestety nic na to nie mogłem poradzić.

Mimo więzów przespałem noc doskonale. O świcie ruszyliśmy dalej w tym samym porządku co wczoraj i dziś oddzielono mnie od towarzyszy. Jazda była bardzo męcząca, trzeba było się bowiem przepływać przez trudne, głębokie i szerokie rzeki.

Noc spędziliśmy nad Crow Creek, otoczeni od południa górami Green, a od północy Wzgórzami Granitowymi. Tego wieczora trzymano mnie tak daleko od Carpia i Rosta, że nie mogłem nawet porozumieć się z nimi ruchem głowy. Gdy następnego ranka przywiązano mnie do konia, obydwaj wraz z eskortą byli już za rzeką.

Do południa jechaliśmy w kierunku zachodnim. Minawszy rzekę Sweet Water i Antelope Hill zbliżyliśmy się do przełęczy South. U ujścia rzeki Hillow do Sweet Water rozbiliśmy obóz.

Dziś również nie miałem sposobności zbliżenia się do towarzyszy. Niepokoił mnie stan Carpia. Było bardzo zimno, na górach leżał śnieg. W innych warunkach zachwyciłbym się wspaniałym krajobrazem górskim, obecnie byłem na to nieczuły. Następnego dnia przepłynęliśmy się przez przełęcz South i ruszyliśmy wzdłuż Pacific Creek. Około południa zauważyłem, że zbiera się na coś ważnego. Związano mnie jeszcze mocniej, do czterech pilnujących mnie ludzi dodano jeszcze dwóch. Z moich oczu zniknął cały orszak, który jechał przede mną. Wywnioskowałem z tego, że zbliżamy się do celu. Byłem sam w otoczeniu sześciu Indian Arikara. Peteh pospieszysz resztą, by dotrzeć przede mną do obozu Gawronów i przygotować ich na przybycie ważnego jeńca.

Komuś innemu na moim miejscu serce biłoby mocniej, ale ja byłem zupełnie spokojny. Właśnie mineliśmy wąską kotlinę, gdy padł strzał. Rozległ się on wśród skał dziesięciokrotnym echem. Był to strzał z mego „pogromcy niedźwiedzi” – poznałem go po dźwięku. Strzelił Winnetou, dając znak, że znajduje się w pobliżu. Mógł to uczynić, gdyż w pobliżu obozu Gawronów strzał nie był niczym nadzwyczajnym; Indianie włączyli się po okolicy, by coś upolować. Byłem przekonany, że wódz Apaczów podkradał się pod wszystkie nasze obozowiska nie mogąc, niestety, znaleźć okazji do oswobodzenia nas. Przyczyną tego był z pewnością fakt, że oddzielono mnie od Carpia i Rosta. Winnetou chciał oswobodzić wszystkich trzech razem.

Postępując naprzód napotykalismy liczne ślady kopyt końskich i stóp, nie były to ślady jadących na przód Indian Arikara, pozostawili je Indianie plemienia Upsaroków. Ilość

śladów zwiększyła się gwałtownie, co wskazywało na to, że jesteśmy w pobliżu obozu. Gdy minęliśmy wąskie przejście wśród skał, naszym oczom ukazał się obóz. Upsarokowie wybrali sobie na popas małą, pozbawioną drzew równinę o promieniu jakiejś mili angielskiej. Zdziwiło mnie, że nie ujrzałem ani jednego namiotu. Tu, na ziemi pokrytej śniegiem późną jesienią, na obcym terenie stoją tylko szałas z gałęzi nie dające dostatecznej osłony przed zimnem i wiatrem! Nie rozumiałem również, dlaczego wojownicy Gawronów wybrali na wyprawę tak późną porę roku. Przecież dziś, jutro, mogą spaść wielkie śniegi i odciąć drogę powrotną do Laramie. Co wtedy? Czyżby ci nieostrożni ludzie byli tak pewni, że uda im się pokonać Szoszonów i przetrwać zimę w solidnych chatach przeciwników? Jeżeli tak, to grubo się przeliczyli, przecież ich nieprzyjacielem był nasz przyjaciel Awaht-Niah, wódz Wężów!

W obozie panował bałagan. Nie było drózek, szałas nie stały szeregiem. Całość robiła wrażenie porozrzucanych bezładnie kretowisk. W chwili naszego przybycia wszystkie szałas były puste. Indianie wylegli przed obóz, aby być świadkami mojego przyjazdu. Musiałem minąć ich szeregi, siedzieli na roślach koniach ozdobieni we wszystkie wojenne odznaki. Na samym końcu stał przywódca Kikatsów – Jakonpi-Topa z wodzami Upsaroków i Petehem. Rzuciłem badawcze spojrzenie na szeregi Indian i stwierdziłem, że jest ich co najmniej sześciuset.

Czytelnik nie przypuszcza chyba, że jadąc wśród nich miałem przygnębiłą minę jeńca. Przeciwnie, patrzyłem śmiało i otwarcie na pomalowane jaskrawo twarze, pozwalając rumakowi na kokieterijne, taneczne kroki. Indianie siedzieli nieruchomo, ich twarze miały wyraz odrętwienia, za to oczy lśniły i płonęły życiem. Cisza, ani jednego słowa, ani jednego okrzyku. Wśród głuchego milczenia stanęliśmy przed wodzami. Siedzieli również na koniach. Twarze błyszczały od tłustej farby, pióropusze zwisały aż do końskich nóg.

Gdy zatrzymałem przed nimi swego ogiera i nie patrząc wcale na Peteha, spojrzałem śmiało i mocno w oczy Jakonpi-Topy, wódz rzekł tonem władcy przemawiającego do najmizerniejszego ze swoich poddanych:

- O czym myślał Old Shatterhand jadąc wśród szeregów tych dzielnych wojowników?
- Myślałem o potężnych cesarzach i królach mojej ojczyzny, których wojownicy witają tak samo jak mnie powitali teraz synowie Upsaroków.
- Uff! Old Shatterhand przyrównuje siebie do sławnych władców, a nosi więzy na rękach i nogach!
- Jestem z nich dumny, nie hańbią mnie – są tylko dowodem tchórzostwa stu ludzi, którzy napadli na mnie od tyłu nie mając odwagi stanąć otwarcie do walki.
- Uff! Czy jeńcowi wolno tak mówić?
- Jeńcowi! Niechaj wódz Upsaroków i Kikatsów powie kogo ma na myśli mówiąc o jeńcu?
- Ciebie! – odparł tonem zdziwienia.
- Mnie – mnie uważasz za jeńca?
- Uff, uff! Przecież twoje ręce są przywiązane do pleców, a nogi do grzbietu konia! Czy jesteś więc jeńcem, czy człowiekiem wolnym? – – Jestem wolny!
- Wei-a-keh! – Co za słowa! Widzę dumę na twym czole i zuchwałość w twym spojrzeniu, nie widzę jednak wolności, którą się przechwalasz.
- Nigdy nie byłem wrogiem Kikatsów, zawsze z bronią w rękę pomagałem wojownikom Upsaroków w walce z Siuksami, którzy są ich wrogami mimo pokrewieństwa. Czy tak było?
- Uff! Old Shatterhand przemawia językiem niezwykle zuchwałym, ale to prawda.
- Jeżeli tak, to jestem od chwili przybycia do was wolnym wojownikiem.
- Jesteś jeńcem naszego sprzymierzeńca!
- Któż to taki? Nie znam go.
- Peteh, wódz Indian Arikara.
- Pshaw! Czy powiedział, że jestem jego jeńcem?
- Tak.



– Kłamał więc. Pokażę mu, czy jestem jeńcem, czy człowiekiem wolnym; Otwórzcie szeroko oczy, wojownicy Upsaroków! – Tszah!

Kto zna Indian, ten wie, jak się do nich należy brać. Nic nie imponuje im bardziej niż zaskoczenie, nawet u wroga cenią prawdziwie wielką odwagę. Byłem związany, to prawda. Ręce miałem przywiązane do pleców, nogi przywiązane do konia podwójnym rzemieniem. Znałem jednak doskonale wierzchowca i wierzyłem w swe szczęście. Sześciuset Indian stało za mną, przede mną ciągnął się opuszczony obóz. Między obozem a mną stali wodzowie, którzy nigdy jeszcze nie widzieli podobnej sztuki. Słowo „Tszah!” było dla Hatatitli i dla Iltszego wezwaniem do skoku. Wypowiedziawszy je pochylilem się i ścisnąłem kolanami boki konia. Hatatitla skoczył między Peteha i jednego z mniejszych wodzów i zmusił ich do odsunięcia się od siebie. Przycisnąłem go jeszcze raz i zawołałem „Atreh!”. Wspaniała rumak dał szalonego susa i pognął jak Wicher do obozu. Przez chwilę panowała grobowa cisza. Potem rozległ się tyk, który trudno opisać. Nie widziałem co się działo, ale opowiedziano mi później, że wszyscy Indianie w liczbie sześciuset rzucili się w ślad za mną w kierunku obozu. Nikt nie chciał pozostać w tyle. Powstał tumult i zamieszanie. Część jeźdźców pospadała z koni, rozegrała się formalna walka, w której niejeden odniósł obrażenia. Napierająca banda uszkodziła i poprzewracała szereg szałasów, na ziemi znalazły się części garderoby oraz dziesiątki piór. Krótko mówiąc jeden człowiek, którego nazwano jeńcem, wprawił cały obóz w stan niewiarygodnego podniecenia.

Galopowanie wśród szeregu stojących w nieregularnej linii szałasów nie było rzeczą łatwą, gdyż, jak wiadomo, miałem związane ręce. Powodzenie planu zawdzięczam przede wszystkim Hatatitli, który jak gdyby odgadł moje zamiary. Za ostatnim szałasem rosły niskie krzewy. Przesadziłem je w pełnym galopie, docierając do wąskiego pasma lasu, który przebyłem nieco wolniej. Za lasem na lewo ciągnęła się łąka, która miała kształt łuku, przebyłem ją znowu w pełnym galopie. Za łąką natrafiłem na kamienną fosę obrośniętą darniną; szepnąwszy Hatatitli parę słów zachęty, przesadziłem i tę przeszkodę. Za fosą ciągnął się las, na szczęście niezbyt gęsty. Przebyłem go w pełnym galopie i dotarłem na skraj lasu gdzie ujrzałem ku ogromnej radości po prawej stronie obydwie szczyty górskie, wśród których przeprawialiśmy się w drodze do obozu. Na lewo ciągnął się obóz Upsaroków. Nie widać było ani jednego człowieka – wszyscy popędzili za mną. Galopowałem znowu wzdłuż linii szałasów i zatrzymałem się w tym samym miejscu, z którego rozpocząłem tak nieoczekiwaną dla Indian eskapadę.

Hatatitla stał nieruchomo, był tak spokojny, jak gdyby się wcale nie ruszał z miejsca, tylko rzuty głowy wskazywały, że jest zadowolony z jazdy. Przez cały czas trzymał się niezrównanie. Jakże chętnie okazałbym mu swe uznanie pieszczotą ręki; niestety, mogłem go tylko wynagrodzić słowem. Byłem przekonany, że czuje, jak bardzo jestem z niego zadowolony. Kto nie posiadał podobnego konia, ten oczywiście nie rozumie, że w pewnych okolicznościach można oddać życie za tak szlachetne zwierzę!

Z lasu, który przed chwilą opuściłem, rozlegały się wołania tak głośne, że je słyszałem aż tutaj. Po chwili pojawił się jeden jeździec, za nim drugi, trzeci, wreszcie dziesięciu, dwudziestu i więcej. Jechali moimi śladami, które prowadziły do obozu. Na mój widok ogarnęło ich osłupienie. Z lasu waliła coraz większa masa Indian; wyglądali jak pułk kozaków, którego zbiórkę naznaczono w miejscu, gdzie stałem. Pierwsi spośród Indian, którzy do mnie dotarli, nie wiedzieli jak się mają zachować. Po chwili otoczyli mnie nie mówiąc ani słowa, widocznie chcieli w ten sposób zapobiec powtórzeniu śmiałego eksperymentu. Koło stawało się coraz liczniejsze i gęstsze. Stłoczyli się tak, że musiałem powiedzieć:

– Czy synowie Upsaroków są muchami, które się ze wstrętem odgania czy też wojownikami? Jeżeli nie chcecie być robactwem, pozwólcie Old Shatterhandowi odetchnąć!

Poskutkowało od razu. Koło Indian rozszerzyło się znacznie; wodzowie zbliżyli się do

mnie. Peteh spojrział ze złością, ale nie rzekł ani słowa.

Pomniejsi przywódcy milczeli, ponieważ nic wolno im było przemówić dopóki starsi nie zabrali głosu. Jakonpi-Topa zatrzymał parsającego ze zmęczenia wierzchowca tuż przede mną i popatrzył z podziwem na Hatatitłę. Koń grał w tym wypadku ważniejszą rolę niż jeździec.

– I cóż, czy dowiodłem, że mogę być wolny, jeśli zechcę? Nie odpowiedział wprost, ale zwrócił się do Peteha:

– Peteh, wódz Indian Arikara oświadczył mi po przybyciu do obozu Upsaroków, że przyprowadził Old Shatterhanda, by go nam dać jako jeńca. Czy taka jest jego wola i teraz?

– Tak – odparł zapytany. Mierząc innych ludzi własną miarą był niezawodnie przekonany, że wódz Upsaroków będzie na mnie wściekły z powodu kawału, który urządziłem i potraktuje mnie wyjątkowo ostro. Dlatego dodał: – Niechaj się stanie waszym jeńcem, by zgromadzenie wodzów i starych wojowników mogło zdecydować co do rodzaju jego śmierci.

Jakonpi-Topa zwrócił się teraz do mnie i odpowiedział na zadane mu przedtem pytanie:

– Tak, Old Shatterhand dowiódł, że może stać się wolnym, jeśli tego zechce. Nie byliśmy w stanie go dogonić, mógłby tego dokonać jedynie rumak Winnetou, wodza Apaczów. Czy Old Shatterhand słyszał, że go nam wydano?

– Tak. Któż jednak śmie traktować mnie jak przedmiot, który można dawać i brać kiedy się komu podoba?

– Niech Old Shatterhand się nie gniewa i słucha, co powiem. Schwyciło go i przyprowadziło stu wrogów. Zastał tu sześciuset wojowników, zobaczył twarz każdego z nich. Oczy ma jasne, usta mówią prawdę. Jest silny jak niedźwiedź, przed którym nie ucieka, jest szczerzy jak kwiat nie zamykający swego kielicha. Jest jednak również mądry jak żadna inna blada twarz, dlatego nie będzie żądać tego, czego mu dać nie mogę. Dokonał śmiałego kroku, który u wszystkich moich wojowników wzbudził podziw. Mógł się uratować; a wrócił dobrowolnie, gdyż wie, że synowie Upsaroków uznają dzielne czyny i potrafią odróżnić wroga uczciwego od podstępnego. Nie zawiedzie się w swym zaufaniu do nas. Jak słyszał, zgromadzenie rozstrzygnie o jego losie. Do tej chwili powinien pozostać związany pod stałym dozorem straży. Jeżeli jednak przyrzeknie, że do chwili rozpoczęcia zgromadzenia nie opuści tego obozu bez mojej woli i nie uczyni nic takiego, na co nie mógłbym pozwolić, zwolnię go z więzów i będzie mógł zamieszkać w szałasie, który mu przeznaczę.

Było to znacznie więcej niż się spodziewałem. Odparłem więc bez wahania:

– Wielki wódz Kikatsów, Jakonpi-Topa, jest dzielnym wojownikiem, mądrym ojcem swego ludu i sprawiedliwym sędzią wszystkich oskarżonych. Jestem dumny, że wolno mi przebywać w jego obozie. Niechaj jednak odpowie na parę pytań!

– Niech Old Shatterhand pyta!

– Czy wolno mi będzie po oswobodzeniu z więzów pomówić z dwoma młodymi bladymi twarzami, które Peteh wziął ze mną do niewoli?

– Owszem.

– Czy muszę stanąć przed zgromadzeniem związany?

– Tak.

– Czy słowo, które mam dać, rozciągać się ma także poza dzień zgromadzenia bez względu na to, co zgromadzenie postanowi?

– Nie.

– Słuchaj więc co powiem! Obiecuję do czasu zwołania zgromadzenia nie opuszczać obozu i nie uczynię nic takiego, co musiałbyś potopić. W dniu narady dam się znowu związać. Oto wszystko co mogę przyrzec! Jeżeli wojownicy i starszyzna nie zdecydują, że wraz z obydwoma bladymi twarzami mam odzyskać wolność oraz to wszystko co nam zabrano, zaryzykuję własne życie, by odzyskać wolność. Nie oszczędzę żadnego Upsaroki, przeciwnie, zabiję każdego, kto tylko stanie na mej drodze i będzie mi przeszkadzać. Oto, co miałem do

powiedzenia. Howgh!

Słowo „howgh” jest czymś w rodzaju potwierdzenia tego, co się powiedziało. Oznacza mniej więcej to samo, co „basta, amen, skończone, gotowe”.

– Old Shatterhand mówił jak prawdziwy mężczyzna – odparł wódz. – Pogrożka co do dalszego zachowywania się po orzeczeniu wojowników i starszyny daje nam pewność, że biały wódz dotrzyma tego co obiecuje, to jest nie przedsięwzięcie nic aż do chwili zebrania się narady. Nie ma w nim złości ani fałszu – będzie więc uwolniony z więzów!

Zsiadł z konia, by mi własną ręką zdjąć rzemienie.

W tejsze chwili zbliżył się Peteh i zawołał:

– Dlaczego nie pytają mnie, wodza Indian Arikara? Ta blada twarz jest śmiertelnym wrogiem mego plemienia. Oddałem go, by się stał waszym jeńcem, a ty mu zwracasz wolność?

– Niechaj brat mój Peteh nie irytuje się bez potrzeby – odparł Jakonpi-Topa. Ty masz swoją wolę, ja zaś swoją. Ty chcesz, by Old Shatterhand pozostał związany, ja zaś go zwalniam, ponieważ uważam, że już jest związany swym słowem. W dniu zgromadzenia znowu ograniczy się swobodę jego ruchów.

– Nie dotrzyma danego słowa!

– Dotrzyma!

– Uff! Niech więc cała odpowiedzialność spada na ciebie! Wódz Kikatsów rozwiązał rzemienie i zeskoczyłem z konia. Peteh nie mógł znieść tego widoku, zacisnąwszy pięść uniósł ją w górę i zawołał:

– Jeżeli ten pies odważy się choćby raz zająć mi drogę w obozie, wpakuję mu kulę w łeb.

Nie zaszczyciwszy go ani jednym spojrzeniem zwróciłem się do Jakonpi-Topy i wyciągając do niego rękę zapytałem:

– Czy wódz Kikatsów słyszał już coś kiedyś o tej ręce?

– Owszem – odparł Jakonpi-Topa.

– Co takiego?

– Słyszałem, że jednym uderzeniem tej pięści możesz położyć trupem najdzielniejszego wojownika.

– Powiedziano ci prawdę. Broń mi zabrano, lecz pięść została. Słuchajcie więc, waleczni wojownicy Upsaroków! Nazwano mnie psem i zagrożono, że dostanę kulę w łeb. Usta, z których raz jeszcze usłyszę podobne słowa, nie otworzą się już nigdy w życiu. Jeżeli w czasie mego pobytu w obozie ktoś podniesie na mnie broń bez pozwolenia wodza Kikatsów, będzie to ostatni czyn jego życia. Zwali się na ziemię jak kamień i zostanie na niej na wieki. Oto, co miałem do powiedzenia. Howgh!

Panowała głęboka cisza, każdy więc z siedmiuset wojowników usłyszał szydery śmiech Peteha i jego słowa:

– Sądziś, że się boję twojej ręki? Ciekaw jestem czyją podniesiesz, gdy cię zwałę na ziemię kopytami swego konia!

Mówił zupełnie poważnie. By wykonać groźbę, spiął konia ostrogami i pchnął go w moją stronę ruchem tak szybkim, że ledwie miałem czas odskoczyć na bok. W jednej chwili wpakowałem dwa palce w nozdrzu wierzchowca Peteha; rozsuwając je jak najszerzej uskoczyłem na bok i stanąłem obok szyi wierzchowca, jedno uderzenie w pysk, jedno gwałtowne szarpnięcie w dół z równoczesnym chwytem za grzywę i koń padł na tylne nogi, jeszcze jedno szarpnięcie i leżał na przednich. Peteh spadł z siodła. Walnąłem go pięścią w głowę.

Nie mógł się podnieść. Koń stanął na nogi drżąc z przestrawu na całym ciele.

– Uff, uff, uff! – rozległy się okrzyki zdziwionych czerwonoskórych.

– Uff, uff! – zawołał również Jakonpi-Topa – nie żyje?

– Ależ skąd! Przecież chciał mnie tylko powalić na ziemię kopytami konia. W nagrodę sam leży jak długi, ale nic mu nie będzie. Jeżeli jednak powie choć jedno obraźliwe słowo lub

chwyci za broń – już po nim. Mam zwyczaj dotrzymywać słowa!

– Uff! To rzecz niezwykła, by ktoś powalił konia. Uff! Uff!

– Pshaw! Niewielka to sztuka i każdy może jej dokonać. Wymaga raczej zręczności niż siły. Jeżeli chcesz, nauczę cię jak to się robi.

– Dobrze! Czego chcą ci wojownicy?

Zwrócił to pytanie do Indian Arikara, którzy zaczęli napierać i wydawali groźne okrzyki przeciwko mnie.

– Uderzył naszego wodza, Peteha, żądamy jego krwi! Musi zginąć! – zawołał starzec, który siedział nad Tokoah Peh obok przywódcy.

– Odejdźcie! – rozkazał wódz Kikatsów. – Old Shatterhand pozostaje pod ochroną moją i moich wojowników. Chcecie nas zmusić, żebyśmy podnieśli przeciw wam oręż? Czy nasi sprzymierzeńcy dlatego chcą rozpocząć walkę, że ich wódz zapomniał, że tu w obozie tylko ja sam mogę rozkazywać?

– W takim razie nie będziemy mogli zamieszkać w obozie razem z Upsarokami. Będziemy musieli założyć własny obóz. Słuchamy tylko jednego wodza!

– Mój brat powiedział mądre słowa – odparł Jakonpi-Topa. – W jednym obozie nie może rozkazywać dwóch wodzów. Załóżcie sobie inny!

Tego stary się nie spodziewał. Nad Tokoah Peh doradzał wydanie nas Gawronom rozumiejąc, że jest to do pewnego stopnia koniecznością. Przypuszczał zapewne, że bez względu na to będziemy zależeć od Peteha, bo jemu przypadanie głos decydujący. Gdy sytuacja obróciła się na moją korzyść, był przekonany, że groźbą założenia oddzielnego obozu przerazi wodza Kikatsów. Replika Jakonpi-Topy zniweczyła cały jego plan. Wpadł więc w szewską pasję i nieostrożnie zaryzykował nową groźbę:

– Jeżeli nasz wódz Peteh nie zamieszka z wojownikami Upsaroków, to nie zechce walczyć obok nich przeciw Szoszonom!

Twarz wodza Kikatsów znieruchomiała, widać było, że Upsaroka wstrzymuje się, by nie wybuchnąć.

– Czy mój brat powiedział to w swoim imieniu, czy w imieniu swego wodza?

– W jego i w swoim i wszystkich naszych wojowników.

– Chce więc tu rozkazywać, a gdy mu się to nie uda, grozi odmówieniem pomocy?

– Tak. Stracisz naszych stu dzielnych wojowników i to dzięki tej bladej twarzy, która zawsze była waszym i naszym wrogiem. Ponieważ przyszliśmy z tak daleka nie po to, by wracać bez boju i łupów, łatwo przewidzieć, na co zdecyduje się nasz wódz.

– Na cóż?

– Opuści Kikatsów i zaprowadzi nas do Szoszonów, by ich wspierać przeciw wam.

– Uff! Niechaj wojownik Indian Arikara odpowie na parę pytań. Dlaczego wykopaliście topory wojny przeciw Szoszonom?

Nie nazywał już starca „swoim bratem”, lecz „wojownikiem Indian Arikara”. Wskazywało to, że wkrótce wybuchnie. Zapytany odparł:

– Ponieważ Szoszoni zamordowali sześciu Upsaroków.

– Skąd wiesz o tym?

– Powiedziałem ci, stało się to w mojej obecności. Nie mogłem przeciwdziałać, ponieważ stałem zbyt daleko.

– A więc wyruszyliśmy na poskromienie Szoszonów pod wpływem mowy twoich ust. Zażądałeś zemsty, nazwałeś Szoszonów tchórzliwymi, śmierdzącymi mordercami, obiecałeś pomoc waszych wojowników.

Twoje usta obiecały również, że wojownicy wasi słuchać będą wyłącznie moich rozkazów. A teraz zjawia się wasz wódz Peteh i chce, żebym go słuchał. Ponieważ tego nie czynię, grozisz mi, że zwrócicie się w stronę naszych wrogów, dla których nie brakło ci słów potępienia!

– Dzieje się to jedynie z powodu tej bladej twarzy, którą nam chcesz zabrać!  
– Pshaw! Gdyby wasz wódz stał na twoim miejscu i gdyby twoje słowa wyszły z jego ust, nie odpowiedziałbym mu ustami, lecz tomahawkim. Ponieważ nie jesteś wodzem, dam ci odpowiedź pod jego adresem. Słuchaj więc: jeżeli chcecie odejść z powodu tego białego wojownika – zgoda! Głowa i ramię Old Shatterhanda są mi droższe od ramion i głów setki Indian Arikara. Oto co mówię do Peteha! Jeżeli masz ochotę być pośrednikiem, zakomunikuj mu to! A teraz możecie albo odejść, albo zbudować w pobliżu szałas. Zaś o losach Old Shatterhanda rozstrzygnie zgromadzenie, w którym między innymi weźmie udział i Peteh. Wojownicy moi stoją obok i będą baczyć, żeby żaden Indianin Arikara z wyjątkiem Peteha nie przestąpił granicy obozu. Powiedziałem! Howgh!

Odwrócił się i skinął na mnie. Ująłem cugle Hatatitli i ruszyłem za nim. Byłem zadowolony, że reakcja przeciw traktowaniu mnie jak niedoświadczonego greenhorna dała tak korzystne rezultaty. Wódz zaprowadził mnie w sam środek obozu, gdzie stał szałas nieco większy od innych. Dwie lance wbite w ziemię i ozdobione piórami wskazywały, że to szałas dowódcy. Uwiązałem konia i wszedłem do szałasu. Urządzenie wewnątrz było bardziej niż skromne: składało się z jednego koca rozłożonego na ziemi.

– Niechaj Old Shatterhand siada i czeka, aż moi wojownicy zbudują dla niego szałas – rzekł wódz i odszedł.

„Old Shatterhand”. A więc doprowadziłem do tego, że zamiast „mój bracie”, nazywa mnie po imieniu! Gdzie są Rost i Carpio, co się dzieje z Cornerem i jego kompanami? Czy Stiller jest również tutaj? Ta sprawa interesowała mnie teraz najbardziej, ponieważ Stiller z pewnością nie był zwykłym mordercą. Jeżeli przyczynił się do zgładzenia sześciu Gawronów, uczynił to z pewnością w obronie własnej. Jeżeli jest tu w obozie, uwolnię go bez względu na decyzję zgromadzenia. W obecnej chwili nie pozostawało mi więc nic innego jak czekać. Czyniłem to z pełnym spokojem, tym bardziej, że udało mi się odnieść tak poważne zwycięstwo moralne nad Jakonpi-Topa, który wolał mnie od stu wojowników Arikara.

Wódz zjawił się po chwili z dwoma Indianami, którzy rzucili na ziemię kilka koców zwiniętych w kłęb i oddalili się. Wódz usiadł naprzeciw mnie i przez długą chwilę przyglądał mi się z uwagą. Zdawało się, że czeka, bym rozpoczął rozmowę. Ja, wiedząc co jestem winien sobie i swemu imieniu, milczałem. Wódz wreszcie przemówił:

– Old Shatterhand przebywał razem z Winnetou?

– Tak – odparłem.

– Gdzie się z nim rozłączył?

– Tego nie potrzebuję mówić dzielnemu wodzowi Kikatsów, gdyż jestem przekonany, że wie o wszystkim od Indian Arikara i ich jeńców.

– Uff! Old Shatterhand ma, rację. Gdzie przebywa teraz wódz Apaczów?

– Czyż mogę to powiedzieć będąc twym jeńcem?

– Nie. Będzie się starał uwolnić ciebie?

– Pshaw! Nie potrzebuję jego pomocy. Ale tobie może się przydać.

– Uff! Mnie?

– Tak, tobie.

– Old Shatterhand nie zwykł rzucać słów na wiatr, jestem gotów wysłuchać jego słów.

– To bardzo proste. Chcesz pokonać Szoszonów na czele sześciuset ludzi, na stu Indian Arikara liczyć już nie możesz. Tymczasem Szoszoni mogą zebrać dziesięć razy po stu wojowników.

– Czy zgromadzili ich taką ilość? Czy wiedzą, że na nich spadniemy, czy przeczuwają, gdzie teraz jesteśmy?

– Sądysz, że się nie dowiadują przez wywiadowców?

– Ludzi wysyła się dopiero wtedy, gdy można przypuścić, że dojdzie do walki.

– Czy Szoszoni tego nie wiedzą? Sądysz, że sześciuset wojowników może się

niepostrzeżenie przekraść przez góry? Już przed miesiącem opowiadano w odległych miastach bladych twarzy, że Gawrony ciągną przeciw Wężom. Jeżeli biali dowiedzieli się o tych zamiarach, dlaczego nie mieliby się o nich dowiedzieć Węże?

– Uff! – rzekł stropiony.

– Nie ulega wątpliwości, że uzbroją przeciw wam przeszło tysiąc wojowników. Dlatego powiedziałem, że pomoc Apacza raczej przydałaby się wam, a nie mnie.

– Jakże mógłby nas bronić, jeżeli jest przyjacielem naszych wrogów?

– Jest przyjacielem wszystkich Indian, tak samo jak ja. Pozostaje nim nawet wtedy, gdy czerwonoskórzy są w niezgodzie. Z największą przyjemnością pogodziłby was z Szoszonami.

Wódz odzegnał się gestem ręki i rzekł:

– Pokój z Szoszonami? Wykopaliśmy topory wojny, ponieważ Węże pomordowały naszych wojowników, tylko krew może zmasać zbrodnię. Jakże więc mówić o pokoju! Gdyby nawet podwójna ilość Szoszonów ruszyła przeciw nam, nie przeleklibyśmy się ich, bowiem wódz tych ludzi, Wagore-Tey, jest młodym psem nie umiejącym kąsać.

– Nie zapominaj, że choć najwyższy wódz Szoszonów, Awaht-Niah, pozostał w domu przez wzgląd na podeszły wiek, nie ulega wątpliwości, iż udzielił młodemu wodzowi rad i wskazówek.

– Czymże są doświadczenia innych, gdy się ich nie przeżyło samemu? A wodzowi Apaczów radziłbym, by i podczas naszej wyprawy trwał na stanowisku, o którym mówiłeś – przyjaźni dla wszystkich czerwonoskórych. Jeżeli stanie po stronie Szoszonów, a więc przeciw nam, nie będzie już przyjacielem czerwonoskórych, lecz naszym wrogiem; od tej chwili nie będzie mógł liczyć na naszą pobłażliwość. Gdzie przebywał Old Shatterhand w chwili, gdy się dowiedział o naszej wojnie z Szoszonami?

– Na południu, w kraju bladych twarzy.

– Po co tu przybył?

– By wspomóc Szoszonów przeciw wam.

– Uff! – rzekł zdziwiony raczej niż wzburzony – Old Shatterhand mówi to tak szczerze?

– Jestem dzielnym wojownikiem, ty również. Jesteśmy obydwaj zbyt dumni, by kłamać lub słuchać kłamstw i wierzyć w nie!

– Uff! Mowa Old Shatterhanda jest niezwykle śmiała, ale właśnie dlatego mam dla niego szacunek. Czy wiadomo mu, dlaczego wykopaliśmy tomahawki wojenne przeciw Szoszonom?

Nie chcąc kłamać ominąłem bezpośrednią odpowiedź:

– Nie widziałem jeszcze Szoszonów. Może więc ty mi powiesz?

– Te psy zabiły sześciu moich wojowników.

– Naprawdę?

– Tak, przecież potwierdził to w twojej obecności stary wojownik Indian Arikara, który był świadkiem morderstwa.

– Oprócz niego nie było innych świadków?

– Nie, nikogo prócz starca i kilku wojowników.

– Czy to człowiek, któremu można bezwzględnie ufać?

– Dlaczego miałbym w to wątpić?

– Z różnych powodów. Nie wydaje mi się żeby ten człowiek zasługiwał na bezwzględne zaufanie. Może spycha na innych to, czego sam dokonał. Czy zbadałeś to?

– Nie było potrzeby. Sześciu moich wojowników wyruszyło po skóry, które zdobyliśmy i pochowaliśmy w różnych miejscach. Najpierw znaleźliśmy ich zwłoki, a potem u Szoszonów skóry. Czy to nie wystarczający dowód?

– Hm! Ilu było Szoszonów?

– Czterech. Zginęli na palu.

– Prócz nich nie było nikogo?

- Jeszcze jedna blada twarz.
- Zowie się Nana-po?
- Uff! Old Shatterhand ją zna?
- Tak. Wiem jeszcze więcej.
- Cóż takiego?
- Skóry znalezione u Szoszonów należały albo do nich, albo do Nana-po, który je od Szoszonów kupił. Nie są to te same skóry, które zabrano twoim sześciu wojownikom.
- Uff! – zawołał.
- Rzecz więc możliwa – ciągnąłem dalej – że wasi wojownicy nie zginęli ani z rąk Szoszonów, ani z ręki Nana-po.
- Old Shatterhand opowiada dziwne historie!
- Napisałeś list do squaw Nana-po?
- Tak. To ci również wiadomo?
- W liście za jego uwolnienie żądasz, by w przeciągu czterech miesięcy dostarczyli ci tyle strzelb, ile słońce ma dni?
- Tak jest. Któż to powiedział Old Shatterhandowi?
- Jego squaw. Czytałem twój list. Przybyłem, by pomówić z tobą o strzelbach.
- Więc jesteś wysłańcem tej squaw?
- Tak.
- Uff, uff! Kto by to pomyślał, gdy cię przy wleczono jako jeńca! Jestem gotów posłuchać, co powie Old Shatterhand o strzelbach, których żądam.
- Patrzył na mnie niecierpliwie. Uśmiechając się uprzejmie odparłem:
- Wiem, że Jakonpi-Topa, wódz Upsaroków, siedzący naprzeciw mnie chciałby wiedzieć co mam do powiedzenia, niestety jednak, muszę go poprosić o cierpliwość.
- Dlaczego?
- Przy wykupie jeńca wykupujący musi najpierw wiedzieć, czy jeńiec zasłużył na niewolę. Musiałbyś mi pozwolić zbadać całą rzecz.
- Uff! – odparł niechętnie.
- Musiałbyś się również zgodzić, bym pomówił z Nana-po.
- Uff, uff!
- Słuchaj więc uważnie co ci powiem. Gdybym nawet zapłacił strzelbami, uczyniłbym to tylko jeden raz.
- Zaakcentowałem specjalnie pięć ostatnich słów. Zrozumiał mnie, ale mimo to zapytał:
- Jak Old Shatterhand to rozumie?
- Wydałbym strzelby tylko w tym momencie, w którym by mi wydano jeńca.
- Czy Old Shatterhand przypuszcza, że mógłbym go wywieść w pole?
- Mnie z pewnością nie. Ale razem z Nana-po było jeszcze parę innych bladych twarzy. Gdzie są?
- Tego nie wiem.
- Dobrze! Mówiąc o strzelbach przypuszczam, że Nana-po dopuścił się winy, którą trzeba okupić. Powiedziałem jednak już przed chwilą, że wina nie jest jeszcze udowodniona i że trzeba sprawę zbadać. A teraz rzecz najważniejsza: posła powinno się traktować jako człowieka wolnego, a ja jestem jeńcem. Nie mogę mówić o strzelbach dopóki nie odzyskam wolności!
- Uffi – zawołał zaskoczony niespodziewanym argumentem.
- Tak – ciągnąłem dalej. – Jeżeli zgromadzenie nie zwróci mi wolności, nie będę wcale mówić o strzelbach. Rzekłem, a co mówi Old Shatterhand, jest niewzruszone. Howgh!
- Indianie są mistrzami w ukrywaniu uczuć, Jakonpi-Topa starał się więc nie okazywać, że słowa moje wprawiły go w zakłopotanie. Po chwili rzekł:
- Old Shatterhand nie powinien skarżyć się i narzekać. Przecież oswobodziłem go z więzów.

Choć nie mogę nic zrobić przeciw postanowieniu zgromadzenia, dam mu jeszcze jeden dowód, że go nie uważam za naszego jeńca, a tylko za chwilowego jeńca Indian Arikara.

– Otworzył przywieziony przed chwilą worek. Leżały w nim strzelby Carpia, Rosta, Shepparda, Cornera, Egglego i starego Sachnera, prócz tego mieścił w sobie broń różnego rodzaju i resztę przedmiotów, które zabrano jeńcom.

– Ponieważ oddano nam jeńców, musieliśmy do czasu zwołania zgromadzenia zdecydować się na zabranie ich własności – oświadczył wódz. – Niechaj Old Shatterhand weźmie co do niego należy! Później zapadnie decyzja, czy wolno mu to będzie zatrzymać.

Nie trzeba chyba podkreślać, że nie czekałem na powtórzenie propozycji, rozpromieniony zabrałem broń. Sukces ten umocnił mnie w przekonaniu, że wydostaniemy się z niewoli bez żadnych trudności. Schowałem wszystko za pas i do kieszeni, po czym rzekłem:

– Jakonpi-Topa, dzielny wódz Kikatsów, postępuje słusznie obdarzając mnie takim zaufaniem; dowody na to dam później. Zaskarbiłby sobie jeszcze większą wdzięczność, gdyby kazał zbudować szałas na trzy osoby.

– Kimże są pozostali dwaj?

– To dwaj młodzieńcy, których schwytano razem ze mną. Nie mają pojęcia o Dzikim Zachodzie – są tak słabi i chorzy, że nie wiadomo, czy dożyją do dnia zgromadzenia. Zresztą rękę za nich słowem honoru tak jak za siebie. Przynajmniej, że bez twego pozwolenia nie opuszczą obozu do dnia, w którym rozpoczną się obrady zgromadzenia. To moi bliscy znajomi.

– Widziałem ich wczoraj, chciałem z nimi pomówić, niestety nie umieli odpowiedzieć. Są jak ptaki bez skrzydeł. Skoro jednak, zamieszkają z Old Shatterhandem, a on jest uzbrojony, niewygodnie im broni byłoby niegrzecznością. I tak nie umięją się z nią obchodzić!

– Racja! Czy są w towarzystwie reszty białych?

– Nie. Peteh, wódz Indian Arikara, przyprowadził ich osobno, oddzieliłem ich więc.

– Czy Jakonpi-Topa chce spełnić moją prośbę?

– Owszem. Niechaj Old Shatterhand pójdzie razem ze mną, pokażę mu, gdzie są obie blade twarze.

Wyszliśmy. Przed szałasami panowało znacznie większe ożywienie niż w chwili, gdy je mijaliśmy udając ucieczkę. Indianie zauważyli, że odzyskałem sztylet i rewolwery, ale wrodzona duma nie pozwoliła im na okazanie zdziwienia. Doszliśmy do miejsca, w którym wznoszono szałas przeznaczony dla mnie. Był prawie gotów. Moi dwaj towarzysze znajdowali się w pobliskim szałasie. Wódz zatrzymał się. Wskazując ręką na szałas rzekł:

– Old Shatterhand dotrzyma słowa, jestem przekonany, że nie uczyni ani kroku wbrew mej woli. Gdyby mnie potrzebował, wie, gdzie mnie można znaleźć.

Dał znak ręką czerwonoskóremu stojącemu przed „więzieniem”. Indianin oddalił się, wszedłem swobodnie do szałas.

Carpio i Rost leżeli związani na ziemi. Było jeszcze widno, światło docierało przez gałęzie tworzące ściany szałas. Zobaczyłem więc towarzyszy zupełnie wyraźnie. Rost wyglądał bardzo mizernie. Kilkudniowa jazda wyczerpała go ogromnie. Gdy mój wzrok padł na Carpia, omal się nie rozpłakałem. Opanowałem się jednak i powstrzymałem łzy, by nie pogarszać jego stanu. Wyglądał jak szkielet, chorymi piersiami wstrząsał krótki, suchy kaszel.

– Safona! – krzyknął cicho.

Pisałem już nieraz w swych książkach: „ktoś krzyczy cicho”. Pewien znany krytyk napisał tło mnie list, w którym prywatnie zwraca uwagę – nie chciał ogłaszać listu drukiem by mnie nie kompromitować! – że „cichy krzyk” jest oczywistym absurdem i niemożliwością, gdyż wołanie czy okrzyk są zawsze głośne. Szanowny panie krytyku! Na Boga, czyż nie można krzyczeć w myślach? Jakże często dochodziły mnie wołania Winnetóu, których inni nie słyszeli! Ostatnie słowo umierających na polach walki jest najczęściej szeptem dalekim od krzyku i wycia.



Carpio wydał cichy okrzyk, był zbyt wyczerpany, by mówić głośno. Ukląwszy obok zacząłem rozwiązywać rzemienie, a on chwycił mnie za rękę, popatrzył z wdzięcznością w oczy i uśmiechnął się – oto wszystko. Uwolniłem również Rosta.

– Dzięki Bogu, że pan się nareszcie zjawił! – rzekł doktor. – Ostatnie dni były okropne. To wyczerpanie, ta męka, ten głód...

– Co? Głód?

– Tak, głód! Od przedwczoraj nie mieliśmy nic w ustach.

– A więc tylko mnie chciano wbić na pal kwitnącego i zdrowego! Zaczekajcie, zaraz dam wam coś do zjedzenia!

Wybiegłem. Gdy wróciłem z jedzeniem, które otrzymałem bez trudności, rzucili się na nie jak zgłodniałe zwierzęta. Przyglądałem się tej scenie z prawdziwą rozkoszą. Rost zaczął opowiadać o przeżytych cierpieniach; gdy skończył, poprosił bym opowiedział o sobie.

Carpio, który poczuł się teraz nieco lepiej, zapytał:

– Okazało się, że to zwykła pomyłka?

– Tak – odparłem nie chcąc go drażnić.

– Byłem tego pewien! Nie powtórzy się to więcej, jesteście przecież u Indian! Ludy żyjące z naturą nie wiedzą co to roztargnienie, bezmyślność. A więc odzyskaliście wolność?

– Powtarzam: oficjalnie nie! Narada najstarszych wojowników ma to dopiero rozstrzygnąć. Nie obawiajcie się jednak; jestem pewien, że odzyskacie wolność. To czysta formalność.

Przyszedłem, by was zabrać do szałas, w którym razem zamieszkamy. Broń i rzeczy otrzymacie z powrotem, rozumiecie więc, że nadszedł kres waszych mąk.

Powiedziałem to, co uważałem za stosowne, przemilczałem natomiast wszystko, co by ich mogło zaniepokoić. Najadłszy się Carpio oświadczył, że czuje się znacznie lepiej. Poszliśmy więc do szałas, który był już gotów. Przyniosłem rzeczy obydwóm towarzyszy. Wydano mi wszystko prócz gniadego wierzchowca Rosta i kasztana Cornera. Peteh nie chciał się na to zgodzić. Postanowiłem chwilowo nie upominać się o nie i z całą gorliwością zająłem się swym ogierem.

Gdy się ściemniło, zapaliłem przed szałasem ognisko i usiedliśmy dokoła niego. Żaden spośród wojowników nie miał odwagi nam przeszkodzić. Po jakimś czasie zjawił się wódz, by się dowiedzieć, czy mamy jakieś życzenie. Poprosiłem, by mi pozwolił podkraść się do reszty białych jeńców. Gdy zapytał o przyczynę tej prośby, odparłem:

– Są wrogami wszystkich dzielnych wojowników bez względu na to, czy wojownicy ci należą do białych twarzy, czy do Indian; dopuścili się niejednej kradzieży, dokonali niejednego morderstwa. Są zdolni do największej zbrodni. Z pewnością naradzają się nad sposobami ucieczki. Jeżeli uda mi się ich podsłuchać, dowiesz się o wszystkim.

– Dobrze! Niechaj Old Shatterhand spróbuje dowiedzieć się czegoś. Najlepiej zabrać się do tego, gdy tylko pogasną wszystkie światła z wyjątkiem pochodni wartowników.

Minął jakiś czas. Dokoła obozu płonęło zaledwie kilka świateł; w obozie było zupełnie ciemno. Podkrałem się pod szałas, w którym leżeli Corner, Sheppard, Eggly i Sachner skrepowani rzemieniami. Przed szałasem siedział czerwony wartownik, wódz uprzedził go, że się zjawię, nie robił mi więc żadnych problemów. Byłem pewien, że jeńcy nie zwracają na niego uwagi w przekonaniu, że nie rozumie po angielsku. Badając szałas rękami znalazłem w nim niewielki otwór; był wystarczająco obszerny, by wsunąć przezeń głowę.

Nie spali jeszcze, rozmawiali lakonicznie i sucho. Nie usłyszałem nic zajmującego. W przeciągu godziny, którą przesiedziałem pod szałasem, mówili o rzeczach niesłychanie błahych, a więc, że Cornera dręczą więzy i że prayerman cierpi bardzo wskutek braku tabaki, którą mu zabrano, jak już dawniej wspominałem, był namiętym jej miłośnikiem. Już miałem odejść, gdy Sachner rzekł:

– Nie potrafię wcale wyrazić mojej wściekłości. A wszystko było tak świetnie uplanowane! Wprawdzie głuptas, który ku mej hańbie jest moim siostrzeńcem, zginąłby zmuszony do

wydobywania złota z dna rzeki, ale cóż mnie to obchodzi? Po to go zabrałem! Gdyby próba się udała, zastosowałbym przy dalszych poszukiwaniach pewien rodzaj maszyn. Niech to wszyscy diabli! Miejmy jednak nadzieję, że uda nam się w sposób...

– Cicho, ani słowa więcej! – przerwał Eggly. – Takie rzeczy powinno się mówić szeptem, gdyż czerwony łotr, który nas pilnuje, mógłby coś usłyszeć i nabrać podejrzenia. Spróbujmy, czy uda nam się zasnąć w tej mizernej norze.

Nastała cisza. Po chwili oddaliłem się.

A więc Sachner wiedział od Cornera i Shepparda, że trzeba będzie pójść po wodę. I mimo to stary grzesznik bez sumienia zabrał Carpia na pewną śmierć? Zameldowałem wodzowi, że jeńcy myślą o ucieczce, że się jednak żadnych szczegółów nie dowiedziałem. Nie ufając Indianom Arikara poprosiłem go, by polecił wartownikom zwrócić na nich baczne oko. Nie tylko przyrzekł to uczynić, lecz wezwał mnie, bym razem z nim obszedł obóz i udzielił wartownikom odpowiednich instrukcji.

Indianie Arikara robili szałas na wschodnim krańcu obozu. Zwróciliśmy się więc tam, by dać Kikatsom stojącym na warcie odpowiednie wskazówki. Potem udaliśmy się na północną stronę obozowiska. Płynął tam opodal szałasów wąski strumień, z którego Upsarokowie czerpali wodę. Paliło się tylko jedno ognisko. Gdy się oddaliliśmy od niego na taką odległość, że dokoła nas zapanowały ciemności, usłyszałem od strony strumienia cichy szmer podobny do plusku wody. Zatrzymałem się i zacząłem nadśłuchiwać. Szmer powtórzył się i był tak cichy, że nawet wódz nie zwrócił nań uwagi. Za to ja zorientowałem się od razu co oznacza: był to znak dany przez Winnetou. Mieliśmy cały szereg podobnych znaków, używaliśmy ich w specjalnych okolicznościach. Sam nie mogłem podejść do Winnetou, ponieważ dałem Jakonpi-Topię słowo, że nie opuszczę obozu bez jego pozwolenia. Czy dać przyjacielowi jakiś znak? Zatrzymałem się pogrążony w rozmyśleniach. Wódz spojrział na mnie, zdziwiony, że się zatrzymałem bez powodu. Nagle, jakby spod ziemi, wyrósł Apacz.

– Uff! – zawołał Kikatsa przerażony. Położyłem mu rękę na ramieniu i uspokoiłem:

– Niechaj wódz Kikatsów się nie lęka! Wziął mnie dziś pod swoją opiekę, pozostaje więc teraz pod moją. Oto Winnetou, sławny wódz Apaczów.

– Uff, uff! Winnetou!...

– Mów cicho, zupełnie cicho, inaczej zginiesz! Posłuchajmy, co Winnetou ma nam do powiedzenia, potem wrócimy do obozu. Powtarzam, że nie ma żadnego powodu do lęku, oświadczam bowiem wodzowi Apaczów, że jestem z Jakonpi-Topy zadowolony.

Sytuacja istotnie niezwykła! Byłem jeńcem Jakonpi-Topy. O jakieś pięćdziesiąt kroków od obozu napadł na niego Winnetou i gdyby nie to, że dałem słowo, zmusiłby wodza do uwolnienia Carpia, Rosta i mnie.

– Mój brat Old Shatterhand ma rację, wodzowi Kikatsów nie spadnie włos z głowy – potwierdził Winnetou półgłosem. – Podśluchiwałem w pobliżu obozu i wiem wszystko.

Najpierw odpowie mi na kilka pytań Old Shatterhand, później Jakonpi-Topa. A więc mój brat Szarlif dał słowo, że nie opuści obozu bez pozwolenia?

– Tak jest – odparłem.

– Skoro tak, dotrzyma słowa. Czy słowo rozciąga się również na blade twarze, Rosta i Carpia?

– Tak.

– Hatatitla jest przy tobie?

– Tak.

– Czy Peteh, wódz Indian Arikara, zrezygnował z twej śmierci?

– Nie.

– Uff? Czy masz jakieś życzenie?

– Nie. Wiem przecież, że i tak spełnisz każde życzenie, gdybym go nawet nie wypowiedział.

– Słusznie! Pytam teraz wodza Kikatsów. Wodzowie Upsaroków wykopali topór wojenny w

przekonaniu, że Szoszoni zastrzelili ich sześciu ludzi?

– Tak – odparł Jakonpi-Topa, który nie mógł się jeszcze pogodzić z nagłym jawieniem się wodza.

– Gdzie to się stało?

– Nad ujściem rzeki Salbei do Sweet Water.

– Kto o tym powiedział wodzowi Kikatsów?

– Naoczny świadek w osobie starego wojownika Innua-Nehma, Długiej Strzelby.

– Ten starzec skłamał! Winnetou wie lepiej, jak się rzecz miała. Wśród Szoszonów, którzy byli rzekomo mordercami, była również blada twarz imieniem Nana-po?

– Tak.

– Ten Nana-po jest jeszcze więziony, gdyż jego biała squaw chce go wykupić za pomocą strzelb?

– Tak.

– Opowiem jak to było. Nana-po kupił u Szoszonów partię skór, które miał odesłać wodą. Wraz z sześcioma bladymi twarzami załadował skóry w szereg pak. Awaht-Niah, wielki i ostrożny wódz Szoszonów, dał im jako osłonę czterech wojowników. Po rzece Sweet Water dopłynęli do Salbei Greek. Tam się zatrzymali, by się udać do Rattlesmake Hills. Nana-po jechał na przedzie karawany w otoczeniu czterech Szoszonów i koni, obładowanych skórami. Sześć bladych twarzy pozostało w tyle, by nałowić ryb na wieczernię. Przy połowie ryb napadła na nich czereda Indian polująca w tych stronach i wycięła w pień całą szóstkę. Popelnivszy morderstwo chcieli po ograbieniu trupów ruszyć śladami koni obładowanych towarem. W tym samym czasie na Sweet Water pojawiło się kilka czółen, sześciu Upsaroków wiozło nimi skóry. Zastrzelono ich również. Podżegaczem do mordu i przywódcą był Innua-Nehma. Powsadzał większość swych ludzi na czółna Upsaroków polecając im zanieść skóry na równinę Seminole, gdzie Indianie Arikara wtedy mieszkali. Sam pozostał z kilkoma wojownikami, by dalej polować. Nie pilnował wcale rzeki, nie zauważył więc, że zjawiała się na niej cała masa Upsaroków. Na widok pomordowanych przybysze wysiedli z łodzi i napadli na niego. Ponieważ był człowiekiem mądrym, oświadczył im, że to uczynili Szoszoni wraz z Nana-po, widział na własne oczy, nie mógł jednak nic poradzić, gdyż wszystko odbyło się z błyskawiczną szybkością. Upsarokowie uwierzyli, darowali wolność i jemu, i jego ludziom, stali się nawet jego sprzymierzeńcami i puścili się w pogoń za Szoszonami. Wreszcie pochwycili i sprowadzili do ciebie. Zginęli niewinnie przy męczeńskim palu. Nana-po ma umrzeć również, gdy tylko jego squaw złoży niepotrzebnie odpowiednią ilość strzelb.

– Uff, uff! – szepnął Kikatsa, gdy Winnetou skończył opowiadanie. – Gdyby tak było jak mówi wódz Apaczów, winowajcami byłiby Indianie Arikara, nasi obecni sprzymierzeńcy!

– Tak też jest! A nawet gorzej. Wypowiedziałeś Szoszonom wojnę w przekonaniu, że wymordowali twoich ludzi, teraz będą szukali zemsty, ponieważ posłałeś na pal ich niewinnych wojowników.

– Uff! Czy Winnetou może dowieść, że wszystko co mówił jest prawdą?

– Nie kłamię nigdy. Mimo to dam dowód, gdyż sprawa jest niesłychanie ważna. Indianie Arikara sprzymierzyli się z tobą, by zabrać Szoszonom wielkie łupy. Nie odstraszy ich świadomość, że są sami jedynymi i wyłącznymi winowajcami. W drodze do ciebie pojмали mego brata Old Shatterhanda. Jechałem za nim, by go uwolnić. Podkradałem się cicho i podsłuchiwałem. Słyszałem rozmowę Peteha ze starym wojownikiem Innua-Nehma, mówili o morderstwie, treść rozmowy powtórzyłem ci przed chwilą. Śmiali się, że uważasz morderców za niewiniątka i mścisz się na niewinnych Szoszonach. Dowiedziawszy się, gdzie zbrodnia została popełniona, postanowiłem zbadać to miejsce. Korzystając z wolniejszej jazdy Indian Arikara pocwałowałem nad rzekę Salbei. Tu odnalazłem miejsce mordu. Nie pogrzebane ciała sześciu bladych twarzy, rozdarte przez sępy, leżą, na ziemi. Dlaczego nie przyjrzelicie się tym zwłokom? Powiedziałyby, że mordercami są Indianie Arikara, a nie Szoszoni, których

białych towarzyszy zamordowano!

– Uff! Leżą jeszcze tam?

– Tak. Dlatego właśnie do ciebie przybywam. Wykopałeś przeciw Szoszonom topór wojenny, będą żądać zadośćuczynienia za czterech ludzi, którzy zginęli przy palu; jestem jednak przyjacielem i bratem wszystkich czerwonych mężów i chcę, by pokój zapanował między wami. Wyślij jutro rano nad rzekę Salbei ludzi o bystrym wzroku. Gdy po powrocie oświadczą, że widzieli zwłoki białych twarzy na wskazanym miejscu, będziesz miał dowód, że Szoszoni są niewinni i że cała wina spada na Indian Arikara.

– Uff, uff, masz rację.

– Tak. Mam rację. Powiedziałem, jak się przedstawia cała rzecz. Howgh!

– Cóż będzie robić sławny wódz Apaczów, Winnetou, do chwili powrotu mych gońców?

– Nie powinienem o tym mówić, ale odpowiem na pytanie, gdyż chcę, byś się przekonał, że jestem szczerzy. Jadę do Szoszonów. Jeżeli przekonasz się o ich niewinności, zaproponuj odszkodowanie za czterech zabitych. Ja będę ich namawiać, by się na nie zgodzili. Jeżeli jednak tego nie uczynisz, napadną na was w sile przeszło tysiąca ludzi. W obydwóch wypadkach Indianie Arikara poniosą zasłużoną karę. Winnetou, wódz Apaczów, powiedział wszystko. Howgh!

Wypowiedziawszy ostatnie słowa znikł. Kikatsa stał przez długi czas jak wryty, nie mówiąc ani słowa i patrzył w ciemną noc. Słowa Apacza były dla niego taką samą niespodzianką, jak jego nagłe jawienie się. Mój Winnetou był istotnie wspaniałym, niezrównanym człowiekiem!

Jakonpi-Topa odwrócił wreszcie głowę i zapytał:

– Cóż na to Old Shatterhand?

– W to, co mówi Winnetou, nie można wątpić.

– Uff! A więc mordercy są tuż obok mego obozu!

– Tak.

– I nie wolno mi ich ukarać prędzej nim powrócą gońcy!

– Zrób więc wszystko, by nie nabrali podejrzeń i nie uciekli.

– Czy mam ich traktować po przyjacielsku?

– Po przyjacielsku nie, ale poważnie, jak się to sprzymierzeńcom należy.

– A gdy Peteh zażąda twojej śmierci?

– Powołasz się na zgromadzenie.

– Zechce przyspieszyć jego termin.

– Jeżeli pomówisz z wojownikami, zgodzą się na twoją propozycję.

– Uff! Moja dusza jest bardzo zatroskana, jeżeli bowiem coś ci się stanie, Winnetou zażąda, bym mu dał zadośćuczynienie.

– Masz wprawdzie rację, ale nie potrzebujesz się obawiać, gdyż jestem przekonany, że ze strony Indian Arikara nic złego mnie nie spotka.

– Zwołam zaraz najstarszych wojowników, by opowiedzieć co usłyszałem od wodza Apaczów.

– Uczyń to. Niech jednak nie dadzą jutro poznać Arikarom, że coś wiedzą.

– Nakazę im to surowo. Chodź!

Opuściliśmy miejsce, w którym odbyła się ta ważna rozmowa. Wódz udał się do swojego mieszkania, ja zaś do swojego. Gdy wszedłem do szałas, Rost i Carpio zaczęli pytać gdzie byłem tak długo. Dowiedziawszy się, że rozmawiałem z Winnetou, bardzo się zdziwili i ucieszyli. Oczywiście powiedziałem im, co nam Apacz zakomunikował. Gdy skończyłem, Carpio rzekł:

– Mam zawsze rację, ale to zawsze!

– Jak to? I teraz też? – zapytałem.

– Przecież to takie proste! Mordercami są Indianie Arikara, a tymczasem przypuszczano, że wszystkiemu winni są Szoszoni.

- No i?
- No i? Właściwie nią ma o co pytać. Po prostu kilka roztargnionych ananasów popełniło w swojej bezmyślności ogromną pomyłkę.
- Ach tak! Ale, mój drogi Carpio – roztargnieni byli tym razem Indianie, dzieci natury! A mówiłeś, że one nigdy nie bywają roztargnione.
- No tak. Widocznie jednak otarli się już o kulturę. Tylko kultura bywa przyczyną pomyłek i zamieszania. Jesteś najkulturalniejszym spośród moich znajomych no i zamieniłeś wtedy mój paszport! Trzymałeś go w bucie. Jeszcze dziś śmiać mi się chce na samo wspomnienie. Pamiętasz tę historię?
- Tak, niestety.
- Więc może wcale nie dojdzie do wojny między Wężami a Gawronami? – zapytał dr Rost.
- To bardzo możliwe.
- Chwała Bogu! Choć zabrałem ze sobą apteczkę, wolę nie być świadkiem rozlewu krwi. Głos wewnętrzny mówi mi, że ani apteczka, ani opatrunki nie będą potrzebne.
- Tego nie można wiedzieć! Gdybym słuchał swego głosu wewnętrznego, powiedziałby mi on, że sposobność do okazania pańskich lekarskich zdolności może się nadarzyć nawet bardzo prędko.
- Względem kogo?
- Peteha, mnie, a może i względem nas obojgu.
- Jak to?
- Jeden z nas może zostać ranny albo nawet zabity.
- E! Dlaczego?
- Wskutek pojedynku.
- Pojedynku? Prawdziwego pojedynku?
- Tak.
- Czy być może? Czy pojedynki są tu znane?
- I to nawet bardzo dobrze.
- Przypuszcza pan, że trzeba się będzie pojedynkować?
- Nie jest to pewne, ale możliwe.
- Sądzi pan, że Peteh pana wyzwie?
- Tak.
- To brzmi groźnie. Dlaczegoż miałby pana wyzywać?
- Tam do licha! Nie chciałbym z tym łotrem zaczynać. Ma mięśnie jak bawół. Zresztą nie miałem czasu na naukę fechtunku. Nie umiem odróżnić tarczy od kwarty.
- No, nie ma powodu do niepokoju! – wtrącił Carpio. – Moja Safona da każdemu radę, znam go, nikt go w tej dziedzinie nie prześcignie.
- Pshaw! – wybuchnąłem śmiechem. – Wtedy i teraz! Nie wyobrażajcie sobie, że będziemy walczyli na dziecinne szabelki.
- Jakże Peteh wpadł na pomysł pojedynkowania się z panem? – zapytał Rost.
- To bardzo proste – odparłem. – Pragnie mojej śmierci, będzie jej żądać od Gawronów. Po wszystkim, co wam opowiedziałem, nie przypuszczam, by Kikatsowie zgodzili się na to. Rozegra się zgodnie ze zwyczajami indiańskimi – walka między tym, który żąda śmierci, a tym, który ma zginąć. Kończy ją śmierć jednego z walczących. Pojedynki te noszą różne nazwy, stosownie do rodzajów broni i warunków walki. Peteh, wściekły, że jestem już na pół wolny, gotów wyzywać mnie na pojedynek; jeżeli Gawrony nie zgodzą się, bym zginął przy palu.
- Lęka się pan tego?
- Nie.
- Ani trochę?
- Nie. Człowiek powinien robić tylko to, co jest pożyteczne. A ponieważ strach nie przynosi

pożytku, nie poddaję mu się. Poruszyłem ten temat tylko po to, by zwrócić pańską uwagę, że bandażę mogą się jeszcze przydać. No, a teraz chodźmy spać. To chwilowo najlepsze.

Noc była bardzo chłodna. Na szczęście zwrócono nam koce. W obawie, by Carpio nie zmarł pod jednym kocem, dałem mu swój, pod głowę zaś podłożyłem mu siodło. Dzięki temu spał świetnie przez całą noc. Pod wpływem szalonego wyczerpania spałem również nie najgorzej, budziłem się jednak często wskutek zimna.

Wstaliśmy dosyć późno – w obozie wrzało już jak w ulu. Umyliśmy się w strumieniu i zjedliśmy mięsne śniadanie. Udałem się do wodza, by zapytać, czy wysłał gońców nad rzekę Salbei. Uczynił to, wyruszyli o świcie, niestety, nie można się było spodziewać, by wrócili prędzej niż za pięć, sześć dni.

– Dopiero po ich powrocie okaże się, czy Peteh jest moim wrogiem – rzekł. – Moje serce tęskni za tą pewnością. Jeżeli Indianie Arikara są istotnie mordercami, żaden z nich nie ujdzie z życiem.

– Zadowolisz się chyba ukaraniem istotnych morderców. Niewinnych nie powinno się zabijać.

– Niewinnych? Którego spośród tych stu można nazwać niewinnym? Wszyscy wiedzą, kto zamordował moich Wojowników! Czy nie są współwinowajcami?

– Hm. Postąpili nikczemnie zwracając twoją zemstę w kierunku niewinnych Szoszonów. W dodatku jeszcze ci w niej pomagają. Będziesz się musiał co do tego porozumieć z wodzem Szoszonów.

– Sądysz więc, że naprawdę przybędą?

– Tak.

– Pod wodzą swego młodego wodza, Wagore-Teya?

– Tak z początku myślałem. Ponieważ jednak sprawa jest ważniejsza niż przypuszczałem, być może, że stary wódz, Avaht-Niah, sam przybędzie, mimo iż liczy już ponad osiemdziesiąt zim.

– Jakże się zachowa?

– Mam nadzieję, że pogodzi się z tobą na prośbę wodza Apaczów, jeżeli oczywiście przyznasz się do popełnionego błędu i dasz zadośćuczynienie za wojowników, którzy zginęli przy palu męczeńską śmiercią. Gdy tego nie uczynisz, dojdzie do krwawej rzezi, w której stracisz większą część ludzi.

– Uff!

– Wiem co mówię. Pamiętaj, że Winnetou jest sprzymierzeńcem Szoszonów. Jego przebiegłość i umiejętność prowadzenia hufców do zwycięstwa równoważy siłę setek wojowników, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Umie zastawiać sidła na wroga, jak nikt na świecie.

– Ucierpiałbyś jednak na tym.

– Jak to?

– Gdyby Winnetou wystąpił wrogo przeciw nam, musielibyśmy potraktować jako wroga jego przyjaciela i brata.

– Pshaw!

– Uff! Śmiejesz się? Więc sądzisz, że to niemożliwe?

– Ależ przeciwnie! Byłaby to jednak głupota, gdyż Winnetou pomściłby się srodze. Zresztą nie pora teraz o tym mówić.

– Racja! Do chwili otwarcia zgromadzenia jesteś związany słowem. W dniu narady zwiążemy cię, nie przypuszczam więc, byś mógł uciec i zaszkodzić nam u Szoszonów.

– O tym co się stanie po naradzie, szkoda, teraz rozprawiać. W każdym razie przyjaźń Old Shatterhanda i Winnetou tylko na dobre wyjść może Kikatsom. Wiem, że jesteś o tym przekonany, nie potrzebujesz mi wcale mówić.

– Uff! Old Shatterhand jest zbyt pewny siebie.

- O nie! Jesteśmy przyjaciółmi wszystkich czerwonoskórych o ile nie są naszymi wrogami. Byliście nam zawsze przyjaciółmi i sprzymierzeńcami cieszącymi się naszymi specjalnymi względami.
- Czy Old Shatterhand mógłby to udowodnić?
- Owszem. Niektórzy spośród Indian są i zawsze byli waszymi śmiertelnymi wrogami. Jak ci się zdaje, kogo mam na myśli?
- Siuksów.
- Tak. Siuksów. Należycie do wielkiego narodu Dakotów, oni też stanowią część tego plemienia. Jesteście więc krewniakami. Mimo to Siuksowie zwalczają was stale z taką bezwzględnością, że musicie przeciw nim trzymać noże w pogotowiu. Cały świat wie jednak, kogo najbardziej boją się Siuksowie. Tobie również wiadomo, prawda?
- Owszem. Winnetou i Old Shatterhanda.
- Racja! Nie potrzebuję chyba powtarzać, że ci dwaj ludzie wyrządzili Siuksom, a zwłaszcza szczepowi Ogallala, więcej szkody niż wszyscy wojownicy twojego plemienia. Czy nie jesteśmy więc waszymi najlepszymi sprzymierzeńcami?
- Uff!
- Ileż to razy Siuksowie gotowali na was wyprawy! Zawsze jednak zjawialiśmy się i zwracaliśmy ich uwagę na nasze ślady. Czy to nieprawda?
- Prawda.
- I takich dwóch przyjaciół moglibyście traktować jak wrogów?
- Uff! – odparł niewyraźnie z pewnym zakłopotaniem.
- Jesteś mądrym i dzielnym wojownikiem, zrozumiesz więc, co ci przyniesie pożytek, a co szkodę. Nie będę się dłużej rozwodził nad więzami, które nas łączą. Rozmawiałeś wczoraj wieczorem ze swymi starymi wojownikami?
- Owszem.
- Wiedzą już, co ci powiedział Winnetou?
- Wiedzą o tym nie tylko najstarsi, lecz i reszta wojowników.
- Ach! Więc ze wszystkimi podzieliłeś się tajemnicą?
- Tak.
- Dlaczego?
- Uważam, że wszyscy powinni się mieć na baczności. Należy uważnie obserwować Indian Arikara bo jeśli okaże się, że są istotnie mordercami, trzeba będzie schwytać wszystkich bez wyjątku.
- Dlaczego nie pomyślałeś o tym, że wtajemniczenie w sprawę tak wielkiej ilości ludzi grozi niebezpieczeństwem, że któryś z nich gotów zdradzić się niebaczonym słowem lub nieopanowaną miną?
- Dałem bardzo surowy rozkaz, by byli ostrożni.
- Rozkaz ten niełatwo spełnić. Odpowiesz mi na jedno bardzo ważne pytanie?
- Owszem, o ile odpowiedź nie przyniesie mi szkody.
- Wiesz, że jestem wysłańcem squaw, do której napisałeś list. Mam pomówić z jej mężem, Nana-po. Gdzie się znajduje?
- Zostawiliśmy go w domu, w obozie naszego plemienia.
- Nie oszukujesz mnie?
- Mówię prawdę! Old Shatterhand nie przypuszcza chyba, bym był tak nieostrożny i brał ze sobą na wojenne wyprawy jeńca, którego musi pilnować wielka ilość wojowników.
- Nie. Mam nadzieję, że go zobaczę?
- Old Shatterhand zobaczy go i będzie mógł z nim pomówić.
- To nie wystarczy. Żądam, byś mu zwrócił wolność.
- Po otrzymaniu wykupu w postaci strzelb?
- Ponieważ okazało się, że nie jest winien śmierci twoich ludzi, nie masz prawa żądać okupu.

Przeciwnie, musisz mu zwrócić wszystko co zabrałeś, nawet skóry.

– Uff! Old Shatterhand zachowuje się tak, jak gdyby nie ja, a on był wodzem Kikatsów!

– Jestem tylko twoim przyjacielem, nie żądam zaś niczego poza sprawiedliwością. Ach, nadchodzi Peteh! Zobaczył cię, mam wrażenie, że chce z tobą pomówić. .

– Tak, nadchodzi. Moje serce burzy się przeciw uprzejmemu traktowaniu tego psa. Czy zostaniesz tu ze mną?

– Nie. Mogłoby znów dojść do bijatyki.

Indianin Arikara patrzył na mnie wzrokiem pełnym nienawiści. Oddaliłem się wolnym krokiem, by nie miał wrażenia, że się go boję.

Wódz Kikatsów nie przeczuwał wcale, jak bardzo ulegał mojemu wpływowi. Mogłem nim kierować do woli. Nie okazywał tego, ale widać było, że ma przed nami wielki respekt. Ponadto był przekonany, że Winnetou mówił szczerą prawdę, inaczej nie nazwałby teraz Peteha psem. Czułem, że z jego strony nie spotka mnie nic złego.

Usiadłem z Carpiem i Rostem przed szałasem. Po chwili zjawił się Jakonpi-Topa i oświadczył, że Peteh żąda, by zgromadzenie, które ma rozstrzygnąć o naszym losie, odbyło się dzisiaj.

– Co mam odpowiedzieć? – zapytał.

A więc doszło już do tego, że wódz nie chce powziąć żadnej decyzji bez mojej wiedzy!

– Muszę najpierw wiedzieć co mu powiedziałeś – rzekłem.

– Oświadczyłem, że zapytam o zdanie wojowników, którzy mają brać udział w naradzie i zawiadomię go o ich decyzji przez posłańca.

– Słusznie. Właściwie należałoby odwlec rozstrzygnięcie do chwili powrotu gońców.

– O sześć dni? Nie, to niemożliwe.

– Zagroził, że opuści nas wraz z wojownikami, o ile nie będziemy powolni jego żądaniom. – Nie można do tego dopuścić.

– Racja! Czy mam ich trzymać gwałtem?

– Nie, broń Boże! Przynajmniej chwilowo należy unikać gwałtu i zatargu.

– Cóż mam czynić?

– Spróbuj zyskać na czasie.

– Nie chce czekać. Żąda waszej śmierci w najkrótszym czasie.

– Spróbuj jednak! Zwołaj zgromadzenie dopiero wtedy, gdy wszystkie próby zwłoki zawiodą. Wezwiesz i mnie.

– W jakim celu? Po co?

– Chcę również przemówić.

– To niepotrzebne.

– Niepotrzebne? Należy obwinionym pozwolić, by się bronili!

– Będę mówić za ciebie. Old Shatterhand nie jest zwyczajnym wojownikiem, nie wypada, by się tłumaczył przed takim psem, jakim jest ten okrutny Peteh. Howgh!

Oddalił się. Uśmiechnąłem się zrozumiawszy od razu o co chodzi. Spodziewając się ciężkiej przeprawy z Petehem nie chciałem mieć za świadka kłopotliwej sytuacji. Tuż przed obiadem zjawił się, by mi oświadczyć, że Peteh zgodził się czekać tylko do wieczora. Wieczorem zakomunikował mi, że zgodził się zaczekać do następnego ranka; zaręczył jednak słowem „howgh”, że wyjedzie bezwarunkowo wraz ze swymi ludźmi, o ile jutro rano żądanie nie będzie spełnione. Nie pozostawało nic innego, jak spełnić jego wolę. I w tym wypadku można było myśleć o zyskaniu na czasie, bowiem decyzja narady starców nie jest równoznaczna z wykonaniem wyroku.

Ustaliliśmy więc, że decydująca narada odbędzie się jutro rano. Nie żywiłem wprawdzie żadnych obaw, ale zdawałem sobie sprawę z tego, że przyszłość może przynieść niejedną przykrą niespodziankę. Myślałem również o tym, że przy niepomyślnym zbiegu okoliczności sprawy mogą przybrać niepożądany obrót. Nie chcąc niepokoić towarzyszy nie podzieliłem



się z nimi tymi myślami. Tak minął dzień. Gdybym opierał się tylko na grzeczności i pełnym szacunku zachowaniu się Upsaroków, nie byłoby podstaw do niepokoju. Przekonani, że mordercami są Indianie Arikara, Upsarokowie byli zupełnie po naszej stronie. Stan Carpia poprawił się trochę. Oświadczył, że moja obecność go uzdrawia. Pocziwca bawiło, że „pomyłka” doprowadziła aż do zwołania zgromadzenia, które ma zdecydować o naszym życiu. Nie wyprowadzałem go z błędu, nie miałem sumienia psuć pogodnego nastroju przyjaciela. Przespał spokojnie całą noc.

Po umyciu się usiedliśmy, jak wczoraj, przed drzwiami szałas, by spożyć śniadanie i przyrzeć się obozowemu życiu. Widać było po minach Upsaroków, że zanoszą się na coś ważnego, spojrzenia rzucane ukradkiem w naszą stronę wskazywały, że chodzi o nas. Mimo to nie traciliśmy równowagi i pogody ducha. Po chwili zjawił się wódz z dwoma czerwonoskórnymi i rzekł:

– Niech Old Shatterhand i obydwie blade twarze udadzą się do swego szałas!

– Dlaczego? – zapytałem.

– Trzeba was będzie związać, gdyż zgromadzenie wkrótce się rozpocznie.

– Well, niech nas zwiążą. Ze względu na dane słowo nie stawiałem oporu. Jednak podczas krępowania rąk złożyłem je tak, by po mocniejszym przyciśnięciu ręki do ręki rzemienie nie krępowало mnie zbyt mocno; stwarzało to możliwość uwolnienia się z nich. Zresztą nie spętano nas tak mocno i skrupulatnie, jak się czynić zwykło w stosunku do ludzi niebezpiecznych. Odebrana broń położono obok. Wszystko to wskazywało, że sytuacja nie jest beznadziejna. Gdy nas skrepowano, Jakonpi-Topa rzekł:

– Wiem, jakie jest zdanie moich starych wojowników wszyscy są przeciwni waszej śmierci lecz Peteh będzie nalegał, byście zginęli przy męczeńskim palu. Czy Old Shatterhand wie co się zwykle dzieje, gdy takie dwa zdania nie dadzą się połączyć?

– Wiem.

– Niechże mi więc powie.

– Sprawę, rozstrzyga wtedy pojedynek.

– Old Shatterhand zgodziłby się na to?

– Owszem.

Obrzucił mnie długim, poważnym spojrzeniem i ciągnął:

– Wiem, że ciebie jeszcze nikt nie pokonał i nie chcę cię obrażać, powiedz mi jednak, czy przyjrzałeś się wodzowi Krwawych Indian?

– Owszem.

– Ramiona ma podobne do łap niedźwiedzia.

– Pshaw! Niejednego niedźwiedzia udało mi się już pokonać.

– Jest niezwykle przebiegły.

– Spryt niedźwiedzia nie niepokoi mnie.

– Wybierze broń, którą włada po mistrzowsku.

– Byłby głupcem, gdyby postąpił inaczej.

– Zastosuje nieznaną bladym twarzom rodzaj walki.

– Pshaw! Jeżeli chodzi o różne rodzaje walki, to mam również czerwoną skórę!

– Old Shatterhand przemawia z niezwykłą pewnością siebie! Wojownicy Upsaroków będą się cieszyć, jeżeli w walce okaże się równie mocny. Czy chce wypowiedzieć jakieś życzenie?

– Nie. Zwracam tylko w waszym własnym interesie uwagę, że należy uczynić wszystko, by ewentualny pojedynek odbył się możliwie najpóźniej.

– Peteh nie zgodzi się na to.

– Róbcie więc co się wam podoba, jest mi to zupełnie obojętne.

– Uff! Cóż mamy powiedzieć, jeżeli Peteh zażąda, by tamte dwie blade twarze również stanęły do walki?

– Postaraj się, bym mógł je zastąpić.

- Uczynię to. No, wszystko gotowe. Przebieg obrad będzie z pewnością burzliwy!
- Gdy Jakonpi-Topa odszedł, Carpio zapytał:
- Naprawdę przypuszczasz, że może dojść do pojedynku?
- Jestem przekonany, że pojedynek jest nieunikniony, gdyż Wrony nie zechcą, byśmy ginęli na palu.
- A więc prawdziwy pojedynek?
- Tak, ale indiański.
- Na śmierć i życie?
- Tak.
- Mówisz o tym z takim spokojem, jak gdyby chodziło o wypicie filiżanki kawy. Niepojęty z ciebie człowiek, kochana Safono! Pomyśl tylko, pojedynek, pojedynek! Pamiętasz z jakim podziwem mówiliśmy kiedyś o szramach, jaki zachwyt i entuzjazm wywoływał w nas ich widok? Menzura\* indiańska jest chyba jeszcze bardziej niebezpieczna?
- Myślę – roześmiałem się.
- Na twoim miejscu byłbym podniecony i zdenerwowany. Wcale się nie boisz?
- Nie.
- Jesteś zupełnie pewny, że dasz sobie radę z tym czerwonym zapaśnikiem?
- Tak.

Nie chcąc go przerazić udawałem, że jestem bardziej pewny siebie niż było istotnie. Podziałało to na niego uspokajająco. Zapytał:

- Czy będziemy mogli przyglądać się walce?
- Nie tylko będziecie mogli, ale będziecie musieli. Prawo zwyczajowe każe, by wszyscy jeńcy byli obecni przy całej ceremonii i denerwowali się o tego, który walczy.
- Ach, nie mam co do ciebie najmniejszych obaw! Zrób mi tę łaskę i weź mnie na sekundanta.
- Sekundanci w tym pojedynku nie istnieją.
- Wielka szkoda! Chętnie byłbym cię bronił przed ewentualnymi nikczemnościami. Wobec tego chcę Ci przynajmniej dać dobrą radę.
- Mianowicie?
- Głowa do góry, tak, tylko do góry, a przede wszystkim przytomność i równowaga umysłu. Jesteś chwilami taki roztargniony, taki bezmyślny! Pamiętasz, niedawno włożyłeś do kieszeni zamiast swoich ostróg moje. Podobne roztargnienie może wpłynąć na śmiertelny wynik pojedynku. A więc staraj się zachować zimną krew i spokój! Jeżeli to uczynisz, nie będę miał podstaw do obaw, gdyż wiem, że poza tę jedną stronę jesteś zręcznym i niegłupim chłopcem. Jaką bronią będziecie walczyć?
- Tego jeszcze nie wiem, w każdym razie Peteh wybierze tę broń, którą jego zdaniem włada lepiej ode mnie. Ale o tym potem. Przebieg pojedynku jeszcze się nie rozpoczął.
- Racja! Nie martwmy się więc!

Kochany, naiwny Carpio! Jakże inaczej by mówił, jakże inną miałby minę, gdyby wiedział, czym dla byłego ucznia gimnazjum jest pojedynek na śmierć i życie z silnym jak Herkules wodzem Indian Ankara! Doktor Rost orientował się lepiej w sytuacji. Rzucił mi kilka zatroskanych spojrzeń, dałem znak, żeby milczał.

Minęły dwie godziny. Jak było da przewidzenia, obrady miały przebieg niezwykle burzliwy. Wreszcie zjawili się czterech wojowników, którzy oświadczyli, że przychodzą, by mnie zaprowadzić przed zgromadzenie. Wódz nie zjawił się jeszcze, przyniosłoby to ujmę jego godności. Zdjęto mi więzy z nóg, po czym czterej wojownicy otoczyli mnie kołem i ruszyliśmy.

Zgromadzenie obradowało za obozem, nad strumieniem. Siedział tu Jakonpi-Topa wraz z najstarszymi wojownikami, naprzeciw niego rozsiadł się Peteh wraz ze swoim starym powiernikiem Innua-Nehma. Dokoła nich siedzieli półkołem Indianie, których otaczało koło

stojących wojowników. Zaprowadzono mnie do środka; spostrzegłem od razu, że Peteh jest niezwykle podniecony. Oczy błyszczały mu nienawiścią i wściekłością. Jeniec powinien stać przed zgromadzeniem. Nie zrobiłem tego jednak. Gdy eskorta moja odstąpiła, podszedłem do obydwu wodzów i usiadłem między nimi. Zaledwie to się stało, Peteh wydał okrzyk niepohamowanej wściekłości i ryknął:

– Niech ten parszywy pies wstanie natychmiast, natychmiast! Niech stoi na swoich łapach!

Udawałem, że nie słyszę. Wódz Kikatsów, który przewodniczył zebraniu, musiał zareagować na moje zuchwalstwo. Rzekł więc:

– Old Shatterhand nie powinien zapominać, po co go tu wezwaliśmy. Niech wstanie!

Rzuciwszy dokoła badawcze spojrzenie stwierdziłem, że moje zachowanie, doprowadzające do wściekłości Indian Ankara, cieszy Upsaroków. Dlatego odparłem ze spokojem:

– Nikt nigdy nie odważył się dawać mi podobnych rozkazów! Gdzie jest człowiek, który odważy się kazać mi wstać, gdy chcę siedzieć?

– Ja ci rozkazuję, ja! – ryknął Peteh.

Nie zwracając na niego uwagi spojrzałem ze zdziwieniem na Kikatsę i zapytałem:

– Cóż to za głos słyszę? Przypuszczałem dotychczas, że przy ognisku wolno siedzieć tylko poważnym, powściągliwym ludziom. A tu nagle słyszę głos podobny do głosu bawołu. Czy Jakonpi-Topa dopuści do takiej mowy na zebraniu, w którym biorą udział roztropni, doświadczeni mężowie? Czy Old Shatterhand wstanie, czy też dalej będzie siedział – to zależy wyłącznie od niego. Czyż można z tego powodu tracić spokój i równowagę, które są najwyższą ozdobą każdego wojownika?

Peteh poczuł się z pewnością zawstydzony. Nadając głosowi spokojny, wyniosły ton, rzekł:

– Uff! Niech siedzi, niech stoi, nie patrzę na niego! Za to później powalę go tak, że już nigdy nie wstanie!

Zabrał głos Jakonpi-Topa, nie kazać mi już wstawać:

– Wojownicy Indian Arikara wydali nam Old Shatterhanda, którego udało im się schwytać w tym celu, byśmy się naradzili nad jego losem. Mędrzy plemienia zeszli się i podjęli następującą uchwałę: Old Shatterhand był zawsze przyjacielem Upsaroków i dlatego żadna krzywda nie powinna go od nich spotkać. I on, i jego dwaj towarzysze są wolni. Mogą odejść, gdzie im się podoba, mogą wziąć i zatrzymać wszystko, co do nich należy, ale Peteh, wódz Indian Arikara, który go wziął do niewoli, żąda jego śmierci i nalega, by śmierć ponieśli również jego dwaj towarzysze. Wojownicy Upsaroków nie mogą mu w tym przeszkodzić. Postanowiono więc, że ma walczyć najpierw z Old Shatterhendem, potem zaś z obydwoma bladymi twarzami. Peteh zażądał, by się odbyła sti-i-poka, walka na życie i śmierć. Zgodziliśmy się na to. Niechaj wybierze broń, niech oznaczy, z ilu części składać się ma sti-i-poka. Walka rozpocznie się dziś, na godzinę przed zachodem słońca. Trzeba jeszcze omówić warunki, wojownicy Upsaroków będą czuwać, by ich dotrzymano. Niechaj Peteh, wódz Arikarów, powie, czy dobrze mówiłem.

Po tym zapytaniu Peteh wstał i przybierając możliwie najwynioślejszą minę zrobił lekceważący ruch ręką i rzekł:

– Jestem Peteh wódz Indian Arikara. Dotychczas nie pokonał mnie żaden przeciwnik. Dotąd walczyłem jedynie z mocnymi, odważnymi nieprzyjacielami, dziś zmuszono mnie do rozprawy z tchórzliwym kojotem. Gdybym tego nie uczynił, pozwolono by mu uciec i rozprzestrzeniałby wszędzie nieczystość, którą cuchnie. Dlatego zdławię go jednym chwytem ręki i rzucę trupa sępom na pożarcie. Z jego dwoma towarzyszami, którzy nie umieją ani szczekać, ani kasać, stanie się to samo, Rzekłem!

Gdy usiadł na dawnym miejscu, Jakonpi-Topa zwrócił się do mnie:

– Old Shatterhand słyszał słowa swego przeciwnika, niech teraz sani przemówi!

Nadmieniłem już, że ręce związane miałem bardzo słabo. Podczas przemówienia Peteha udało mi się oswobodzić jedną i drugą rękę. Wyciągając je wstałem, potrząsnąłem ramionami

i rzekłem:

– Mam mówić? Pshaw! Old Shatterhand zwykł odpowiadać czynami! Na godzinę przed zachodem słońca zjawię się na placu. Howgh!

Odwróciłem się chcąc opuścić zebranie! Peteh skoczył na równe nogi i zawołał:

– Kto pozwolił temu psu na odrzucenie więzów? Niech natychmiast go zwiążą!

Zauważyłem, że Jakonpi-Topa zmieszał się nieco pod wpływem tego wezwania. Właściwie powinienem był pozostać w więzach do chwili rozpoczęcia pojedynku, nie miał jednak odwagi wydać takiego polecenia z chwilą, gdy się sam uwolniłem z więzów. Chcąc go wybawić z kłopotu, odparłem w jego imieniu:

– Skoro wojownicy Upsaroków postanowili, że mam odzyskać wolność, wziąłem ją sobie! Żaden Upsaroka nie sprzeciwi się tej decyzji. A gdyby któryś z Indian Arikara odważył się wystąpić przeciw postanowieniu starych, mądrych wojowników, niech się zbliży i niech spróbuje związać mnie na nowo. Oto rzemienie, oto moje ręce. Kto ma odwagę? Jestem gotów!

Nikt się nie ruszył.

– Uff, niechże więc kojot chodzi tymczasem bez więzów! – zawołał wódz Arikarów. – Związałbym go sam, ale nie mogę tego uczynić. Zginąłby bowiem pod uderzeniem mych pięści, a to ma się stać przecież dopiero po południu. .

Nie słyszałem dalszych słów, gdyż oddaliłem się. Indianie rozstąpili się, żaden nie próbował mnie zatrzymać. Oczywiście poszedłem prosto do naszego szałasu, by uwolnić z więzów Carpia i Rosta; po odzyskaniu swobody ruchów nie chciałem, by oni byli jej pozbawieni. Opowiedziałem przebieg narady opuszczając tylko szczegóły, które by ich mogły zaniepokoić.

Przeszedł ranek, minęło popołudnie, wódz nie pokazał się. By skrócić czas oczekiwania, spacerowaliśmy po obozie, wszędzie przyjmowano nas serdecznie. Padały głośnie słowa i okrzyki skierowane przeciw Indianom Arikara. Były dowodem, że sympatie Gawronów są po naszej stronie. Nie trzeba chyba podkreślać, że wszystkie myśli skupiały się dookoła walki, która miała nastąpić pod wieczór. W obozie panowało wskutek tego niezwykle podniecenie.

Indianin uważa przygotowanie do walki za rodzaj zabawy. Przy tej zabawie zaprawia się jednak do sytuacji poważnych. Poważanie i szacunek, jakie otaczają czerwonoskórego wojownika są wprost proporcjonalne do ilości wrogów, których pokonał, nawet niebo w pojęciu Indianina nie jest wiecznym pokojem, lecz krainą ciągłych walk i zwycięstw. Gdy dwaj malcy zmagają się ze sobą, otacza ich zwykle koło starszych, pobudzając okrzykami do walki. Podczas wojny między dwoma plemionami wrogowie niejednokrotnie przestają walczyć, nie atakują się nawzajem, by móc przyglądać się pojedynkowi dwóch wybitnych wojowników reprezentujących ich plemiona. Wyniki tych zapasów komentowane są przez lata całe z takim przejęciem i znajomością rzeczy, jak gdyby rozegrały się wczoraj.

Czymże były te wszystkie zapasy wobec oczekiwanego z napięciem sti-i-poka na śmierć i życie między mocnym jak bawół, niepokonanym wodzem Arikarów i białym strzelcem Shatterhandem, o którym żaden jeszcze przeciwnik nie mógł powiedzieć, że nad nim góruje. Omawiano szczegółowo szansę walki, rozważano je z taką skrupulatnością i dokładnością, jak gdyby chodziło o życie wszystkich Upsaroków. Peteh reprezentował surową, nieopanowaną siłę fizyczną, należało się po nim spodziewać gwałtownego ataku i przewagi w wytrzymałości, miał mięśnie i ścięgna niezwykle mocne i wytrzymałe. Po mnie spodziewano się większej zręczności, doświadczenia i wprawy oraz rozwagi, która każdy ruch oblicza i przewiduje i przytomności umysłu, dzięki której wyzyskam każdą korzystną okoliczność. Słowem, Petehowi przypisywano przewagę czysto fizyczną, mnie zaś większą inteligencję. Przy takich szansach trudno było przewidzieć kto zwycięży. Gawrony życzyły mi szczerze zwycięstwa. Martwili się więc, że Peteh wybierze rodzaj broni i oznaczy rodzaj walki, nie ulegało bowiem wątpliwości, że wykorzysta tu swoją wprawę. Gdybym nawet był Old

Shatterhandem podniesionym do dziesiątej potęgi, nie uwierzyliby, by blada twarz miała tę wprawę we władaniu bronią indiańską i w prowadzeniu walki indiańskiej co Indianin, u którego strzały, nóż i tomahawk odgrywają rolę palców i rąk.

Rezultatem tych rozważań było rosnące coraz bardziej napięcie. W miarę przedłużania się stawało się coraz przykrzejsze. Nareszcie Peteh raczył ogłosić decyzję. Jeżeli o mnie chodzi, to nie we wszystkich szczegółach podzielałem przytoczone wyżej przypuszczenia. Mistrzem we władaniu bronią indiańską był Winnetou – to chyba wystarczy. Wydawał Shatterhandowi zawsze jak najlepsze świadectwo, więc obawa przed jakimkolwiek Indianinem była mi najzupełniej obca. A co do mięśni, to nie chodzi o ich zwartość, czy wielkość, lecz o to, by były wyćwiczone, zahartowane i twarde. Ciało dobrze wytrenowane, o wyćwiczonych harmonijnie mięśniach, jest więcej warte od ciała składającego się z mocnych, lecz słabo wyszkolonych członków. Chudy człowiek potrafi dać radę prawdziwemu Herkulesowi, o ile przeciwnik jest otyły. Istnieją zresztą inne, ważne części ciała jak serce i płuca, od których w zupełności uzależnione są nawet mięśnie lwów lub niedźwiedzi. Nie chcę tu mówić o ścięgnach i kościach, nie ulega w każdym razie wątpliwości, że i one odgrywają poważną rolę. Główną jednak przewagą był niezachwiany spokój, który nie opuszczał mnie w najgorszych sytuacjach. Spokój ten rósł w miarę wzrostu niebezpieczeństwa. Serce biło w takich chwilach najzupełniej równomiernie, głowę miałem swobodną, oko jasne. Ogarniał mnie zwykle nastrój tak pogodny, jak gdyby to była uroczystość rodzinna, na przykład urodziny, a nie niebezpieczna sti-i-poka. Ta zimna krew, która mnie nigdy nie opuszczała, dała mi już przewagę nad niejednym przeciwnikiem, i nieraz ratowała w niesłychanie niebezpiecznych sytuacjach. Rozporządzam nią obecnie w tym samym stopniu co dawniej i nic nie może mnie wyprowadzić z równowagi. Mój spokój ma dziwne cechy, nie wiem sam, czy jest skutkiem wiary w siebie, czy też wiara moja wyrosła ze spokoju. A może i spokój, i wiara tak się zrosły, że tworzą nierozdzielalną całość?...

Zbliżał się czas rozprawy. Indianie zaczęli zapelniać plac przeznaczony nią miejsce spotkania. Nareszcie zjawił się Jakonpi-Topa. Zakomunikował mi warunki postawione przez Peteha.

Ponieważ było nas trzech, to znaczy ja, Carpio i Rost, miały się odbyć trzy pojedynki. Jeżeli zostaną zabity, tamci dwaj mają walczyć dalej. Gdyby Peteh zginął – co zresztą jego zdaniem było wykluczone – mieli go zastąpić dwaj Indianie Arikara. Pojedynki miały się składać z następujących etapów; walka na pięści pod drzewem, starcie oko w oko, przy czym każdy miał po jednym tomahawku oraz walka dystansowa, w której każdy z walczących będzie miał po dwa tomahawki.

Plan Peteha był sprytny i głupi.

Do walki pod drzewem należało poczynić następujące przygotowania: na placu przeznaczonym do walki stał szereg mocnych drzew. Do jednego z tych drzew miano nas przywiązać twarzami do siebie w ten sposób, by rzemienie przechodziły pod ramionami i biodrami. Obydwaj walczący mieli być zupełnie rozbrojeni. Peteh wpadł na ten pomysł w przekonaniu, że dzięki wielkiej sile fizycznej będzie mnie mógł bez żadnej trudności zdławić chwytem za gardło lub udusić przyparłszy do pnia drzewa. Nasze ręce miały być zupełnie wolne, mógł więc rozwinąć całą siłę w uścisku ramion opasujących moje ciało. Gdy tylko przejrzałem ten plan uświadomiłem sobie od razu, że Peteh nic mi nie zrobi; mój przeciwnik nie wiedział, że jestem mistrzem w ciosach myśliwskich.

Tomahawki wybrał zapewne dlatego, że przypuszczał, że tym rodzajem broni będzie nade mną górował. Nie wiedział, że moim nauczycielem we władaniu tomahawkiem był mistrz tej miary, co Winnetou i że dzięki niemu znam najdrobniejsze tajniki tej walki.

Byłem zupełnie spokojny, pewne wątpliwości i zastrzeżenia wywoływał jedynie fakt, że od dłuższego czasu nie miałem w ręku indiańskiego topora i że wskutek tego wyszedłem z wprawy. Widząc, że przyjmuję warunki Peteha z pełnym spokojem, wódz zapytał:

- Old Shatterhand nic na to nie mówi? Nie jest zaniepokojony?
- Nie – odparłem.
- Peteh chce cię udusić!
- Niech spróbuje!
- Jako błada twarz nie władasz tomahawkiem z tą wprawą co on.
- Pshaw! Mógłby się u mnie uczyć!
- Uff! Nie mylisz się?
- Nie. Muszę tylko mieć dobrą broń. Gdyby rozpadła mi się w ręku, nie byłbym wprawdzie zgubiony, gdyż mógłbym się bronić pięścią, ale w każdym razie Peteh zyskałby nade mną przewagę.
- Wojownicy Upsaroków chcą ujrzeć cię zwycięzcą, dlatego otrzymasz dwa najlepsze tomahawki, jakimi szczerp rozporządza. Czy wiadomo ci, jakie właściwości powinien mieć dobry topór wojenny?
- Owszem. Trzon powinien mieć ten sam ciężar co tarcza. Ponadto musi być dokładnie trzy razy dłuższy od ostrza. Mam rację?
- Tak. Gdy ciężar i długość są odpowiednie, można zmylić przeciwnika zataczając krzywe łuki. Słyszę, że Old Shatterhand rozumie, jakim warunkom winien odpowiadać tomahawk. Jeżeli włada nim równie dobrze, będzie mógł ująć z życiem. Kiedy walczył tą bronią po raz ostatni? Dawno?
- O tak, dawno.
- Niech zrobi próbę, ale prędko, by nikt nie widział.
- Gdzie?
- Niech weźmie konia i jedzie za mną!

Jakonpi-Topa przyniósł obydwie tomahawki. Ruszyliśmy przez las. Na polanie, którą pamiętałem ze swej jazdy par force\*, zeskoczyliśmy z koni. Trzeba się było śpieszyć, czasu mieliśmy niewiele. Wybrałem za cel jedno z drzew i kilkakrotnie rzuciłem w nie tomahawkiem stosując zwykłą metodę rzutu. Spisałem się tak dobrze, że wódz zawołał:

- Uff! Sam nie potrafię lepiej! Old Shatterhand może się popisywać tomahawkiem przed każdym czerwonym wojownikiem.
- Dotychczas były to rzuty pospolite. Teraz pokażę ci, w jaki sposób zmylę i trafię Peteha. Rzucę oba tomahawki z błyskawiczną szybkością, między jednym rzutem a drugim nie minie więcej niż sekunda. Gdy odskoczy na bok, by się ratować przed pierwszym uderzeniem, drugi tomahawk trafi go niezawodnie.
- A jeżeli uskoczy w drugą stronę?
- Nie uczyni tego, zatoczę bowiem niewysoki łuk w bok. To go zmyli i zwróci jego uwagę w kierunku, którego mi potrzeba. Ponadto jeszcze w inny sposób spróbuję skierować go w odpowiednie miejsce.
- W jakiż to?
- Na polu walki stoi szereg drzew. Jak wielką ma być dzieląca nas odległość w walce dystansowej?
- Sześćdziesiąt kroków.
- Stanę więc o sześćdziesiąt kroków od drzewa tak, że Peteh ustawi się obok drzewa. W ten sposób nie będzie mógł odskoczyć na tę stronę, gdzie stoi drzewo.
- Uff, mądrze to wymyśliłeś!
- Teraz uważaj! Ta łączka ma około siedemdziesięciu kroków szerokości; naprzeciw, w odległości pięciu kroków od siebie, stoją dwa klony. Trafię w obydwie i to na tej wysokości, do której mniej więcej sięgałyby plecy Peteha. Uwaga!

Mówiąc o „krzywym łuku” wódz miał na myśli efektowny rzut, wymagający wielkiej wprawy i zręczności. Należy przy nim wykonać taki mniej więcej ruch ręką, jaki stosują gracze w kręgle, gdy im chodzi o to, by kula zatoczyła wielki łuk; tomahawk otrzymuje

wskutek tego dwa kierunki: wprost i w bok. Oczywiście należy je uzgodnić z danym celem. Jak doprowadzić do tego, by tomahawk kręcił się po drodze, spadał lub podnosił na kształt bumerangu, opisać niestety nie potrafię, gdyż pokazać i wytłumaczyć to można jedynie przykładowo. Obydwa tomahawki wyskoczyły z mej ręki z błyskawiczną szybkością i utkwily w stojących naprzeciw klonach.

– Uff! – zawołał wódz, gdy podeszliśmy, by je wyciągnąć. Gdyby Peteh stał na tym miejscu, byłby bez wątpienia trafiony. Old Shatterhand rzuca znacznie lepiej ode mnie. Będzie się teraz śmiał po kryjomu, że sądziłem, iż nie umie obchodzić się z tomahawkiem tak jak wódz Indian Arikara. Czy chcesz jeszcze raz spróbować?

– Nie. To zbyt ciężkie, a zresztą nie mamy czasu. Przypuszczam, że już na nas czekają.

## Rozdział 8

Jadąc z powrotem stwierdziliśmy, że obóz jest prawie pusty. Czerwonoskórzy udali się na miejsce walki. Przywiązałem konia i poszedłem do Carpia i Rosta, którzy mieli asystować przy moim starciu z Petehem. Nie powiedziałem im nic o tym, że będą musieli kontynuować walkę, gdybym został pokonany.

Indianie zatoczyli dokoła drzewa szeroki krąg. Starszyzna zasiadła pośrodku. Przysiedliśmy się do niej. Peteha jeszcze nie było. Wśród starszyzny zalegało dostojne milczenie. Natomiast zwyczajni wojownicy zachowywali się niezwykle głośno. Napięcie doszło do zenitu.

Wreszcie, gdy wszyscy już byli obecni, zjawił się Peteh. Nie usiadł nawet, ale zdjawszy kurtkę strzelecką i koszulę stanął na wpół nagi. Wygłosił długą mowę pełną zachwyty na temat własnej siły, zręczności i dokonanych czynów bohaterskich. Mowa ta obliczona była na to, by mi napędzić strachu. Nie ulegało wątpliwości, że olbrzymia pierś i tęgie ramiona mogły i powinny były wywołać przerażenie. Na mnie jednak nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

Moi towarzysze nie zrozumieli ani słowa z tego co mówił Peteh. Zatroskany Carpio szepnął:

– Masz walczyć z tym olbrzymem? Skinąłem głową.

– Ależ on cię zgniecie jak zgniłe jabłko! Potrząsnąłem przecząco głową i dałem znak, by zamilkł.

Peteh skończył swe przemówienie. Zebrani czekali, bym mu według zwyczajów indiańskich odpowiedział również mową. Wstałem i rzekłem:

– Jestem gotów. Jak długo mamy walczyć?

– Dopóki jeden z dwóch nie zginie lub nie padnie, gdyby nie był przywiązany do drzewa odparł Jakonpi-Topa.

– A więc nie ma potrzeby, bym się również rozbierał. Walka będzie skończona za nim zdąży się naprawdę rozpocząć, Przywiążcie nas!

– Nie! – zawołał Peteh. – Ten biały pies chce pozostać w ubraniu, by go chronić. Musi je zdjąć!

Oczywiście musiałem to uczynić. Ustawiliśmy się po obydwóch stronach drzewa twarzami do siebie i podnieśliśmy ramiona, by podciągnięto pod nie rzemienie. Peteh obrzucał mnie wściekłymi spojrzzeniami, nie zwracałem na to najmniejszej uwagi. Plunął w moim kierunku. Odwróciłem głowę i ślina mnie nie dosięgnęła. Indianie, którzy przywiązali nas do drzewa, odstąpili. Wszyscy patrzyli na nas. Staliśmy nieruchomo czekając na znak ze strony wodza Kikatsów.

Peteh niecierpliwił się bardzo; ja miałem wyraz twarzy zupełnie obojętny. Było więcej niż pewne, że zamierza nie pozostawić mi czasu na podniesienie ramion i chce otoczyć od razu

pierścieniem swych łap. Położywszy prawy kciuk na zwartą pięść czekałem.

Odezwało się wołanie Jakonpi-Topy i stało się to, czego oczekiwałem. Peteh podniósł ramiona błyskawicznym ruchem. W tejże chwili otrzymał ode mnie potężny cios w lewe przedramię, którego nie osłonił. Ramię odpadło sztywnym ruchem, w następnej chwili zdzieliłem go pięścią w skroń z taką siłą, że głowa opadła na prawe ramię. Zaczął rzeźzić, białka przewróciły się w bolesnym skurczu, po chwili nakryły je powieki.

– Gotowe, odwiążcie nas! – zawołałem rozkazującym tonem.

Zaległa grobowa, bezgłośna cisza. Wszyscy byli oszołomieni szybkością, z jaką zakończyłem pierwsze starcie. Wódz Kikatsów wstał, podszedł do nas i zaczął badać Peteha.

– Uff! – zawołał. – Pięść Old Shatterhanda spada jak głaz górski. Wódz Indian Arikara nie żyje. Odwiążcie obydwóch!

– Ależ żyje jeszcze – odparłem. – Gdybym go zabił, musiałbym walczyć ze zwyczajnymi wojownikami Arikara. Ponieważ Old Shatterhand może się mierzyć tylko z wodzami, nie zabiłem go, lecz tylko ogłuszyłem. Czy warunkom pierwszego spotkania stało się zadość?

Po zdjęciu rzemieni Peteh padł na ziemię jak dziurawy worek. Wobec tego wódz Kikatsów odparł:

– Tak jest, warunek został spełniony, Peteh bowiem leży na ziemi i nie może się ruszyć. Old Shatterhand zwyciężył.

– Uff, uff, uff! – rozległo się z paruset gardeł.

Wróciłem na miejsce i usiadłem wśród starszyzny.

– Dzięki Bogu, że marny to już za sobą! – rzekł Rost. – Ale najadłem się strachu!

– Ja nie! – odparłem z uśmiechem.

– Naprawdę nie? Naprawdę? Przecież ramiona tego człowieka są czymś w rodzaju nóg słonia. Gdy byliście razem związani, milordzie, mój głos wewnętrzny mówił mi, że pana tu pogrzebiemy. Czy to możliwe, by pańska mała ręka była zdolna do ciosu tak potężnego?

– Zawsze był taki silny – odpowiedział Carpio – nikomu jednak tego nie okazywał. Czy będziecie jeszcze walczyć?

– Tak, na tomahawki – odparłem.

– Dasz sobie radę?

– Nie bój się, jakoś sobie poradzę. i

– Ja też się nie lękam. Jeżeli natężysz uwagę i nie popełnisz jakiegoś głupstwa, wszystko pójdzie jak z płatka. Strzeż się tylko roztargnienia i omyłek.

Ta dobra opinia o mojej osobie była, zaiste, czymś wzruszającym! Nie uświadamiał sobie wcale, jak niebezpiecznej grze się przyglądał. Rost orientował się znacznie lepiej. Widząc, że się boi nie na żarty; dałem mu znak mrugnięciem oka, by nie mówił ani słowa.

Petehowi zaczęła stopniowo wracać przytomność. Odwróciłem się nie patrząc na niego. Po chwili stanął za mną i wygłosił mowę pełną przechwałek, w której zapewniał, że w następnym pojedynku rozplata mi głowę, dodał, że teraz na nic zda mi się uderzenie pięścią i zażądał natychmiastowego rozpoczęcia dalszej walki.

Jakonpi-Topa wyraził zgodę i podał mi swój tomahawk. Był to toporek z bajecznie szlifowanego agatu o bardzo twardej i gładkiej powierzchni, lśniącej szeregiem drobnych, białych kryształków indiańskich. Mogłem nim zaryzykować uderzenie jak najmocniejsze bez obawy, by nasada rozpadła się w kawałki. Nie ulegało wątpliwości, że Peteh nie ma lepszego tomahawka.

Oznaczono miejsce, na którym mieliśmy stanąć naprzeciw siebie. I teraz walka trwać miała tak długo, dopóki jeden z walczących nie padnie i nie będzie mógł się podnieść. Sytuacja nie była dla mnie korzystna. Trzeba było bowiem myśleć o konieczności oszczędzenia przeciwnika, nie mogłem go również zranić tak mocno, by stał się niezdolny do walki, ponieważ oświadczyłem, że wypada mi walczyć jedynie z wodzami. Należało więc zachować wodza na trzecie spotkanie.



Zakreślono na murawie koło o promieniu dziesięciu stóp; nie wolno go było przekroczyć, ale w ramach tego koła mogliśmy się swobodnie poruszać. I uderzenia, i rzuty były dozwolone.

Możliwość rzutów stwarzała sytuację niezwykle niebezpieczną. Niech czytelnicy wyobrażą sobie na chwilę, że ktoś stojący od nich w odległości dziesięciu stóp, rzuca w nich ostrym toporem, a będą mieli mniej więcej obraz walki, która mnie czekała. W każdej chwili należało być gotowym na otrzymanie straszliwej, śmiertelnej rany. Rzucanie toporem ma tę złą stronę, że broń przepada w razie rzutu niecelnego lub na wypadek, gdy przeciwnik odskoczy; toteż wybiera się ten sposób walki tylko wtedy, gdy się jest zupełnie pewnym powodzenia. Byłem zdecydowany zrezygnować z rzutów. Czekałem na to, co postanowi Peteh.

Nie wszedł do koła, ale wskoczył w nie, okręcił się kilkakrotnie dookoła siebie wywijając tomahawkiem, wreszcie zaczął ryczeć, żebym wszedł do koła, bo pożera go chęć zobaczenia mojej krwi. Wolnym krokiem minąłem linię zakreśloną nożami. Ponieważ oświadczył, że uderzenie nie uda mi się po raz drugi, postanowiłem wymierzyć mu je ponownie i dlatego wziąłem tomahawk do lewej ręki. Widząc to Peteh czekał aż ujmę topór w prawą dłoń. Gdy tego nie uczyniłem, roześmiał się na całe gardło i zawołał:

– Ten biały śmierzuch nie wie nawet jak się obchodzić z tomahawkiem! Nie będzie miał, niestety, czasu nauczyć się tej sztuki, bo z miejsca powalę go na ziemię.

Widzowie przypuszczali zapewne, że zwyczajem indiańskim będziemy się przez dłuższy czas skradać do siebie i że przyjdzie im długo czekać na pierwszy cios, ale Peteh był na to zbyt niecierpliwy. Przy ostatnim słowie zerwał się na równe nogi, doskoczył do mnie błyskawicznym ruchem, zamachnął się do śmiertelnego ciosu, pochylił do ziemi, ponieważ pochyliłem się również. Wódz błyskawicznym ruchem topora przeciął powietrze, a ja trąciłem go plecami w nogę. Uderzenie było tak mocne, że Peteh zwałił się jak kłoda. Zanim spróbował wstać walnąłem go dwukrotnie pięścią w ciemię tak, że nie mógł nawet marzyć o podniesieniu się. Następnie wyszedłem z koła, wróciłem na dawne miejsce i nie mówiąc ani słowa, usiadłem.

Zapanowała ta sama grobowa cisza co przed chwilą. Indianie nie mogli się jeszcze oswoić z faktem, że cała walka trwała nie dłużej niż minutę. Indianie bowiem są przyzwyczajeni do przeciągania pojedynku będącego dla nich czymś w rodzaju smakołyku, którym należy się delektować powoli i gruntownie. Gdy się przekonali, że Peteh leży nieruchomo, dali swemu uznaniu głośny wyraz; Indianie Arikara milczeli jak zakłęci.

Jakonpi-Topa wstał, przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu i rzekł:

– Uff! Przecież to nie była wcale walka na tomahawki!

– Czy jest nieważna?

– Skądże znowu! Powinna się właściwie liczyć potrójnie, gdyż niewidziana to rzecz, by jakikolwiek wojownik bronił się w ten sposób przed atakiem topora.

– Pshaw! Wódz Indian Arikara jest wprawdzie mocny w gębie, ale słaby we wszystkim innym. Nie warto nawet o nim mówić!

– Tak, kto w ten sposób przemawia pięściami jak ty, nie tracić na próżno słów!

Podszedł do Peteha, którego Indianie otoczyli tak zwartym kołem, że nie mogłem go dojrzeć. Rost skorzystał z okazji, że zostawiono mnie samego i rzekł potrząsając głową:

– Milordzie! Trudno mi ochłonać ze zdumienia. Już sytuacja pod drzewem przedstawiała się groźnie, a jednak poradził pan sobie z dziecinną, rzekłbym, prostotą. Widząc was obydwóch z tomahawkami w rękach byłem przekonany, że popłyną strumienie krwi, a tymczasem wszystko skończyło się na dwóch uderzeniach pięści. Początek walki stał się jej końcem. Okazuje się, że niepotrzebnie zabrałem opatrunki, Wyznaj szczerze, że wcale mnie to nie martwi. Powiem nawet: dzięki Bogu!

– Och, co się tyczy pańskich przyborów, to mogą się jeszcze przydać, gdyż w trzecim, ostatnim spotkaniu nie będę oszczędzać Peteha. Przy walce dystansowej nie ma mowy o

uderzeniu pięścią, a gdyby pojedynek skończył się bezkrwawo, trzeba by było rozpocząć całą sti-i-pokę na nowo. Ale gdzie jest Carpio?

Okazało się, że się ulotnił podczas drugiej walki.

– Poszedł do obozu po rewolwery – objaśnił mnie Rost.

– W jakim celu?

– By zabić Peteha, gdyby pana pokonał.

– Przecież to nonsens. Kto mu podsunął ten głupi pomysł?

– Nikt. Wpadł na niego sam. Gdy pan wstąpił w obręb koła, sprawa wyglądała niezmiernie groźnie. Carpio rzekł wtedy: „Jeżeli ten czerwonoskóry łotr zabije moją Safonę, wpakuję mu w łeb wszystkie sześć kul mego rewolweru!” Po tych słowach pobiegł po rewolwer.

– Nie starał się pan go zatrzymać?

– Nie.

– Dlaczego?

– Mój głos wewnętrzny radził mi, bym to uczynił, ale Carpio pobiegł z szybkością sarny.

Obawia się pan o niego?

– Ściśle mówiąc, nie; nie wyobrażam sobie bowiem, by mu ktoś chciał uczynić coś złego. Należy jednak pamiętać o tym, że człowiek z niego nieobliczalny i zdolny do popełnienia każdego głupstwa.

– Mam go tu sprowadzić?

– Tak. Sam nie mogę tego uczynić, bo mi się stąd nie wolno oddalać.

– Niechętnie spełnię pańskie polecenie, chciałbym bowiem być świadkiem trzeciej fazy pojedynku. Czy pojedynek będzie niebezpieczny?

– Dla mnie w żadnym wypadku. Ale słyszę wołanie wodza. Zaraz pewnie rozpocznie się walka. Nie mogę tracić ani chwili, gdyż mógłbym stracić pewne atuty, które sobie uplanowałem.

Peteh oprzytomniał i otrzeźwiał. Nie mogłem go zobaczyć, ponieważ był otoczony gromadą ludzi, za to usłyszałem jego krzyk. Szalał z wściekłości, że go znowu pokonałem i to uderzeniem, którego powtórzenie uważał za rzecz zupełnie wykluczoną. Nie zajmowałem się jego osobą, całą uwagę zwróciłem na zbadanie dystansu. Chodziło o to, bym mógł wodza dosięgnąć, gdy będzie stać pod drzewem. Podeszedłem więc do drzewa, do którego mnie przedtem przywiązano i odliczyłem sześćdziesiąt kroków. Po chwili zwarta masa ludzka rozstała się i wyszedł z niej Indianin Arikara. W każdej ręce trzymał po tomahawku. Jakonpi-Topa podał mi drugi toporek, uśmiechnął się i rzekł:

– Odliczę sześćdziesiąt kroków, by Old Shatterhand mógł wykonać swój plan. Nie jest to nieuczciwe, gdyż dotychczas oszczędzałeś Peteha zupełnie świadomie. Żadnemu z was nie wolno ustąpić z miejsca. Jeżeli zostanie trafiony z powodu cofnięcia się, poniesie tylko karę za to, że nie postąpił według zasad walki.

Po tych słowach odliczył sześćdziesiąt kroków i zatrzymał się, jak się tego spodziewałem, w odległości dwóch metrów od drzewa. Peteh musiał stanąć po prawej stronie drzewa.

Sytuacja przedstawiała się następująco: każdy z nas miał po dwa tomahawki i mógł wykonać kilka rzutów. Pojedynek mógł się skończyć tylko w ten sposób, że jeden z walczących padnie. Ani Peteh, ani ja nie miał prawa zejść ze stanowiska przed zakończeniem walki. Wolno było tylko schylać się i odwracać przed uderzeniami. Nie wątpiłem ani chwilę, że trafię Peteha w pierwszym rzucie, jeżeli wódz Indian Arikara będzie stać w tym samym miejscu. Wiedziałem również, że jeżeli wbrew zakazowi zechce odskoczyć, będzie mógł ze względu na stojące po prawej stronie drzewo wykonać jedynie skok w lewo. Trzeba więc będzie skierować drugi tomahawk na lewo i to tak daleko, jak daleko przypuszczalnie Peteh odskoczy. Nie była to rzecz łatwa, ale jako uczeń Winnetou nie wątpiłem ani na chwilę w powodzenie planu.

Widzowie ustawili się po obydwóch stronach linii, której krańce tworzyliśmy. Ze względu

na możliwość niebezpieczeństwa nie bardzo na nas napierali. Jakonpi-Topa, który miał dać hasło do rozpoczęcia walki, stał w środku koła. Rozstawiłem nogi i wysunąłem lewą nieco naprzód. Pozycja ta dawała mi podstawę do rzutu oraz możliwość poruszania górną połową ciała w prawo, w lewo i w tył bez opuszczania stanowiska. Groźny okrzyk wodza Kikatsów dał hasło do rozpoczęcia walki.

Peteh był znany jako doskonały szermierz na tomahawki, musiałem się więc mieć na baczności. Postanowiłem raczej dać się ugodzić niż choćby na cal ustąpić z miejsca. Nie chciałem, by ktokolwiek mógł powiedzieć, że Old Shatterhand choćby myślą nie dopełnił warunków walki. Czy Peteh miał te same myśli i zamiary, okaże się za chwilę.

Wygłosił znowu pod moim adresem mowę pełną obelg i grózb. Skończywszy czekał, bym coś odpowiedział; nie puściłem pary z ust. W odpowiedzi na to milczenie nazwał mnie tchórzem, któremu strach więzi słowa w gardle i wezwał do wykonania pierwszego rzutu. Udałem, że nie słyszę. Milczał przez chwilę, potem rzucił jeszcze kilka szyderstw. Gdy i teraz nie odpowiedziałem chwycił za topór, by wykonać pierwszy rzut.

Ze sposobu, w jaki ujął tomahawk zorientowałem się, że mam przed sobą nie byle jakiego przeciwnika i nie spuszczałem z niego oka. Wydał przenikliwy okrzyk i wypuścił topór z ręki. Tomahawk przeleciał trzecią część drogi równoległe do ziemi, potem wzniosł się w górę, wreszcie pochylił się ku swemu celowi. Nie ruszyłem się z miejsca, wyprostowany jak świeca – topór przeleciał bowiem o jakiś metr ode mnie, jednak dokładnie na wysokości głowy.

Rzut był nie najgorszy, niektórzy spośród czerwonoskórych, prawdopodobnie Indianie Arikara, nagrodzili go aplauzem. Wódz wezwał mnie, bym przystąpił do rzutu. Gdy tego nie uczyniłem, obrzucił mnie powtórnie gradem obelg i przechwałek, po czym zaczął się gotować do następnego uderzenia. Tym razem machał toporkiem dłużej niż przedtem i bardziej celował, w rezultacie jednak broń przeleciała obok mnie w takiej samej odległości co przedtem, tylko po drugiej stronie.

– Uff! – zawołał. – Raz tak blisko po lewej stronie, teraz znowu po prawej! Ale za trzecim razem trafię z pewnością w sam środek! Czy ten tchórz zdecyduje się wreszcie na rzut? Niech mi tu przyniosą tomahawki! Potrzebuję ich.

Odpowiedziałem donośnie, by mnie wszyscy mogli usłyszeć:

– Niech sobie leżą! Nie są mu potrzebne, gdyż nie będzie już miał sposobności do rzutu. Żądał, bym mu odpowiedział, będzie więc miał odpowiedź Old Shatterhanda!

Na początek nie wziąłem obsydianu\*, lecz inny topór; ostateczny cios chciałem bowiem zadać obsydianem. Chodziło o to, by naprzód zatoczyć łuk w górę, zaraz po nim zaś górny łuk w bok. Gdy uwaga przeciwnika zwrócona będzie na rzut górny, drugi tomahawk spadnie nań z boku. Jeżeli nie odskoczy, trafi go pierwszy topór i jeżeli to uczyni, wpadnie pod drugi. By skierować całą uwagę na pierwsze uderzenie, musiałem pierwszy topór posłać z tym samym okrzykiem, jaki wydał Peteh, natomiast przy drugim rzucie należało pomyśleć o zachowaniu zupełnego milczenia. Wszyscy zwrócili swe oczy na mnie. Był to moment najwyższego napięcia; miałem wrażenie, że się składałam cały z zazębiających się nawzajem, doskonale funkcjonujących sprężyn i że jest absolutnie niemożliwe, bym przeciwnika nie ugodził.

Gdy mój topór zaczął wirować nad głową, Peteh wybuchnął śmiechem podobnym do rżenia konia. Mój rzut był wynalazkiem Winnetou, Indianin Arikara nie znał tego efektownego majstersztyku.

– HUUUUH-i! – zawołałem, powtarzając i rozciągając samogłoskę „u”. Po krótkim, urywanym „i” tomahawk wzleciał pod niebo, po czym zaczął spadać na Peteha, wciąż wirując dokoła swej osi. Podczas gdy uwaga wszystkich pochłonięta była pierwszym rzutem, wyleciał drugi tomahawk. Nie wypuściłem go po linii, jaką zakreślił pierwszy. Poleciał na prawo, jak gdyby tam znajdował się jego cel, potem zaczął wznosić się coraz wyżej przyjmując kierunek coraz bardziej na lewo, by opaść wreszcie na Peteha, który pod wpływem pierwszego rzutu

powinien był uskoczyć w lewo.

Wyrzuciwszy drugi topór zacząłem, nie ruszając się z miejsca, śledzić bieg obydwóch tomahawków. Nie ulegało wątpliwości, że plan się udał. Nikt oprócz mnie nie wiedział, że w ślad za pierwszym toporem wysłałem drugi, nikt nie widział jego biegu. Wszyscy z wyjątkiem mnie śledzili bieg pierwszego; widać było, że leci dokładnie w tym kierunku, gdzie stał wódz Indian Arikara. Peteh zrozumiał, że topór spadnie na jego głowę. Miał tylko sekundę do namysłu czy ratować życie. Regulamin zabraniał ruszenia się z miejsca, ale życie jest przecież także coś warte i ma swoje prawa! Rozległy się krzyki – za moment tomahawk spadnie mu na głowę... W ostatniej chwili, chcąc się ratować, skoczył na lewo... Rozległ się trzask uderzenia; usłyszałem go, mimo że stałem w odległości sześćdziesięciu kroków: Przeciwnik uratował się od pierwszego topora, ale drugi powalił go na ziemię.

Rozległy się krzyki, wszyscy zaczęli się tłoczyć, pytać, odpowiadać, powstał harmider nie do opisania. Z wyjątkiem mnie i Jakonpi-Topy nikt nie wiedział, skąd spadł drugi topór. Ludzie cisnęli się dokoła rannego, obrzucali zdziwionymi spojrzeniami to Peteha, to mnie. Nie zważając na to podniosłem obydwie tomahawki Peteha i wolnym krokiem zbliżyłem się do ruchliwego tłumu. Indianie odwrócili ku mnie głowy. Rzuciwszy im pod nogi obydwie topory rzekłem:

– Oto tomahawki! Peteh nie potrzebuje ich. Słowa Old Shatterhanda zawsze się sprawdzają. Kto jest zwycięzcą? Na to odparł wódz Kikatsów:

– Peteh, wódz Indian Arikara, uległ po raz trzeci. Tomahawk utkwiał mu głęboko między szyją a ramionami. Oczy ma zamknięte, ocieka krwią. Któż więc ma być zwycięzcą, jeżeli nie Old Shatterhand? Dokonał tego, czego nie osiągnął żaden z nas, potrafił skierować na lewo tomahawk wyrzucony na prawo. Kto z nas widział, by wojownik jakiś rzucił dwa topory po to, by za pomocą jednego zaprzątnąć uwagę wroga, a za pomocą drugiego zranić go i obezwładnić? Sti-i-poka skończona! Old Shatterhand zwyciężył. Howgh!

Odwróciłem się, by odejść. Po chwili ujrzałem Rosta biegnącego do mnie. Zatrzymał się i gładząc brodę rzekł:

– Widziałem, jak Peteh upadł. Z pewnością ocieka krwią. Jest ranny?

– Tak.

– Mogę go zbadać, opatrzyć?

– Nie mam tu nic do powiedzenia. Niech pan zapyta Jakonpi-Topy. Chciał pobiec dalej ale go zatrzymałem.

– Nie widzę Carpia. Gdzie jest?

– W obozie.

– Nie sprowadził go pan?

– Nie.

– Dlaczego?

– Zaraz po naszej rozmowie rozpoczął się bój na tomahawki. Walka była tak interesująca, że musiałem przy niej zostać. Sam pan przecież powiedział, że nic mu się złego w obozie nie stanie.

– To prawda. Nie wrócił jednak i jestem niespokojny. Muszę się dowiedzieć gdzie jest.

Zostawiłem Rosta i udałem się do obozu. Nie miałem żadnego powodu do obaw o przyjaciela, mimo to niepokoiła mnie jego długa nieobecność. Wśród namiotów i chat nie było nikogo. Poszedłem w stronę naszego szałas.

Mój koń stał na swoim miejscu zupełnie spokojnie. A więc tu wszystko w porządku. Zajrzałem do wnętrza – żadnej zmiany. Udałem się przed szałas jeńców. Wartownika nie było! Wszedłem do szałas – był pusty! Rzemienie, którymi związani byli jeńcy leżały na ziemi. Corner i towarzysze uciekli korzystając z nieobecności Indian, którzy gremialnie udali się na sti-i-pokę! Nawet wartownicy gnani ciekawością, opuścili stanowiska. Gdzie się podział Carpio? Czyżby go spotkało nowe nieszczęście? Może go porwali? Ogarnęła mnie

śmiertelna trwoga. Pobiegłem co tchu do naszego szałasu, odwiązałem konia i wskoczyłem na siodło. Nie ulegało wątpliwości, że zbiegowie szukali osłony w pobliskim lesie.

Ruszyłem tam pełnym galopem. Nikt mnie nie zauważył, teren pojedynku leżał bowiem po drugiej stronie obozu. Nie chciałem wszczynać hałasu w obawie, że wszyscy czerwonoskórzy zbiegną się i pozacierają ślady zostawione przez zbiegów. Najpierw natrafiłem na ślad dwóch jeźdźców. Po chwili przekonałem się, że to ślady wodza Kikatsów i moje, które pozostały po naszej jeździe, kiedy wyruszyliśmy wypróbować tomahawki. Pojechałem więc dalej. Po jakimś czasie natrafiłem na następne ślady. Zsiadłem z konia i zacząłem je badać. Były to ślady pięciu par końskich kopyt sprzed pół godziny. Na Boga, te łotry uprowadziły Carpia!

Wróciłem pędem do obozu i wszcząłem alarm. Powstało niesłychane zamieszanie, z największym trudem udało mi się uspokoić wzburzonych Indian. Wódz Kikatsów ogłosił natychmiast, że wyrzuci niewiernego wartownika z plemienia; niestety, zarządzenie to nie zwracało mi Carpia! Jakonpi-Topa był tak zaskoczony, że w pierwszej chwili nie wiedział co robić. Zwróciłem się do niego;

– Chodzi przede wszystkim o dwie sprawy: nie możemy ich, niestety, ścigać, gdyż słońce chyli się już ku zachodowi; musimy tylko ustalić jeszcze dzisiaj jaki obrali kierunek oddalając się z obozu. Pojadę ich śladami sam, bez żadnej eskorty, by nikt nie zatarł tropów. Ty tymczasem załatwisz drugą sprawę. Trzeba koniecznie ustalić, co ze sobą zabrali, chodzi mi o konie, broń, żywność. Zarządź gruntowe śledztwo! Dopiero po ustaleniu czego brakuje, będziemy mogli powziąć dalsze decyzje. Chwilowo to jedynie jest pewne, że puszcę się za nimi w pogoń. Przypuszczam, że mogę to uczynić i że Upsarokowie nie uważają mnie już za jeńca.

– Old Shatterhand jest wolny – odparł wódz.

– Doskonale! Jadę więc. Czekać na mój powrót,

Odjechałem w pełnym galopie nie czekając na odpowiedź. Dotarłem z powrotem do miejsca, w którym natrafiłem na ślady zbiegów i jechałem dalej ze wrokiem wlepionym w ziemię. Ślady prowadziły przez Pacific Creek, a potem na Zachód do Little Sandy Creek. Gdy tam dotarłem, zapadł mrok, musiałem więc zawrócić. Byłem głęboko przekonany, że udali się dawną drogą do finding-hole.

W obozie zakomunikowano mi złe nowiny. Nikt nie wiedział, w jaki sposób zbiegom udało się uwolnić z więzów. Podczas ucieczki nie było w pobliżu ani jednego spośród Indian, tak Upsaroków, jak i Indian Arikara. Obozu nie pilnował żaden wartownik, wszyscy chcieli być świadkami pojedynku. Dzięki temu biali mieli dosyć czasu. Wyzyskali go sprytnie, by się odpowiednio wyekwipować. Zabrali broń z namiotu wodza. Ponadto wyszukali najlepsze konie, między innymi wierzchowca Peteha i Jakonpi-Topy, kasztana Cornera i jeszcze dwa wspaniałe rumaki. Prócz tego zabrali z szałasu sporą ilość koców, prochu, ołowiu i mięsa.

Jakonpi-Topa szalał. Palił się do wzięcia udziału w pościgu, ale jako wódz nie mógł przecież podczas zbrojnej wyprawy opuścić swych ludzi. Zaproponował mi, bym wziął ze sobą kilkudziesięciu jego wojowników. Odpowiedziałem, że potrzebuję tylko pięciu, ale za to zręcznych i wytrzymałych. Najchętniej zostawiłbym Rosta, ale nie mogłem tego uczynić, gdyż nie wiadomo było, jaki przebieg będzie miało spotkanie Upsaroków z Szoszonami, a ponadto – co było najważniejsze – nie chciał się ze mną rozstawić. Postarałem się więc o to, by otrzymał lepszego konia; nie chciałem, by dosiadał karej szkapy, na której jeździł dotychczas. Zabraliśmy również mocnego muła górskiego; obiadowano go prowiantem i kocami, o których trzeba było pomyśleć, gdyż w górach Fremont Peak należało się spodziewać o wiele większych mrozów niż tu, w zielonej jeszcze dolinie Pacificu i Mortonu. Po ukończeniu koniecznych przygotowań miałem z Jakonpi-Topą bardzo poważną rozmowę na temat Stillera. Jej rezultatem była obietnica uwolnienia go, jeżeli się okaże, że Indianie Arikara byli mordercami sześciu Gawronów. Miałem zjawić się u Kikatsów, by go zabrać.

Podczas mojej nieobecności Rost ofiarował Petehowi swą pomoc lekarską, ale Peteh

odrzucił ją z pogardą oświadczając, że nie potrzebuje bladej twarzy, która go zaleczy na śmierć i że sam zna się doskonale na opatrywaniu ran. Miałem jeszcze do Peteha interes. Ponieważ chciałem mu coś powiedzieć, czego przemilczenie byłoby głupotą, kazałem zawołać do siebie jego powiernika, starego, podstępного Innua-Nehma. Gdy stanął przede mną obrzucając mnie wrogim spojrzeniem, rzekłem:

– Innua-Nehma pamięta zapewne, o czym mówiliśmy nad rzeką Tokoah Peh gdy oprzytomniałem po uderzeniu kolbą, prawda? Nie odpowiedział.

– Oświadczyłem Petehowi, że zostanę jego jeńcem tak długo, dopóki mi się będzie podobało. Wyśmiał mnie. Odpowiedziałem na to: – „Chętnie pozostanę u was przez jakiś czas, jestem bowiem ciekaw jaką zrobisz minę, gdy się z tobą pożegnam wbrew twojej woli”. Odpowiedział na to, że postradałem zmysły. Przyszedł czas, w którym podoba mi się odejść. Jutro rano odjeżdżam. Czy Peteh może mnie zatrzymać? Cóż się stało z jego zręcznością, dzielnością i siłą? Jeżeli nie umrze od rany, powinien umrzeć ze wstydu, że się tak ośmieszył. Odchodzę nie żegnając się z nim, nie chcę bowiem oglądać jego smutnej twarzy, twoja głupia mina mi wystarczy.

– Uff! Miej się na baczności! – wybuchnął.

– Grozisz mi? Pshaw! Jesteście zwyczajnymi głupcami, nie przełęknie się was ani mały chłopak, ani stara squaw. Cała wasza rzekoma mądrość okaże się wkrótce zwyczajną błagą. Nie zapomnijcie wtedy o Old Shatterhandzie, któremu to zawdzięczacie. Howgh!

Po tych słowach odszedłem.

Jako wolny człowiek spożyłem wieczerzę w towarzystwie wodza, potem udałem się do naszego szałas, by się wcześniej położyć, gdyż następnego dnia mieliśmy o świcie wyruszyć. Droga do Little Sandy Creek była mi znana. Przypuszczałem więc, że dogonimy Cornera i jego towarzyszy. Obok mnie leżał Rost, Martwił się i gryzł bardzo z porwania Carpia, równocześnie rozpierała go radość, że odzyskaliśmy wolność. Wściekał się na Peteha za odrzucenie pomocy.

– Niech pan pomyśli, milordzie, co za wspaniały wypadek! – rzekł. – Mam wrażenie, że obojczyk jest złamany, wszystkie zaś mięśnie nadwerężone. Na przykład...

– Aorta – rzekłem żartobliwie.

– O nie! Chodzi mi przede wszystkim o żyłę na szyi..

– Błagam pana, niech pan odłoży to opowiadanie do jutrzejszego ranka, gdy będziemy wyspani. Jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że musimy się przede wszystkim pokrzepić wypoczynkiem.

– Mój głos wewnętrzny mówi mi to samo. Dobranoc!

– Dobrej nocy!

Następnego dnia około południa znaleźliśmy się nad Little Sandy Creek. Ślady prowadziły stąd na północny-zachód, w kierunku rzeki New Fork. Teren stawał się coraz bardziej górzysty. Widać było, że Corner zna okolice, posuwał się bowiem naprzód najwygodniejszymi ścieżkami. Odcyfrowanie śladów nie przedstawiało wielkich trudności, Mam wrażenie, że o to nie dbał, pochłonięty pragnieniem najszybszego dotarcia do wyznaczonego celu. Stwierdzam z przykrością, że mu się to udało; miał konie lepsze od naszych, oczywiście z wyjątkiem Hatatitli. Cóż jednak mogłem poradzić na swym świętym rumaku wobec innych koni, których nie mogłem zostawić w tyle?

Jechaliśmy przez szerokie, porośnięte rzadką trawą zbocze górskie, W pewnej chwili daleko na horyzoncie po prawej ręce zauważyłem jakiś ruchomy punkt. Zatrzymałem nasz oddział, by go obserwować. Nie ulegało wątpliwości, że to nie zwierzyzna, ale ludzie. Zeskoczyliśmy z koni nie chcąc, by nas z daleka zauważono. Po jakimś czasie ujrzeliśmy dwóch zbliżających się jeźdźców. By ich nie spłoszyć widokiem Indian, wsiadłem na koń i ruszyłem naprzeciw. Na mój widok ogarnęło ich zdumienie. Ujrzeli już Indian, ale nie zatrzymali się. Nie mogłem jeszcze odróżnić rysów ich twarzy. Nagle usłyszałem radosny okrzyk:

– Oh, dear! To Old Shatterhand, jeżeli mnie moje stare oczy nie mylą. Jazda, jazda naprzód! Ruszyli pełnym galopem. Po chwili poznałem starą, kochaną, brodatą twarz. A zjawiała się tu zupełnie niespodzianie.

– Sannel, Amor Sannel! – zawołałem. – Czy to być może? Czy wzrok mnie nie myli?

– Dlaczego miałby cię mylić? – odparł zapytany z uśmiechem, ściągając koniowi cugle i podając rękę na powitanie. – Wiadomo wam chyba, że to mój ulubiony teren. A może sądziliście, że już nie żyję?

– Tak przypuszczałem.

– Co? Naprawdę? Dlaczegoż to? Mam nadzieję, że nie byliście na moim pogrzebie?

– Co to, to nie, ale – hm! Proszę pokazać mi swoją strzelbę!

– Ten stary grat? Nic w nim nie ma godnego uwagi. Ach, gdybym miał jeszcze moją starą jednorurkę! Zналиście ją. Żyję bez niej jak bez ręki.

– A gdzie się ta strzelba podziała?

– Gdzie? Skradziono ją!

– Któż się dopuścił kradzieży?

– Dwa łotry. Mniejsza o nazwiska, bez wątpienia podali fałszywe. Spotkałem ich po tamtej stronie Belle Fourche River, dałem się wywieść w pale i zostałem z nimi. Następnej nocy ulotnili się wraz z moją strzelbą. Na próżno szukam ich dotychczas; ale biada, jeżeli natrafię na ich ślady. Dlaczego pytacie o strzelbę?

– Bo, bo... Ale powiedzcie najpierw skąd przybywacie i dokąd się udajecie?

– Tym razem przybywam z Sand Hills, gdzie spotkałem tego dżentelmena. Udaje się tam, dokąd i mnie bogi prowadzą, to jest do Szoszona Avaht-Niaha. Avaht-Niah powinien być teraz z całym plemieniem w górach Wasatsz.

– Mylicie się. Znajdziecie go w okolicach rzeki Siarczanej i Stobaku.

– To niedaleko stąd! Chcemy go ostrzec. Ten dżentelmen ma wiadomości, że Gawrony zamierzają napaść na Węże. Jedziemy więc, co koń wyskoczy, by uprzedzić Avaht-Niaha o grożącym niebezpieczeństwie.

– To niepotrzebne. Wie o tym od Winnetou, który jest u niego.

– Co, nasz wspaniały Apacz jest u niego? A jak to się stało, że nie jesteście razem z nim, Mr Shatterhand?

– Przyczyna zupełnie prosta. Jadę do Fremont Peak po waszą strzelbę – odpowiedziałem.

– Po moją, moją... Po co? – zapytał zdumiony.

– Po waszą strzelbę systemu Ralling.

– Do licha! Nie rozumiem was! To chyba żarty?

– Nie, mówię zupełnie serio. Trzymałem waszą broń w ręku, nawet z niej strzelałem. Złodziej, który ją teraz ma u siebie, jedzie przed nami. Ścigamy go, bo mamy z nim porachunki. Przyłączcie się do nas Mr Sannel! Jeżeli szukacie Szoszonów, nasze drogi są wspólne.

– Czy to możliwe? – wykrztusił nie posiadając się z radości. – Moją strzelba znajduje się gdzieś w pobliżu?

– Tak. Ale nie traćmy czasu. Po drodze wszystko wam opowiem.

– Pięknie, doskonale, wspaniale! Jeżeli sprawa ma się tak jak mówicie, niechaj dzień ten będzie po stokroć błogosławiony. A więc odzyskam utraconą broń. Ach pozwólcie, Mr Shatterhand, bym wam przedstawił tego dżentelmena. Będziecie z niego mieli pociechę, jest Europejczykiem. Nazywa się Stiller, ale nosi tu imię Nana-po.

Stary Sannel powiedział to tonem najzupełniej obojętnym. Nie przeczuwał nawet, jakie znaczenie miała dla mnie ta wiadomość. Musiałem użyć całej siły woli, by nie krzyknąć z radości. Rost zdumiał się również. Dałem mu znak, by milczał i rzekłem głosem możliwie najspokojniejszym.

– Cieszę się z poznania pana, Mr Stiller, słyszałem niejedną pochwałę o Nana-po.

Ociągał się z odpowiedzią. Obrzucił Upsaroków ponurym spojrzeniem, przyjrzał mi się badawczo i zapytał wreszcie:

– Czy nie zauważył pan, Mr Shatterhand, jak na mnie patrzą te czerwonoskóre łotry? To pańscy towarzysze. Dobrze pan z nimi żyje?

– Pozostaję w dobrych stosunkach ze wszystkimi dzielnymi ludźmi.

– Well, ale to są łotry. Widzę pana dziś po raz pierwszy. Od dawna marzyłem, by poznać pana i Winnetou, a teraz, gdy nareszcie to się spełnia, nie mogę się radować, gdyż otaczają pana moi śmiertelni wrogowie.

– Nie są nimi wcale.

– Ależ tak! Pan wcale nie wie...

– Wiem, wiem. Nie traćmy jednak czasu i ruszajmy w drogę! Po drodze wyjaśnimy wszystko.

– Zgoda! Jestem jednak przekonany, że pan będzie bardzo zdziwiony.

– Pan również.

Chciałem jechać dalej, ale ze zdziwieniem zobaczyłem, że Upsarokowie nie ruszają się z miejsca. Gdy zapytałem o przyczynę, jeden z nich odparł:

– Oto Nana-po, który był naszym jeńcem. Skorzystał z tego, że go zostawiliśmy i uciekł. Nie możemy jechać z Old Shatterhandem jeżeli towarzyszy mu Nana-po.

Ze swego punktu widzenia mieli rację. Po krótkim namyśle doszedłem do przekonania, że Stiller i dzielny Sannel mi wystarczą. Rzekłem więc do Indian:

– Jeżeli moi czerwoni bracia chcą zawrócić z drogi, niechaj to uczynią. Muszą mi tylko zostawić konia, który wiezie prowianty i owoce. Jakonpi-Topa otrzyma go z powrotem wraz z końmi, które porwali zbiegowie.

– Uff! Niech stanie się według słów Old Shatterhanda!

Poprosiłem Rosta, by się zajął objuczonym koniem. Upsarokowie puścili się pędem w drogę powrotną nie oglądając się wcale za siebie. I my ruszyliśmy naszym szlakiem.

Rzecz jasna, że całą uwagę skierowałem na Stillera. Był wysoki i dobrze zbudowany, włosy miał przyprószone siwizną, a twarz poorly zmarszczkami. Na pierwszy rzut oka było widać, że nie tylko wiek jest przyczyną tych zmarszczek. Twarz mogła robić sympatyczne wrażenie, gdyby nie ostry, zamknięty w sobie wyraz. Żona mówiła mi, że stracił wiarę. Postanowiłem nie komunikować mu od razu całej prawdy i wpłynąć na niego serdeczną perswazją.

Jechaliśmy przez równinę, można więc było galopować obok siebie i swobodnie rozmawiać. Amor Sannel myślał tylko o swojej strzelbie i dopytywał się z niezwykłą ciekawością, w jaki sposób i dzięki jakim okolicznościom jego broń dostała się w moje ręce. Opowiedziałem mu o konkursie strzeleckim nie wymieniając oczywiście miejscowości, w której strzelanie się odbyło. Gdy mu powiedziałem jak wspaniałe rezultaty osiągnąłem w tym popisie, rozpląnął się cały w zachwycie. Nie zatrzymując się na szczegółach opowiedziałem mu pokrótce o spotkaniu obecnego właściciela strzelby nad Lakę Jone i o tym, co się stało potem.

– Jaki zbieg okoliczności! Pędzimy właśnie za śladami tego człowieka – rzekł sędziwy westman, gdy skończyłem. – Ciekaw jestem, czy kupił strzelbę od złodzieja.

– Moim zdaniem sam jest złodziejem,

– Tak? Jeżeli to prawda, poznam go natychmiast. Od tej chwili Szossoni przestali mnie interesować, niech sobie robią co chcą. Muszę odzyskać strzelbę i nie odstąpię od śladów dopóki nie policzę się z tymi szubrawcami. Jakie to szczęście, że pana spotkałem, Mr Shatterhand! Cóż jednak będzie z panem, Mr Stiller? Sądzę, że pan nie zechce się uganiać za moją ukochaną strzelbą, przecież spotkanie z Szossonami jest dla pana stokroć ważniejsze ze względu na pańskie skóry.

– Mylicie się. Jazda z wami zajmie najwyżej dwa dni, to drobiazg, zdążę jeszcze do Avaht-Niaha. Skoro siedziałem tak długo u Gawronów, kilka dni nie gra wielkiej roli.

– Dziękuję wam! Gdy ma się do czynienia z tego rodzaju łotrami, lepiej rozporządzać



kilkoma pięściami więcej. Powiedźcie jednak, Mr Shatterhand, w jakiej to miejscowości strzelaliście tak celnie z mojej strzelby?

Patrząc na Stillera tak, by nie zauważył mojego wzroku, odparłem obojętnie:

– Jestem pewien, że nie znacie tego miasta, Mr Sannel. Było to w Weston, w stanie Missouri.

– Co, jak? W Weston w stanie Missouri? – zapytał nerwowo Stiller. – Pan tam był?

– Byłem.

– Kiedy?

– Przeszło sześć tygodni temu.

– To ciekawe! Ja tam przecież mieszkam!

– Naprawdę? W Weston? Ach, przypominam sobie, opowiadano mi o jakimś poszukiwaczu futer – Stillerze, który zasiedział się bardzo na Zachodzie.

– To ja! Nie zasiedziałem się, lecz po prostu Gawrony wzięły mnie do niewoli.

– Wiem o tym. Jakonpi-Topa mówił mi, że Nana-po jest jego jeńcem. Któż by jednak pomyślał, że Nana-po i Stiller z Weston są jedną i tą samą osobą!

– Mógł się pan o tym dowiedzieć w Weston od mojej żony. Wraz z synem marzyła często, by choć raz w życiu ujrzeć pana lub Winnetou. Co się z nimi dzieje? Muszą się bardzo o mnie martwić!

– Mogę panu udzielić informacji, widziałem pańską żonę i syna.

– Naprawdę? Kiedy, gdzie?

– Podczas zawodów strzeleckich, o których przed chwilą opowiadałem. Brali w nich udział w charakterze widzów. Wyglądali zupełnie dobrze.

– To dla mnie pomyślna nowina, sir. Dziwię się tylko bardzo, że żona nie starała się pomówić z panem.

– Byłem w Weston incognito. Nie chciałem, by mnie oglądano jak obraz na wystawie.

– Rozumiem.

– Ależ – wtrącił Rost, którego już od dawna świerzbiał język – gdy przybył Winnetou, stało się przecież powszechnie wiadome, że pan jest Old Shatterhandem, milordzie!

– Winnetou był również w Weston?

– Tak – ciągnął Rost nie patrząc na mnie i nie widząc moich gestów. – Winnetou i Mr Shatterhand odkryli, że prayerman ukradł nuggety.

– Kradzież nuggetów? Prayerman? Podczas ostatniej bytności w domu poznałem jakiegoś prayermana. Żona kupiła u niego trochę rzeczy, a prayerman przepisał sobie wiersz ku czci Bożego Narodzenia przywieziony przez moją małżonkę z Europy.

– Tak, tak – potwierdził Rost. – Mr Stiller, czy pan wie kto jest autorem wiersza?

Były kelner o mały włos nie zdradził się z tym, co miało jeszcze pozostać tajemnicą. Skoczyłem na koniu nieco w bok, żeby gaduła musiał się obejrzeć i posłałem mu spojrzenie tak groźne, że zrozumiał, iż ma milczeć.

– Owszem, wiem kto jest autorem wiersza – odparł Stiller ze spokojem. – Młody chłopak rozkochany w dzieciennych bajkach. Frazesy o Chrystusie, o grzechu, odkupieniu, o Zbawicielu i sprawach niebieskich – to twory młodocianego, niedoświadczonego wieku. Żaden rozsądny człowiek nie wierzy w nie.

– Naprawdę? – rzekłem. – Mam wrażenie, że nie jestem głupcem a jednak wierzę.

– Pan, Mr Shatterhand?

– Tak, ja.

– Pan żartuje!

– O nie, mówię zupełnie serio. Ubolewam nad ludźmi, którzy nie wierzą w Boga.

– W Boga! Niechże mi pan nie opowiada o tak zwanym Bogu! Podobne słowa rażą mnie u innych ludzi, a cóż dopiero u pana! Człowiek tego pokroju co Old Shatterhand, o którym wiadomo, że się nie boi nawet diabła, mógłby mówić rozsądniej! Gdyby pan tyle doświadczył i przeżył co ja, byłby pan innego zdania. Nie mogę i nie chcę słuchać nabożnych kwileń.

Przystają tylko kobietom i dzieciom, ludzie dorośli i rozsądni powinni się ich wystrzegać.

– Dziękuję za naukę, Mr Stiller. W tej dziedzinie jestem dzieckiem i chcę nim pozostać.

– Niechże pan nim zostaje w imię Boga albo raczej w imię tego, kogo pan sobie wybrał, bo Bóg nie istnieje. Jeżeli to nieprawda, niech mi pierwszy napotkany niedźwiedź rozplata czaszkę.

Oburzyły mnie słowa Stillera, odpowiedziałem mu więc dość ostro:

– Pański atak na moją osobę jest, delikatnie mówiąc, co najmniej przedwczesny. Zapomina pan, zdaje się, że poznaliśmy się zaledwie przed pół godziną. Old Shatterhanda nie wolno porównywać do chłopców i starych bab. Mógł pan mieć bardzo ciężkie przeżycia, ale i ja nie spoczywałem na różach. Pan stracił wiele, ja wiele wygrałem. Niech pan więc pozostanie przy swojej stracie i nie miesza się do mojej wygranej!

– Well! – odparł z uśmiechem. – Przed chwilą pan dziękował za naukę, teraz ja to czynię. Skwitowaliśmy się więc. Ale, ale, niech pan spojrzy na lewo! Jakiś jeździec!

Odwróciłem się i ujrzałem kogoś pędzącego ku nam w galopie mimo wielkiej odległości dzielącej nas od niego, po rozwianej grzywie pędzącego rumaka poznałem od razu kto się zbliża.

– Winnetou!

Na dźwięk tego imienia wszyscy wstrzymali konie.

Podjechałem jeszcze kilka kroków i zatrzymałem się również. Winnetou poznał mnie a ponieważ byłem sam, stanął w strzemionach, podniósł rękę i zawołał mnie głośno po imieniu. Pędził jak wicher. Po chwili był obok mnie, jednym ruchem osadził konia. Miało się wrażenie, że jeździec i rumak wykuci są ze spiżu.

– Szarlih! – rzekł uradowany, widząc mnie na wolności.

– Winnetou, bracie mój! – odparłem podając mu dłoń, którą uściśnął.

Zacząłem szukać oczyma obydwóch strzelb. Niedźwiedziówka zwisła mu przez ramię, sztucer Henry'ego i srebrna strzelba przymocowane były do siodła.

– Uff! Amor Sannel! – uśmiechnął się. – W takim razie była z pewnością mowa o konkursie strzeleckim w Weston! Kim jest ta druga blada twarz?

– Nana-po! – odparłem.

– Uff!

Obrzucił Stillera badawczym spojrzeniem, potem nie mówiąc do niego ani słowa, zwrócił się znowu co mnie:

– Mój brat nie przebywa już z Upsarokami? Widzę ślad, po którym jedzie. Carpia nie ma? Uwięzione blade twarze zbiegły?

– Tak Carpio wpadł im w ręce, zabrali go.

– A więc ruszyli do finding-hole. Czy to dawne ślady? Schylił się aby je obejrzeć i ciągnął dalej:

– Potrzebujemy jeszcze ludzi, postaram się o nich. Wódz Szoszonów, Avaht-Niah, bawi również u swych wojowników. Ciągną od strony Marsh Creek. Niechaj moi bracia jadą dalej za tymi śladami. Jeżeli wieczorem zatrzymają się u ujścia Silver Creek do New Fork, dogonię ich. Brat Szarlih otrzyma z powrotem swą broń.

Oddał mi strzelby, zawrócił konia i pognał jak wicher.

– Nadzwyczajny człowiek! – zawołał Stiller z podziwem.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Nasze spojrzenia błędziły za Apaczem tak długo, dopóki nie zniknął na dalekim horyzoncie.

Jakże często w życiu podziwiałem tę olbrzymią potęgę, która z nieznanym nam podstaw i przyczyn wyciąga konsekwencje i wnioski niespodziewane dla nas wskutek niemożności dopatrzenia się wewnętrznego związku przyczynowego! Ludzie przeciętnie nazywają tę potęgę przypadkiem. Jest to metoda uproszczona, nie wymaga bowiem żadnego umysłowego wysiłku.

Ani na chwilę nie przyszło mi na myśl, by spotkanie ze Stillerem i starym Amorem Sannelem uważać za przypadek. Żaden choć trochę doświadczony westman nie wybrałby drogi, którą przybyli, była niezwykle uciążliwa. Tylko jakaś wyższa wola mogła ich skłonić do przeprawienia się od brzegów Poisson i Spider Creek przez dzikie, gołe górskie zbocza. Przybyli w odpowiednim momencie, jakby na zamówienie! Nie chcąc, by Stiller od razu dowiedział się o wszystkim co mam mu do powiedzenia, postarałem się o rozmowę z Rostem w cztery oczy i dałem mu wskazówkę jak ma się zachowywać. Obiecał, że spełni mój rozkaz i będzie trzymał język za zębami.

Niemal całe popołudnie spędziłem w pobliżu Sannela, który mi opowiedział o swoich przeżyciach od chwili naszego rozstania. Czas mijał bardzo szybko, wieczorem ujrzelśmy kontury pasma Fremonts Butte. Do ujścia Silver Creek do New Fork dotarliśmy tuż przed zapadnięciem zmroku i poszukaliśmy tam odpowiedniego miejsca do rozbicia obozu. Tymczasem ściemniło się zupełnie.

Nigdzie, w żadnej sytuacji czas nie upływa tak miło jak w głuchej puszczy leśnej, gdy ludzie, którzy coś przeżyli, zaczynają opowiadać sobie o swych przygodach. Takie leśne biwaki zastępują westmanowi gazety, może dowiedzieć się wtedy niejednej ciekawej nowinki, a przy tym ma sposobność do wygadania się. Dzisiejszego wieczoru panowała jednak zupełna cisza. Sannel nagadał się do syta po drodze. Stiller był na ogół milczący poprzestając na kilku niezbędnych słowach. Czuję, że jest niezadowolony z udzielonej mu przeze mnie nauczki, należał widocznie do ludzi, którzy niełatwo zapominają urazy i nie znoszą, by im się ktokolwiek sprzeciwiał. Ta cecha charakteru zaciążyła z pewnością niefortunnie na ukształtowaniu się jego przeszłości. Człowiekowi, który nie chce lub nie może słuchać nauk i odnosi się lekceważąco do rad innych, zbywa zwykle na elastyczności koniecznej do przeciwstawiania się ciężkim próbom losu. Z głębi serca pragnął podobno zobaczyć Winnetou i mnie, a gdy sposobność się nadarzyła, zachował się szorstko i ponuro! Jeżeli użyłem w rozmowie zbyt pstrego tonu, to jego wina! Od razu przy pierwszej próbie chciałem mu pokazać, że skierował słowa pod fałszywym adresem. Uważałem i uważam to do dziś za obowiązek.

Siedzieliśmy więc w milczeniu czekając na przybycie Apacza. Blask padający od ogniska oświetlał drogę, po której powinien był przybyć. Ognisko rozpalono z mego polecenia, chodziło mi bowiem o to, by Winnetou nie krążył długo w ciemnościach. Oczywiście nie popełniłem tej nieostrożności, której nad Lake Jone dopuścili się towarzysze Sachnera.

Przed wszystkim kazałem dokładnie przeszukać całą polanę sąsiadującą z ogniskiem. Gdy to wykonano, poleciłem rozpaść ogień, nie tam jednak, gdzie siedzieliśmy, ale w miejscu dosyć odległym a widocznym. Od czasu do czasu jeden spośród nas szedł do tego miejsca i dorzucał polan. Dzięki temu nikt nie mógł się podkraść bez zwrócenia naszej uwagi, my zaś byliśmy niewidoczni.

Po upływie około dwóch godzin od przybycia na miejsce zauważyłem, że coś się rusza w krzakach okalających ognisko. Nie był to powiew wiatru, gdyż w takim razie musiałyby się poruszać pozostałe gałęzie krzewu. Czy to Winnetou, czy ktoś obcy? Jeżeli to Winnetou, wystarczy kilka kropel wody, za pomocą których zwrócił moją uwagę w obozie Upsaroków, gdy wieczorem wraz z Jakonpi-Topą obchodziłem warty. Szepnąłem towarzyszom, by zachowali najzupełniejszą ciszę i podkradłem się do płynącego opodal strumyka.

Zaczerpnąłem wody do kapelusza, podniosłem go i wylałem całą zawartość do płynącego spokojnie potoku. Przy powtórzeniu próby rozległ się głos Apacza:

– Winnetou słyszy znak swego brata Old Shatterhanda. Gdzie jesteś, Szarlih?

– Tu. Chodźmy! – odparłem.

Podeszliśmy do ogniska. Apacz gwizdnął ostro i głośno i po chwili zjawili się pięciu Indian prowadzących Iltszego i parę jucznych koni.

– W pobliżu nie ma nikogo – rzekł Winnetou. – Będziemy mogli rozpaść większe ognisko na

lepszym miejscu i usiąść dokoła niego, by się ogrzać, bo noc będzie dziś niezwykle chłodna.

Indianie poszli po drzewo mimo panujących ciemności i po jakimś czasie przynieśli sporo opału. Na polance otoczonej ze wszystkich stron krzakami rozpalono nowe ognisko.

Umieściliśmy konie w wygodnym i bezpiecznym miejscu. W końcu zasiedliśmy wokół ognia. Winnetou rzucił mi pytające spojrzenie. Zrozumiałem je od razu i opowiedziałem pokrótce co zaszło od chwili, gdy na swoje nieszczęście dostałem się wraz z Carpiem i Rostem w ręce Indian Arikara. Słuchano mnie z wielkim zainteresowaniem. Gdy skończyłem, Stiller przerwał dotychczasowe milczenie i zapytał:

– Sir! W takim razie wreszcie okazało się, że śmierć sześciu Gawronów nie nastąpiła z mojej winy?

– Jeszcze niezupełnie – odparłem. – Winnetou wykrył to, ale Jakonpi-Topa chce dowodów i dlatego wysłał gońców celem zbadania miejsca.

– Nie wątpię, że się przekona, iż winnymi są Indianie Arikara. Mam nadzieję, że nikt w St. Louis nie będzie tak naiwny, żeby im posiadać 365 strzelb.

– Co to za strzelby? – zapytałem udając nieświadomość.

– Wódz Kikatsów napisał do mojej żony list, który musiałem podpisać. Oświadczył w nim, że wyda mnie za tyle strzelb, ile rok ma dni.

– Czy będzie go mogła odczytać?

– Nie. Przypuszczam, że w całym St. Louis nikt tego nie potrafi i tylko dlatego go podpisałem. Gdyby żądanie wodza zostało spełnione, zabrałby strzelby, a ja zginąłbym przy palu tak samo jak czterej niewinni Szoszoni. Postawiłem podpis tylko po to, by uspić czujność swych strażników i to mi się powiodło. Gdy udało mi się zbiec, nie ruszyłem do domu, ale przedarłem się przez dzikie góry, by wezwać Szoszonów do zemsty.

– Do zemsty? Hm.

– Nie podoba się to panu?

– Nie lubię słowa „zemsta”.

– Prawdopodobnie dlatego, że nie był pan nigdy w podobnej sytuacji.

– Nie byłem? Mam wrażenie, że częściej od pana brano mnie do niewoli i że doznałem więcej krzywd niż pan. Mimo to nie mściłem się nigdy pozostawiając karę innym.

– Ja tego nie potrafię! Gdyby rabunki i morderstwa miały uchodzić bezkarnie, byłby to koniec świata. Gdyby zaś karanie winnych pozostawiono komuś zgoła nieistniejącemu, czerwone i białe łotry grasowałyby zupełnie bezkarnie. Jakże więc pan godzi swoją chrześcijańską pokorę i łagodność z planowaną wyprawą do Freemont Peak?

– Chcę tylko zapobiec zbrodni.

– A ukaranie winnych?

– Jakże można mówić o karze, jeżeli zapobiegnę zbrodni?

– To frazesy, nie weźmie mnie pan na nie! Zszedłem z gór, by oświadczyć Szoszonom, że Kikatsowie zamordowali czterech spośród nich, niech pomszczą śmierć swoich towarzyszy. To będzie zapłata, którą te czerwonoskóre łotry otrzymają za moją niewolę. Może przy okazji odzyskam skóry, które mi zabrano.

– Odzyska je pan i bez przelewu krwi.

– Jak to.

– Jakonpi-Topa obiecał mi, że zwróci panu wolność i odda skóry. Mam pana sprowadzić, gdy się tylko okaże, że winowajcami są Indianie Arikara.

– I pan w swojej naiwności wierzy, że obietnica zostanie spełniona?

– Tak. Jestem tak naiwny!

– Żal mi pana! Przypuszczałem, że ma pan więcej rozumu. Mam wrażenie, że pan należy do tego typu sławnych ludzi, którzy niesłuchanie tracą przy bliższym poznaniu.

– Może, choć nic mi o tym nie wiadomo.

– Ależ tak! Pański bogobojny, cnotliwy sposób myślenia wcale nie odpowiada obrazowi, jaki

malowała mi wyobraźnia. Ta czulostkowa... Musiał przerwać, gdyż Winnetou zaczął z taką siłą walić w ognisko wyrwanym z zarośli prętem, że powstał słup iskier.

– Uff! – rzekł. – Mój brat Szarliah w zupełności zasługuje na imię Old Shatterhanda, Howgh!

Po tych słowach rzucił pręt Stillerowi w twarz i odwrócił się od niego. Skarcony Stiller odpowiedział wzburzonym głosem:

– Uważam to uderzenie za obelgę. Nazywają mnie Nana-po, to chyba wystarczy, bym miał prawo do własnego zdania. Nie wiem kim był Old Shatterhand w swej ojczyźnie, w każdym razie jestem pewien, że nie był tym, kim ja byłem. Nie przywykłem do tego, by mnie ktoś pouczał co wolno czynić, a czego nie wolno!

Obrzucił całe koło wyzywającym spojrzeniem. Nikt nie odpowiedział.

– Żądam odpowiedzi! – rzekł rozkazującym tonem.

Milczenie.

– W takim razie pójdę sobie! Nie mam ochoty przebywać z ludźmi, którzy uznają tylko własną wolę. Poszukam Szoszonów. Gdzie są obecnie?

Pytanie to skierował do Indian, którzy siedzieli dokoła ogniska. Był tam i wywiadowca Teech, którego spotkaliśmy niedaleko rzeki Tokoah Peh. Gdy żaden z Indian nie odpowiedział Stiller wstał.

– Zostajecie tutaj czy pojedziecie ze mną? – zapytał Amora Sannela, który mu dotychczas towarzyszył.

– Zostanę – odparł Sannel. – Cieszę się, że spotkałem Old Shatterhanda i Winnetou, nie chcę pozbawiać się tej przyjemności.

– Zostańcie więc z Bogiem – chciałem powiedzieć: z całą kupą diabłów! Dam sobie radę i bez was!

Podszedł do koni, po chwili usłyszeliśmy oddalający się tętent.

– Okropny uparciuch! – rzekł Sannel. Miałem z nim niemało kłopotu i jestem bardzo zadowolony, że się ulotnił. Nie dziwiłem się zadowoleniu Sannela, dla mnie jednak była to sprawa niemiała. Przecież miałem do Stillera interes. Czy mogłem pozwolić, by się oddalił zanim mu wszystko opowiem? Winnetou pojął o czym myślę i dotykając mojej ręki rzekł:

– Niech mój brat pozwoli mu odjechać. Jest wolny, więc stało się to, czego chcieliśmy. I na tym koniec. Howgh!

Musiałem przyznać mu rację. Bądź co bądź Stiller obraził mnie. Gdyby nie obraza, wezwałbym go do zawrócenia z drogi, gdyż w każdym razie miałem obowiązek zakomunikować mu co mi polecono. Dokąd ruszył wśród ciemnej nocy? Winnetou powiedział mu dziś po południu, że Szoszoni maszerują wzdłuż Marsh Creek, ale na pewno już ich tam nie ma! Postąpił jak chłopak, który w pasji wykrzykuje: tatusiowi na złość, niech mi uszy marzną!

## Rozdział 9

Pod wpływem niemiłej sceny przez chwilę siedzieliśmy przy ognisku w głębokim milczeniu, potem ustaliliśmy porządek wart. Sannel rzekł:

– Ależ panowie, jakże można teraz iść spać! Jeżeli o mnie chodzi, to jestem przekonany, że nie zmruję oka zanim się nie dowiem co mnie czeka jutro.

– Jak to jutro? – zapytałem.

– Pojadę z wami. Ale dokąd? Po co sprowadziliście tych pięciu Szoszonów, po co te juczne zwierzęta?

Winnetou odpowiedział:

– Wytlumaczę to Amorowi Sannelowi w kilku słowach. Jedziemy do Fremont Peak, nie wiadomo jednak na jak długo. Jeżeli zaskoczą nas śnieżyce, trzeba będzie pozostać w górach. Dlatego Winnetou postarał się o ekwipunek. Konie są obciążone kocami i żywnością. Gdy dostaniemy się na szczyt, Szoszoni wrócą i ukryją konie w bezpiecznym miejscu; to rzecz konieczna, gdyż pod olbrzymią kołdrą śniegu zwierzęta pozdychałyby z głodu.

– Ładne widoki! Wszystko tak mądrze przewidziane! Jedyna pociecha, że przypuszczenia nie muszą się sprawdzić w całości. Możemy się dostać na szczyt znacznie prędzej niż przypuszczamy. Jestem gotów współdziałać z wami, wolałbym jednak nie tonąć w śnieżnych zaspach z powodu kilku łotrów. Nie jestem niedźwiedziem polarnym. No, trzeba się przespać. Dobranoc, panowie!

Zawinął się w koc i po chwili zasnął. Reszta, z wyjątkiem mnie i Rosta, poszła za jego przykładem. Pierwsza warta przypadła mnie w udziale, musiałem więc czuwać. Rost nie kładł się, czułem, że ma coś na sercu.

– Milordzie, czy Winnetou mówił prawdę? – zapytał cichym głosem, by nie budzić śpiących.

– Będziemy musieli spędzić całą zimę w górach?

– Taka możliwość istnieje, ale od możliwości do konieczności jeszcze bardzo daleko – odparłem. – Winnetou przygotował się na najgorsze niespodzianki. Nie wynika z tego, że przewidywania się spełnią.

– Czy nie lepiej byłoby zawrócić?

– Zawrócić? Chciałby pan pozostawić Carpia na pastwę losu?

– Ależ nie, nie! Wcale o tym nie myślałem! Bezwarunkowo musimy go ratować.

– Doskonale! A złoto?

– Jakie złoto?

– Zapomniał pan, że banda Cornera chce wyekspluatować finding-hole?

– Prawda! Ale nie wiemy, gdzie ten finding-hole leży! – Ślady Cornera zaprowadzą nas do niego.

– I będzie do nas należał?

– Hm. Właściwie nie. Każdy placer należy do odkrywcy. Postąpimy tak, jak nam będzie dyktować sumienie. Ponieważ jednak w żadnym razie nie można dać złota tym mordercom, trzeba się będzie postarać, by na uczciwej drodze dostało się w uczciwe ręce.

– Hm. Wie pan, milordzie, co mi mówi mój głos wewnętrzny?

– Cóż takiego?

– Powiada, że część tego złota bardzo by mi się przydała.

– Naprawdę?

– Tak. Zawsze byłem goły jak święty turecki i przymierałem głodem. Moi krewni są jeszcze biedniejsi ode mnie. Jakie to by było szczęście, co za niewysłowna rozkosz, gdyby człowiek raz skończył z tą biedą! Nie sądzi pan, że to możliwe?

– Możliwość oczywiście istnieje. Hm... Dam panu radę. Niech pan sobie nie robi zbyt wielkich nadziei. Gdy się nie ma nic, lepiej pozostać przy niczym niż snuć nieziszczalne marzenia. Niech pan idzie spać!

– Uczynię to. Może Pan Bóg ześle mi sen o złocie, chciałbym dziś śnić o odrobinie kruszcu. Przynajmniej we śnie miałbym trochę radości!

Odwrócił się na drugi bok i zasnął. O czym śnił, nie wiem, bowiem chcąc się dowiedzieć czy senne marzenia się ziściły, musiałbym go obudzić. Gdy minął czas warty, zbudziłem Teecha, który miał mnie zastąpić i rzuciłem się w objęcia Morfeusza. Gdy się z nich wyrwałem, był już rano.

Zjedliśmy śniadanie składające się z chleba i suszonego mięsa i dosiedliśmy koni. Przeprowadziliśmy się przez rzekę New Fork brodem, o którym wiedział Winnetou. Okazało się, że Stiller znał ten bród również, wskazywały na to pozostawione tu ślady. New Fork zatacza wielki łuk dokoła Fremont Lake i jeziora Boulder; przecięliśmy ten łuk przepławiając się na

drugi brzeg rzeki, by później znowu powrócić na przeciwległy brzeg.

Droga prowadziła przez szeroką, pagórkowatą dolinę, na której gdzieś rosnęły kępki drzew. Powietrze było mroźne i ostre, na trawie leżał szron, wzgórze pokrywał śnieg. Z krainy późnej, wilgotnej jesieni wjeżdżaliśmy powoli w królestwo zimy.

Otoczała nas wspaniała natura. Gdyby nie obawa śmieszności, określiłbym to, co nas otaczało, jako bajkowe tereny. Na lewo od rzeki Green wznosiły się lesiste, groźne zbocza Gros Ventre. Ciemne pasma Hoback i Teton sprawiały wrażenie Atlasa dźwigającego niebo. Daleko na prawo ciągnęły się gigantyczne wierzchołki Sweet Water: Atlantic, Wind River, Washakie, Granite, Green i Seminole. Ich zwarty szereg łączył się za pomocą dumnego, wyniosłego i niedostępnego łańcucha Wind River z pasmem gór Union. Szczyty górskie pokryte lodem i śniegiem patrzyły na dolinę chwilami ponuro, chwilami z wyrzutem, chwilami znów szyderczo i zdawało się, że naigrawają się z odwagi śmiesznych Pigmejów, którzy wkraczają do krainy przyniatającej wszelką małość i przeciętność.

W innym miejscu opisywałem już wrażenie, jakie z daleka sprawia widok Rocky Mountains. Teraz byliśmy nie tylko wśród gór, ale wysoko między szczytami. Nie było tu fascynującej gry kolorów ani nastrojowej gradacji ciągnących się za sobą wierzchołków górskich. Ponure, groźne olbrzymy skalne rozsiadły się jak sędziowie aeropagu\* o białych, śnieżnych czapach i osnute mroźną, lśniąca lodem mgłą, rzucały na doliny lodowate, bezlitosne tchnienia. Ani śladu radości, humoru, pogody; brakło również melancholii. Ani jeden szczyt nie zraszał dolin łzami. Miało się wrażenie, że w tej milczącej, niesamowitej pustce rozegrała się wstrząsająca, okrutna tragedia, której ślady pozostały na zawsze na olbrzymich, skalistych cielskach. Z otchłani wstawały echa okrzyków, w których zamknięte było wołanie o pomoc, dokoła czaiły się odgłosy zmiażdżonych przemocą śmiertelnych westchnień. Jęki i szlochy wyrosłe z nieskończonego, przeraźliwego bólu przybrały tu kształt skał. Okrutna nienawiść zastygła w głazach granitu; nawet słońce, wszędzie radosne i pogodne, blednie tu ze strachu i staje się zimne. Jego bezbarwne promienie straciły swą siłę, nie czuliśmy wcale, że nas dotykają.

Mieliśmy przed sobą podwójne ślady: pozostawione przez Cornera i jego kompanię oraz te, które pozostawił Stiller. Jedne i drugie prowadziły na północ. Stiller chciał się spotkać z Szoszonami, a ponieważ Winnetou oświadczył, że idą wzdłuż Marsh Creek, który wpada do Green River, przypuszczaliśmy, że ślady pozostawione przez wierzchowca Stillera zbiegną lada chwila na zachód. Dziwnym zbiegiem okoliczności przypuszczenia nasze nie sprawdziły się. Wnosić z tego należało, że albo Stiller się nie zorientował, albo też powziął nieodgadnione dla nas postanowienie.

Pochłonięci odgadywaniem przyczyny niewytłumaczonego zachowania się Stillera, zauważyliśmy nowe ślady; szły od prawej strony. W pewnym punkcie krzyżowały się z dawnymi i szły dalej razem z nimi. Zsiadliśmy z koni, by odcyfrować ślady. Wskazywały na dwóch jeźdźców, którzy również się zatrzymali, by zbadać dokładnie trop poprzedni. Chodziło nam o ustalenie porządku śladów, a raczej czasu, w którym się poszczególne grupy poruszały. Okazało się, że pierwszy zjawił się tu Corner, za nim Stiller, po jakimś zaś czasie dwaj nieznani nam jeźdźcy. Corner tak nas wyprzedził, że nie mogło być mowy o tym, byśmy go dziś dogonili. Zresztą miał znacznie lepsze konie niż my. Pozostała trójka miała gorsze wierzchowce, byliśmy więc przekonani, że dogonimy ją jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Ślady wskazywały zupełnie dokładnie, że dwaj nieznajomi spotkali się ze Stillierem. Porozmawiali z nim chwilę, a potem ruszyli razem w dalszą drogę. Podczas powtórnej przeprawy na lewy brzeg New Fork słońce sięgnęło zenitu. Ślady rozchodziły się. Stiller z dwoma nieznajomymi ruszył wzdłuż górnego brzegu rzeczki wypływającej z jeziora Fremont natomiast Corner trzymał się rzeki New Fork. Oczywiście ruszyliśmy za śladami Cornera, gdyż wyprawa nasza miała na celu uratowanie Carpia; Stiller i jego towarzysze nie obchodzili nas w tej chwili. Nie zastanawialiśmy się wcale, kim są ci towarzysze ani czego cała trójka

szuka nad jeziorem Fremont.

Między Boulder Lake a Gros Ventre Peak, u którego stóp wypływa Green River, ciągnie się u podnóża gór Wind River cały szereg niezmiernie ciekawych stawów i jezior, które przygotowują widza na przepiękne widoki ciągnącego się na północy Parku Narodowego Yellowstone, a który zwą ósmym cudem świata. Łożyska tych jezior mają częściowo charakter wulkaniczny, częściowo wyżłobione zostały przez płynące wody. Prawie wszędzie pewne szczegóły wskazują, że siły wulkaniczne, dzięki którym powstały tu kiedyś pasma gór, żyją jeszcze pod cienką powłoką dna. Napotkać można źródła z zimną wodą, które od czasu do czasu bez powodu zaczynają wrzeć, spotyka się również miejsca, w których siły podziemne wyrwały i rozsadziły ziemię tak, że tryskają z niej promienie wrzącej wody lub biją fontanny mułu. Trafiają się tu również ustronne doliny, w których nie ma zimy, gdyż wiecznie ciepła ziemia rozpuszcza i wchłania śnieg pozwalając rozwijać się wspaniałej florze nawet wtedy, gdy dokoła mróz zwarzy i zabije każde źdźbło trawy.

Takich ciepłych miejsc chronionych przez skały od wiatrów i niepogody szukają zwykle Indianie, a zwłaszcza Szoszoni. Hodują w nich na zimę kilka odmian jarzyn, których uprawy nauczyli się od przodków. Zdarza się również, że w miejscach tych robią składy żywności. W zimie przybywają do tych składów po żywność na nartach.

Największym spośród jezior jest wymienione już jezioro Fremont Lake oraz Lake Amalia, powstałe z bocznego odgałęzienia New Fork. Według wszelkiego prawdopodobieństwa celem wyprawy Cornera było właśnie jezioro Amalia, bowiem ślady prowadzące przez całe popołudnie w kierunku New Fork skręcały nagle na prawo i szły pod górę wzdłuż niewielkiego wodospadu.

– Uff! – zawołał Winnetou, zdumiony tym widokiem.

Zatrzymał się, podniósł głowę i przymrużył oczy, jak gdyby jakaś niemiła myśl przeszła mu przez głowę. Gdy człowiek, który zwykle panuje nad sobą tak jak Winnetou, przybiera taką pozę, nie ulega wątpliwości, że stało się coś ważnego.

Uff! – powtórzył i nie chcąc, by go ktokolwiek prócz mnie zrozumiał, dodał w narzeczu Apaczów: – Jeżeli mnie przypuszczenia nie mylą, znam finding-hole tych białych twarzy. Nie należy do nich, a do mnie. Ojciec pokazał mi go, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Dowiedział się w tajemnicy od pewnego wojownika plemienia Panaka, który chciał mu się w ten sposób odwdziżyć za uratowanie życia.

– A może to inny placer? – zapytałem.

– Może, przecież w górach leży cała masa złota, lecz... – tu piękną jego twarz opromienił ciepły, radosny uśmiech – mój głos wewnętrzny mówi mi jednak, że to właśnie mój finding-hole. Ruszę przodem. Niechaj brat mój Szarlih jedzie wraz z resztą ludzi moimi śladami aż do miejsca, w którym z wysokiej skały wytryska woda. Będzie mu się zdawało, że dalej drogi nie ma. Kto nie zna okolicy, ten jedzie mniej więcej jakąś godzinę. Potem dociera do miejsca, w którym potok spływający z wysokich górskich szczytów wpada stromym nurtem do przepaści. Do tego miejsca sam dotrę. A mój brat Szarlih niech dojedzie do szczeliny skalnej i niech w niej pozostanie. Wyda mu się to niemożliwością, ale po jakimś czasie zauważy, że rzecz da się zrobić. Przyłączę się do niego później.

Dotknął wierzchowca piętami i ruszył w pełnym galopie, choć górzysty teren zdawał się pozwalać jedynie na jazdę stępa. Wolnym krokiem ruszyliśmy za nim.

Minęliśmy pasmo lasów. Z początku jeszcze trafiała się gdzieś niegdzie grupka drzew, potem i drzewa znikły. Zamiast nich widać było miejscami niskie krzaki, ale po godzinnym wspinaniu się w górę nie było już wokół żadnej roślinności. W pobliżu leżał śnieg. Przy oddychaniu unosiła się z ust para. Nie było to dobrą prognozą dla nocnej kwatery.

Otoczała nas głucha pustka. Wokół ani jednego ptaka, zwierzęcia, chrabąszcza czy muszki. Prócz szumu wodospadu jedynym dźwiękiem było echo kopyt końskich. Wskutek górzystego terenu i rozrzedzonego powietrza zwierzęta posuwały się powoli. Byliśmy tak pochłonięci



trudnościami złej drogi, że nie zwracaliśmy wcale uwagi na wspaniałą okolicę.

Nagle potok skończył się, a ściślej mówiąc nie można było znaleźć miejsca, z którego wypływał, gdyż nad pieniącą się strugą wody leżała wielka kupa kamieni. Zsiadłem z konia, by się przekonać jak się przedstawia sytuacja. Przypuszczenia moje okazały się słuszne. Ktoś umyślnie utworzył wał z kamieni, by uniemożliwić przedostanie się przez szczelinę. Weszliśmy do wody i usunęliśmy kamienną przeszkodę, teraz droga była wolna. Z początku mógł się na niej zmieścić najwyżej jeden jeździec, trzeba więc było inaczej osiodłać juczne konie. Po jakimś czasie szczelina stała się szersza i wygodna, wreszcie ku naszemu zdumieniu zamieniła się w szeroką, okrągłą kotlinę skalną. Woda płynęła przez nią spokojnie srebrzystą wstęgą. Wypływała z wąskiej szczeliny. Chcąc się przez nią przedostać trzeba było uklęknąć. Okazało się, że natrafiliśmy na całą sieć szczelin, przepaści i kotlin.

Wiatr nie miał tu dostępu, mimo płynącej wody temperatura była wyższa. Dokoła rośło kilka krzewów, ziemia pokryta była soczystą, zieloną trawą, do której dorwały się nasze konie. Najbardziej pożądaną niespodzianką były dla nas stopy polan. Ktoś nagromadził je tu przed kilkoma dziesiątkami lat. Dużo czasu musiało upłynąć od chwili, w której zagaszono ostatnie ognisko. Rozpaliliśmy ogień i usiedliśmy dokoła, zawijając się w koce. Nie powiedziałem, oczywiście, co mi oświadczył Winnetou. Byłem bardzo ciekaw dlaczego i po co wyruszył na samotną wyprawę.

Po jakichś trzech godzinach zjawił się w szczelinie. Sam fakt, że przedostał się przez nią na koniu mimo panujących ciemności był czymś niezwykłym. Jeszcze dziwniejsze, że potrafił w mroku nocy przedrzeć się przez strome, dzikie bezdroża gór, gdzie każdy nieostrożny krok wierzchowca mógł spowodować katastrofę.

Gdy zsiadł z konia, Szoszoni zajęli się Iltszim. Winnetou podszedł do mnie, usiadł obok i w głębokim milczeniu zjadł kolację nie zwracając wcale uwagi na to, że wszyscy czekali z niecierpliwością na jego słowa. Po kolacji spojrział z uśmiechem dokoła i rzekł:

– Jeżeli moi bracia sądzą, że coś powiem, to się mylą. Proszę, niech się położą spać, gdyż jutro czeka nas bardzo męcząca droga. Schwytny Cornera i jego blade twarze. Możemy wszyscy położyć się spać, warty są zbyteczne, z wyjątkiem nas nikt nie zna miejsca, w którym obecnie przebywamy.

Słowa te rozczarowały słuchaczy, zapadło głuche milczenie. Towarzysze naszej wyprawy pożegnali się krótkim „dobranoc” i pozawijali się w koce. Byłem pewien, że Winnetou ma mi coś do powiedzenia. Widocznie jakieś powody skłaniały go do milczenia. Fakt, że się jeszcze nie położył był wskazówką, że mi coś zakomunikuje, nie ruszałem się więc z miejsca. Gdy wszyscy usnęli zwrócił się do mnie w narzeczu Apaczów, by go nie zrozumiano, na wypadek, gdyby ktoś ze śpiących się obudził:

– Rzeczy mają się tak jak przypuszczałem. Cornera zna finding-hole Indian plemienia Panaka. Nie ulega wątpliwości, że odkrył go sam lub za pośrednictwem któregoś z towarzyszy tylko dzięki przypadkowi. Gdy ich ślady zboczyły wczoraj w tym kierunku, byłem od razu pewien, że nie chodzi tu o placar nad Stihi Creek. Placar leżący nad Stihi Creek dawno już został wyeksploatowany przez Wattera i Welleya.

– Jeżeli sprawa tak się przedstawia – odparłem – nie ulega wątpliwości, że Cornera i jego towarzysze nie mogli od razu wyeksploatować pierwszego placaru i odłożyli to na później. Po drodze ku Stihi Creek spotkali Wattera i Welleya i zauważyli, że tamci mają przy sobie złoto. Ruszyli za nimi, by je odebrać. Jak tego dokonali, wiemy. Rozumiejąc, że można eksploatować nowy placar jedynie za pomocą nurkowania, zwabili starego Sachnera, by go wraz z bratankiem zmusić do pracy. Okradając starego zamierzają obłowić się podwójnie.

– Tak jest, mój brat odgadł całą historię. Postanowiłem więc odszukać placar Indian plemienia Panaka i dotarłem w góry tak daleko, jak to było możliwe. W pewnym punkcie drogi uwiązałem konia i ruszyłem pieszo. Dostałem się na szczyt nie zauważony przez nikogo. Po chwili ujrzałem ich. Siedzieli nad wodą, mniej więcej obok miejsca, w którym fale

przepływają nad ukrytym otworem. To dało mi pewność, że wiedzą, gdzie się znajduje placer.

– Czy stary Sachner i Carpio orientują się już w sytuacji?

– Nie. Mieli jeszcze broń przy sobie i nie byli skrupowani. Nie ulega wątpliwości, że po zakomunikowaniu co ma ich spotkać zostaną rozbrojeni.

– Biedny Carpio, bardzo źle zapewne wygląda?

– Jest chory, bardzo chory. Jeżeli go zmuszą do zanurzenia się w zimnej wodzie, umrze.

– Na Boga! Do tego nie możemy dopuścić! Zanim to się stanie musimy być na szczycie.

– Niech mój brat się nie niepokoi. Tak łatwo go nie zmuszą. Zdażymy jeszcze na czas.

– Ufam ci. Miałem jeszcze kilka kwestii, ale mniejsza o to, załatwisz wszystko według swego uznania.

– Domyślam się treści twoich pytań, nie potrzebujesz ich wypowiadać. Przemyślałem gruntownie całą sprawę. Natomiast zastanawiam się nad rozwiązaniem pewnego problemu i tu muszę zapytać brata Szarliha o radę.

– Zgaduję o co ci chodzi.

– Uff! Old Shatterhand i Winnetou nie mogą ukryć przed sobą żadnej ze swoich myśli.

– Tak. Jesteśmy jednym ciałem i jedną duszą zaklętą w dwie osoby. Powiem ci o czym myślałeś: o zachowaniu w tajemnicy finding-hole Indian plemienia Panaka.

– Uff, masz rację. Piątka bladych twarzy, która się tam teraz znajduje, już ją zna. Gdyby zginęli, położenie finding-hole pozostałoby tajemnicą. Czy mamy prawo zabić Carpia i jego wuja? Nie! Czy wolno nam pozbawić życia Cornera, Shepparda i Egglego?

– Nie.

– Nie możemy tego zrobić, gdyż nie dokonali wobec nas przestępstwa, które według naszych zasad zasługuje na karę śmierci.

– Hm. Moglibyśmy pomścić śmierć Welleya. Ale jak udowodnić, że są sprawcami zbrodni? Jeżeli prócz nas nie znajdzie się żaden sędzia, będziemy musieli puścić ich wolno. A jeżeli nie ukarzymy ich śmiercią, powrócą znowu.

– Uff! Powrócą, by zabrać złoto. Nie jest ono już pewne w tym finding-hole.

– A dużo go tam jest?

Odwrócił się zwinnym ruchem i spojrzał na mnie niebieskimi, ciemnymi oczami, jakby chciał wzrokiem dotrzeć do dna duszy. Potem uśmiechnął się łagodnie i rzekł:

– Tak, żaden z nas nie potrafi ukryć przed drugim swych myśli. Mój brat Szarlih chciałby kogoś uszczęśliwić, prawda?

– Tak.

– Sam nie potrzebuje złota.

– Nie. Przyrzekłem ci to kiedyś i dotrzymam słowa. Nie chcę zawdzięczać swego mienia żadnemu finding-hole, lecz rzetelnej pracy, która przynosi satysfakcję. Wszystkie dotychczas odkryte placery były dla prawdziwych poszukiwaczy jedynie „deadly dust” – pokładami „śmiertelnego pyłu” – jak je słusznie zwykłeś nazywać. Pył ten traci swe niszczące właściwości dopiero w trzecich, czwartych rękach, nie chcę więc być pierwszą ręką. Mam jednak nadzieję, że jako podarunek utraciłby szkodliwe cechy. Mój brat Winnetou nie potrzebuje tej finding-hole dla siebie. Oprócz tego miejsca zna szereg innych, w których w razie potrzeby znajdzie całą masę nuggetów.

Przez chwilę patrzył przed siebie pogrążony w głębokim milczeniu. Potem rzekł:

– Nie jest tego wiele, ale zawsze jeszcze sporo. Panakowie do których dawniej należały te okolice, musieli się również dowiedzieć, że pokazywanie złota bladym twarzom przynosi nieszczęście. Przy pomocy żółtego metalu chcieli sobie kupić pomoc białych strzelców, ale odplacono im niewdzięcznością i zdradzono ich. Zabrali stąd wielkie masy złota, by je darować bladym sprzymierzeńcom. W rezultacie sprzymierzeńcy ci poddali ich straszliwym torturom chcąc zmusić, by pod wpływem bólu wskazali kryjówkę. Zginęli jak bohaterowie nie powiedziawszy ani słowa. Obecnie pozostały tylko szczątki dawnych skarbów.

– Czy zmuszono ich również do narażania życia i zanurzania się w lodowatą wodę?  
– Uff! Mój brat nie sądzi chyba, że Indianie są takimi niedołęgami, za jakich uważają ich ci, którzy nie mają pojęcia o zwyczajach naszej rasy. Żaden Indianin nie jest tak głupi, by eksploatować finding-hole za pomocą nurkowania. Old Shatterhand zobaczy, jak mądrze Panakowie podeszli do złota, nie mocząc się wcale.

– Odprowadzili wodę?

– Tak. I to zupełnie prostymi środkami, które pozostały na miejscu po dziś dzień. Nadanie biegowi wody innego kierunku nie jest rzeczą ani trudną, ani wymagającą dużo czasu. Wydobycie niewielkiego kawałka złota nie zabiera czasu ale jeżeli chce się opróżnić cały hole, trzeba na to szeregu dni.

Milczał przez długą chwilę. Widząc, że zastanawia się nad czymś niezwykłym, nie przeszkadzałem mu. Po jakimś czasie wykonał energiczny ruch ręką i rzekł zdecydowanym tonem:

– Uff! Trzeba tu będzie pozostać dłużej niż przypuszczałem. Myśl o śniegu kazała mi dbać o to, by pozostać jak najkrócej, ale mam wrażenie, że będziemy musieli zaryzykować walkę z zimą. W najgorszym razie uciekniemy do Pa-Ware, Gorącego Źródła Szoszonów. A teraz niech mój brat zamknie wraz ze mną oczy. Dobrej nocy!

Położył się spać. Poszedłem za jego przykładem. Byłem szczęśliwy, że się zgodził na spełnienie mej prośby. Wprawdzie nie powiedział tego wyraźnie, ale decyzja pozostania tu dłużej wskazywała, że ma zamiar opróżnić finding-hole. Nie chciałem pytać jak sobie wyobraża ratunek za pomocą Pa-Ware. Winnetou nie był bowiem przyzwyczajony do mej ciekawości.

Następnego dnia bardzo wcześnie obudziło nas przenikliwe zimno. Ogień zgasł, gdyż nikt o nim nie myślał w nocy i nie podrzucał polan. Rozpaliliśmy inne ognisko i zauważyliśmy przy jego blasku, że nasze koce doszczętnie przemokły. Do otoczonego zewsząd skałami „domostwa” zaczęły wpadać delikatne, szybko się rozplywające płatki śniegu; gdy skończyliśmy śniadanie, na niebie pokazały się pierwsze zwiastuny nadchodzącego dnia. Po związaniu koni razem, by nie mogły się rozbiec zaczęliśmy się szykować do opuszczenia biwaku. Dzisiejszą wyprawę mieliśmy odbyć pieszo. Trzeba było przejść przez strumień płynący przez kotlinę. Nie chcieliśmy zamoczyć butów, trzeba było je zdjąć. Woda była bardzo zimna, niewidoczne na pierwszy rzut oka kamienie przeszkadzały. Po przejściu strumienia włożyliśmy znowu buty, ściślej mówiąc, mokasyny. Padał rzadki śnieg. Winnetou, nieomylny w przepowiedniach pogody, znawca meteorologii, spojrzął w niebo i rzekł:  
– Ten śnieg nie jest zwiastunem zimy, to po prostu oznaka, że znajdujemy się wysoko w górach. Przystanie padać, gdy się tylko pokaże słońce. Niech moi bracia idą za mną!

Było nas wraz z Szoszonami dziewięć osób. Mieliśmy dobrą broń, więc walka z Cornerem i jego towarzyszami nie powinna budzić obaw. Mimo że wczoraj wjechaliśmy pod górę spory kawałek, znajdowaliśmy się jeszcze ciągle u podnóża potężnego, niebosiężnego szczytu, którego wierzchołek pokrywał grubą warstwą śniegu. Od tego śniegu szło więcej światła niż od świtu. Po godzinnym wdrapywaniu się na gołą ścianę skalną znowu natrafiliśmy na strumień spadający z hukiem do kotliny, w której nocowaliśmy. Właściwie należało się trzymać jego brzegów, ale nie uczyniliśmy tego w obawie, by nas ktoś nie zobaczył. Wskutek tego straciliśmy pół godziny na borykanie się z kupą zmarzniętej ziemi tarasującej drogę. Pokonawszy tę przeszkodę zaczęliśmy się drapać na szeroką, ukośną i bardzo śliską płytę skalną; trzeba było na niej wypocząć, gdyż Rost padał ze znużenia.

Według informacji Winnetou znajdowaliśmy się na poziomie finding-hole, trzeba więc było skradać się dalej z zachowaniem największej ostrożności. Coraz gęstszy śnieg czynił wrażenie woalu, na odległość pięćdziesięciu kroków trudno było coś dojrzeć.

Przechodziliśmy przez wiele otworów skalnych wyżłobionych przez rwącą wodę.

Obchodziliśmy szereg podobnych wzniesień. Przebrnęliśmy przez kilka grząskich moczarów

i dotarliśmy wreszcie do postrzępionej ściany skalnej, za którą ukrywał się cel naszej wyprawy. Po lewej stronie ściany znajdowała się szczelina idąca w prostej linii od góry do dołu. Winnetou wskazał na nią ręką i rzekł:

– Oto łożysko wody odprowadzanej z finding-hole. Wraca na dole do dawnego biegu.

Zachowując najgłębsze milczenie zaczęliśmy się po kolei wdrapywać na skalną ścianę. W pewnym momencie Winnetou dał znak ręką, abyśmy zachowali jeszcze większą ostrożność i ciszę. Przez szczeliny i uskoki można było zobaczyć upragniony finding-hole. Gęsty śnieg padał w dalszym ciągu, ale to nie przeszkadzało, bowiem teren, o który nam chodziło, leżał w odległości jakichś dziesięciu kroków.

Proszę sobie wyobrazić prostopadłą ścianę skalną wysokości około stu stóp\*; wykuto w niej bardzo wąskie schody, po których tylko ludzie o olbrzymich rękach potrafią się wdrapać. Proszę sobie ponadto wyobrazić, że część tych schodów coraz bardziej opada w dół, część zaś wznosi się coraz wyżej ku ośnieżonym wierzchołkom. Schody te zostały w przeciągu tysiącleci wyszczerbione przez wodę, która w kaskadach spada od stopnia do stopnia tworząc szereg wodospadów spływających w formie tarasów. Oko ogarnia jedynie pierwsze, najniższe stopnie, dalsze, wyższe, rozplywają się we mgle. Skała zawierała złoto, które woda starła na proszek i uniosła ze sobą, ale ciężkie, nie rozpraszające się złoto oparło się biegowi fal. Opór był wprost proporcjonalny do rozmiarów brył złota. Niedaleko miejsca, w którym strumień wypływał ze skały, w jego łożysku tkwił głęboki otwór; bieg wody był wystarczająco silny, by porwać lekki złoty pyłek, ale wielkie ziarna i nuggety wpadały do wgłębienia. Proces ten ciągnął się przez całe stulecia, może nawet tysiąclecia i otwór na dnie strumienia napełnił się kawałami szczerzego złota. Oto geneza finding-hole. Na prawo od miejsca, w którym woda wypływała ze skały, teren był stromy i spadzisty, wszędzie leżały kupy kamieni. Na lewo i przed nami widniały mniejsze i większe odłamki skalne. Strumień spadający w dolne szczeliny, wyłobził sobie wśród nich łożysko. Finding-hole leżał na brzegu tych głazów tuż nad przepaścią. Jak już mówiłem, znajdowaliśmy się w odległości jakichś dziesięciu kroków od niego.

Zdaje się, że przybyliśmy w samą porę, gdyż Corner, Sheppard i Eggly właśnie przed chwilą zrzucili maski ukazując swe oblicza. Carpio i jego wuj leżeli na ziemi związani rzemieniami. Trzej dręczyciele tłumaczyli im przyczynę karkołomnej wyprawy. Obok mnie stał stary Amor Sannel.

Rzucił na nich okiem i zawołał:

– To oni, sir, to ci, których szukam!

– O kim mówicie?

– O tym, który stoi na prawo i o tym w środku. Ten na prawo zabrał mi strzelbę. Widzę ją, to ona, poznałbym ją na sto kroków. Chodźmy do nich, prędko, prędko!

Mówił o Corherze i Sheppardzie. Właśnie Sheppard trzymał w ręku jego strzelbę systemu Ralling.

– Zaczekajcie jeszcze chwilę! Musimy trzymać się poleceń i wskazówek Winnetou. Nie ucieknie wam ta strzelba. Słuchajcie – rozmawiają, dowiemy się o czym.

Był to istotnie głos Cornera. Słyszeliśmy każde słowo:

– Stary, siwy grzeszniku! Nie spodziewałeś się, że cię kiedyś tak wywiodę W pole, co? Ilu ofiarom pozaciągałeś stryczki dookoła szyi? No, teraz sam masz pętlę na gardle i nie będziesz już miał okazji dręczenia innych. Zabrałeś bratanka, by z dna strumienia wyławiał złoto, sprawimy ci tą samą przyjemność! Nie odejdziemy stąd przed opróżnieniem całego finding-hole, całego, rozumiesz? A złoto będziesz wyciągał ty razem ze swym bratankiem! Musisz nas słuchać albo będziemy cię ćwiczyli tak długo, dopóki krew nie zacznie spływać z twych parszywych kości.

– Do wody? Przy tym mrozie? – jęknął sknera. – Chyba nie będziecie tego wymagać od starego człowieka!

Rozmowa musiała już trwać długo, bowiem na twarzy Sachnera zamiast wyrazu zdumienia malowało się bezgraniczne tchórzostwo. Corner, Sheppard i Eggly wybuchnęli głośnym, szyderczym śmiechem.

– A właśnie, że żądamy tego od ciebie! – odparł prayerman.

– Będziecie tak długo skakać do wody, dopóki nie opróżnicie finding-hole. Zabierzemy ci tylko przedtem przekaz na siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, bo gotów jeszcze rozmięknąć w wodzie.

Sachner wydał okrzyk przerażenia. Nie wiem, co mu prayerman odpowiedział, gdyż Winnetou wskazał mi ręką na odłamek skały, spoza którego wychyliła się głowa obcego, nieznanego mi człowieka. Nie byliśmy więc jedynymi świadkami zbrodni, którą miano popełnić. Ledwie zdążyłem dojrzeć głowę nieznanego, wyskoczył zza skały i zawołał:

– To my zajmujemy się wypróżnieniem finding-hole, Mr Corner, a wy będziecie musieli łowić złoto w wodzie. Hands up, łotry szubrawe, hands up mówię, albo będę strzelać!

– Tak, ręce do góry! – rozległ się drugi głos. – Jeżeli nie będziecie posłuszni, poczęstuję was kulką.

Obok pierwszego nieznanego pojawiła się druga postać, również nieznaną. Obydwaj trzymali w ręku nabitą broń. Po chwili zjawił się trzeci – był nim Stiller! Przyłożywszy strzelbę do ramienia krzyknął groźnie:

– Hands up, powtarzam! Ręce do góry!

– Welley! – zawołał Corner przerażony.

– Reiter! – krzyknął nie mniej przestraszony Sheppard.

– Tak, Reiter i Welley! – odpowiedział ten, który ukazał się pierwszy.

– Byliście pewni, że zginąłem; na szczęście żyję i po to, by się z wami porachować. A więc podniesiecie ręce? Liczę tylko do trzech: Raz... dwa!...

Corner, Sheppard i Eggly podnieśli ręce, gdyż wobec skierowanych przeciwko sobie luf byli zupełnie bezbronni.

– Pięknie! – uśmiechnął się Welley. – Teraz was zwiążemy. Jeżeli ruszycie choć palcem zostaniecie rozstrzelani. Mr Stiller, niech się pan tym. zajmie! Wraz z Reiterem będę do nich mierzył tak długo, dopóki pan nie skończy roboty.

– Well! – odparł Stiller. – Jak widzę, zaopatrzyliście się w rzemienie. Za dwie minuty będę gotów.

Związał całą trójkę, przed chwilą pełną radości i zadowolenia tak mocno, że żaden spośród skrepowanych nie mógł się ruszyć. Leżeli na ziemi nie mając odwagi pisnąć. Welley i Reiter spuścili palce z cyngli i podeszli bliżej. Welley zawołał:

– Chwała Bogu, że nareszcie ich mamy! Mam nadzieję, że wreszcie odzyskam złoto! Nie przypuszczaliście, że to możliwe, kanalie? Byliście przekonani, że dostałem kulę w łeb!

Tymczasem nic mi się nie stało, gdyż kula nie naruszyła kości. Spadłem tylko z czółna, ponieważ siedziałem na samym brzegu. Nie straciłem ani na chwilę przytomności umysłu; rozsądek jednak nie pozwolił mi się wynurzyć od razu. Złapałem jakąś belkę płynącą z biegiem rzeki. Po chwili zobaczyłem, że holujecie do brzegu moje czółno ze złotem. Gdy się oddaliliście, przepłynąłem na drugą stronę, z powodu utraty krwi ledwie mogłem się ruszać. Gdyby się nade mną nie zlitował Mr Reiter, zginąłbym bez wątpienia.

– Przekłęta historia! – zgrzytnął Corner.

– A więc ta świnia jechała za nami? – dodał Eggly z szewską pasją.

– Tak jest – oświadczył Reiter. – Mielicie mnie w swej mocy. Stałem się waszym kompanem z powodu Guy Finnella, którego przez przypadek postrzeliłem. Obawa, że mnie zdradzicie, nie pozwoliła mi was opuścić. Zresztą nie sądziłem wtedy, że macie tak niczemne dusze.

Dotarliśmy do miejsca, w którym stary, doświadczony Gaburos odkrył ten finding-hole.

Powziąwszy postanowienie, że opróżnimy go później, ruszyliśmy nad Stih-Creek, gdzie spotkaliśmy Welleya i Wattera. Zwąchawszy, że mają złoto, puściliśmy się w ich ślady.

Chcieliście ich obrabować, Gaburos był wam wraz ze mną przeszkodą. Z Gaburosem wszczęliście sprzeczkę i wpakowaliście mu kulkę w łeb. Mnie nie potrzebowaliście mordować. Przecież mieliście moje pisemne oświadczenie, że jestem mordercą oraz wystawiony przeze mnie weksel. Musiałem więc stosować się do waszej woli. Wypędziliście mnie po prostu. Oddaliłem się, jak sobie życzyliście ale śledziłem was po kryjomu z myślą o ratowaniu Welleya. Niestety, nie mogłem przeszkodzić zasadzce, ale jakoś się wylizał. Gdy przybył na brzeg, ofiarowałem mu pomoc. Pałał żądzą zemsty. Ofiarowałem mu usługi, gdyż nie miałem żadnych wątpliwości, że jesteście podłymi ludźmi. Będąc pewny, że wkrótce tu wrócicie, uważałem, że nie ma sensu następować wam na pięty. Wdrapaliśmy się tutaj. Wczoraj ujrzeliśmy ślady i sądząc, że to wy je pozostawiliście, ruszyliśmy za wami. Po jakimś czasie spotkaliśmy Mr Stillera; udzielił nam kilku informacji na podstawie rozmowy z Old Shatterhandem, który was ściga. Nie chcąc, żebyście nas po drodze zauważyli, zboczyliśmy z waszych śladów i przybyliśmy tu inną drogą, znaną mi z poprzedniej wyprawy. Obserwujemy i podsłuchujemy was od wczorajszego wieczora. Wiemy wszystko, znamy nawet przyczynę, dla której przyprowadziliście ze sobą tych dwóch. Teraz się policzymy. Mam wrażenie, że z wami koniec!

Sheppard uśmiechnął się szyderczo i zawołał:

- Koniec? Włos z głowy nam nie spadnie. Mam przecież wasz podpis.
- Zabiorę wam papier wraz z podpisem.
- Zabierzecie? Musiałbym mieć pismo przy sobie!
- Oho! Już my je odnajdziemy!
- Szukajcie, szukajcie! Nie jestem idiotą, nie noszę takich dokumentów. Oddałem papiery w ręce szeryfa, który je zapieczętował. Jeżeli w określonym terminie nie wrócę, zostaną opublikowane. Morderca nie będzie mógł się nikomu pokazać.
- Przeklęta historia! – zawołał zawiedziony Reiter.
- Tak się sprawa przedstawia! – uśmiechnął się prayerman. A teraz róbcie z nami co wam się podoba!

Był przekonany, że wybrał dobry atut. Po chwili Welley rzekł:

- Nie wierzę groźbom tych łotrów. Niech pan nie da się zastraszyć, Mr Reiter. Trzeba zobaczyć, co te kanalie mają przy sobie. Przede wszystkim zajmijmy się bronią. Moja strzelba została wtedy w trawie i musiałem się zadowolić znacznie gorszą. Widzę u Shepparda dobrą fuzję systemu Ralling. Zatrzymam ją sobie. Oto jest!

Podniósł ją z ziemi. Tego już było staremu Amorowi Sannelowi za wiele. Wyskoczył zza kamienia, za którym był ukryty, podbiegł do niego i wyrwijąc mu strzelbę z ręki rzekł:

- Mr Welley, czy jak pan się tam zowie, ta strzelba jest moją własnością! Sheppard ukradł mi ją!

Przy tych słowach zdzielił prayermana kolbą, uderzony ryknął jak ranny zwierz.

Nagłe zjawienie się starego westmana wywołało wielkie zdumienie u wszystkich z wyjątkiem Stillera.

- Kim jesteś, człowieku? – zapytał Welley wyciągając rewolwer, – Nikt nie ma tu nic do gadania. Oddaj broń w tej chwili albo zastrzelę cię jak psa.

Widząc, że nadeszła nasza chwila, wyszliśmy z ukrycia. Welley i Reiter chwycili na nasz widok za broń. Winnetou podszedł do nich i rzekł:

- Jestem Winnetou, wódz Apaczów, obok mnie zaś stoi Old Shatterhand. Ci jeńcy, których ścigamy od wielu dni, należą przede wszystkim do nas. Potem wydamy ich wam.

Stiller odstał o kilka kroków i odwrócił się na znak, że nie chce z nami mieć do czynienia. Reiter i Welley opuścili lufy strzelb i patrzyli na Apacza z pełnym szacunku zdumieniem.

Winnetou ciągnął dalej:

- Nie tylko ci jeńcy należą do nas. Cały finding-hole jest naszą własnością, znałem go bowiem dawniej niż blade twarze, które teraz zgłaszają do niego pretensje.

Na te słowa wystąpił Stiller i zawołał:

– Co? Chcecie nam zabrać złoto? Winnetou znał finding-hole dawniej? Może to powiedziec każdy, komu się udało podsłuchać nas z ukrycia. Przyłączyłem się do wyprawy, ponieważ Reiter i Welley obiecali mi część złota i w żadnym wypadku nie zrezygnuję z niego!

– My również! – oświadczył Welley. – Będę bronił swoich praw nawet przeciwko Winnetou. A wy, Mr Reiter?

– Ani mi w głowie – odparł zapytany – oddawać komukolwiek złoto, które odkryłem.

– Racja, święta racja! – zawołał Corner próbując podnieść się mimo więzów. – Napadliście na nas, związaliście nas, ale to się wyrówna, gdy tylko zajmiemy wspólny front w sprawie finding-hole. Nie pozwólcie sobie zawracać głowy dawnymi odkryciami. To wierutne kłamstwo! Te łotry podsłuchały naszą rozmowę o finding-hole; znają go z naszych słów i na tej podstawie twierdzą, że Winnetou odkrył go już dawno. Wiemy dobrze, czym jest słowo Indianina! Jeżeli nas oswobodzicie, staniemy po waszej stronie i będziemy bronić naszych wspólnych praw do ostatniej kropli krwi!

Nie słuchałem dalszych słów, bowiem moja uwaga była pochłonięta osobą Carpia, który wyglądał jak trup i uśmiechał się w sposób budzący litość.

– Nie mogłem przybyć wcześniej – rzekłem uwalniając go z uścisku rzemieni. – Ale teraz wszystko się skończyło. Możesz wstać?

– Owszem, trzymaj mnie!

Podparłem go. Po chwili usiadł znowu.

– Taki jestem wyczerpany, taki zmęczony – jęknął. – Ci ludzie traktowali mnie okropnie. Pomyśl tylko, chcieli mnie wpakować do lodowatej wody, żebym z dna strumienia wyciągał złoto!

– Słyszałem o tym. Jesteś głodny?

– Powinienem odczuwać głód, ale zmęczenie zagłuszyło go. Moja droga Safono, mam silne dreszcze. Ostatnia noc była okropna. Chciałbym umrzeć, umrzeć...

– Za chwilę będzie ci ciepło i złe myśli ci opuszczają, mój drogi Carpio. Ale musisz być jeszcze cierpliwy. Sytuacja zaostrzyła się; mam wrażenie, że dojdzie do walki.

Nie myliłem się. Podczas mej rozmowy z Carpiem, Stiller, Reiter i Welley zaczęli przemawiać do Apacza coraz groźniej. Welley podszedł nawet ze Stillerem do jeńców i rzekł groźnie:

– Dobrze! Mimo iż ci ludzie zasłużyli na śmierć, zwalniamy ich. Staną po naszej stronie. Zobaczymy, czy zdołacie pozbawić nas podstępnie naszej własności.

Welley schylił się, by zdjąć więzy Egglemu, na co Winnetou rzekł rozkazującym tonem:

– Stać! Niech Welley poczeka na moje ostatnie słowo. Ci jeńcy należą do nas. Kto ich zechce uwolnić, ten jest naszym wrogiem. Róbcie co chcecie; uprzedzam, że narażacie się na rozmowę z naszymi strzelbami.

Słyszając to przyłożyłem do ramienia sztucer Henry'ego. Dwadzieścia pięć strzałów bez ładowania! To chyba wystarczy, by ich trzymać w szachu. Pięciu Szoszonów podniosło również dubeltówki, zaś Amor Sannel wymierzył w Welleya swą strzelbę systemu Ralling.

Welley cofnął rękę od więzów krępujących Egglego i zaklął siarczyście. Winnetou ciągnął:

– Wódz Apaczów, Winnetou, nie potrzebuje wcale zapewniać, że nigdy nie kłamie, gdyż wszyscy są o tym przekonani. Mimo to da dowód, że zna finding-hole dłużej od białych twarzy i że jest jego własnością. Niech zaczekają chwilę, kto się odważy pójść za mną, temu wpakuję kulę w łeb!

Oddalił się w kierunku wypływającego ze skały wodospadu. Wszyscy byli niezwykle ciekawi, w jaki sposób przeprowadzi swój dowód. Na podstawie naszej wieczornej rozmowy zacząłem przypuszczać, że nada inny bieg strumieniowi; przecież powiedział, że nieskomplikowane urządzenie, za pomocą którego można to osiągnąć, istnieje po dziś dzień.

Po upływie jakichś pięciu minut od tej strony stoku, od której przybyliśmy, rozległ się

szum, jak gdyby pochodzący od gwałtownej kaskady. W kilka chwil później struga strumienia płynącego obok poczęła się coraz bardziej obniżać, aż wreszcie pozostało jasne, suche dno. W pewnym punkcie łożyska leżącym w pobliżu nas widać było otwór napelniony wodą. Po chwili zjawił się Winnetou i wskazując na wgłębienie rzekł:

– Oto finding-hole, który do mnie należy. Potrafiłem unicestwić ten strumień. Czy białe twarze żądają bardziej jaskrawego dowodu? Po chwili milczenia Welley odparł:

– Prawo własności Indianina nie interesuje nas. Jako przedstawiciele rasy białej również odkryliśmy ten finding-hole. Zgłaszamy do niego nasze pretensje, pójdziemy o nasze prawa na noże.

– Czy Stiller i Reiter są tego samego zdania? – zapytał Apacz, przy czym jego oczy zabłyśły dziwnym blaskiem, którego znaczenie znałem doskonale.

Utkwiłem wzrok w jego oczach, aby w odpowiedniej chwili wyczytać w nich wskazówki dotyczące dalszego postępowania.

– Tak – odparł Reiter. Stiller zaś dodał: – Mało mnie to obchodzi, co zrobi jakiś tam Indianin i jak postąpi dziecinny świętoszek zwany Old Shatterhandem. Nazywam się Nana-Po i to powinno wystarczyć. Pójdę w obronie swego prawa na noże.

– Uff! Więc go brońcie!

Po tych słowach Winnetou powalił Stillera na ziemię błyskawicznym uderzeniem kolby. W tej samej chwili moja strzelba spadła na głowę Welleya, w moment później drugie uderzenie Apacza rzuciło na ziemię Reitera. Rzemieni do wiązania było pod dostatkiem, bowiem banda zaopatrzyła się w nie w celu skrepowania Cornera i jego kompanów. Załatwiwszy się z tym oswobodziliśmy z pęt starego Sachnera. Zapytałem go:

– Czy zrozumieliście nareszcie, z jakimi „przyjaciółmi” połączyliście się przeciw nam? Chcieli was zatopić w tej wodzie i zabrać na dodatek przekaz na siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Co wy na to?

Zamiast odpowiedzi stary harpagon\* obrzucił mnie jadowitym spojrzeniem i rzekł:

– Kupiłem ten finding-hole, a wy chcecie mi go zabrać! Nie chcę nic o was wiedzieć. Już strzelałem do was i będę strzelać tak długo, dopóki nie oddacie mi tego miejsca.

– Biedny idioto! Taka ofiara, która dała się tym oszustom wyprowadzić w pole, wypowiada nam wojnę! Mam wrażenie, że postradaliście zmysły.

– Postradałem zmysły? – huknął. – Zaraz się o tym przekonacie!

Odskoczył nieco w bok, by podnieść z ziemi strzelbę. Widząc to dopadłem go, zwałem na ziemię i poleciłem Sannelowi, by go znowu związał.

– No tak! – rzekłem. – Jeżeli taką czujecie wdzięczność za wyratowanie z ciężkiej opresji, rezygnujemy z niej i znowu nakładamy wam więzy. Strzelaliście do mnie, przyprowadziliście tu bratanka na pewną śmierć, przed chwilą podnieśliście na mnie rękę – to chyba wystarczy! Nie będziemy się mścić, postaramy się tylko unieszkodliwić was na czas pobytu tutaj.

Wściekły Sachner klął i wymyślał na czym świat stoi. Nie zwracaliśmy na to najmniejszej uwagi. Stiller, Reiter i Welley oprzytomnieli już. Winnetou polecił Szoszonom sprowadzić ich konie, które musiały stać w pobliżu. Po niedługiej chwili Szoszoni przeprowadzili wierzchowce. Byłem bardzo ciekaw co Apacz zdecyduje. Oświadczył:

– Wybaczamy wam groźby. Ale takich ludzi jak wy nie chcemy mieć w pobliżu. Odjedzcie ze wszystkim, co do was należy, niczego wam nie zabierzemy. Jeżeli jednak tu wrócicie zanim wyruszymy, zostanieie rozstrzelani. Winnetou nie przysięga nigdy, każde słowo jest przysięgą!

Przywiązano ich do koni. Teech, sprytny wywiadowca Szoszonów, otrzymał polecenie odstawienia ich nad New Fork pod eskortą trzech Indian. Na dole miał ich uwolnić od więzów i zwrócić im broń. Gdy objeżdżali, Walley zaczął wymyślać ostatnimi słowami i grozić krwawą zemstą. Reiter milczał.

Na pożegnanie Stiller rzucił pod moim adresem:



– Poznałem jeszcze jednego bogobojnego człowieka! Wszyscy ci świętoszkowie są w gruncie rzeczy łotrami i szubrawcami. Święty Old Shatterhand zabiera nam sprzed nosa naszą własność i pozbawia nas możliwości obrony. Paskudztwo! W swej służalczej skromności wziął mi pan przedwczoraj za złe moje słowa o niedźwiedziu. Powtarzam je dzisiaj, niech mi wyżre mózg, jeżeli w najbliższej przyszłości nie pomszczę tego figła godnego ulicznika!

Wypowiedziawszy groźbę znikł za skałą. To jego wina, że znowu rozstaliśmy się i że znowu nie dowiedział się tego, co mu miałem do powiedzenia. Gdy spojrzałem na Winnetou wskazując na Carpia, Apacz rzekł:

– Konie tych jeńców stoją za nami, nad wodospadem. Niech mój brat sprowadzi je i przy pomocy piątego Szoszona odwiezie Carpia do obozu.

Podszedłem z Szoszonami do ściany skalnej i ujrzałem kasztana Cornera, wierzchowca Jakonpi-Topy i Peteha oraz dwa wspaniałe rumaki Upsaroków. Dowiedzieliśmy się, w jaki sposób Winnetou zmienił bieg strumienia. Wypływający ze skały strumień skręcał ostro na prawo w kierunku przepaścistego stoku, po którym drapaliśmy się na szczyt. Odległość strumienia od stoku wynosiła około czterech metrów, woda zbliżała się do niego najbardziej w miejscu przeciętym szczeliną, którą Apacz określił jako boczne łożysko strumienia. Czterometrową odległość rozkopano kiedyś celem odprowadzenia wody do szczeliny; później rów zasypano i przykryto szeregiem kamiennych płyt. Chcąc zmienić bieg strumienia wystarczyło odsunąć trzy kamienne płyty, co oczywiście mógł zrobić tylko bardzo silny człowiek.

Przyprowadziliśmy konie do finding-hole i wsadzaliśmy Carpia na kasztana Cornera, którego już kiedyś dosiadał. Trzymałem się w pobliżu przyjaciela; towarzyszący nam Indianin plemienia Szoszonów prowadził czwartego i piątego rumaka. Gdy się zaczęliśmy oddalać Corner, Eggly i Sheppard ryknęli zgodnym chórem.

– Przeklęte koniokrady!

Droga była stroma, więc trudno mi było podtrzymywać Carpia. Zapewniał ciągle, że radość płynąca z mojej obecności dodała mu nowych sił. Ostatecznie przybyliśmy na dół bez żadnego wypadku. Nareszcie po długich i żmudnych wysiłkach przedostaliśmy się przez ostatnią, niezwykle wąską szczelinę, o której już była mowa. Carpio zsiadł z konia bez mojej pomocy i usiadł na ziemi. Szoszon przywiązał konie. Zaczęły skubać zieloną trawę; pomyślałem, że zapas jej nie wystarczy na długo. Indianin udał się w drogę powrotną do finding-hole. Rozpaliłem potężne ognisko i usłałem towarzyszowi lat dziecięcych miękkie, ciepłe łożę z koców. Nie przemokły, gdyż zgodnie z przepowiednią Winnetou, śnieg przestał padać. Carpio poczuł głód, cieszyłem się, że pałaszuje z apetytem. Podczas jedzenia zapytał:

– Jakże się skończył pojedynek? Zwyciężyłeś, prawda?

– Oczywiście, inaczej by mnie tu nie było.

– Racja! Poszedłem po rewolwer, postanowiłem bowiem zastrzelić Peteha, gdyby cię pokonał. Nie zdążyłem jednak dotrzeć do szałasu – spotkałem tych okropnych ludzi, którzy mnie ze sobą porwali. Nie mogłem wołać o pomoc, wuj traktował mnie niesłychanie szorstko – nie chcę o nim słyszeć! Pytałem samego siebie, czy to możliwe, by był moim krewnym.

Może to po prostu pomyłka, qui pro quo? Czy mało na świecie proboszczów, którzy nieuważnie prowadzą księgi kościelne? Nie dziwiłbym się wcale, gdybym padł ofiarą takiej pomyłki, przecież jestem do tego przyzwyczajony! Zresztą tylko twemu roztargnieniu zawdzięczam porwanie z obozu Kikatsów.

– Jak to? – zapytałem nie okazując mego zdumienia.

– Nie powinienem był chodzić po rewolwer, bo miałem twój przy sobie.

– Czy to możliwe?

– Ależ tak! Gdy rano wróciłeś z zebrania, uwolniłeś nas z więzów. Nasza broń leżała opodal. Schowałeś swoje obydwie rewolwery. Siedzieliśmy tak blisko, że nasze boczne kieszenie dotykały się nawzajem. W ten sposób jeden z rewolwerów dostał się do mojej kieszeni.

Gdybym o tym wiedział, nie opuszczałbym terenu walki. Z tego widzisz, że z twojej winy dostałem się w ręce tych zbójów. Byłeś zawsze skłonny do roztargnienia i pomyłek. Nie uważaj tego za wyrzut, nie chciałbym cię martwić. Zmęczyłem się jeźdzeniem. Czy mogę się położyć?

Poprawiłem mu posłanie. Gdy zasnął, zrobiłem wszystko, by się nie obudził pod wpływem zimna lub innych przyczyn zewnętrznych. Kochany chłop, był przekonany, że mu wpakowałem do kieszeni swój rewolwer! Spał jak kamień do jakiejś czwartej po południu. O tej godzinie zjawił się Rost. Winnetou polecił mu, by mnie zastąpił na wypadek, gdybym chciał przyjść nad finding-hole. Wszedłem na górę i ujrzałem coś, co wywołałoby zdumienie, gdyby mnie Rost nie uprzedził o widoku, który mnie czeka.

Nad finding-hole siedział Apacz z Amorem Sannelem. Corner, Eggly i Sheppard byli zajęci usuwaniem wody z otworu. Ponieważ nie mieli wiadra, czynili to za pomocą koców zanurzając je w wodzie i wyzymając. Nie była to praca godna zazdrości, wykonywali ją pod przymusem, w wodzie, przy temperaturze oscylującej w granicach zera. Winnetou powitał mnie cichym uśmiechem, którym zwykł wyrażać zadowolenie i radość. Stary Sannel uśmiechnął się również. Trzymał strzelbę w ręku, od czasu do czasu rozdawał uderzenia kolbą, gdy robota szła zbyt opieszale.

Trudno opisać wyraz twarzy trzech zbójów zmuszonych do czerpania wody! Rozpierała ich szewska pasja, nie śmieli jednak powiedzieć ani słowa, gdyż kolba Sannela pouczyła ich, że każdy odruch niechęci musi się skończyć bolesną odpowiedzią. Pracowali więc w skupionym milczeniu, co nas tylko mogło cieszyć. Po drugiej stronie finding-hole Szoszon pilnował starego Sachnera, którego ku mojemu wielkiemu zadowoleniu zapędzono do tej samej pracy. Czerpał wodę wielkim kapeluszem z zapalem wskazującym na to, że Indianin jest specjalistą w zagrzewaniu do pracy leniwych robotników. Stary sknera zasłużył w zupełności na karę.

Otwór był głęboki i szeroki. Choć pracowały nad nim cztery pary rąk, woda opadała bardzo wolno. Winnetou zapewniał, że robota potrwa jakieś dwa dni.

Nad wieczorem powrócił Teech wraz z Szoszonami meldując, że blade twarze ruszyły natychmiast dalej, chociaż nie wiadomo, czy nie uczyniły tego dla zmylenia pogoni.

Nadszedł wieczór, trzeba było przerwać pracę. Indianie wzięli broń jeńców, którym zawiązano oczy. Pilnowani przez czerwonoskórych, jeńcy zeszli wolnym krokiem do obozu. W kotlinie daliśmy im jeść i pić. Na noc nie zdjęliśmy im ani więzów, ani opasek z oczu, nie chcielibyśmy bowiem, by widzieli gdzie się znajdują. Nie trzeba chyba dodawać, że przez całą noc pilnowały ich strażę.

Następnego ranka przeprowadzeni zostali na górę z zachowaniem tych samych środków ostrożności co wczoraj. Pogoda się zmieniła, dał lodowaty wichur, który jęczał i wyl w szczelinach. Winnetou miał poważną, zatroskaną minę. Około południa wezwał Teecha i rzekł:

– Jutro rano trzeba będzie zabrać stąd wszystkie konie. A teraz niech mój brat dobierze sobie jeszcze jednego wojownika i uda się konno w jego towarzystwie do Pa-Ware. Trzeba zobaczyć ile tam jest prowiantu, może będziemy musieli się schronić.

Nie mówiąc ani słowa wywiadowca oddalił się posłusznie wraz z jednym Szoszonem.

Nasi i przymusowi robotnicy pracowali pod wpływem dokuczliwego mrozu ze zdwojoną energią, chodziło im bowiem o to, by się zagrzeć. Wieczorem odbyli do obozu taki sam marsz jak wczoraj. W nocy wrócił Teech z meldunkiem, że pięć osób będzie się mogło utrzymać najwyżej przez miesiąc, o ile oczywiście nie uda się im czegoś upolować. Natrafił na ślad olbrzymiego niedźwiedzia, z czego wnosi, że można będzie spotkać zwierzyne.

– Niech mój brat wypocznie do rana i o świcie niech wyruszy ze wszystkimi końmi. Niech wróci z nimi za sześć dni, o ile w międzyczasie nie zapadnie zima. Gdyby zima nastąpiła niech Avaht-Niah zaczeka aż śnieg stężeje i niech wyśle po nas wojowników na nartach.

Miałem ochotę wyprawić z nimi Carpia, ale był zbyt słaby, a poza tym na pewno nie

chciałby się rozstawać ze mną.

Z nastaniem dnia Szoszoni zabrali wszystkie konie; był już najwyższy czas, bo nie miały zupełnie paszy. Pozostaliśmy sami z czterema jeńcami. Na każdego z nas przypadła jeden jeniec, Carpia nie można było liczyć.

W ciągu dnia udało się nareszcie usunąć wodę. Dotarliśmy do dna hole. Mieliśmy wrażenie, że składa się on z kamiennego podłoża tworzącego w połączeniu ze szlamem gęstą masę. Zaczęliśmy spuszczać kolejno naszych kochanych robotników, by masę wyrzucali na zewnątrz. Z wyjątkiem Winnetou wszyscy czekaliśmy z napięciem na rezultat pierwszej próby. Była to niezwykle ciężka, błotnista masa zmieszana ze żwirem. Winnetou pozostał przy hole, my zaś zanieśliśmy zwartą masę do wody, by spłukać z niej błoto. Gdy spłynęło, pozostało czyste złoto wielkości laskowych, a nawet włoskich orzechów. Ucieszyłem się bardzo, ale nie okazywałem radości. Inaczej Sannel, a zwłaszcza Rost, którego ogarnęło takie podniecenie, że z wielkim trudem udało mi się zmusić go do milczenia. Nie chciałem, by „robotnicy” orientowali się zbyt dokładnie w wartości złoża.

Byli przekonani, że właściwa warstwa złota leży głębiej, a w błocie leżą maleńkie próbki. Zostawiliśmy ich w tym mniemaniu i wysypaliśmy całą zawartość próby do tej części strumienia, która mieściła się przed otworem. Pracowali teraz z dobrowolnym zapalem, ogarnęła ich gorączka złota. Do wieczora wydobyli sporą porcję złotego mułu i wrócili do obozu w wesołym nastroju.

Przez cały dzień padał drobny śnieg, góry pokrywały się białą powłoką. Następnego ranka śnieg nie padał, ale wszystko w dole było pokryte grubą, zwartą warstwą białej waty.  
– Uff! – rzekł Winnetou. – To zima! W dolinach pada gęsty śnieg. Musimy się śpieszyć, by na czas dotrzeć do Pa-Ware.

Gorączka złota działała tak samo jak poprzedniego dnia. Cała czwórka, skostniała z zimna, pracowała bez przerwy. Carpio pozostał sam w obozie. Gdy wieczorem wróciliśmy, oświadczył, że wcale się nie nudził. Następnego dnia przed południem Eggly zameldował po jakichś dwóch godzinach pracy, że w otworze nie ma już mułu i że zapewne wkrótce natrafią na główną warstwę, znacznie twardszą od poprzedniej. Wyciągnięto go z otworu, Winnetou zaś spuścił się na dno za pomocą lassa. Wrócił z nieruchomą twarzą. Robotników związaliśmy i położyliśmy w takiej odległości od strumienia, by nie mogli widzieć co się dzieje w łożysku. Winnetou oddalił się wraz z Sannelem.

Przeczuwałem, że skieruje strumień do dawnego łożyska. Nie omyliłem się. Po dziesięciu minutach popłynęła woda, najpierw powoli, a potem nieco szybciej. Po pewnej chwili woda zalała otwór. Widząc to jeńcy podnieśli krzyk. Stopniowo prąd stawał się coraz silniejszy, nappełnił otwór po brzegi i zaczął płynąć po łożysku, do którego został wrzucony cały muł. Przyglądaliśmy się temu widowisku z boku. Winnetou szepnął, żebyśmy zachowali ciszę i nie zdradzali się z tym co ujrzymy. Woda spłukała wodnisty szlam, ciężki metal pozostał na miejscu. Strumień spełnił wolę Winnetou i mył złoto. Po upływie jakiejś pół godziny wszystkie domieszki ziemi znikły, a łożysko strumienia pokryło się lśniąca masą złota. Dla zabrania całej zawartości finding-hole wystarczyło znowu odprowadzić bieg wody. Winnetou odwrócił się i rzekł niezadowolonym tonem tak, by jeńcy go usłyszeli:

– Uff! Przecież w tym hole nic nie ma! Jeszcze dziś stąd odjedziemy!

Winnetou, który nie kłamał nigdy i tym razem nie splamił się kłamstwem. W finding-hole nie było istotnie już nic, złoto leżało obok w potoku.

– Czyście poszaleli? – zawołał Eggly. – Pracowaliśmy jak zwierzęta i mamy przerwać pracę w chwili, gdy dotarliśmy do właściwej warstwy? Winnetou stanął obok niego, popatrzył mu w oczy i zapytał:

– Czy sądzicie, że w razie znalezienia złota dalibyśmy wam choć cząstkę? Nigdy! Zima nadeszła, odchodzimy przed widmem głodu i chłodu. Zabieramy was ze sobą, bo nie chcemy waszej zguby.

– Nie mamy ochoty odejść! Zostawcie nas tutaj. Oddajcie nam broń, powiedzcie, w jaki sposób udało się wam odprowadzić wodę.  
– Chcecie tego? Przecież tu przepadniecie!  
– Nie, nie, zostaniemy! – krzyknęli wszyscy czterej.  
– Uff! Zasłużyliście na śmierć. Ale nie chcemy być waszymi sędziami. Niechaj was ukarze wielki, mądry i sprawiedliwy Manitou. Odzyskacie jutro rano wolność i finding-hole. Sami będziecie winni, jeżeli stanie się to waszą zgubą. Chodźcie teraz do obozu! Będziecie mogli zobaczyć gdzie leży, tym razem nie zawiążemy wam oczu.

Jakże chętnie szli po raz ostatni w roli jeńców! Śmiali się z pewnością z naszej głupoty! Po przybyciu do kotliny związaliśmy ich znowu i zakryliśmy oczy. Stary Sannel, na którego można było liczyć, pozostał przy nich i przy Carpiu. My zaś wzięliśmy kilka koców i wróciliśmy do finding-hole. Po spuszczeniu wody zaczęliśmy wrzucać nuggety do koców. Było tego tak wiele, że mieliśmy spory ciężar do dźwigania. Przywróciwszy bieg wodzie, wróciliśmy do obozu. Nie chcąc, by Carpio zobaczył złoto, nie rozwinęliśmy derek; obawialiśmy się, że nie potrafi, ukryć radości i zdradzi nas przed jeńcami. Winnetou oddalił się znowu wraz z Sannelem, by poszukać materiału do zrobienia indiańskich sań.

Muszę zauważyć, że przez cały dzień padał gęsty śnieg. Winnetou i Sannel wrócili dopiero późnym wieczorem. Znaleźli odpowiedni materiał i zrobili sanie; stały przed skałą. Położyliśmy się spać ustalwszy kolejność wart. Rano, po spożyciu śniadania, wynieśliśmy wszystko do lekkich, bardzo zmyślnie zbudowanych sań, których poszczególne części składowe powiązane były rzemieniami. Gdy wróciliśmy po Carpia, Winnetou rzekł do jeńców:

– Wódz Apaczów, Winnetou, dotrzymuje słowa. Opuszczamy to miejsce. Zwolnimy was z więzów. Tu leży zapas mięsa, starczy go na dwa dni. Zabierzemy wam broń, żebyście do nas nie mogli strzelać. Po godzinie będziecie ją mogli zabrać. Gdy udacie się nad finding-hole, rów będzie pusty. Na miejscu dowiedziecie się jak odprowadzić wodę. O dalszych waszych losach niechaj rozstrzyga Manitou, Howgh!

Sannel zdjął im z oczu opaski, uwolnił ich z więzów i rzekł do Shepparda:

– Tym razem udało ci się, łotrze! Gdybyś jednak raz jeszcze wpadł mi w ręce, porachuję się z tobą, ty złodzieju broni! Zostawiam wam swoją ostatnią strzelbę, niewiele jest warta. Zabieram tylko broń systemu Ralling. Życzę dużo szczęścia nad finding-hole, messieurs!

W obawie, by Carpio nie przemókł, ułożyliśmy go na saniach obok worków złota i owinęliśmy kocami. Rozpoczął się wolny marsz z góry. Po jakimś kwadransie położyliśmy broń pozostałych na górze w szczelinie i ruszyliśmy dalej zostawiając zbrodniarzy na łasce losu. Carpio nie uronił ani jednej łzy z powodu rozstania z ukochanym wujem.

Jak wiadomo, w pobliżu szczytów górskich nie ma zbyt silnych deszczów i śnieżyc. Im głębiej schodziliśmy w dolinę, tym więcej było dokoła śniegu. Przedzieraliśmy się przez zwały śnieżne z wielką trudnością. Poniżej linii lasów padał śnieg tak gęsty, że na dziesięć kroków nic nie było widać, za to nie było tak straszliwie zimno jak na szczycie. Mieliśmy do dyspozycji tylko jedną drogę. Ponieważ jechali nią również Welley, Stiller i Reiter, musieliśmy uważać, by na nas nie napadli i nie odebrali nam złota.

Było także prawdopodobne, że pozostawieni na szczycie jeńcy zechcą nas ścigać. Nie mieliśmy już czasu, aby zbierać drobniejsze ziarna złota, więc gdy zjawią się nad strumieniem i zobaczą w łożysku lśniące ziarna, zorientują się bez wątplenia, że obłowiliśmy się niesłychanie, a w hole nic już nie ma. Możliwe, że zaczną nas gonić, zwłaszcza że pobyt w górach stawał się z dnia na dzień niebezpieczniejszy. Trzeba więc było pilnować się podwójnie. Sytuację komplikowało jeszcze to, że sanie pozostawiały bardzo widoczne ślady.

Śnieg stawał się coraz gęstszy, zapadaliśmy się aż po pas. Trzeba było saniom torować drogę pracą własnych rąk i nóg. Było to tak męczące, że musieliśmy – my, nie znający dotychczas zmęczenia – często odpoczywać. Nic w tym zresztą dziwnego. Rost siadał przy

każdej okazji na sanie ciągnięte przeze mnie i Sannela, a Winnetou szedł naprzód torując drogę. Nie mogłem zgodzić się na to, by wspaniała wódz choćby przez chwilę ciągnął sanie...

Gdy po południu dotarliśmy do doliny New Fork, zwały śniegu stały się tak olbrzymie, że zaczęliśmy wątpić w możliwość przebrnięcia przez nie. Winnetou pocieszył mnie wiadomością, że do Pa-Ware już niedaleko. Po godzinnym przedzieraniu się na północ skręcił w prawo do wąskiej doliny, która się nagle, po jakimś kilometrze drogi, urwała. Na prawo i lewo stały strome skały, a przed nami wznosiło się lesiste, strome, niezwykle wysokie zbocze górskie. Zaczęliśmy się na nie wdrapywać.

Pracowaliśmy w pocie czoła. Ciągnąłem sanie, Rost i Sannel pomagali mi jęcząc i narzekając na takie trudy. Zdawało się chwilami, że ciężar na saniach wraz z Carpiem waży pięćdziesiąt cetnarów. Pociliśmy się nad nim jak rude myszy, a zadowolony Carpio nie zwracał na to najmniejszej uwagi i zapytał z rozbrajającą bezmyślnością:

– Panie Rost, widzę, że pan się męczy, czy nie zechciałby pan usiąść obok mnie na saniach?

Po jakichś trzech kwadransach zbliżyliśmy się do szczytu. Tuż przed jego osiągnięciem padły dwa strzały. Winnetou szedł pierwszy. Nie chcąc, żebyśmy się o niego niepokoili, zawołał z góry:

– Itsch, aki kolet! – Mięso, dwie łasice!

Była to na tej wysokości zdobycz niezwykła. Jakie to szczęście, przecież dwie łasice to masa mięsa!

## Rozdział 10

Nareszcie wydostaliśmy się na szczyt. Zatrzymaliśmy się na chwilę, by nieco odsapnąć. Widok, który się ukazał naszym oczom, wyrwał ze zmęczonych piersi kilka okrzyków radosnego zdumienia.

Górna powierzchnia zbocza była zavalona olbrzymimi masami śniegu, a przed i pod nami wszystko tonęło w zieloności. Ani śladu zimy! Proszę sobie wyobrazić bardzo głęboki, długi krater, do którego nie ma właściwie dostępu i którego trzy boki spadają stromo, czwarty zaś splywa łagodnie. W środku tego krateru mieści się jezioro o wodzie tak ciepłej, że aż parzącej. Ciepło unoszące się znad wody roztopia w zimie cały śniegi daje życie bogatej, wiecznie zielonej florze, do której śpieszy leśna zwierzyna. Było to Pa-Ware czyli „Gorąca Woda”. Bliskością tej wody tłumaczy się obecność łasic. Ich ciała leżały obok siebie. Łasice wędrują zwykle zimą gromadami, gdyż w ten sposób łatwiej przedostawać się przez zwały śniegu. Winnetou położył je dwoma celnym strzałami, po czym zszedł nad jezioro. Podążyliśmy za nim z saniami, teraz nie trzeba było ich ciągnąć, przeciwnie, musiałem je trzymać, by nie spadły.

Po zejściu na dół Winnetou skierował kroki ku skalnej ścianie obrosłej gęstym bluszczem i zatrzymał się pod nią. Gdy podeszliśmy, odsunął bluszcz w miejscu, w którym wydawało się że jest najbardziej gęsty i znikł nam z oczu... Podążyłem za nim. Za zasłoną z bluszczu wisiały dwie skóry, odsunąłem je jak firankę. Znalazłem się teraz na dosyć obszernej przestrzeni, która tonęła w półmroku. Naturalne wgłębienie skały tworzyło tu dość wygodne pomieszczenie. Bluszcz obrósł zewnętrzne ściany i zaciemniał wejście. Wewnątrz rosły rośliny nie lubiące światła, dodawało to martwym kamieniom wyrazu i życia.

Mieszkanie składało się z trzech pomieszczeń: przedniego, do którego weszliśmy na początku, środkowego, większego od pierwszego, które trzeba było sztucznie oświetlać iż tylnego, służącego za przedpokój, w którym panowała temperatura piwnicy. Była to kryjówka Szoszonów dla wojowników, których w tych stronach zaskoczy podczas łowów zima, i którzy szukają ochrony przed śmiertelnym zimnem.

Zamiast krzesel i mat pełno było futer i garbowanych skór, oprócz tego stał piec z indiańskimi garnkami, gliniane lampy, pogrzebacze konieczne do rozniecania i podtrzymywania ognia, zapasy suszonego mięsa – w kawałach i mielonego i ogromna ilość polan wystarczająca na dobrych kilka tygodni – krótko mówiąc cały szereg przedmiotów, które są niezbędne dla przymusowego przybysza. Oprócz tego było tu kilkanaście arbuzów, dwa skórzane worki suszonej fasoli, cebula, rzodkiew oraz wiele innych jarzyn wyhodowanych nad ciepłą wodą. Winnetou miał te zapasy na myśli, gdy wysłał wywiadowcę Teecha dla sprawdzenia na jak długo starczą.

Sprowadziłem towarzyszy. Na widok niespodziewanego i miłego schronienia wśród tej skostniałej pustki ogarnęło ich również ogromne zdumienie. Ponieważ nasze ubrania przemokły, trzeba było rozpaść porządny ogień, dym wychodził przez rurę podobną do zwyczajnego komina. Potem przygotowaliśmy ciepłe posłanie dla Corpiona. Droga wyczerpała go bardzo, mimo że się wcale nie musiał wysilać.

Ponieważ w ostatnich godzinach śnieg nie padał, nasze ślady były zupełnie widoczne i tak wyraźne, że nawet ślepy by je zauważył. Trzeba więc było pomyśleć o tym, by do chwili, w której spadnie następny śnieg, żaden ślad nie zdradził naszego mieszkania. Rozmontowaliśmy sanie i dorzuciliśmy ich drzewo do stojących w sągu polan. Teraz zajęliśmy się obydwoma ubitymi łasicami. Jedna z nich była nie lada okazem: wysoka i długa na jakieś dwa metry, ważyła z pewnością nie mniej niż czterysta kilogramów. Druga była mniejsza. Nie mogło być mowy o tym, byśmy je do wieczora oporządził w całości. Zanieśliśmy więc część mięsa do spiżarni, a część, chcąc nie chcąc, pozostawiliśmy na miejscu. Tuż przed zapadnięciem zmroku Winnetou wdrapał się na szczyt, z którego zeszliśmy, by rzucić okiem na pozostawione przez nas ślady. Wrócił z następującym meldunkiem:

– Błede twarze są tutaj. Obozują po tamtej stronie u podnóża góry; rozpały wielkie ognisko, bo chcą się zagrzać. Dziś już było za późno, ale nie ulega wątpliwości, że jutro przybędą nad wodę.

Spełniły się nasze przewidywania – podkreślam przewidywania, nie obawy – ale nie na naszą niekorzyść. Jeżeli dotychczas oszczędzaliśmy tych ludzi, to wcale nie znaczy, że będziemy łagodni, kiedy znów wrogo wystąpią wobec nas. Któż to jednak był? Corner ze swymi ludźmi? Welley, Stiller i Reiter? A może obydwie towarzystwa spotkały się i połączyły do wspólnego ataku? Dzień jutrzejszy da odpowiedź na te pytania. Nie mieliśmy powodu do obaw, byliśmy bronieni ze wszystkich stron i mieliśmy dosyć prowiantu, by wytrzymać długie obleżenie. Wody było również pod dostatkiem, gdyż głęboka odnoga łączyła pobliski brzeg jeziora z naszą kryjówką. Na wypadek, gdyby przeciwnicy chcieli zniszczyć ten dopływ wody, mieliśmy gotową odpowiedź w postaci salwy karabinowej.

Zresztą nie byliśmy nad Pa-Ware sami, mieliśmy bardzo interesujące towarzystwo. Winnetou opuścił nas raz jeszcze tego wieczora, by obejść pobliskie wzgórze. Po powrocie oświadczył, że słyszał chrzęst łamanych kości. Według jego przypuszczeń niedźwiedzie posilają się gdzieś w pobliżu resztkami drobnej zwierzyny. Brała nas chętka podkraść się do nich, ale zrezygnowaliśmy, gdyż w obecnej sytuacji byłby to błąd nie do darowania, nie wolno nam było zapominać, że niedźwiedzie grizzly mogą się stać w pewnych okolicznościach wiernymi sprzymierzeńcami.

Przed udaniem się na spoczynek rozległy się parskania i sapania, zasłona ze skóry uniosła się, a pod jej dolną połowę ukazała się głowa niedźwiedzia grizzly. Wytropił nasze ślady i przyszedł tu za nami. Na widok jaskrawego ognia cofnął się jednak szybko. Była to stara, niezwykle silna bestia. Fakt, że się cofnęła wskazywał, że nie jest wcale głodna. Oddalił się zanim mieliśmy czas na podniesienie i skierowanie ku niemu luf strzelb.

Spaliśmy tej nocy po królewsku, najpóźniej obudził się Carpio. Wymęczony przeżyciami ostatnich dni i chorobą. Rzuciwszy okiem na okolicę stwierdziliśmy, że nasi przeciwnicy wstali wcześniej od nas. Dotarli już nad „Gorącą Wodę” i czołgali się po ziemi szukając

naszych śladów. Winnetou byłby je odszukał natychmiast, ale przecież żaden z nich nie był wodzem Apaczów, kilkakrotnie więc przeszli obok naszej kryjówki nie przeczuwając wcale, jak mała odległość dzieli ich od nas. Zauważyli jednak pozostawione kości łasic i wyrazili przypuszczenie, że to niedźwiedzie nie dokończyły uczy. Ponieważ do wnętrza krateru nie prowadziła żadna inna droga prócz tej, którą przybyliśmy, nie mogli sobie wytłumaczyć naszego zniknięcia. Z głośnych, radosnych okrzyków, które wydawali, można było wnosić, że bardzo im się tu podoba. Byli zmuszeni do poszukania miejsca, które by ich chroniło przed atakami niepogody, czyż Pa-Ware nie było idealną oazą? Po przeszukaniu całej doliny i stwierdzeniu, że nas nie ma, naradzali się przez chwilę, po czym wyszukali miejsce, które zdawało się odpowiadać ich planom. Była to szeroka płyta skalna wystająca ze ściany skalnej w formie płaskiego dachu; znajdująca się pod tą płytą ziemia była zupełnie sucha. Zaczęli pracować. Przydźwigali kamienie i wzniesli z nich duże boczne ściany, otwory pomiędzy kamieniami pozatykali mchem i ziemią. Pod wieczór prowizoryczny szałas był gotów. Brakowało mu tylko ochrony od przedniej strony. Następnego dnia został zużyty na wzniesienie trzeciej ściany; w rezultacie rozporządzali teraz wcale wygodnym pomieszczeniem na zimę. Niewiadome tylko, czy będą mogli utrzymać się przez całą zimę z polowań...

Uważałem, że miejsce, w którym stanął szałas, nie jest bezpieczne. Unosiła się nad nim stroma ściana skalna, u góry nieco naruszona. Poci wpływem burzy lub nagromadzonego śniegu część ściany mogła się zawalić i spaść na dach szałas. Mieszkający w nim ludzie odznaczeni się niewiarygodną nieostrożnością!

Tak jak przypuszczaliśmy obie grupy się połączyły. Dowiedzieliśmy się później, że Welley, chcąc zmylić Szoszonów, tylko pozornie oddalił się wraz z towarzyszami, po chwili wrócił, by na nas napaść. Nie chodziło im o nasze życie, ale o złoto. Byli przekonani, że mają do niego większe prawo niż my. Zjawili się nad finding-hole po naszym odejściu. Corner natychmiast ujrzał w strumieniu ślady złota i odgadł, co się stało. Cała więc kompania rzuciła się za nami w pogoń, pościg nie był trudny, gdyż pozostawiliśmy wyraźne ślady w głębokim po pas śniegu. Obydwie grupy spotkały się na dole, nad New Fork. Postanowiono zrezygnować chwilowo z osobistych animozji i skierować wspólny wysiłek przeciwko nam. Siedzieli teraz w szałasie naprzeciw nas i łamali sobie głowy nad tym, gdzie mogliśmy zniknąć. Chwilowo nie martwili się o pożywienie, mieli przecież konie, które w razie potrzeby można będzie pozabijać, a zwierzęta miały chwilowo dosyć paszy. Mimo to niektórzy zaczęli na trzeci dzień wdrapywać się na pobliskie szczyty, prawdopodobnie w poszukiwaniu zwierzyny, wrócili jednak z pustymi rękami. Powtórzyło się to kilkakrotnie, aż pewnego dnia zastrzelili pierwszego konia. Następnego nocy rozległo się kilka strzałów, strzelali do niedźwiedzia, jednak bez rezultatu.

Nie opuszczaliśmy naszej kryjówki przez cały tydzień. Tylko w nocy mieliśmy nieco ruchu. W końcu postanowiliśmy skończyć z rolą jeńców. Wyszliśmy wczesnym rankiem, zabrałem ze sobą niedźwiedziówkę. Nasze zjawienie się wywołało z początku ciche zdumienie. Gdy się opamiętali, zaczęli biegać wokół. Obrzucili nas poprzez wodę gradem najgorszych obelg, padło nawet kilka strzałów, które jednak nikomu z nas nie zrobiły nic złego. Winnetou, który miał głos najbardziej donośny, przyłożył ręce do ust i krzyknął, że granicą jest linia dzieląca jezioro na dwie połowy. Kto tę granicę przekroczy, będzie rozstrzelany. Celność naszych doskonałych strzelb zademonstruje Old Shatterhand, który za chwilę zrobi dziurę w pniu drzewa stojącego obok ich szałas.

Trafiłem bez trudu, mieli więc dostateczny dowód, że nawet w szałasie nie powinni być zbyt pewni siebie. Co do nas, nie baliśmy się ich zupełnie.

Od tego dnia przed szałasem paliło się codziennie ognisko, czynili to w obawie, byśmy się do nich nie podkradli. Żyliśmy jak pies z kotem.

Jedna i druga strona urządziła codzienne wyprawy nie mówiąc do siebie ani słowa. Sądziła,

że nas zmorze głód, dowodziło to, że nie mają pojęcia o naszych zapasach żywności.

Byliśmy w zupełności zależni od Pa-Ware, gdyż w miejscach, do których ciepło idące od wody nie docierało, leżał śnieg nie do przebycia. Olbrzymie masy śniegu powiększały stopniowo jezioro. Nie odczuwaliśmy zimowych zawiei szalejących na zewnątrz, okalające wzgórza chroniły nas doskonale.

Mijały dni i tygodnie. Nadszedł grudzień, zbliżało się Boże Narodzenie. Na wypadek, gdyby nas do tego dnia nie zabrali Szoszonowie, postanowiliśmy uczcić święto płonąca choinką. Świec mieliśmy pod dostatkiem, gdyż przez cały czas używaliśmy do lamp łożu z łasic. Nasi przeciwnicy zastrzelili już drugiego konia, a nocami niepokoiły ich niedźwiedzie. W nadziei, że pokosztują ludzkiego mięsa, zwierzęta nie opuszczały swego legowiska. Strzelali do nich często, jednak na próżno. Do nas niedźwiedź nie zaglądał.

Ze szczytów spadały olbrzymie masy śniegu; nad szafasem naszych wrogów wisały ciężkie białe bloki. Bałbym się pozostać wśród nich choćby przez dwa kwadransy, ale ci ludzie nie mieli pojęcia o groźnym niebezpieczeństwie. Oczywiście nie zwracaliśmy im na nie uwagi.

Na trzy dni przed Wigilią udałem się z Rostem nad linię śniegu po młodą choinę. W drodze powrotnej zauważyliśmy, że nasi sąsiedzi zabili jeszcze jednego konia, jeszcze bardziej wychudzonego od poprzednich. Cóż będzie, gdy i tego spożyją? Podłożyli kości konia pod drzewa na przynętę, ale mądry niedźwiedź zabrał je po kryjomu, nie chcąc robić hałasu chrupaniem na miejscu. Mieliśmy wrażenie, że jest głodny, gdyż zaczął węszyć dokoła naszego obozu. Nie przeszkadzaliśmy mu w tym. Szelma zapominał zupełnie o zimowym śnie!

Dzień przeszedł na struganiu nasady na drzewko i przygotowywaniu ozdób na choinkę. Największą radością napełniało to Carpia. Chciał pomagać, ale był słaby. Od pierwszych dni grudnia jego stan stale się pogarszał. Udawaliśmy przed nim, że tego nie widzimy. Był skazany na śmierć i trudno mi wypowiedzieć, jak bardzo z tego powodu cierpiałem. Był tak słaby, że nie mógł nawet siedzieć. Nie wiem, czy zdawał sobie sprawę ze zbliżającego się końca. Był łagodny, mnie specjalnie okazywał bardzo wiele uczucia.

Wieczorem dwudziestego drugiego grudnia Winnetou rzekł do mnie:

– Pamiętasz jakiego o nim byłem zdania nad Medicine Bow River? Jego czas nadszedł. Litościwa ziemia zabierze go tu, na Dzikim Zachodzie. Przygotujemy mu nad Pa-Ware ostatnie łożo. Howgh!

Miałem dziś pierwszą wartę. Gdy wszyscy usnęli, Carpio zapytał jaką mamy pogodę. Odpowiedziałem, że śnieg nie pada, a niebo iskrzy się gwiazdami. Poprosił, bym go wyniósł na powietrze, bo chciałby popatrzeć na gwiazdy. Spełniłem jego prośbę. Zawinięty w koc oparł się o moje piersi i podniósł oczy do góry.

Po długim milczeniu chwycił mnie za rękę i rzekł:

– Słuchaj, kochana Safono! Jeżeli będziesz miał kiedyś syna, nie zmuszaj go do zawodu, który mu nie odpowiada. To takie straszne! Zabrano mi w ten sposób całą młodość, zmieniono życie w piekło. Nie oskarżam jednak nikogo i cieszę się, że nadszedł kres, że odpocznę nad brzegami tej ciepłej, pięknej wody.

– Cóż ci wpadło do głowy? Nadszedł kres? Wszystko jeszcze będzie dobrze, mój kochany Carpio. Będziesz żył długie lata!

– Nie mów tego! Wiesz równie dobrze jak ja, że pożyję najwyżej dwa, trzy dni. Widzę to już od dawna z blasku twych oczu, które patrzą na mnie z podwójną czułością. Żyłem właściwie tylko wtedy, gdy byłeś blisko mnie, dlatego też jestem szczęśliwy, że umrę przy tobie. Chwilami bywałeś nieco roztargniony, miewałeś krótką pamięć, ale byłeś przecież jedynym człowiekiem, który mnie naprawdę kochał. Nie zapomnę tego nigdy i w przyszłym życiu w zaświatach będę się modlił za ciebie. Przecież wiesz, że muszę umrzeć, prawda? Nie kłam tylko! Bądź i teraz, w ostatnich chwilach, wiernym, szczerym przyjacielem. Umieram, prawda?



– Tak.

– Dziękuję ci! Śmierć nie jest wcale tak straszna jak się to wielu ludziom wydaje. Żegnając się z tobą jestem szczęśliwy, bo wierzę, że kiedyś spotkamy się na tamtym świecie. Safono, nie płacz, nie płacz!

– Nie płaczę, drogi Carpio.

– Ależ przeciwnie! Twoja gorąca łza spadła mi przed chwilą na policzek. Nie ocieram jej, zabiorę i pokażę Bogu. Niechaj stwórca wie, że są jeszcze na ziemi prawdziwi przyjaciele i dobrzy ludzie. Nie chciałbym jednak umrzeć przed Wigilią... Niechaj drzewko się pali. Jakby było dobrze, gdyby jego blask oświecał moją drogę do nieba... Pamiętasz choinkę u Franka w Falkenau, pamiętasz swój wiersz? Do dzisiejszego dnia umiem go na pamięć! Chciałbym go jeszcze wyrecytować pod choinką jak wtedy w obliczu trojga biedaków! Safono, módl się razem ze mną, by Bóg pozwolił mi dożyć dnia Wigilii!...

Włożył swe dłonie w moje ręce. Zaczęliśmy się modlić zupełnie cicho, lecz bardzo żarliwie. Carpio znieruchomiał. Miarowy oddech wskazywał, że zasnął podczas modlitwy. Siedziałem całe godziny bez ruchu nie chcąc, by się obudził. Minęła północ. Gwiazdy mówiły mi, że już pierwsza, druga... Nagle rozległ się przeraźliwy hałas. Usłyszałem straszliwy huk podobny do huku wystrzałów kilku armat, a potem zaległa zupełna cisza.

Carpio obudził się. Winnetou, Sannel i Rost wyszli z kryjówki.

– Wielka masa śniegu spadła znowu ze szczytu – rzekł Winnetou. – W którym miejscu to się stało?

– Mam wrażenie, że obok stojącego po tamtej stronie szałasu.

Nasłuchiwalismy przez chwilę. Nikt nie wołał o pomoc. Więc może lawina spadła opodal szałasu?

– Dybią na nasze życie i dlatego zachowują się zupełnie spokojnie – rzekł Apacz. – Nie ruszymy się, zaczekamy aż zaczną świtać. Poznaję po gwiazdach, że brat Szarlilh czuwał dłużej niż należało. Teraz kolej na mnie, niechaj wejdzie do środka!

– Proszę cię, zostaw mnie tu z Carpiem, proszę o to! – odparłem.

Wrócili do szałasu. Pozostałem sam z Carpiem. Miał oczy zamknięte. Po chwili zaczął ciężko oddychać, jak gdyby mu się śniło coś złego. Wreszcie otworzył oczy, odetchnął głęboko i rzekł:

– Safono, chcesz mi zrobić pewną łaskę?

– Owszem.

– Będziesz się śmiał ze mnie, ale to nic... Otóż przed chwilą widziałem przez zamknięte oczy następujący obraz: szałas stojący naprzeciwko był cały zasypany. Większość ludzi zginęła. W pobliżu jest niedźwiedź, którego się boi jedyny z ocalałych, ale nie ma odwagi wołać o pomoc. Idź tam i wyratuj go, dobrze?

– Zgoda! Wniosę cię do środka.

Nie widziałem w tym nic śmiesznego. W sposobie mówienia, w całym ujęciu było coś prawdziwego, zniewalającego do powagi. Wniosłem Carpia do szałasu. Towarzysze nie spali jeszcze. Rost pozostał przy Carpiu. Winnetou i Sannel ruszyli razem ze mną.

Gwiazdy oświetlały nam drogę. Ogień, płonący jeszcze dzisiaj po tamtej stronie, zgasł. Nie chcąc, by nas zauważono, nie poszliśmy wzdłuż jeziora, ale wzdłuż skał. Po przeciwnej stronie błyszczała olbrzymia masa śniegu, która spadła z góry wraz z głazami i jak się po chwili okazało, zasypała szałas. Jasnowidzenie Carpia było zgodne z rzeczywistością. Byłem bardzo ciekaw, czy historia z niedźwiedziem sprawdzi się również. Rozległ się suchy trzask, jakby ktoś łamał kości. To z pewnością grizzly! Zaczęliśmy się skradać zachowując największą ostrożność. Nagle ukazał nam się na śniegu. Leżał na brzegu lawiny i obgryzał coś. Czyżby zjadał człowieka? Podeszliśmy jeszcze bliżej. Niedźwiedź ujrzał nas i stanął na tylnych łapach. Padły trzy strzały, jeden z mojej strzelby, dwa z dubeltówki Winnetou. Grizzly zachwiał się, padł, potoczył, wreszcie zamarł w bezruchu.

– Nie żyje? Zabity! – zapytał ktoś ochryłym z przerażenia głosem.

– Wyciągnijcie mnie, messieurs, zaklinam was na Boga!

Podeszliśmy ostrożnie do niedźwiedzia. Nie żył już.

W odległości trzech kroków sterczały spod gładów dwie ludzkie postacie: u jednej widać było tylko głowę, u drugiej tułów, gdyż niedźwiedź zmiotł całą głowę. Przy życiu pozostał jedynie Stiller. Nie był nawet ranny, gdyż miękki śnieg uratował go od uderzeń, był jednak przywalony głazami i nie mógł się ruszyć. Okazało się, że niedźwiedź zabrał się do głowy trupa Egglego. Odsunęliśmy gładki przygniatające Stillera i postawiliśmy go na nogi.

– Dzięki Bogu! – zawołał. – Tego nigdy wam nie zapomnę. Nie jestem tchórzem, ale w przeciągu tej pół godziny przeżyłem całe wieki śmiertelnej trwogi. Stałem na straży razem z Egglym, gdy nagle spadła lawina, zasypała nas i przygniotła kamieniami. W dodatku zjawił się niedźwiedź. Długo się wahał do kogo się zabrać, miałem wrażenie, że to trwa całą wieczność. Obwąchiwał to jego, to mnie – czułem na sobie jego gorący, smrodliwy oddech. Wreszcie wybrał sobie Egglego. Silnym uderzeniem łapy pozbawił go przytomności, a mocne szczęki dokonały reszty. Nie byłem jeszcze uratowany, w każdej chwili mógł zwrócić na mnie uwagę. Trudno opisać tę okropną chwilę. I nagle zjawiacie się wy, to była ostatnia chwila. Uratowaliście mnie. Dzięki Bogu, dzięki Bogu!

– Komu to dziękujecie? – spytałem. – Bogu? Miałem wrażenie, że wiara w Boga jest dziecinadą?

– Proszę, sir, nic nie mówcie!

– Pshaw! Zabroniliście mi mówić o Bogu, a teraz mu dziękujecie? Czy nie bluźniliście, czy nie chcieliście, by niedźwiedź wyżarł wam mózg?

– Milczcie, nie mówcie nic! Błagam na wszystkie świętości! W straszliwej wieczności, którą przeżyłem zawieszony między życiem a śmiercią, uświadomiłem sobie swe grzechy i błędy. Ratujcie zasypanych w szafasie! Nie mogę wam na razie pomóc, muszę usiąść, dygocę na całym ciecie...

Usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Zgodnie z naszymi przypuszczeniami lawina śnieżna, która niosła ze sobą wielką ilość kamieni, spadła na płytę Skalną tworzącą dach szafasu i przygniotła ją. Spod kamieni i ściegu dochodziły głuche jęki. Odsunęliśmy przeszkody na bok i dotarliśmy do miejsca, w którym powinni się znajdować zasypani. Była to robota niezwykle wyczerpująca i niebezpieczna ze względu na panujące ciemności, niebezpieczeństwo powiększały jeszcze spadające kamienie. Z nadejściem dnia uporaliśmy się mniej więcej za wszystkim. Stiller przyszedł do siebie i pomagał nam w pracy.

Pierwszy wyszedł spod lawiny Sachner. Ujrzał nas i nie powiedział ani słowa, uważał, że nie zasługujemy na wdzięczność! Zaczęła mnie świerzbic ręka, miałem ochotę zdzielić go pięścią. Po Sachnerze zjawili się Reiter i Welley, żaden z nich nie był ranny. Z radości zapomnieli o nienawiści, uścisnęli nas serdecznie i gorąco. Po chwili spod szafasu rozległy się przeraźliwe krzyki i jęki. Dojście do miejsca, z którego jęki dochodziły, było bardzo ryzykowne. Poprosiłem Sannela, żeby przyniósł z naszej kryjówki kilka polan. Gdy wrócił, zapaliłem jedno z nich i zacząłem się czołgać do wnętrza.

Narażałem się na wielkie niebezpieczeństwo, jeden z gładów mógł mnie przecież przygnieść. Ale nic mi się nie stało. Po chwili natrafiłem na ciało martwego Cornera, odłamek skały zmiotł mu pierś. Przeszukałem jego kieszenie, obok mniej ważnych dokumentów znalazłem w nich dwa kwity depozytowe. Schowałem je, odnosiły się bowiem do sumy, którą zbrodniarz zainkasował za sprzedaż nuggetów Wattera i Welleya. Zacząłem się czołgać dalej, po jakimś czasie zbliżyłem się do miejsca, z którego dochodziły jęki. Wydawał je prayerman. Był tak ciężko ranny, że o ratunku nie mogło być nawet mowy. Nie bacząc na stan, w którym go znalazłem, zacząłem potrząsać jego ramieniem, chodziło mi bowiem o to, by odpowiedział na pewne pytanie, które interesowało mnie już od dawna. Po chwili odzyskał przytomność i obrzucił mnie bezmyślnym spojrzeniem.

– Sheppard! Ty zabiłeś Guya Finella! – zawołałem.

– Finella? – zapytał, – Ośle! A po co chciał mnie zadenujować? Straszliwy jęk przerwał to wyznanie. Przy blasku łuczywa, które zapaliłem, wykrzywiona twarz wyglądała jak maską szatana.

– A Reiter? – zapytałem.

– Reiter? Ty osłe! Strzelił równocześnie ze mną. Tylko, że ja zabiłem Finella, a on przelatującego nad jego głową drozda. Corner jest przekonany, że Finella zamordował Reiter...

Nie mogłem, niestety, słuchać dalej wyznania, gdyż coś zaczęło trzeszczeć i musiałem się cofnąć. Spadło kilka małych kamieni, wskutek czego opierający się o nie ciężki głaz stracił grunt pod sobą i spadł na prayermana, który przed chwilą wykrzywił się do mnie szyderczo. Prayerman zginął. Nie będzie mógł odpokutować za grzechy na ziemi. Nie dotykając grzesznika wyczołgałem się z szałasu.

Gwiazdy zaczęły blednąć. Winnetou siedział na głazach w towarzystwie Amora Sannela, niedaleko nich rozmawiali szeptem Stiller, Reiter i WeUey; Sachner siedział osobno. Ujrzawszy mnie cała trójka wstała i raz jeszcze zaczęła dziękować. Przeprosili mnie również za wszystko co uczynili i powiedzieli. Potem zaczęli mnie błagać, by wolno im było przyłączyć się do nas i dowieść, że zasłużyli na przebaczenie. Skierowałem ich do Winnetou. Apacz wysłuchał ich, a potem rzekł:

– Te trzy blade twarze dopuściły się grzechów, popełniły szereg błędów, ale nie dokonały zbrodni. Za karę niech pozostaną tu tak długo, dopóki stąd nie odjedziemy i nie zabierzemy ich. Nie wolno im przestępować progu naszego szałasu, mogą nas tylko odwiedzić w dniu Bożego Narodzenia i wziąć z nami udział w uroczystościach świątecznych. Ale muszą się zjawić bez broni. Zrozumieją wtedy, że obrazili przychylnych sobie ludzi, którzy nie mieli wobec nich żadnych złych zamiarów. Niedźwiedź należy do nas. Ściągniemy z niego skórę i zabierzemy mięso.

– Czy wolno nam się tym zająć? – zapytał Stiller. – Przeniesiemy wszystko na tamtą stronę.

– Niech i tak będzie.

Winnetou skinął na Sannela i na mnie. Wróciliśmy do naszej kryjówki i opowiedzieliśmy pozostałym towarzyszom co się stało. Carpio ucieszył się ogromnie, że jego przeczucie sprawdziło się i że stał się pośrednim zbawcą Stillera.

Jeszcze przed południem pojawił się Stiller w towarzystwie Welleya i Reitera, żeby przenieść skórę i całe mięso; musieli kilkakrotnie przejść z jednego brzegu na drugi. Dotychczas żywili się mięsem końskim, teraz za pracę otrzymali trochę niedźwiedziego. Przy tej sposobności ujrzeli choinkę, nie ulegało wątpliwości, że przy suchej pogodzie będzie ją można zapalić na powietrzu. Cieszyli się bardzo, że będą mogli wziąć udział w świącie.

Reiter rzekł do mnie:

– Słyszałem już przedtem, że Old Shatterhand jest Europejczykiem. Może zainteresuje pana fakt posiadania przeze mnie czegoś, co ma pewną łączność z Bożym Narodzeniem?

– Cóż takiego?

– Wiersz.

– Pshaw, rymy!

– Przepraszam, to wiersz wcale nie najgorszy. Nie należę do ludzi, którzy każdy rym uważają za coś niezwykłego. Pewne względy natury rodzinnej wypędziły mnie z ojczyzny. Pod wpływem rozgoryczenia moje życie ułożyło się dość nierówno. Nie tylko straciłem oparcie zewnętrzne, ale i wewnętrzne; przestałem wierzyć w Boga. Mój ojciec wyczytał, to między wierszami jednego z moich listów i przesłał mi na Boże Narodzenie wiersz. Nie powiem, żebym się stał pod wpływem tego wiersza człowiekiem pobożnym, opamiętałem się jednak i przestałem staczać się w dół. Moi rodacy deklamują chętnie przy Bożym Narodzeniu. Czy Wolno mi wyrecytować wiersz?

– Cóż za poeta jest jego autorem?

– Żadna sława, zwykły student. Ojciec podał mi, że w swoim czasie dawał mu lekcje kompozycji.

– Student? Pshaw! Zostawmy to! Niech mi lepiej kochany pan powie, jak można było zapomnieć się do tego stopnia, by znaleźć zadowolenie w obcowaniu ze Sheppardem i jego towarzyszami?

– Zadowolenie? – zapytał poważnie. – Niech pan nie sądzi, że mi było z nimi dobrze, nie jestem przecież złym człowiekiem. Trzymali mnie terrorem. Właściwie to tajemnica, ale Old Shatterhand mnie nie zdradzi. Jestem mordercą!

Spojrzał na mnie w przekonaniu, że oświadczenie to mnie przerazi.

– Nonsens! – odparłem z uśmiechem.

– A jednak tak jest! Było to w Steetsville; nie miałem z czego żyć, szukałem roboty.

Przypadkowo spotkałem Shepparda. Zawiązała się rozmowa, zacząłem się skarżyć na biedę.

Odpowiedział, że potrzebny mu jest do wyprawy na Zachód znośnie strzelający kompan.

Ofiarowałem swoje usługi, oświadczył, że musi mnie wypróbować. Udaliśmy się do farmy

Guya Finella. Leżeliśmy jakąś godzinę na brzegu lasu, wreszcie znalazł odpowiedni cel. Guy

Finell był w swym ogrodzie. W pewnej chwili przeleciał drozd i usiadł na wiszącej nad

farmerem gałęzi. Sheppard kazał mi strzelać do drozda. Zgodziłem się. Gdy doliczył do

trzech, drozd odleciał nietknięty, za to Finell leżał na ziemi w kałuży krwi. Moja kula przebiła

mu pierś. Do dziś nie rozumiem jak to się mogło stać, gdyż już wtedy byłem dobrym

strzelcem. Oczywiście rzuciliśmy się do ucieczki, od tej chwili byłem w ręku Shepparda. Za

to, że nie zrobił doniesienia karnego, musiałem stwierdzić na piśmie, że jestem mordercą;

ponadto zażądał ode mnie weksla na pięć tysięcy dolarów. Od tej chwili stałem się jego

niewolnikiem, nie miałem możliwości oprzeć się żadnemu jego żądaniu. Dopiero nad Platte

River zorientowałem się, że jest łotrem. Wyrzucił mnie, żebym nie był świadkiem

prześladowania Welleya, z którym się później przeciw niemu sprzymierzyłem.

– Jakże było z tym strzałem do drozda? Gdzie znajdował się Sheppard podczas naciśnięcia

cyngla?

– Stał za mną!

– Ach tak! Więc nie mógł pan widzieć jego ruchów. Zaczął liczyć, pan strzelił po słowie trzy?

– Tak.

– Czy nie padły dwa strzały?

– Nie. Skądże to dziwne pytanie?

– O tym potem! Ale wymagalność nie powinien być pana niepokoić.

– Nie bardzo się go lękałem. Ale przyznanie się do morderstwa! Zostało wprawdzie

wymuszone; mogłem protestować, ale byłem pewien, że Sheppard nie ulegnie się

krzywoprzysięstwa. Najbardziej jednak dręczyły mnie wyrzuty sumienia, nawiedzały mnie

prawie każdej nocy. Unieszczęśliwiłem czyjąś rodzinę. Ciągłe mam przed oczyma ofiarę

fatalnego strzału, ciągle widzę nieznaną zwłokę skapaną we krwi. Wprawdzie Sheppard

również nie żyje, ale jestem przekonany, że zdeponował gdzieś mój weksel i moje wyznanie.

Nie wyobraża pan sobie nawet, jak mnie to dręczy!...

– Nic w tym dziwnego. Ale niech pan będzie dobrej myśli, i dodam: Radość wielką wam

zwiastuję, spływa na was fala.

Odwrociłem się na pięcie i wszedłem do kryjówki. Ukryłem się i zacząłem go obserwować

przez zasłonę z bluszczu. Zesztywniał ze zdumienia i patrzył nieruchomym wzrokiem na

zasłonę, za którą zniknąłem. Przecież wypowiedziałem ostatnie słowa jego wiersza. Czyżby

to był przypadek...

Pokazałem kwity depozytowe Winnetou i powiedziałem, że Reiter jest synem mego byłego nauczyciela.

– Wiem, dlaczego mój brat mi to mówi – rzekł z uśmiechem.

– Niechaj się spełni jego życzenie! Ta blada twarz jest biedna i była przekonana, że nuggety finding-hole ją uratują, dostanie je od dobrego, wielkiego Chrystusa.

Ucieszyłem się bardzo. Nie tylko Reiter miał coś otrzymać, ale Carpio, o ile oczywiście będzie żył do tej chwili. Stan jego pogarszał się stale, opuszczały go siły; tylko głos miał ciągle jeszcze niezmienny. Na moje słowo, że daję podstawy do nadziei, że wyzdrowieje, odparł z łagodnym uśmiechem:

– Nie myśl o tym! Opuszczę cię na jakiś czas, to rzecz postanowiona. Właściwie pożegnałem się już ze światem. Pożegnanie nie było zbyt ciężkie, gdyż miałem smutne życie; było dla mnie raczej surową macochą. Odchodzę bez żalu, a jeżeli mój głos jest w tej chwili silniejszy ode mnie, przyczyna tego leży z pewnością w wierszu. Chciałbym go jeszcze raz wypowiedzieć donośnym głosem, potem zamilknę na wieki.

– Czy nie masz jakiegoś życzenia, które mógłbym spełnić, Carpio?

– Nie. To, czego sobie życzę, spełnisz i tak bez specjalnej prośby. Po powrocie do ojczyzny pozdrów moich bliskich. Powiedz im, że wyszedłem z orbity roztargnienia i roztrzęsania innych i jestem nareszcie szczęśliwy. Powiedz im, że Ojciec Niebieski zadecyduje teraz o moim przyszłym zawodzie. Mam nadzieję, że w kraju nikt nie będzie mi robił tych zarzutów, którymi obsypywano mnie tu bez przerwy. Znowu chce mi się spać... Przebacz, drogi przyjacielu. Jestem taki zmęczony, a sen to cudowna rzecz! Jeżeli śmierć przychodzi tak miękko i łagodnie jak sen, chciałbym umierać ciągle...

Zamknął kochane oczy. Po chwili otworzył je znowu i rzekł:

– Przypomniałem sobie, że mam do ciebie wielką prośbę. Nie ma trumny, a nie chciałbym być pochowany w gołej ziemi. Tu leży skóra niedźwiedzia. Jeżeli nie przedstawia dla ciebie specjalnej wartości, owiń mnie w nią. Będzie to wprawdzie również pewien rodzaj roztargnienia, pewne złudzenie, gdyż w ten sposób grzebie się tylko sławnych wojowników, ale przywykłem do różnych kawałów, a ten będzie chyba ostatnim. Spełnisz mą prośbę? .

– Ależ chętnie!

– Dziękuję. Teraz zasnę spokojnie.

Siedzący obok Rost słyszał wszystko. Był zrozpaczony, jako lekarz nie mógł mu pomóc, łyzy zakreśliły mu się w oczach, polubił bowiem bardzo biednego Carpia.

Następna doba nie przyniosła nic ciekawego. Wczesnym rankiem dwudziestego czwartego grudnia rozległy się na górze radosne okrzyki. Ujrzeliśmy około dwudziestu Szoszonów pod wodzą młodego wodza Wągore-Teya. Towarzyszył im wywiadowca Teech. Przybyli po nas z nartami i wszystkim, co nam było potrzebne. Na nasze pytanie o konie odpowiedzieli, że są dobrze ukryte. Zaczęliśmy rozpytywać o rezultaty walki z Upsarokami. Okazało się, że winowajcami byli Indianie Arikara. Nawet Peteh stwierdził to tuż przed śmiercią, która nastąpiła wskutek zadanej przeze mnie rany. Wszyscy mordercy znajdowali się w Obozie nad Pacific Creek. Wraz ze starym, podstępym Innua-Nehmą zostali wydani i zginęli na palu, po czym Szoszoni zawarli z Upsarokami pokój. Jakonpi-Topa kazał nam oświadczyć, że po oddaniu pożyczonych koni zwróci Stillerowi zabrane futra. Szoszoni byli przekonani, że zaraz ruszymy. Niestety, było to niemożliwe ze względu na Carpia. Gdy się dowiedzieli, że jeden spośród nas umiera, zamilkli i cofnęli się wobec potęgi śmierci. Pochłoneła ich cicha praca nad przygotowaniem mięsa niedźwiedzia. Rozpalili szereg ognisk, nad całym Pa-Ware zaczął się unosić zapach pieczonego mięsa. Na wieść, że przybyli nasi zbawcy, Carpio rzekł:

– Mój wybawca zjawi się wkrótce. Jedyne spośród was zostaną w dolinie. Czy wrócisz tu jeszcze kiedyś?

– Bardzo możliwe. Gdybym cię nawet znalazł w miejscu dosyć odległym, odwiedzę cię z pewnością, mój drogi Carpio.

– Uczyni to! Jeżeli przybędziesz tu, stanę obok ciebie. Może uda mi się dać jakiś znak w postaci szmeru liści czy łagodnej gry fal. Może to będzie niebiańskie pozdrowienie, a gdy wrócisz, będziesz mógł powiedzieć, że wierny Carpio podziękował ci za odwiedzin...

Znowu nastał gwiazdzisty wieczór. Dokoła panowała cisza, od jeziora szło ciepłe tchnienie, wynieśliśmy więc umierającego Carpia na powietrze i ułożyliśmy go na miękkim posłaniu niedaleko choinki. Biali otoczyli go zwartym kołem, Szoszoni utworzyli szersze półkole i z ciekawością przyglądali się oświetlonemu drzewku. Brakowało tylko starego Sachnera. Kazałem mu powiedzieć, że nadszedł kres życia jego bratanka. Odwrócił się i nie odpowiedział ani słowem. Snuł się w mroku nocy nie mogąc odżalować straconych nuggetów. Był tak chciwy, że to zabiło w nim wszystkie inne uczucia. Nie mógł przeboleć tego, że złoto finding-hole wysliznęło mu się z rąk. Carpio nie wspomniał o nim w ogóle.

Wyciągnięto nuggety i zgodnie z instrukcją Winnetou ułożono je pod drzewkiem w czterech równych kupkach. Podczas zapalania świeczek Carpio rzekł do mnie:

– Powinienem być z samego początku wypowiedzieć twój wiersz, mam jednak wrażenie, że skonom przy ostatnim słowie i dlatego zaczekam aż się skończy uroczystość wigilijna. Pamiętasz, modliliśmy się do Stwórcy, by mi pozwolił dożyć Wigilii. Spełnił naszą prośbę. Czuję, że wkrótce umrę. Zrób mi tę łaskę i zaśpiewaj kolędę: „W grobie leży, któż pobieży...” To moja ostatnia pieśń na ziemi. W górze śpiewać będą alleluja!

Przy blasku świec zacząłem wraz ze Stillerm, Reiterem i Rostem śpiewać kolędę. Gdy śpiew umilkł, wypowiedziałem kilka słów, nie mogłem powiedzieć więcej, dusiły mnie łzy. Winnetou porozdzielał nuggety między Sannela, Reitera, Rosta i Carpia.

Jakże się czuli szczęśliwi! Stary Sannel miał od tej chwili zapewnioną przyszłość, Reiter oświadczył, że pośle połowę złota staremu ojcu, memu byłemu nauczycielowi śpiewu. Rost mógł teraz poważnie zająć się myślą o praktyce. Carpio włożył swoje bezsilne ręce w dłoń Winnetou dziękując mu w ten sposób, potem zaś rzekł do mnie:

– Czym jest złoto dla umierającego? Mimo to cieszę się z waszego daru nieskończenie, gdyż wiem dlaczego mnie obdarowaliście. Jestem pewien, droga Safono, że zrobisz mi tę łaskę i zawieszysz złoto ojcu. Myśl o tym, że choć raz w życiu syn sprawi mu przyjemność napelnia mnie radością. Powiedz mu jednak, że to nie pomyłka, nie rezultat roztargnienia, że złoto naprawdę do niego należy!

Welley i Stiller nie dostali nic, nie okazywali jednak rozczarowania. Wręczyłem Welleyowi obydwie kwity depozytowe i wytłumaczyłem mu, że jest to odszkodowanie za zrabowane jemu i Watterowi złoto. O mało nie zemdlał z radości, a gdy ochłonął, zaczął się rozpyływać w serdecznościach i dziękczynieniach.

Reiter otrzymał swój weksel i dokument zawierający przyznanie się do popełnionego morderstwa. Musiałem mu oczywiście opowiedzieć, w jaki sposób udało mi się uzyskać obydwie dokumenty. Oświadczyłem ponadto, że nie jest mordercą Finella, którego zabił Sheppard, prayerman stanął bowiem za nim i strzelił równocześnie celując jednak w Finella. Uczynił to z obawy, by go Finell nie zadenuncjował. Oczywiście dodałem, że informacji tych udzielił mi morderca w chwili śmierci.

– Pańskie słowa są mi więcej warte niż wszystko inne, nawet nuggety! Chwała Bogu, chwała na wysokości – nareszcie będę mógł spać bez wyrzutów sumienia! Nie mam życia ludzkiego na sumieniu! To dodaje mi nowych sił, nowej wiary! Stałem się innym człowiekiem! I na takich ludzi czatowaliśmy, by im zabrać to, co do nich należało! Gdybyśmy teraz nie przyznali, że Winnetou ma do finding-hole prawo pierwszeństwa, moglibyście nas słusznie uważać za wariatów.

– Wcale nas wasze zachowanie nie dziwiło – odparłem – gdyż znamy dobrze fatalne skutki gorączki złota. Największymi nieprzyjaciółmi człowieka są jego namiętności. Przyzna to i Mr Stiller gdy mu dowiodę, że wskutek brutalnego zachowania się wobec nas sam sobie bardzo zaszkodził. Chcę mu coś ofiarować. Mr Stiller, służę panu!

Podąłem mu list napisany do jego żony przez Jalconpi-Topa na kawałku skóry. Otworzył go i obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem, po czym rzekł:

– Przecież to podpisany przeze mnie indiański list! Skąd pan go ma, Mr Shatterhand? Mogła

go panu dać tylko moja żona. Nie przypuszczam, Żeby pan był z nią w jakiegokolwiek styczności.

– Tego nie twierdziłem, to pan tak wnioskuje z mojego milczenia. Zachował się pan względem mnie w ten sposób, że nie mogłem być rozmowny. Nikt nie mógł odcyfrować tego listu, pańska żona dowiedziała się dopiero ode mnie o jego treści. Mieliśmy zupełnie inne plany, ale pański syn tak nas błagał, żebyśmy pana uratowali, że porzuciliśmy pierwotne zamiary i ruszyliśmy na Zachód. Było nas trzech: Winnetou, Rost i ja. Nie udaliśmy się wprost do Kikatsów, ponieważ dowiedzieliśmy się, że wyruszyli przeciw Szoszonom. Spotkaliśmy ich po drodze. Udało nam się doprowadzić do tego, że Jakonpi-Topa nie tylko pana zwolnił, ale jeszcze w dodatku przyrzekł zwrócić wszystko co panu zabrał. Tych naszych trudów i sukcesów nie pomniejsza fakt, że się panu w międzyczasie udało uciec. Gdy się spotkaliśmy, zakneblował mi pan usta swoim zachowaniem. Gdyby mnie pan tak brutalnie nie zaatakował słowami, byłbym panu już wtedy zgotował największą radość, jaka w ogóle mogła pana spotkać. Pańska żona prosiła mnie mianowicie, żebym wręczył panu list i gazety. Oddaję dziś jedno i drugie. Proszę to traktować jako podarunek świąteczny. Niech pan czyta! Jeżeli po przeczytaniu nie zmieni pan swoich poglądów, nie będę panu zazdrościł tego, co mi pan swego czasu zarzucił, to jest zajmowania w kraju o wiele wyższego stanowiska ode mnie.

Wręczyłem mu gazety i list. Po przeczytaniu upuścił jedno i drugie na ziemię, zakrył twarz rękami i zaczął bezgłośnie szlochać. Pozwoliliśmy mu wypłakać się. Po jakimś czasie podniósł głowę i podając ręce Winnetou i mnie rzekł:

– Byłem kwadratowym osłem! Na moją duszę spadła jakaś zasłona. Żona pisze mi, że nie wiecie, do jakiej warstwy należałem w Europie. Zdradzenie tej tajemnicy nie doprowadziłoby do niczego. Byłem zbyt dumny, zbyt pewny siebie i zbyt brutalny w stosunku do tych, którzy stali niżej ode mnie. Miałem wrażenie, że zawsze zostanę panem; nie myślałem o tym, że wszystko zawdzięczam jedynie przypadkowi i że równie dobrze mogłem się urodzić synem biedaka. Śmiałem się z ludzi, którzy mówili o szlachetności ducha i o tym, że zobowiązuje ona do szlachetnych czynów. Szydziłem z zasad chrześcijańskich w myśl których ci, którzy stoją wyżej, powinni siać miłość, by potem zbierać jej plony. Siałem pychę, w zamian zbierałem niechęć i nienawiść. Odnosiłem się do ludzi z lekceważeniem, odpłacali mi zemstą. Dzięki tej pysze pewien nikczemny człowiek, potężniejszy i mądrzejszy ode mnie, stał się moim wrogiem. Poprzysiągł mi zemstę i dopiął swego. W przeciągu kilku godzin zrobił ze mnie kompletnego żebraka. Zacząłem szukać ratunku i pomocy. Wszyscy odtrącili mnie z tą samą pogardą, której przedtem nie szczędziłem nikomu. Dopiero jeden z sąsiadów ulitował się i zajął naszym losem, podkreślając jednak, że czyni to jedynie ze względu na moją żonę i jej ojca. Niestety, spokój nie wrócił. Zacząłem złorzeczyć prawom i władzom. W rezultacie musiałem szukać ratunku w ucieczce do Ameryki. Żona wraz z dzieckiem przybyła za Ocean po kilku latach, jej ojciec zmarł w drodze w ostatniej nędzy. Ciągle jeszcze nie zdawałem ! sobie sprawy z tego, że jestem jedynym i wyłącznym sprawcą naszych nieszczęść. Przeklinałem swój los. O Bogu nie myślałem, gdyż dawno straciłem wiarę. Stałem się udręką dla żony, która z całym poświęceniem dzieliła ze mną niedole wygnańczego żywota. Myślałem tylko o pieniądzach. Potrzebowałem ich wiele, bardzo wiele, chodziło mi bowiem o to, by wszcząć proces, który by dowiódł, że jestem niewinny. Dlatego bez wahania zgodziłem się na wyprawę do finding-hole, dlatego stanąłem po stronie waszych przeciwników gdy Winnetou udowodnił, że jest właścicielem finding-hole. Stałem się jeszcze bardziej szorstki niż dotychczas. W moim sercu nie było Boga, wiary ani miłości. Pokora była dla mnie czymś nieskończenie śmiesznym, nie rozumiałem pojęcia skruchy. Rozsadzała mnie żądza zemsty, była boginią, do której się modliłem. Wszystkim myślom, pożądaniam i wysiłkom przyświecała jedna zasada: oko za oko, ząb za ząb! Bóg odpowiedział na moje bluźnierstwa spuszczeniem lawiny – i tą pół godziną, która wydała mi się wiecznością. Nie mogę i nie chcę opisywać co przeżyłem przez to krótkie, a równocześnie nieskończenie długie pół godziny.

Uprzytomniłem sobie całe swe życie. Przeżyłem je raz jeszcze. Ale już nie w blasku, który mnie kiedyś otaczał, lecz w sąsiedztwie paszczy straszliwego niedźwiedzia, którego kłom w swoich błuznierstwach chciałem poświęcić mózg... I wtedy zstąpiła na mnie jakaś promienna jasność... Przejrzałem. Zrozumiałem, jakim człowiekiem byłem dotychczas. Podobno w godzinie śmierci całe życie wraz z popełnionymi błędami przesuwają się przed oczyma umierającego, przekonałem się na własnej skórze, że to szczerza prawda. Urodzony w bogactwie, byłem dla siebie wszystkim: Dopiero w chwili zagrożenia życia zobaczyłem, że jestem tylko marnym nędzarzem, który nie jest nawet w stanie wołać o pomoc. Musiałem milczeć – każdy krzyk mógł zwrócić na mnie uwagę niedźwiedzia. Ale cała dusza zawarła się w jednym wewnętrznym krzyku, w jednej jedynej modlitwie o wyratowanie od śmierci. I któż mnie uratował? Ludzie, których chciałem skrzywdzić. Nie zemścili się, przeciwnie, obdarzyli mnie sowicie, zwrócili to wszystko co straciłem, nie, dali mi więcej, po stokroć więcej! Zrobili ze mnie innego człowieka! Posiadłem teraz to, czego nie miałem nigdy: prawdziwe szczęście! Przeszedłem ciężką szkołę, nie każdy by to wytrzymał. Jednak dla uratowania mojej duszy konieczne były silne środki. Mr Shatterhand już jako młody człowiek pięknie to powiedział w wierszu swoim „Boże Narodzenie”.

Przytoczył wiersz. Chcąc, by Winnetou zrozumiał, wygłosił całe przemówienie po angielsku, tylko wiersz wyrecytował w moim ojczystym języku. Słyszając to Reiter zawołał:

– Co to za wiersz pan recytuje? Przecież przysłał mi go ojciec! Autorem jest jeden z jego byłych uczniów. Skąd pan to zna? Stiller spojrzał na niego, potem na mnie i zapytał:

– Pan zna tego ucznia? Wie pan co się z nim stało?

– Nie.

– Ależ to niezwykle ciekawa historia! Ja również nie miałem pojęcia. Dopiero list żony wszystko mi wyjaśnił. Przywiozła ten wiersz z Europy, był dla niej osłodą w najcięższych chwilach. Śmiałem się z tego, ale ponieważ i żona, i syn powtarzali go często, nauczyłem się i ja na pamięć. Autorem jest młody student. Mojej żonie wyrecytował wiersz w dniu Bożego Narodzenia przy rzeźbionej oświetlonej choince jeden z kolegów młodego studenta. Dziś Wigilia – siedzimy obok drzewka... na dalekim Dzikim Zachodzie... Jakże ten wiersz harmonizuje z dzisiejszym świętem! Choć jestem pewien, że się kilka razy zająknę, spróbuję go jednak wypowiedzieć.

– Nie, nie! – szybko wtrącił Reiter. – Wiersz znam dobrze, na pewno się nie pomylę. Proszę, pozwólcie, bym ja zadeklamował! Rozległ się teraz głos Carpia:

– Żaden z was tego nie uczyni. Old Shatterhand żąda, bym ja wyrecytował jego wiersz. Ma do tego zupełne prawo – jest jego autorem, a ja jestem tym kolegą, o którym Mr Stiller mówił przed chwilą.

Zdziwiony Reiter chciał odpowiedzieć, ale dałem mu znak ręką, by milczał.

– Chodź tu, kochana Safono! – ciągnął dalej Carpio. – Podnieś mnie i podtrzymaj. Chcę się pożegnać ze światem słowami tego wiersza...

Podniosłem drogiego kolegę i przytuliłem do serca. Gwiazdy błyszczały nad nami, obok gasły stopniowo świece choinki i wraz z nimi ustępowało tak drogie mi życie Carpia, by w końcu uciec z tego padołu łez i radości. A na firmamencie błyszczały dalej gwiazdy wiecznego żywota. Zaczął donośnym głosem, stopniowo głos jednak tracił na sile, by przejść w cichy lecz wyraźny szept. Opuściwszy powieki ciągnął coraz wolniej. Miało się wrażenie, że to obce, dziwne dźwięki z zaświatów.

Ostatnie słowa rozpląnęły się już w ledwie dosłyszalnym westchnieniu. Niebo zabrało go do swego królestwa... Na choince zagasło ostatnie światło. Nad doliną zapadła głucha cisza...

Zmarły leżał jeszcze na mojej piersi. Stiller podniósł się ze swego miejsca i kładąc dłoń na głowie Carpia, drżącym głosem dokończył wiersz.

Ciemność przysłoniła łzy błyszczące w oczach obecnych, z wolna poczęli się oddalać w głębokim milczeniu, gdyż miejsce, w którym dusza opuściła ciało jest święte i czcić je należy



milczeniem.

Siedziałem długo z ciałem Carpia opartym o moje piersi. Podeszedł Winnetou i rzekł: – Niech mój brat odłoży zwłoki swego biednego przyjaciela. Urządzimy mu mieszkanie, które przetrwa długo. Jego duch odszedł już do Wielkiego, dobrego Manitou, do Wiecznych Ostępów, gdzie płonące ogniska zasilają drzewa wieczystego wyzwolenia. Nie są podobne do świateł naszej choinki, nie gasną bowiem nigdy. Zapalmy ogień wokół zmarłego i czuwajmy przy nich aż do świtu. Odszedł chętnie od doczesnego życia. Kiedyś pójdziemy w jego ślady i spotkamy się. Howgh! Z kamieni i gałęzi zrobiliśmy katafalk i przykryliśmy go skórą niedźwiedzia, na której ułożyliśmy Carpia. Potem, zapaliwszy ogniska stanęliśmy przy zmarłym na warcie składając mu ostatni hołd.

Gdy nadszedł ranek, wódz Apaczów polecił Szoszonom wznieść grobowiec dla przyjaciela Winnetou i Old Shatterhanda.

Wzniesiliśmy kamienne mauzoleum. Nie ulegało wątpliwości, że będzie niedostępne dla dzikich zwierząt. Miną długie lata zanim je w tej zacisznej dolinie naruszy czas. Po południu pogrzebaliśmy Carpia oddając mu ostatnią chrześcijańską posługę. Szanując naszą wiarę i obrzędy Szoszoni w momencie, gdy klękaliśmy, zrobili to samo. Zmówiłem ostatnią modlitwę – Szoszoni złożyli za moim przykładem ręce. Po zamknięciu grobowca Wagore-Tey, młody wódz Indian Wężów, przyrzekł mi przy następnej wyprawie w góry zasadzić na mogile Carpia kilka zielonych krzewów. Kiedy przybyłem tam po latach przekonałem się, że dotrzymał słowa.

Następnego dnia ruszyliśmy w drogę. Żyliśmy wszyscy ze sobą jak bracia, przeszkadzał nam tylko Sachner sprawiający nam poza tym wiele kłopotu. Nie chciał i nie umiał nic robić. Nie mógł nadażyć za nami w swoich wysokich śniegowcach. Trzeba go było wlec za sobą i podpieścić. Na domiar złego nie podziękował za ten wysiłek ani jednym łagodnym spojrzeniem, ani jednym dobrym słowem. Nic więc dziwnego, że Indianie traktowali go dosyć ostro. Ani Winnetou, ani ja nie interweniowaliśmy – nie był tego wart. Gdy weszliśmy do zimowego obozu Szoszonów, Sachner był do tego stopnia osłabiony, że nie mógł się utrzymać na nogach. Stał się dzięki temu pierwszym pacjentem Rosta. Indianie chętnie pozostawiliby go bez najmniejszej pomocy, jednak ze względu na nas zajęli się nienawistnym im sknerą. Dowiedziałem się później, że dopiero na wiosnę odtransportowali go do Laramie. Muszę tu zaznaczyć, że dalszymi losami tego człowieka nie interesowałem się zupełnie.

Avaht-Niah pozwolił chętnie doktorowi Rostowi pozostać u Szoszonów. Jest obecnie jednym z najwybitniejszych lekarzy Zachodu i... gorliwym czytelnikiem moich powieści podróżniczych. Ucieszy się też niezawodnie przeczytawszy nieco o sobie. Niechaj mi wybaczy, że się może zbyt wiernie trzymałem prawdy w tym przydługim nieco opisie.

Nie mieliśmy ochoty czekać u Wężów na nadejście wiosny. Przy pierwszej więc odwilży zaryzykowaliśmy niebezpieczną, ze względu na konie przeprawę przez przełęcz. Próba się udała. Mówiąc „zaryzykowaliśmy” mam na myśli Welleya, Stillera, Sannela, Reitera, Winnetou i siebie, reszta pozostała. Ruszyliśmy na Wschód. Ze względu na konie musieliśmy urządzać częste i długie postoje; głównym pożywieniem rumaków w tej przeprawie były młode gałązki, niestety, przeważnie zmarznięte. Gdyby nie obecność Winnetou, nie odważylibyśmy się na tak daleką wyprawę. Wierzyliśmy jednak, że Apacz da sobie radę nawet wśród śniegów. Droga odbiła się fatalnie na koniach i by móc kontynuować wyprawę, musieliśmy urządzać długie postoje w Fort Gnattau i w Fort Karney.

Chwilowo nie było mowy o zabraniu skór Stillera zmagazynowanych u Szoszonów i Kikatsów. Umówiliśmy się z wodzami, że dostarczą futra na wiosnę do Laramie, skąd zabiorą je biali urzędnicy kupców.

Przybyliśmy do Weston z początkiem marca. Trudno opisać radość w rodzinie Stillarów. Odnaleźliśmy wkrótce Wattera. Współ w Welleyem przedstawili w mojej obecności kwity depozytowe, które zabrałem Cornerowi i otrzymali pieniądze. Wraz z Amorem Sannelem i

Reiterem założyli wielką spółkę drzewną. Firma istnieje po dziś dzień.

Winnetou zostawił konie pod pewną opieką i wyruszył na planowaną od dawna wyprawę na Wschód. Ja udałem się na jakiś czas do Europy. Jesienią ruszyłem nad Tygrys, by odszukać drogiego, dzielnego Hadzi Halefa Omara. W bramie nie zatrzymałem się, gdyż nuggety Carpia zmienione na gotówkę ciążyły mi bardzo. Oddałem je, zgodnie z poleceniem zmarłego, rodzinie. Sprawily wielką radość.

Tak, radość i nic więcej! Muszę z przykrością podkreślić, że rodzina Carpia ucieszyła się z pieniędzy, ale wcale nie obeszła ją wiadomość o jego śmierci. Biedny Carpio był dla nich zupełnie obojętny.

Gdy wypłaciłem pieniądze, podziękowano mi chłodno i pożegnano bez pytań o zmarłego. Miałem nawet wrażenie, że najbliżsi Carpia nie są pewni, czy wypłaciłem całą sumę przekazaną przez mego biednego kolegę.

Następna wizyta była znacznie miłsza. Reiter prosił mnie bowiem o odwiedzenie ojca. Uczyniłem to bardzo chętnie. Dawny nauczyciel śpiewu zmienił się w zgrzybiałego staruszka. Żona, siwa jak gołębek, zachowała dawną tuszę. Patrząc na nich miałem wrażenie, że cienka pauza ósemkowa stanęła obok szerokiej fermaty\*. Gdy staruszka weszła do kuchni, Reiter oświadczył mi w zaufaniu, że dopiero po otrzymaniu pieniędzy od syna przekonał się, jak miłą ma żonę. Dawniej nie mógł tego skonstatować z powodu braku czasu. Dał mi również do poznania, że się bardzo cieszy, że wraz z jego synem znalazłem tak wielki skarb i stałem się bogaczem. Oczywiście nie poinformowałem go, że niczego dla siebie nie wziąłem...

– A Stiller?

Stał się rzeczywiście innym człowiekiem, Jego syn został wybitnym prawnikiem. Pani Stiller szczęśliwa, że mąż wrócił tak zmieniony na korzyść. pełniła samarytańską służbę niosąc pomoc biednym.

I dla nich dzień Bożego Narodzenia był zawsze wielkim świętem.